

STANISŁAW LEM

# WIZJA LOKALNA

## I. W SZWAJCARII

Po wylądowaniu w Cap Canaveral oddałem statek do remontu i skoncentrowałem się na wilegiaturze. Po tak długiej wyprawie należał mi się odpoczynek. Kropką jest Ziemia tylko z Kosmosu, po wylądowaniu okazuje się spora. Wakacje zaś to nie tylko kwestia pięknej okolicy, ale i należytej ostrożności. Pojechałem tedy do kuzyna profesora Tarantogi, który ma rozsądny zwyczaj nieczytania prasy codziennej od razu, lecz dopiero po paru tygodniach, gdy się odleży. Wolałem wybrać uzdrowisko u znajomego niż w jakiejś publicznej bibliotece. Przecinać pola magnetyczne Galaktyki to nie w kij dmuchał. Kości porządnie mnie już łamią. Daje też znać o sobie kolano, które skręciłem sobie w Himalajach, gdy aluminiowy stółek zapadł się pode mną na obozowisku. Na reumatyzm najlepsze jest suche gorąco, oczywiście klimatyczne, a nie bitewne. Bliski Wschód jak zwykle nie wchodził w rachubę. Arabowie wciąż uprawiają ten przekładaniec, w którym ich państwa łączą się, rozłączają, jednoczą i biją się ze sobą dla różnych przyczyn, lecz już nie próbuję ich nawet zrozumieć. Nie byłyby złe nasłonecznione południowe stoki Alp, tam jednak nie postoji już moja noga, odkąd zostałem porwany w Turynie jako księżniczka di Cavalli albo może di Piedimonte. Nie zostało to do końca wyjaśnione. Przyjechałem na kongres astronautyczny, sesja skończyła się po północy, nazajutrz miałem lecieć do Santiago, zabłądziłem autem, nie mogłem znaleźć hotelu, i wjechałem do jakiegoś podziemnego parkingu, żeby się choć za kierownicą zdrzemnąć. Jedyne wolne miejsce było wprawdzie zagrodzone jakimiś kolorowymi wstęgami, bodajże na znak, że księżniczka została komuś poślubiona, ale nic o tym nie wiedziałem, a zresztą jakie znaczenie mogło to mieć o pierwszej w nocy. Najpierw zakneblowali mnie i związali, położyli do kufra, auto wyprowadzili na ulicę, załadowali na wielką naczepę, którą wozi się fabrycznie nowe samochody, i powieźli w swe ustronie. Jestem wprawdzie mężczyzną, płci nie można jednak teraz rozpoznać od ręki, brody nie noszę, odznaczam się urodą, jednym słowem, wyciągnęli mnie z bagażnika u stóp wspaniałej górskiej panoramy i zaprowadzili do samotnego domku. Pilnowało mnie dwu drabów na zmianę, za oknem śniegi Alp, lecz oczywiście żadnego opalania się, nic z tego. Ze śniadym wąsaczem grałem w bierki, bo nie było go stać umyślowo na szachy, a drugi, bez wąsów, ale z brodą, miał przykry obyczaj nazywania mnie antrykotem. Było to aluzją do mego losu, jeśli księstwo nie zapłacą okupu. Już wiedzieli, że nie mam nic wspólnego z rodziną di Cavalli czy di Piedimonte, ale to wcale nie zbiło ich z pantałyku, bo zastępcze porwanie weszło już w życie. Przedtem raz i drugi uprowadzono nie te dzieci, co zostały upatrzone, i rodzice właściwych dzieci przyszli z pomocą niemającym. Potem to się przeniosło i na osoby pełnoletnie. Niemcy nazywają ten rodzaj „eine Ersatzentführung”, a oni się na tym znają. Niestety, gdy na mnie trafiło, już tych namiastkowych uprowadzeń namnożyło się, serca bogaczy stwardniały, i nikt nie chciał dać za mnie złamanego szeląga. Próbowali coś wytargować w Watykanie, Kościół jest profesjonalnie poświęcony, lecz ciągnęło się to okropnie. Przez miesiąc musiałem grać w bierki i wysłuchiwać gastronomicznych gróźb faceta, który pocił się niemożliwie i tylko rechotał, gdy go prosiłem, żeby wziął tusz, toż w domu jest łazienka, ja sam go namydlę. Ostatecznie zawiódł i Kościół. Byłem przy ich kłótni, omal się nie pobili, jedni wołali, żeby rżnąć, a drudzy, żeby za łeb i fora ze dwora księżniczkę. Księżniczką uparł się mnie nazywać ten śniady. Miał kaszak na ciemieniu. Musiałem go wciąż oglądać. Jeść musiałem to samo co oni, z taką różnicą, że oblizywali się po makaronie z oliwą, a mnie mdliło. Szyja bolała jeszcze, odkąd usiłowali nakłonić mnie, żebym się przyznał, że jestem przynajmniej jakimś pociotkiem książąt, skoro wjechałem na ich parking, i za to, że ich tym oszukałem, porządnie mi przyłożyli. Odtąd Włochy przestały dla mnie istnieć.

Austria jest miła, ale znam ją jak własną kieszeń, a wolę jechać tam, gdzie dotąd nie bywałem. Pozostawała Szwajcaria. Chciałem się poradzić kuzyna Tarantogi, co o niej myśli,

ale postąpiłem głupio, wdając się z nim w rozmowę, bo to jest wprawdzie globtroter, lecz zarazem antropolog amator, zbierający tak zwane graffiti po wszystkich ubikacjach świata. Cały dom zmienił w ich kolekcję. Gdy zaczyna mówić o tym, co ludzie wypisują na ścianach klozetów, oczy zapalają mu się natchnionym ogniem. Utrzymuje, że tylko tam ludzkość jest do samego końca szczerą i że na tych kafelkach widnieje nasze „mane tekel fares”, jako też „entia non Bunt multiplicanda praeter necessitate”. Fotografuje te napisy, powiększa je, zalewa pleksiglasem i wiesza u siebie na ścianach, z daleka wygląda to jak mozaika, a z bliska zapiera człowiekowi dech. Pod egzotycznymi, jak chińskie i malajskie, umieszcza tłumaczenia. Wiedziałem, że uzupełniał swe zbiory i w Szwajcarii, lecz postąpiłem głupio, bo on nie zauważył tam żadnych gór. Narzekał, że oni od rana do wieczora myją te ubikacje, niszcząc kapitalne napisy, nawet złożył w Kulturdezernat w Zurychu memoriał, żeby myli co trzeci dzień, lecz nikt nie chciał z nim mówić, a o tym, żeby go wpuścili do damskich toalet, nie było nawet mowy, choć miał z UNESCO papier, nie wiem, jak go wydebił, wyjawiający naukowy charakter jego prac. Kuzyn Tarantogi nie wierzy we Freuda ani we freudystów, bo od Freuda można się dowiedzieć, co ma na myśli ten, komu na jawie lub we śnie zjawia się wieża, maczuga, słup telegraficzny, polano, przodek wozu z dyszlem, pal i tak dalej, lecz cała mądrość się kończy, gdy ktoś śni bez wszelkiej okrzężności. Kuzyn Tarantogi żywi osobistą animozję do psychoanalityków, ma ich za durniów, i musiał mi koniecznie wyłożyć, dlaczego. Pokazywał mi perły swych zbiorów, rymowanki coś w osiemdziesięciu językach, przygotowuje bogato ilustrowaną książkę, kompendium z atlasem, oczywiście opracował też statystycznie, ile czego pojawia się na kilometr kwadratowy czy może na tysiąc mieszkańców, nie pamiętam już, jest poliglotą, choć z pewnym zawężeniem, ale i to nie jest byle czym, zważywszy bogactwo ludzkiego wysławiania w tej sferze. On zresztą twierdzi, że okoliczności miejsca paskudnie go brzydzą, rękawiczki chirurgiczne, dezodorant w sprayu, a jakże, lecz jako naukowiec musi w sobie pokonywać odruchy, w przeciwnym razie entomologowie studiowałiby same motylki i boże krówki, a o karakonach i wszach byłoby głucho.

Bojąc się, żebym mu nie uciekł, trzymał mnie za rękaw, a nawet popychał w plecy, ku bardziej doniosłym miejscom ścian; nie narzekam, mówił, ale nie wybrałem sobie łatwego życia. Człowiek, który chodzi do publicznych pisuarów obwieszony aparatami fotograficznymi, obiektywami, który zagłada po kolei do wszystkich kabin, jakby się nie mógł zdecydować, wlokąc za sobą statyw, wywołuje podejrzliwość babek klozetowych, zwłaszcza skoro nie chce złożyć u nich swego balastu, lecz wszystko taszczy za drzwi, toteż nawet sute purbuary nie chronią go od przykrości. Szczególnie błyskanie flesza spoza zamkniętych drzwi zdaje się działać jak płachta na byka na te strażniczki moralności klozetowej, o których wyraża się z niechęcią. Przy otwartych drzwiach nie może pracować, bo to jeszcze bardziej je rozdrażnia. Dziwna rzecz, klienci, którzy tam zachodzą, też patrzą na niego spode łba, a bywało, że nie skończyło się na spojrzeniach, choć muszą być wśród nich autorzy i powinni być mu właściwie choć trochę zobowiązani za uwagę. W zautomatyzowanych wychodkach nie ma tych problemów, lecz on musi bywać we wszystkich, w przeciwnym razie zgromadzony materiał nie będzie ważką statystycznie reprezentatywną próbą populacji. Musi niestety ograniczać się do takich próbek, cały zbiór światowy klozetów przekracza ludzkie siły, już nie wspomnę, ile ich jest, ale on to obliczył. Wie, czym się pisze, gdy nic nie ma pod ręką, i jak, a zwłaszcza w jaki sposób niektórzy, parci inwencją, umieszczają aforyzmy, a nawet rysunki pod samym sufitem, choć po porcelanie i szympans nie wdrapałby się tak wysoko. Chcąc z uprzejmości podtrzymać rozmowę, zasugerowałem, że może noszą z sobą składane drabinki, i ta moja ignorancja wielce go rozsierdziła. W końcu urwałem się jakoś i uszedłem pogoni, bo gadał do mnie jeszcze na schodach, i bardzo rozeźlony tą wpadką, boż niczego nie dowiedziałem się o Szwajcarii, wróciłem do hotelu, gdzie okazało się, że kilka zawieszistych okazów, które mi

wydeklamował, tak wlało mi w mózg, że im bardziej je chciałem zapomnieć, tym uporczywiej pchały mi się w myśli. Zresztą ten cały kuzyn może i ma jakąś swoją rację, pokazując wiszący nad biurkiem wielki napis: „homo sum et nil humani a me alienum puto”.

Ostatecznie zdecydowałem się na Szwajcarię. Od dawna nosiłem w duszy jej obraz. Ot, wstajesz rano, podchodzisz w bamboszach do okna, a tam alpejskie łąki, liliowe krowy z wielkimi literami MILKA na bokach; słysząc ich pasterskie dzwonki, kroczysz do jadalni, gdzie z cienkiej porcelany dymi szwajcarska czekolada, a szwajcarski ser lśni gorliwie, bo prawdziwy ementaler zawsze się troszeczkę poci, zwłaszcza w dziurach, siadasz, grzanki chrupią, miód pachnie alpejskimi ziołami, a błoga ciszę solennie punktuje tykot szwajcarskich zegarów. Rozwijasz świeżutką „Neue Zuercher Zeitung”, wprawdzie widzisz na pierwszej stronie wojny, bomby, liczby ofiar, ale takie dalekie to, jakby za pomniejszającym szkłem, bo wokół ład i cisza. Może i są gdzieś nieszczęścia, ale nie tu, w sercu terrorystycznego niżu, proszę, na wszystkich stronicach kantony rozmawiają ze sobą przyciszonym bankowym dialektem, odkładasz więc nie doczytaną gazetę, bo skoro wszystko idzie jak w szwajcarskim zegarku, po cóż czytać? Bez pośpiechu wstajesz, nucąc starą piosenkę ubierasz się i samotnie idziesz do gór. Cóż za błogość!

Tak to mniej więcej sobie wyobrażałem. W Zurychu stanąłem w hotelu opodal lotniska i wziąłem się do szukania cichego zakątka w Alpach, na całe lato. Kartkowałem foldery z rosnącym zniecierpliwieniem, tu odstręczały mnie obietnice licznych dyskotek, tam kolejki linowe, co porcjami wciągają tłumy na lodowiec, a ja nie lubię tłumów, miałem więc trudne zadanie, nie łaknąć ani gór bez komfortu, ani komfortu bez gór. Z pierwszego piętra na najwyższe wygoniła mnie nagłośniona orkiestra hotelowa oraz kuchenna wentylacja, stwarzająca fałszywe, pewno, lecz dojmujące wrażenie, że tłuszczu na patelniach nie zmienia się od lat. Na górze nie było lepiej. Co parę minut waliły we mnie grzmotem startujące niedaleko dżety. W Europie nie mówi się dżety, lecz odrzutowce, ale słowo dżet lepiej kojarzy mi się z biciem po głowie. Kulki w uszach nie pomagały, bo wibracja silników wkręca się człowiekowi w szpik jak wiertarka dentystyczna. Po dwu dniach przenieśliem się więc do nowego Sheratona w centrum, nie zdając sobie sprawy z tego, że to jest hotel w pełni skomputeryzowany. Dostałem apartament zwany z amerykańską „suite”, długopis reklamowy i plastikowy żeton zamiast klucza do drzwi. Można nim też odmykać pełną alkoholi lodówkę. Była połączona z centralnym komputerem. Telewizor na żądanie pokazywał momentalny stan rachunku. Dość nawet zabawne było patrzeć, jak bezustannie rosną mielące cyfry, w takim tempie, jak czas przy oglądaniu wyścigów, ale to nie były sekundy, tylko franki szwajcarskie. Sheraton szczycił się wskrzeszaniem starych tradycji, na przykład srebra stołowej zastawy świeciły w jadalni na wszystkich stołach, dawniej sztuce miały wygrawerowane napisy „Skradzione w Bristolu”, w Sheratonie nic tak drażliwego; w sztuccach jest coś, co sprawia, że drzwi podnoszą alarm, gdy wyjść na ulicę ze srebrem w kieszeni. Niestety doświadczyłem tego i gęsto musiałem się tłumaczyć. Długopis zostawiłem przy szklance, a łyżeczkę wetknąłem sobie do kieszonki, lecz to nie ukoilo wyperfumowanego fagasa, bo łyżeczka lśniła jak umyta, choć jadłem jajka na miękko. No więc cóż, oblizałem ją, taki mam zwyczaj, nie chciałem się jednak spowiadać z intymnych przyzwyczajęń Szwajcarowi, przekonanemu, że mówi po angielsku. Uznałem sprawę za umorzoną, ale gdym dla igraszki spytał telewizor o wysokość rachunku, wyświetlił go z ceną jednej srebrnej łyżeczki — stała na ekranie jak wół. Skoro za nią zapłaciłem, była moja, więc przy obiedzie wetknąłem taką samą do kieszeni, co wywołało następną awanturę. Sheraton, wyjaśniono mi, nie jest sklepem samoobsługowym. łyżeczka, choć wliczona do rachunku, pozostaje własnością hotelu. To nie kara, lecz symboliczny gest kurtuazji wobec gościa, bo koszty sądowe obeszłyby mu się drożej. Podrażniło to moją pieniacza żyłkę, żeby się poprocesować z Sheratonem, ale nie chciałem sobie psuć nastroju, który na razie składał się tylko z nadziei na Szwajcarię mych rojeń.

Przy drzwiach łazienki miałem cztery wyłączniki i do końca pobytu nie opanowałem ich

przeznaczenia, dlatego wieczorem wlałem do łóżka po ciemku. Do poduszki była przypięta karta z serdecznym pozdrowieniem dyrekcji oraz małą Milką, ale nie wiedziałem o tym. Najpierw wbiłem sobie tę szpilkę w palec, a potem jakiś czas szukałem czekoladki pod kołdrą, bo się tam zawieruszyła. Zjadłszy ją, uświadomiłem sobie, że trzeba znów myć zęby, i uczyniłem to po krótkiej walce wewnętrznej. Potem szukając kontaktu przy łóżku nacisnąłem coś takiego, że materac zaczął drżeć. O abażur lampy uderzała duża ćma. Nie lubię ciem, zwłaszcza gdy siadają mi na twarzy, chciałem ją trzepnąć, ale w zasięgu ręki był tylko gruby, twardo oprawny tom hotelowej Biblii, a Biblią niezręcznie jakoś. Goniłem za tą ćmą dość długo. Wreszcie poślizgnąłem się na alpejskich folderach, bo przejrane ciskałem przedtem na dywan. Niby nic. Głupstwa, o których wstyd pisać. Gdy jednak popatrzeć głębiej, przestaje to być takie proste. Im większy komfort, tym więcej męczy, a nawet poniża duchowo, bo człowiek czuje, że nie dorósł do korzystania z jego ogromu, jakby stał z łyżeczką przed oceanem, ale mniejsza jednak o łyżeczki.

Nazajutrz z rana zatelefonowałem do pośrednika sprzedaży nieruchomości, pytając o mały, komfortowy domek w górach, może nabyłbym taki na letnią rezydencję. Robię czasem rzeczy, które zaskakują mnie samego, bo właściwie nie chciałem kupować żadnych domków w Szwajcarii. Zresztą sam nie wiem. Miasto było nie to, że pozamiatane, ale wyglansowane na wysoki połysk, parki jak zegarki i ta powszechna odświętność zdawała się zapowiedzią błogosławnego życia, do którego nie mogłem się jakoś dostać. Zmarnowawszy dzień, wciąż niezdecydowany, gdzie wynająć letnie mieszkanie, postanowiłem możliwie rychło opuścić Sheraton i myśl ta przyniosła mi znaczną ulgę. Garsonierę, która mi odpowiadała, bo w cichym zaułku, znalazłem następnego dnia, ł to nawet z dochodzącą, odziedziczoną po poprzednim lokatorze. Miał to być mój ostatni dzień hotelowego bytowania. Gdym skończył śniadanie, podszedł do mego stolika duży, siwy, szlachetnie wyglądający mężczyzna i przedstawił mi się jako mecenas Trürli. Położywszy wielką teczkę obok siebie, poprosił o chwilę uwagi. Powiedział mi, że znany milioner szwajcarski, doktor Wilhelm Küssmich, będąc od lat entuzjastą mej działalności oraz zapalonym czytelnikiem moich publikacji, pragnie mi jako dowód uszanowania i wdzięczności ofiarować na własność zamek. Tak jest, zamek, z drugiej połowy XVI wieku, nad jeziorem, nie w Zurychu, lecz w Genewie, spalony w czasie wojen religijnych, odbudowany i zmodernizowany przez pana Küssmicha — mecenas recytował historię zamku jak z nut. Musiał ją wykuć pierwiej na pamięć. Słuchałem go coraz milej zdziwiony, że pierwotny osąd Szwajcarii, kory zaczął mi już więdnąć w duchu, był jednak słuszny. Mecenas zwałił przede mną na stół olbrzymią księgę w skórce, właściwie album, pokazujący zamek ze wszystkich stron, także z wysokości, na zdjęciach lotniczych. Podał mi zaraz drugi tom, cieńszy, spis przedmiotów, czyli ruchomości znajdujących się w zamku, bo pan Küssmich nie chciał obrazić mnie widokiem gołych ścian i miałem przejąć szacowną budowlę wraz z całym inwentarzem, oprócz nie umeblowanych parterów, lecz na wszystkich wyższych piętrach same antyki, bezcenne dzieła sztuki, zbrojownia, a także, wozownia, ale nie dał mi czasu się tym delektować, bo spytał tonem oficjalnym, prawie surowo, czy jestem gotów przyjąć darowiznę? Byłem gotów. Mecenas Trürli zamarł wówczas na chwilę, czyżby modlił się przed przystąpieniem do tak poważnego aktu? Mężczyźni jak on zawsze wywołują we mnie iskierkę zawiści. Ich koszule pozostają anielsko białe o trzeciej nad ranem, ich spodnie nigdy się nie mną, a od rozporków nigdy nie odlatują im guziki. Doskonałością tą nieco mnie mecenas mroził, czy raczej usztywniał, lecz trudno było wymagać, by nieznany dobroczyńca skierował do mnie posła bardziej w moim guście. Poza tym nie należało zapominać, że znajdujemy się w Szwajcarii. Po pełnym godności namyśle mecenas Trürli powiedział, że finalnych formalności dokonamy później, a teraz będzie dość, jeśli zechcę złożyć podpis na akcie darowizny. Wyjął z aktówki drugą, przezroczystą; jak między szybkami leżał w niej ów starannie wystukany akt, i rozpostarł go przede mną na obrusie, podając mi zarazem swoje pióro, oczywiście szwajcarskie, złote, podobnie jak jego

okulary. Następnie odsunął się nieznacznym ruchem od stołu, jakby zawieszał swoją obecność do czasu, gdy zapoznam się z treścią tak ważnego dokumentu. Przeczytałem więc wszystkie klauzule darowizny. Między innymi miałem się zobowiązać, że nie będę przez sześć miesięcy tykał dwudziestu ośmiu skrzyń, umieszczonych w sali rycerskiej. I gdy podniosłem oczy na adwokata, nim otworzyłem usta, powiedział, jakby czytając w mych myślach, że w tych oczywiście nie zamkniętych skrzyniach znajdują się unikalne obiekty w rodzaju płócien starych mistrzów; otóż przekazanie ich na własność cudzoziemcowi, nawet tak znakomitemu jak ja, będzie wymagało pewnego czasu. Ponadto nie mogłem przez dwa lata odsprzedać zamku w całości bądź w częściach udostępniać go osobom trzecim w inny sposób. Nic podejrzanego w tych klauzulach nie zauważyłem. Czy zresztą moja podejrzliwość nie była wyrazem przytłoczenia tą wspaniałomyślnością, która łańcuchami ciężkiej prawniczej niemczyzny Szwajcarów jak spuszczonego mostem wprowadzała mnie na zamkowe komnaty? Troszkę spociłem się, składając podpis, a wtedy mecenas Trürli podniósł małym, władczym ruchem rękę i dwóch fagasów hotelowych, których dotąd nie zauważyłem, bo czekali dyskretnie za palmami, podeszło, aby uwierzytelnić autentyczność mojego podpisu swymi. Musiał ich tam ustawić w kącie już przedtem. Doprawdy zadbał o staranną oprawę tej sceny. Gdy zostaliśmy sami, Trürli poprosił, bym zechciał sygnować jeszcze osobny kodycyl na odwrocie aktu. Zezwalałem tam osobom upoważnionym przez ofiarodawcę, aby sprawdzały okresowo, czy dotrzymuję warunków 8, 9 i 11 paragrafu, to znaczy, czy nie gmeram w skrzyniach z drogocenną zawartością. Myśl, że jacyś obcy ludzie mają mi się kręcić po zamku i zaglądać, gdzie się im podoba, zmroziła mnie. Adwokat wyjaśnił czysto formalny charakter owego punktu. Akt, dodawał, nabrał mocy prawnej i mogę w każdej chwili objąć cały obiekt wraz z przyległym parkiem w posiadanie. Już wstawał, gdy szczęśliwie przyszło mi do głowy spytać, kiedy mógłbym osobiście wyrazić podziękowanie memu dobroczyńcy. Pan Küssmich był aktualnie bardzo zajęty, stał bowiem na czele koncernu wytwarzającego koncentraty żywnościowe ze słynną pożywką Milmil na czele, a to jest preparat służący dziecięcemu zdrowiu na wszystkich kontynentach. Termin naszego spotkania przyjdzie ustalić osobno. Adwokat uściśnął mi dłoń, stary szafkowy zegar za nami począł wybijać jedenastą i w tych poważnych dźwiękach już jako pan na szwajcarskim zamku patrzałem, jak Trürli kroczy po dywanach, jak rozskakują się przed nim szklane tafle wyjścia, a szofer ze sztywną czapką pod lewym ramieniem otwiera przed nim drzwi czarnego mercedesa, i doszedłem do przekonania, że coś takiego od dawna mi się już właściwie należało.

Zamek okazał się niestety niemieszkalny. Ostatniej zimy pękły rury centralnego ogrzewania. Czy jednak darowanemu...? Porzuciwszy plan wyjazdu w Alpy, wziąłem się za remont. Architekt wewnątrz usiłował przekonać mnie do swego projektu obrócenia parterowych sal w pałacową feerię, a gdym mu się oparł, poddał się bardzo złośliwie, bo zwałił na mnie wszystkie decyzje razem z dotyczącymi wykładziny łazienek (była spękana) i stylu klamek (ktoś je poodkręcał). Ładny grosz włożyłem już w mury, aż tu gazety na pierwszych stronach przyniosły sensacyjne wieści o Milmilu. Wyszło na jaw, z czego naprawdę robi się tę pożywkę. Powstał międzynarodowy komitet poszkodowanych matek, który wytoczył Küssmichowi proces. Powództwo sięgało dziewięćdziesięciu ośmiu milionów franków szwajcarskich. Zmarnowane zdrowie dzieci, fizyczne i duchowe cierpienia rodziców, nawiązki za ból — prasa donosiła o wszystkim szczegółowo — a przyjeżdżając na oględziny prac remontowych, musiałem się przepychać przez pikiety z transparentami, uwłaczającymi temu, kto mało że ma pałac z trucią dzieci, to jeszcze go sobie śmie dosmaczać teraz, gdy już wiszą nad nim sądowe terminy. Raz i drugi udało mi się wyjaśnić, że nie jestem Küssmichem i nie mam nic wspólnego z niemowlętami, ale za trzecim jakąś starsza pani z Armii Zbawienia, która pewno nie dosłyszała mnie śpiewając i waląc w bęben, wzięła od drugiej tablicę z żądaniem sprawiedliwości i dała mi nią po głowie. To uświadomiło mi, w jak

niezręczną sytuację wpakował mnie Küssmich zamkiem. Zatelefonowałem do adwokata, chcąc usłyszeć jego zdanie, on zaś poradził mi, żebym unikał dziennikarzy. Najlepiej zrobię, rzekł Trürli, jeśli wyjadę na jakiś czas w Alpy. Poszedłem za tą sugestią, boż i tak po to przyjechałem przecież do Szwajcarii. Myślałem po cichu, co wyznaję szczerze zgodnie z moim obyczajem mówienia samej prawdy, że wszystko ucichnie, gdy Küssmich znajdzie się nareszcie w kryminale. Dalej sądziłem bowiem, osioł, że mając sporo na sumieniu, widział w akcie darowizny ekspiację. Gdybym nie marudził w Sheratonie, spędziłbym niczym nie zakłócone dni w górskim zakątku, choć z drugiej strony nie poznałbym ani profesora Gnussa, dni Instytutu Maszyn Dziejowych, i tym samym nie wyprawiłbym się na Encję z jej niesamowitą etykosferą. Tak to już jest w życiu, z głupstw wynikają wielkie rzeczy, choć częściej bywa na odwrót. Przez całe lato tyleż przebywałem w Genewie, co w Alpach, bo to i remontu trzeba było jednak popilnować, i Trürli miał ze mną to i owo do omówienia. W mieście lokowałem się w garsonierze, do zamku nie chodziłem, na Rozprawach Küssmicha też wolałem się nie pokazywać, a tymczasem matka, prokuratura, reporterzy dbali o to, żeby prosa huczała od sensacyjnych wieści o nieprawościach koncernu. Co prawda zmagania pieniądza z prawem dawały nieoczekiwane efekty. Biegli oskarżenia dowodzili ekspertyzami, jak zgubny był wpływ Milmilu na organizm dziecka, natomiast biegli powoływani przez koncern z równie naukową ścisłością ujawniali zbawienność tego produktu. Opinia publiczna była jednak po stronie dzieci i matek. Ledwie powróciwszy któryś raz z Genewy zjadłem śniadanie w moim wynajętym domku, Trürli wezwał mnie lakonicznym telegramem na powrót do miasta. Wracałem pociągiem. Szwajcarzy tak sobie wydrażyli kraj tunelami, że można go przejechać wzdłuż i w poprzek ani widząc gór. W przedziale zastałem starszego pana w złotych staromodnych binoklach na czarnej tasiemce, który czytał moje „Dzienniki gwiazdowe”, Zdziwiło mnie, że co i raz otwierając leżący na kolanach gruby tom i zajrzawszy doń, wpisuje coś starannie na marginesach mej książki. Gdy poszedł do wagonu restauracyjnego, przyjrzałem się „Dziennikom” rozpostartym na siedzeniu. Marginesy upstrzone były z góry na dół cyframi jakichś paragrafów. Zaciekawiony, przedstawiłem mu się, gdy wrócił, i spytałem o znaczenie tych zapisków. Okazał się nader uprzejmy. Najpierw pogratulował mi wylewnie odkryć i dokonań. Był profesorem prawa kosmicznego, i to w zakresie politycznym. Roger Gnuss, bo tak się nazywał, miał oprócz katedry tego prawa nadzór, z ramienia sekretariatu ONZ, nad Instytutem Maszyn Dziejowych, filii MSZ. Nie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, lecz Zaziemskich. Nie wiedziałem nawet, że takie ministerstwo już istnieje. Uśmiechając się dobrotliwie niebieskimi jak lodowiec oczkami, pomniejszonymi przez szkła, profesor wyjaśnił mi, że ten nowy MSZ istnieje tylko częściowo, jako instytucja w fazie rozruchu. Z inicjatywy wpływowych państw utworzono bowiem zarząd administracyjną, która normalnym ministerstwem stanie się dopiero za jakiś czas, gdy kontakty z cywilizacjami kosmicznymi przestaną być doraźne i dojdzie do nawiązania oficjalnych stosunków po akredytacji ministrów pełnomocnych ze wszystkimi prerogatywami. Dokąd eksploracja zamieszkałych planet podlegała ONZ, lecz kosmiczny wymiar wymagał od dyplomacji całkowicie nowych metod i rozwiązań. Wszystko to było dla mnie zupełną nowością. Najbardziej dziwiłem się milczeniu szwajcarskiej prasy w tak ważnym temacie. To wcale nie jest takie dziwne, tłumaczył mi profesor, bo na razie zajmujemy się głównie dyplomacją treningowo-fantomową, a że finansuje nas ze swej szkatuły ONZ, bo rząd kantonalny zastrzegł sobie z góry, gdy dawał zgodę na umieszczenie tego ministerstwa w Genewie, że go to finansowo nie obciąży, prasa nie zajmuje się sprawami nie mającymi wpływu na szwajcarską ekonomię. Zresztą, dodał, nasza działalność jest niejawną. Nie jest tajną w sensie prawa grodowego ani szwajcarskiego prawa karnego i cywilnego, bo nie chodzi o rację stanu, lecz o zdrowy rozsądek. Sytuacja planetarna i bez wiadomości o innych planetach coraz bardziej się pogarsza, frank szwajcarski nie robi jeszcze bokami, ale poniekąd kuleje, trzeba więc go oszczędzać. Zasięg typowego wyprzedzenia w

operacjach bankowych wynosi najwyżej parę lat, bo przecież decydującą jednostkę miary stanowi rok budżetowy, a my, to znaczy I MD, razem z MSZ pracujemy z minimalnym wyprzedzeniem rządu stu lat! To są tak zwane sekulary, w tych jednostkach porusza się cała ministerialna pragmatyka obcodziejowa. Nie rozumiałem nic z tego, co mówił, lecz miałem odwagę przyznać się do zamętu w głowie. Przed panem, panie Tiszy, powiedział (tak wymawiał moje nazwisko), nie mam nic do ukrywania. Wyjaśnił mi najpierw sens zapisków w „Dziennikach”. Były zwykłym zawodowym odruchem: podciągał wszystkie dokonane przeze mnie nieświadomie naruszenia prawa kosmicznego, międzyplanetarnego, jako też przepisów ruchu po Drogach Mlecznych, pod właściwe paragrafy. Widząc moją wydłużającą się twarz profesor dodał, że takie faux-pas zawsze zdarzają się pierwoodkrywcom. Czyż Kolumb nie wziął Ameryki za Indie? A stosunek Hiszpanów do Azteków? Lecz gwiazdne państwa, z którymi mamy do czynienia, to nie obszary ekspansji kolonialnej, bo na ogół górują nad nami. Przez całą drogę do Genewy profesor wykladał mi elementy swojej wiedzy, a ja słuchałem go jak uczeń. Prawo jurydyczne, rzekł, jest w Kosmosie ważniejsze od praw fizyki. Owszem, w ostatniej instancji o zjawiskach bytu decyduje fizyka, lecz w praktyce jest inaczej. Ot choćby wziąć taką zagadkę Silentium Universi. Dlaczego przez tyle dziesiątków lat daremnie poszukiwało się innocywilizacyjnych sygnałów? Do badania tych cywilizacji jako pierwsi wzięli się prawem kaduka przyrodnicy — astronomowie, fizycy, matematycy, biologowie obliczyli jak dwa razy dwa jest cztery, że Inni muszą być, energetyczne środki muszą mieć, techniczne możliwości też, więc skoro nic nie widać ani nie słychać, ęgo. Nikogo Nigdzie Nie Ma. Jakże nie ma, jeżeli dopiero co dowiodło się, że muszą być? Zamiast poradzić się znawców prawa politycznego, ekonomicznego i tak dalej, uznali, że im cywilizacja wespnie się wyżej, tym pewniej ulega zagładzie. Okres larwalny, poczwarczy, trwa długo, ale wtedy brak środków sygnalizacyjnych, a kiedy są, albo już nie ma cywilizacji, albo za parę chwil nie będzie. Sami przerazili siebie tym logicznym wnioskowaniem i szeroką publiczność też. Wyszło na .to, że jesteśmy sami jak palec w całym Kosmosie. A co więcej, że wnet i nas już nie będzie. Owszem, był Ijon Tichy i działał, lecz „nec Hercules contra plures”. Nie został oficjalnie uznany. Dlaczego? Alboż to nie brak maniaków i wydrwigroszów, bojących o talerzach i o Bardzo Dobrych Paastronautach, którzy przybyli na Ziemię, żeby budować Egipcjanom piramidy pod pretekstem chowania faraonów? Świat nauki musiał się uodpornić na takie bałamuctwo i w efekcie uodpornił się zbyt mocno. — Czy pan wie, panie Tiszy — profesor położył mi kojącym gestem różowo wymytą, szwajcarską dłoń na kolanie — gdzie, to jest w jakim dziale, lokuje się pańskie dzieła choćby w miejskiej bibliotece Genewy? W dziale Science Fiction, ot co, mój drogi! Proszę nie brać tego do serca. Pan o tym nie wiedział?

Odparłem, że nie czytuję własnych książek, toteż nie szukam ich po bibliotekach.

— Zapoznanie to wręcz obowiązek każdego wielkiego nowatora i odkrywcy — rzekł sentencjonalnie Gnuss. — Zresztą były nader poważne powody, dla których my — mam na myśli MSZ — nie prostowaliśmy takich nieporozumień. Poniekąd oszczędzaliśmy i pana w ten sposób...

— Jak mam to rozumieć? — spytałem, zaskoczony jego ostatnimi słowami.

— Zrozumie pan to, lecz we właściwym czasie. Skoro los postawił mnie na pana drodze, niechże się stanie, co miało się stać — i podał mi swoją wizytówkę, nakreśliwszy na odwrocie numer zastrzeżonego telefonu prywatnego.

— Silentium Universi wynika z limitów finansowych — rzekł zniżonym głosem. — Nasze bogate państwo daje 0,5 swego dochodu ubogim. Dlaczego poza Ziemią miałyby inaczej? Mniemanie, jakoby Kosmos był dziewiczą pustką, nie regulowaną prawem, bez sfer wpływów, projektów budżetowych, ceł ochronnych i propagandy z dyplomacją, póki weń nie wkroczyła ludzkość, to mniemanie dziecka, że pokąd nie zrobiło pierwszej kupki, nikt tego nie umiał. Dylemat znikł dopiero, gdy my przejęliśmy go od przyrodników. Oni naprawdę są



jak malutkie dzieci, panie Tiszy. Uważają, że ten, kto ma na bieżącym rachunku ze dwadzieścia słońc, zrównoważony bilans energetyczny, a w astrofinansowej rezerwie tak z 1049 ergów, szasta tym na lewo i na prawo jak szalony. Powiadamia, sygnalizuje, wysyła w próżnię licencje produkcyjne, najzupełniej bezpłatnie, co mówię, z czystą stratą, udostępnia informację technologiczną, socjologiczną, diabli wiedzą jaką, i to tak, z samej dobroci serca lub organu, który mu zastępuje serce. Trzeba to włożyć między bajki, kochany panie Tiszy. Ile razy został pan, jeśli wolno spytać, obsypany bogactwami na planetach, które pan odkrył?

Zastanowiłem się przez chwilę, gdyż był to dla mnie całkiem nowy punkt widzenia.

— Ani raz — rzekłem wreszcie — ale ja też nigdy o nic nie prosiłem, profesorze...

— Otóż to! Żeby dostać, trzeba najpierw prosić, a i wtedy nic nie wiadomo. Wszak międzygwiazdne stosunki podlegają stałym politycznym, a nie fizycznym. Fizyce podlega wszystko, ale czy panu przyszło słyszeć ziemskiego polityka, który by się uskarżał na stałą naszej grawitacji? Jakież prawa fizyczne uniemożliwiają bogatym dzielenie się z niemajątymi? I jak panowie astrofizycy mogli nie uwzględnić takich elementarnych rzeczy w swoich logicznych rozumowaniach? Już dojeżdżamy. Zapraszam pana do Instytutu Maszyn Dziejowych. Telefon mój pan ma — proszę do mnie zadzwonić, to się umówimy.

Pociąg rzeczywiście łomotał już na zwrotnicach i ukazał się dworzec. Profesor schował do teczki „Dzienniki gwiazdowe” i sięgając po narzutkę, rzekł z uśmiechem:

— Polityczne stosunki rozwijają się w Kosmosie od miliardów lat, ale nie można ich dostrzec nawet przez największą lunetę. Proszę o tym pomyśleć w wolnej chwili, a teraz — do zobaczenia, drogi panie Tiszy! Poznanie pana było dla mnie zaszczytem...

Wciąż jeszcze pod mocnym wrażeniem tego spotkania odszukałem przed budynkiem dworcowym czarnego mercedesa, w którym oczekiwał mnie Trürli. Wsiadając, wyciągnąłem doń rękę. Spojrzał na mnie, jakby nie wiedział, co to takiego wystaje mi z rękawa, po czym dotknął jej końcami palców. Choć szofer nie mógł nas słyszeć, bo siedział za szybą, mecenas zniżył głos, mówiąc:

— Pan Küssmich złożył zeznania...

— Przyznał się? To dobrze — palnąłem odruchowo i zrobiło mi się dość głupio, boż mówiłem do jego adwokata.

— Dla pana nie — rzucił lodowato.

— Jak proszę? .

— Przyznał się, że darowizna była ukartowana...

— Jak to — ukartowana...? Nie rozumiem.

— Lepiej będzie, jeśli omówimy to w moim biurze.

Zamilkliśmy w jadącym aucie. Byłem coraz bardziej zdziwiony jego zimnym zachowaniem, aż w adwokackim gabinecie wyszło szydło z worka.

— Panie Tichy — rzekł Trürli, siadłszy za biurkiem — zeznania doktora Küssmicha stworzyły zupełnie nową sytuację.

— Tak pan sądzi? Ponieważ zeznał nieprawdę? Zniesławił mnie? — Mecenas skrzywił się, jakby usłyszał coś nieprzyzwoitego.

— Znajduje się pan u adwokata, a nie na sali sądowej. Zniesławienie, no proszę! Panie Tichy, więc pan zamierza twierdzić, że pan doktor Küssmich ni z tego, ni z owego, ot, dla pana pięknych oczu podarował panu obiekt wartości 83 milionów franków szwajcarskich?

— O wartości nie było mowy... — wybełkotałem — i... i to pan przecież z tym do mnie przyszedł...

— Uczyniłem to, co zlecił mi mój mocodawca — powiedział Trürli. Jego oczy też były niebieskie, jak oczy profesora, lecz dużo mniej sympatyczne.

— Jak to... czy pan twierdzi, że tę darowiznę przekazywał mi pan w złej wierze?

— Moja wiara nie ma nic do rzeczy, należąc do sfery mej psyche, a ta nie wchodzi w rachubę prawną. Pan usiłuje zatem twierdzić, że przyjął pan od zupełnie nie znanego sobie

człowieka osiemdziesiąt trzy miliony, bez wszelkich ukrytych myśli?

— Ależ co pan mi tu opowiada — zacząłem, rozeźlony, lecz podniesionym palcem wymierzył we mnie jak rewolwerem.

— Pozwoli pan, ale teraz ja mówię. Jeśliby się sąd i rekrutował z dziatwy szkolnej, to, być może, wzięłby za dobrą monetę pana zeznania, lecz tak przecież nie jest. Jakże, ktoś, o kim pan nawet nie słyszał, prezentuje panu 83 miliony, ponieważ jakoby z satysfakcją przeczytał kiedyś to, co pan zechciał napisać? I sąd ma dać temu wiare?

Mecenas wyjął z kosztownej kasety papierosa i zapalił gól od stojącej przy kałamarzach złotej zapalniczki.

— Może pan wyjaśni mi, o co chodzi — rzekłem, sta rając się zewnątrz zachować spokój. — Czego sobie życzy pan Küssmich? Czy pragnie mnie za towarzysza w celi więziennej?

— Doktor Küssmich zostanie oczyszczony ze wszystkich stawianych mu fałszywych zarzutów — rzekł mecenas Trürli, wydmuchując dym w moją stronę, jak to się czasem czyni, chcąc przegonić natrętnego insekta. — Obawiam się więc, że będzie pan w tej celi przebywał sam.

— Zaraz — nie mogłem się wciąż połapać — podarował mi zamek... po co? Czy teraz chce go z powrotem?

Adwokat z namaszczeniem skinał głową.

— Więc po diabła mi go dawał? Przecież nie prosiłem go, nie znałem — aaa... chciał go uchronić od zajęcia, od konfiskaty, tak?.

Adwokat ani drgnął, lecz mnie łuski spadły już z oczu..

— No — rzekłem wojowniczo — ale ja wciąż jednak go mam, jestem prawnym właścicielem...

— Nie sądzę, by to panu wiele przyniosło — obojętnie powiedział adwokat. — Niewiarygodność darowizny czyni akt jej sądowego obalenia fraszką.

— Rozumiem, dlatego Küssmich złożył te fałszywe zeznania... ale jeśli sąd da mu wiare, beknie za to...

— Nie wiem, co pan pojmuje pod wyrażeniem „beknie” — rzekł Trürli. — Powództwo zmierzało do procesu od dawna. Wiedział o tym każdy, kto czyta gazety. Doktor Küssmich czuł się w sytuacji przymusowej, gdy pierwsza opinia biegłych wypadła na niekorzyść Milmilu. Pan wykorzystał tę jego chwilową słabość, to załamanie, wywołane troską o byt rodziny. Postąpił wbrew mej radzie, gdyż zapewniałem go, że prawda zwycięży i wygramy proces. Tak się też stanie. Tym samym nie dojdzie do obciążania majątku kosztami powództwa. Na wokandzie pozostanie to tylko, że pan, obcokrajowiec, usiłował się wzbogacić ha cudzym nieszczęściu.

— To jemu nic nie grozi? Choć przyznaje, że chciał się wykręcić darowizną od kosztów? Że myślał...

— Nikt nie może być ukarany za to, co sobie myślał.

— A więc i ja również!

— Pan nie tylko myślał, lecz i podpisał wiadomy dokument.

— Ale w dobrej wierze! Moja reputacja jest nieskazitelna! Mogę to udowodnić — urwałem, gdyż mecenas zmienił się na twarzy jak szczyty Alp o zachodzie słońca.

— A srebrne łyżeczki?! — zagrzmiał, patrząc na mnie z nie ukrywaną pogardą.

Na tym zakończę relację z owej rozmowy. Adwokat, którego polecił mi profesor Gnuss, gdybym się zwrócił do niego o radę, nazywał się Sputnik Finkelstein. Był malutki, czarniawy i wesoły. Wysłuchał mojej historii aż do łyżeczek, potarł nos i rzekł:

— Niech się pan nie dziwi, że ja wciąż ruszam palcem po nosie, ale jak się przez dwadzieścia lat nosiło okulary, to nie można przestać od razu po nałożeniu szkieł kontaktowych. Pan mi podał treść przedstawienia, a ja panu podam autorów libretta.

Küssmich wygra, bo się dogadał z Nestlem. Chodziło o złotą kawę. Pan nie słyszał o złotej kawie? To taki ekstrakt kawy, jak rozpuścić, wygląda całkiem jak złoto w filiżance.

— A w smaku?

— Taka sobie kawa. Ale to jest luka rynkowa — nikt na to jeszcze nie wpadł! Nowość! Pić samo złoto! Uważa pan? On im sprzątnął patent sprzed nosa, więc zrobili mu przykrość.

— A co z Milmilem? Jest szkodliwy, czy nie?

— Szkodliwe jest wszystko — rzekł kategorycznie mój obrońca. — Tam są endorfiny, wie pan, te związki, które organizm sam wytwarza w mózgu, przeciwbólowe, kojące, morfina jest do nich podobna. Tych endorfin jest w Milmilu tyle, co nic. Tyle, żeby można było o tym pisać w reklamach. Jedni lekarze mówią, że to złe, a inni, że dobre. Ewentualnie nieszkodliwe. Zresztą co to ma za znaczenie? W cywilnych sprawach decyduje konto bankowe, bo jak nie można wygrać, to można zaprosować drugą stronę na śmierć. Prowadzę teraz taką sprawę o dopuszczenie do patentu na wehikuł czasu. Żeby można podróżować w przyszłość. Nazywa się chronorch. W te i we w te — uważa pan? Dwaj doktorzy z bardzo przyzwoitego uniwersytetu, nazwijmy ich przez dyskrecję Traefe i doktor Kosher, wynaleźli to razem. Nie chcą im tego opatentować, bo nie działa tak, jak opiewa ich opis.

— Chronorch? — spytałem rozciekawiony, zapominając o Milmilu i łyżeczkach. — Czy może mi pan powiedzieć coś więcej?

— Dlaczego nie? To się wzięło z teorii Einsteina, jak zresztą inne nieszczęścia też. Na przyspieszających ciałach czas płynie wolniej. Wie pan o tym? Pewno, że pan wie... Oni wpadli na myśl, żeby nie trzeba było nigdzie lecieć, wystarczy, kiedy ciało porusza się bardzo szybko na miejscu. Raz w jedną stronę, a raz w drugą. Przy dostatecznej prędkości tych drgań czas zaczyna płynąć wolniej. To jest zasada. Niestety, nic nie może wytrzymać tych drgań, wszystko się rozlatuje. Na atomy. Można, owszem, posyłać w przyszłość te atomy, ale nic więcej. Pośle pan jajko — przyjdzie fosfor, węgiel, i z czego tam jeszcze składa się jajko. Człowiek może się też tylko w proszku dobrać do przyszłości. Dlatego urząd patentowy odmawia im patentu, a oni się boją, że im ktoś ukradnie pomysł, zanim wymyślą sposób przeciwko tej trzęsionce. Taka sprawa. Trudna, ale ja właśnie lubię trudne. Więc wróćmy do naszych baranów. Nestle dogadał się z Küssmichem i podzielił się tą kawą. Matki i dzieci nie będą dłużej finansowane. Biegli przestaną być pewni swego. Küssmich darował panu zamek, żeby zrobić, powiedzmy, demonstrację siły. Że mu nic nie zrobią. Rodzinie darować, przepisać tytuł własności — to zbyt przejryste. Potrzebny był obcokrajowiec, zasłużony, ale — powiem tak — kontrowersyjnie. Pan się nie obrazi? Żeby można było, w razie jednej potrzeby, dowodzić: proszę, było komu dawać, należało się, a w razie innej potrzeby dowodzić: proszę, zostałem zwiedziony pozorami, były srebrne łyżeczki oraz inne rzeczy też. Tak by to rozgrywano przeciwko panu. Pan pytał maklera o dom! Pan im pasował jak ulał, żaden niebieski ptak, ale, za pozwoleniem, dlaczego pan się zgodził brać ten zamek razem z tymi skrzyniami? To prawdziwy gwóźdź do trumny, te skrzynie...

— —Jakże mogłem odmówić? Nie widziałem powodu. Byłoby to zresztą niegrzecznie. Brać podarowane, ale odrzucać część..., to przecież obraza dla ofiarodawcy...

— Tak też myślałem. Ale tych skrzyń żaden sąd panu nie przełknie. Pan wie, co w nich jest?

— Podobno dzieła sztuki...

— Może z wierzchu. Śmieję się pan z tego. Ja tu mam akt darowizny, xerox. O zawartości skrzyń ani słowa.

— Mecenas Trürli powiedział mi, że tam są jakieś obrazy, że ich przekazanie na własność wymaga osobnych kroków...

— Pewno, że wymagałoby, bo tam są kluczowe części aparatury do robienia tej złotej kawy. Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby, ale to był koń trojański! Pan miał

przechować to, o co się toczył właściwy spór, ten pozakulisowy!

— Co pan mówi? Nie zaglądałem do tych skrzyń.

— Bo pan jest porządnym człowiekiem, pan podpisał, dał słowo, to ładnie o panu świadczy, ale może gdzieś indziej by panu uwierzyli, tutaj nie. Ich wersja jest taka: pan usiłował skorzystać ze znanego sobie przymusowego położenia Küssmicha, żeby zbić majątek.

— Coś podobnego mówił mi Trürli.

— No właśnie!

— Ale niech mi pan wytłumaczy, dlaczego Küssmich, który darował mi coś, czego wcale nie chciał mi darować, ma wyjść z tego bezkarnie, a ja nie?

— To jest tak, widzi pan. Dajmy na to, ktoś przychodzi do pana z wielkim kufrem i mówi, że zamordował ciotkę, w tym kufrze leżą jej zwłoki razem z jej brylantami, i jeśli mu pan to przechowa, on się z panem podzieli łupem, musi mu pan jeszcze tylko obiecać pomoc przy zakopaniu ciotki. Potem okazuje się, że on pana okłamał. W kufrze są same cegły. On nie będzie odpowiadał, bo za co? Że pana okłamał? Ale on nie wyłudził od pana tym kłamstwem niczego. On powie, że to był żart, ale pan ma masło na głowie. Pan usiłował się stać współnikiem morderstwa post factum poprzez złożoną obietnicę pomocy w zakopaniu zwłok oraz przechowaniu ofiary i łupu. To jest karalne. Usiłowane współnictwo post homicidium i usiłowane paserstwo.

— Pan widzi podobieństwo do mojej sytuacji?

— Tak. Oni to bardzo zręcznie wymyślili! I jeszcze pan zezwolił, żeby dowolna ilość pełnomocników Küssmicha kontrolowała, czy pan dotrzymuje warunków darowizny. Powiedzieć panu, co pan zastanie na zamku, jak pan się tam wybierze? Tłum, panie Tichy! Gdyby pan się chciał udać za potrzebą, oni są uprawnieni asystować panu w drodze do ubicacji, jako też być praesentes apud actum urinationis ewentualnie defaecationis, bo akt prawny, który pan podpisał i dał uwierzytelnić podpisami dwóch świadków, żadnych wyłączeń tego czy innego rodzaju nie ustanawia. To był majstersztyk!

— Wolałbym, żeby się pan tak tym nie delectował.

— Hihi, z pana wesóły klient, panie Tichy! Więc, nieprawdaż, oni chcą, żeby pan się zrzekł darowizny własnowolnie. Jeśli pan nie zechce, będzie sprawa. Zamek, no, z zamku jeszcze bym pana wybronił, ale z tych skrzyń to już nie bardzo. In dubio pro reo, ale żaden Szwajcar nie będzie wątpił, że pierwszą rzeczą, którą pan zrobił, było otworzyć skrzynie.

— A jeśli bym zajrzał, to co z tego?

— Koniecznie chce pan wiedzieć? Dobrze, powiem panu. Tam są też papiery wartościowe, założycielskie akcje Küssmicha, patenty, dokumentacja techniczna i gdyby pan był mniej solidny, ale bardziej przezorny, przejrzałby to pan i dał znać Küssmichowi, żeby sobie zabrał. A pan siedział cicho. Proszę nic nie mówić — ja panu wierzę! Niemniej kolega Trürli chce zrobić z tego bardzo malowniczy użytek. Zaniechanie jako dolus, względnie corpus delicti. Na pana miejscu wziąłbym się od razu do tych skrzyń.

— Dziwne, co mi pan mówi.

— Bo ja wiem, kto jest Küssmich, a pan się dopiero zaczyna dowiadywać. To jeszcze nie wszystko. Będą siedzieć cicho, ale gdyby pan chciał wyjechać, zostanie pan zatrzymany na granicy czy na lotnisku. Zamiar ucieczki do kraju, który nie ratyfikował ze Szwajcarią umowy o wydawanie ściganych przestępców.

— Więc co mi pan radzi?

— Jest pałka na Küssmicha, ale ma dwa końce. Gdyby pan teraz zrzekł się darowizny, Küssmich nie byłby szczęśliwy. W tym jest prawnicza subtelność. Dopóki nie zapadnie korzystny dla niego wyrok, powództwo wisi nad nim jak miecz Damoklesa. My wiemy, że ten miecz zostanie zdjęty, włożony do futerału i pogrzebany, ale gdyby prasa podchwyciła przed wyrokiem pańskie zrzeczenie się hojnego daru, dodałaby jedno do drugiego i powstałaby

bardzo przykra woń. Prasa kocha się w takich skandalach! Natomiast po wyroku nikt się już nie będzie interesował zamkiem, panem, skrzyniami i nikt nie zauważy, że on darował, a pan mu to zwrócił, bo tak się panu podobało i koniec. Rozumie pan?

— Rozumiem. Wobec tego chcę się zrzec zaraz. Niech będzie dużo tej woni!

Mecenas Finkelstein roześmiał się i pogroził mi palcem.

— Vendetta? Łakniemy krwi? Podły Jagonte, niechaj i tak dalej, oto godzina mej zemsty wybiła? Proszę tego nie robić, panie Tichy! Pałka ma drugi koniec. Prasa rzuci się na was obu. On nieuczciwy, a pan jego pomocnik. Owszem, należy grozić, że zaraz wszystko zwrócimy, ale groźby nie będą zbyt wiarygodne, bo możemy ich wprawdzie pociągnąć za sobą, ale tonąc będziemy razem i pan pójdzie głębiej niż on. Trürli przekuje pańskie łyżeczki w miecz archanioła.

— Co więc pan mi radzi?

— Cierpliwość. Sąd odroczył sesję na trzy miesiące. Będziemy się targować. Przeciąganie, zgoda na ćwierć, popuścimy, pójdziemy do drzwi, zamkniemy drzwi, wsadzimy głowę do środka, wrócimy, aż się wyjdzie na remis.

— To znaczy?

— Küssmich zabierze zamek i skrzynie, ale musi panu zwrócić poniesione koszty i zaniechać procesu. Ewentualnie odszkodowanie za straty moralne. Czy pan ogarnia całość? Jeśli nie, mogę panu wytłumaczyć wszystko jeszcze raz. Ja jestem bardzo cierpliwy dla klientów. Muszę być. Szwajcarzy odznaczają się powolnym myśleniem, Jestem tu naturalizowany, ale jeśli to pana interesuje, pochodzę z Czortkowa. Wie pan, gdzie to jest?

— Nie.

— Nie szkodzi. Galicja i Lodomeria. Ładne okolice. Mój ojciec błogosławionej pamięci, razem z jego pomysłem, żeby pierworodnemu dać na imię Sputnik, miał tam antykwariat. To był zacności człowiek. Nie ruszyłem tego imienia, I jakże się pan decyduje, panie Tichy? Walczymy czy poddamy się?

— Chciałbym, żeby pan Küssmich zapamiętał mnie na długo — rzekłem po namyśle.

Adwokat spojrział na mnie z dezaprobatą.

— Pan myśli o nim najpierw, nie o sobie? Sprawiedliwe, ale niepraktyczne. Proponuję, żeby pan mi zostawił linę. Mecenas Finkelstein zaprze się i będzie ciągnął, ile się da. A pan może tymczasem wyjechać na wakacje. Trzy miesiące musi pan tak czy owak przeczekać.

— Wie pan co — rzekłem naraz, poruszony nową myślą — czy ten chronorch już jest gotowy? Działa? Bo można by posłać większą ilość różnych atomów tam, gdzie Küssmich będzie wytwarzał tę złotą kawę. Na przykład sadzę, krzem, siarkę...

Adwokat roześmiał się głośno.

— O, to profesor miał rację, mówiąc, że pan nie byle kto. Pan ma słusność — to może być bardzo groźna broń. Ale wie pan, jak każdy interes, zemsta musi mieć górną granicę kosztów. Żeby posłać parę deko atomów na pół roku wprzód, trzeba elektryczności za milion franków...

— Wobec tego zostawiam panu mój zamek i honor, mecenasie — powiedziałem wstając. Jeszcze się śmiał, gdy zamknąłem za sobą drzwi.

## II INSTYTUT MASZYN DZIEJOWYCH

Mecenas Finkelstein przekonał mnie. Zemsta nie była możliwa. Jest to jedna z większych słodyczy życia, zwłaszcza, jak mówią eksperci, na zimno, bo wtedy najlepiej smakuje. Któż nie ma osobistych wrogów, dla których powstrzymuje się od folgowania szkodliwym namiętnościom, żeby doczekać w pełnym zdrowiu właściwej chwili? Niejedno mógłbym o tym powiedzieć, bo z natury rzeczy kosmonautyka daje masę czasu do rozmyślań. Pewien człowiek, którego nazwiska nie wymienię, nie chcąc go uwiecznić, włożył się cały w pomiatanie mym dziełem. Wiedziałem, wracając z Kasjopei, że spotkam go na oficjalnym bankiecie, i obmyślałem różne warianty tego spotkania. Oczywiście podszedłby do mnie z wyciągniętą ręką, a ja mógłbym poprosić, żeby mi wyznał, czy jest łotrem, czy kretynem, bo kretynom podaję rękę, lecz łotrom nigdy. Było to jednak jakieś zbyt operetkowe, wręcz liche. Odrzucałem wariant po wariancie, ażeby usłyszeć po wylądowaniu ze zgrozą, że wszystko na nic. On zmienił zdanie i wynosił mnie już pod niebiosa.

Küssmichowi też nic nie mogłem zrobić. Postanowiłem więc, że odtąd przestaje dla mnie istnieć. Znikł rzeczywiście, lecz tylko z mej jawy. W sennych koszmarach ofiarowywał mi jachty, pałace, zbiornikowce pełne Milmilu i stopy brylantów. Musiałem kluczyć umykając przed hordą jego adwokatów, którzy dopadłszy, mnie w ciemnym zaułku, napychali mi kieszenie srebrnymi łyżeczkami. Obawiałem się, skazany na trzy miesiące ciężkiego pobytu w Szwajcarii, że zmarnieję. W nocy Küssmich, a w dzień parki jak zegarki, błyszczące tablice banków jak ze złota, ceduły i bieżące kursy w „Neue Zürcher”. Unikałem na spacerach pewnej ulicy, bo mi powiedziano, że pod, asfaltem znajdują się wbite między rury kanalizacyjne trezory ze złotem, gdyż nie mieściły się już w podziemiu i bank wrył się pod bruk. Na szczęście wspomniałem zaproszenie profesora Gnussa. To mnie uratowało. Instytut znajdował się za miastem. W jego szklanych ścianach odbijało się niebo i obłoki. Widoczny z daleka, górował nad rozległym parkiem. Za sztachetami o kształcie włóczni z pozłacanymi ostrzami grzał się w słońcu żywopłot. Z portierni zatelefonowałem do głównego gmachu. Pojechałem dalej i zaparkowałem pod wielkimi kasztanami przy basenie, po którym pływały senne łabędzie. Nie lubię tych głupich bydła i nie rozumiem, czemu tylu zdolnych ludzi, zwłaszcza artystów, dało się nabrać na ich wygięte szyje.

Hall Instytutu był ogromny. Miał w sobie coś świątynnego, może brało się to z ciszy i z marmurów, w których strop odbijał się aluzją do nawy kościelnej. Ujrzałem z dala profesora, jak wychodził z windy, uśmiechając się na moje przywitanie. Tak się zaczęła uwertura jednej z najważniejszych mych wypraw, ale nie mogłem o tym wiedzieć, idąc na jakimś wysokim piętrze za moim przewodnikiem i mijając po drodze techników w białych kitlach, bezszelestnie toczących się na siodełkach montażowych wózków. Mimo dnia płonęły na przemian ciepłe i zimne świetlówki, jakby na znak, że biegnący tu czas nie jest zależny od ziemskiego. W ogromnym gabinecie profesor przedstawił mi kilkunastu współpracowników. Byli to kierownicy poszczególnych wydziałów IMD. Nie chcąc wystawiać na szwank mojej skromności, przywitali mnie z szacunkiem, lecz bez unizienia. Było to pełne intelektualnego blasku grono świetnych głów. Nie spamiętałem niestety wszystkich. Wiem, że Wydziałem Kosmologii Finansowej nie zawiadywał doktor de Volaille, bo znał się inaczej, ale nie potrafię się dokopać w pamięci właściwego nazwiska. W każdym razie brzmiało podobnie. Ale też nie znam się na finansach. Inaczej z fizyką. Nad tym wydziałem stał romański Szwajcar, docent Bourre de Calance; bodaj 49% jego ludzi było wariatami. Zawistnicy — gdyż idea okazała się genialna — mówili, że de Calance sam jest wariatem. Jakby na takiej wyżynie intelektu mogło to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Choćby wziąć ostatnich kilka pomysłów jego ludzi. Skoro nie można się przemieszczać w czasie, należy przesuwac czas. Jeśli energia nie chce płynąć pomiędzy równocieplnymi miejscami, to trzeba ją do tego

zmusić, robiąc dziury. Stąd wzięły się entrony, inwersory i rewersory oraz wykopalistyka, czyli pogłębiarki dołków w strukturze czasoprzestrzeni, aż coś trzaśnie — i ta bez wątpienia wariacka idea zapoczątkowała nową erę w fizyce. Na razie nikt nie wiedział, jak to robić, lecz wdrożeniami praktycznymi mało kto się zajmował w Instytucie, boż cały był zwrócony w daleką przyszłość. Bourre de Calance był w każdym razie pełen najlepszych nadziei. Oczywiście nie byle postrzelony fizyk mógł znaleźć u niego etat. Nie wystarczyło zwariować na nieciekawym tle prywatnym, lecz na tle najtwardszych orzechów fizyki. Zresztą pomysł pochodził jeszcze od Nielsa Bohra, który powiedział raz, że w nowożytnej fizyce zwyczajne koncepty już nie wystarczą — potrzeba szalonych. Prawą ręką de Calance'a był doktor Douberman, a lewą — mały Behr Nardiner. A może na odwrót. To on (lecz znów nie pamiętam, który) udowodnił matematycznie możliwość przekształcania się kwarków w akwarki, a tych — w akwaria. W naszym Wszechświecie nie jest to możliwe, ale w innych niechybnie tak, i tym samym teoria wykroczyła poza granice naszego Uniwersum. Prawie pewien jestem natomiast, że to Holender Douberman powiedział mi ni z tego, ni z owego, jak niewłaściwej metaforyki używa Kościół, posługując się pastoralnymi, czyli pasterskimi wyobrażeniami jagniąt i owieczek, albowiem jagnięta są do wbijania na rożen, a z baranów robi się szaszłyki. Zapewne de Calance miał ze swoim zespołem pewne problemy. Poza tym marzył o zdobyciu choć ze dwóch zwariowanych laureatów Nobla, lecz niestety wszyscy żyjący byli na razie normalni. Ci jego naukowcy zachowywali się w swym stanie bardzo logicznie, powiedziałbym aż za bardzo, mając za nic wszelkie towarzyskie konwenanse, gdy szło o istotę rzeczy. Ot, mam do dziś na łydce ślad zębów doktora Drousse'a, który ugryzł mnie, nie w jakimś szale, a tylko chcąc, bym sobie lepiej zapamiętał jego nową teorię spinów, czyli krętów, które nie są ani lewe, ani prawe, lecz t r z e c i e. Rzeczywiście dopiął swego, bo dokładnie to zapamiętałem.

Muszę jednak wprowadzić jakiś porządek w te bujne wspomnienia. Sercem Instytutu były olbrzymie maszyny dziejowe, zwane też dziejopisnicami, a poszczególne oddziały łączyły się z nimi dośrodkowo. Wydziałem Ontologicznych Błędów i Wypaczeń zawiadywał Yonder Knack, tyczkowaty Amerykanin urodzony z Islandki i Eskimosa; do powstania tego wydziału nikt nie oceniał należycie wagi mylnych wyobrażeń, które decydują o postępowaniu istot rozumnych. Gdym wszedł po raz pierwszy do laboratorium przemysłowej seksualistyki, myślałem, że jestem w muzeum starych maszyn parowych czy pomp Jamesa Watta, bo się wszystko sapiąc poruszało tam i z powrotem, ale była to zwykła wzorcownia maszyn stupracyjnych, prymitywnych kopulatryc; sprowadzano je z różnych państw dla normalizacji i komparatystyki konwergencyjnej. Postumenty japońskie były z laki, malowane w kwiecie kwitnących wiśni. Niemieckie czysto funkcjonalne, bez żadnych ozdóbek, ich głowice bezszelestnie posuwały się w lśniących oliwą łożach, zaś specjaliści Knacka ekstrapolowali z nich już następne generacje kopulatryc. Na ścianach widniały barwne wykresy tumescencji i detumescencji, jako też krzywe nasycenia orgiastycznego i szczytowania. Wszystko bardzo ciekawe, w tym wydziale panowała jednak atmosfera przygnębienia, bo już było wiadomo, że hipotezę o uniwersalizmie ziemskiej erotyki obalił plon obcogwiezdnych rekonesansów. Doktor Fabelhaft, autor teorii rosnących rozziwów pomiędzy aktami miłości i płodzeniem potomności (jest to tak zwana teoria dywergencji kopulacyjno-prokreacyjnej), pił, jak mi powiedzieli jego koledzy na umór, bo opracował już parametry tego rozwodzenia dla wszystkich społeczności biologicznych naszej Galaktyki, z uwzględnieniem Obłoków Magellana, aż tu dyrektor zlecił mu przekazanie całej dokumentacji Wydziałowi Błędów i Wypaczeń. Dlatego nie mogłem poznać go osobiście; stronił od ludzi.

Natomiast Wydział Teologii Nieziemskich rozkwitał. Mimo mikrominiaturyzacji i umieszczenia tylko skrótowych danych o teodyceach w pojemnikach pamięci rtęciowej w zagęszczeniu  $10^7$  sanktorów na, milimetr sześcienny, mówiło się o przeniesieniu tego wydziału do osobnych zabudowań, a przecież ta elektroniczna kartoteka wiar ważyła już

prawie 150 ton. Było to bardzo dziwne wrażenie, stać przed olbrzymim blokiem zakutej w stal pamięci, gdzie jak w lśniącym grobowcu spoczywały tysiączne religie Kosmosu.

Zacny asystent profesora, magister Denkdoch, oprowadził mnie najpierw po wszystkich wydziałach (lecz nie wymienię ani cząstki), abym mógł sobie uzmysłwić, jakimi rzekami wiadomości żywią się centralne dziejopiśnice. Wciąż jeszcze nie pojmowałem ich przeznaczenia, lecz z porady Denkdocha nie stawiałem pytań.

Jak na taki instytut, obiad, który zjadłem w stołówce, był raczej skromny, benkdoch wyjaśnił mi, że ostatnio znów im obcięto fundusze. Za to z moją edukacją nie było żartów. Odwiedziny straciły wrychle kurtuazyjny charakter, choć nawet mi się nie śniło, jaki zamysł przyświecał profesorowi, gdy dał mi swój telefon. Po południu Denkdoch zaproponował mi partyjkę szachów. Przyniosłem więc mój komputer, który zostawiłem w aucie, i posadziło się go przy szachownicy przeciw jednemu z najmniejszych terminali Instytutu, a my, nie marnując czasu, poszliśmy do dyrektorskiego gabinetu, gdzie zaczęło się moje wtajemniczenie w arkana IMD.

Teraz to już pobladłe wspomnienia, lecz wtedy porządnie się nacierpiałem. Najpierw wprowadzili mnie w pragmatykę służbową MSZ, dla którego pracowali. Coś z tego obilo mi się bodaj o uszy, ale póki się dało, omijałem tę sferę urzędowania we Wszechświecie, aż przysła kryska na Matyska, o tym, co się dzieje w ościennych konstelacjach, nic nie wiadomo, wiadomo najwyżej, co się działo pod tą czy tamtą ciemną gwiazdą X lat temu, pod bytność naszych wysłanników. Rzecz jasna, badacze nie mogą podróżować sami, jako osoby politycznie nieodpowiedzialne. Towarzyszą im więc pełnomocnicy kompetentnego resortu. Wracając z delegacji, urzędnicy składają raporty i z tych raportów robi się wyciąg do programowania dziejopiśnic, czyli komputerów, naśladowujących odnośną historię planetarną. Jakże jednak opierać politykę na wnioskach z pradawnych zaszłości? Kontakty radiowe nie wystarczą, a zresztą radio sięga do najbliższej gwiazdy po wielu latach. Mówiąc zwyczajnie, dziejopiśnica ma się domyślać dalszego ciągu tej zaziemskiej historii, w którą została wycelowana. Mniejsza o klótnie badaczy, co byli na miejscu, chociaż skądinąd wiadomo, że jeszcze się nie zdarzyło, aby zdołali uzgodnić swój ekspedycyjny raport. Dość wspomnieć, że Amerykanie włożyli miliardy w rozstrzygnięcie palącego pytania o życie na Marsie, posłali tam swe ładowniki i orbiter, opracowywali przetelegrafowane na Ziemię materiały przez wiele miesięcy, po czym okazało się, że wprawdzie wszystko wiadomo, lecz w kwestii c o w ł a ś c i w i e, uczeni nie mogli się pogodzić. A przecież szło tylko o to, czy tam są w piasku jakieś bakterie, czy nie. Drobnoustroje, które albo są, albo ich nie ma, które nic nie mówią, więc tym samym nie mogą też opowiadać niestworzonych rzeczy, do czego rozumne istoty są nagminnie zdolne i czynią z tej umiejętności inteligentny użytek. Co gorsza, ktokolwiek wraca na Ziemię, przybywa z beznadziejnie przestarzałym materiałem, toż wiek minie, nim przedłoży Emeszetowi sprawozdanie, i na tę dyplomatyczną stronę teorii Einsteina nie ma rady. Dyplomacja tak jak i polityka muszą być w Kosmosie relatywistyczne. Dziejopiśnice programuje się danymi planetologii, fizyki, chemii, jako też ościennej historii; pochłaniają one setki takich dopływów, a następna kontrolna ekspedycja ujawnia fiasko tej roboty. Jak dotąd żadna dziejopiśnica ani raz nie utrafiła w sedno. Bają niemożliwie, zresztą nie dziwota, pamiętacie, jak trafne były domysły futurologów, choć zajmowali się tym, co pod nosem i za drzwiami. Z drugiej strony nie wolno opuścić rąk; politykę prowadzi się nie dlatego, że tak się komuś podoba, ale dlatego, że się musi. Toteż MSZ musi opierać polityczne rozeznanie na zespołach dziejopiśnic, a Instytut już uruchamia ich dalsze agregaty. Działają one z rozrzutem, bo tworzą sprzeczne wersje tej dalekiej gwiazdowej historii. Perspektywy nie są wesołe. Na Galaktykę przypada do dziewięciuset cywilizacji, z którymi należy utrzymywać stosunki dyplomatyczne, taka jest aktualna ocena, ile jest Galaktyk, nikt nie wie dokładnie, ale co najmniej sto miliardów. Daje to pewne wyobrażenie o trudnościach obiektywnych, jakie stoją przed Ministerstwem Spraw Zaziemskich, a pociecha stąd, że zwyczajna wymiana



not z bardziej odległymi układami trwałaby około dwu miliardów lat, nie jest wielka, gdyż są też położone bliżej i należy wiedzieć, czego się po nich spodziewać. Magister Wuterich z komórki autopredykcyjnej IMD, zajmującej się przepowiadaniem przyszłego rozwoju MSZ, ustalił, że jeśli rozwój kosmopolityki pójdzie oczekiwanym trybem, to do stu pięćdziesięciu lat każdy Ziemianin będzie co najmniej konsulem honorowym, jeśli nie ambasadorem pełnomocnym, a wszystkie drukarnie naszej planety będą tłoczyły wyłącznie papiery akredytacyjne. Wprawdzie zlikwidowałyby to z kretesem niebezpieczeństwo przeludnienia, lecz stworzyłyby nowe. Toż by się pusto zaczęło robić po miastach, a i sam MSZ miałby problemy z kompletowaniem kadr.

Przez pierwszy miesiąc dzień za dniem udawałem się do dyspozytorni dziejowtórowej w Instytucie i niby student słuchałem wykładów. Dowiedziałem się, że myśmy tego prochu nie wynaleźli, byli już tacy przed nami w niebie. Polityka to ma do siebie, że wsysa w swoją orbitę wszystko, co nią przez jakiś wstępny czas może i nie było. Pod obcymi słońcami też mają swoje MSZ-ty, z miejscowymi dziejownicami, i toczy się wyścig kosmiczny o ich optymalizację. Im kto trafniej odgaduje dalszą historię innoplanetarną, tym lepiej na tym wychodzi. Toteż symulacja nie jest tylko źródłem poznania, lecz bronią polityczną, albowiem niektóre wersje własnej historii tamci produkują wyłącznie na eksport, i pewno nam też przyjdzie to robić na kosmiczny użytek. Co zresztą, zauważył raz przy mnie złośliwy profesor Mavericks z Wydziału Dziejów Ziemi, nie będzie wymagało ani specjalnych zachodów, ani nakładów, dość będzie bowiem emitować podręczniki szkolne historii, wydawane aktualnie w licznych państwach pod naszym słońcem. Gdy są to fantazje skromne, zwie się je zresztą nie żadnym kłamstwem, lecz patriotyzmem lokalnym.

Słuchałem tego, brałem proszki na ból głowy i myślałem, że wszystko stracone. Nigdy już nie wyznam się na Kosmosie jak za dawnych lat. Byłem wtedy zaiste jak dziecko, lecz jak dziecięcej, przyjść musiał kres i mojej ufnej niewinności.

Elementy symulowania dziejów wykladał mi docent Zwingli. Nazywa się to też projekcyjnym naśladowaniem przyszłości, która na śledzonej planecie nie jest już przyszłością, lecz teraźniejszością, my jednak jej nie znamy i doraźnie poznać nie możemy ze względu na niepokonywalną w okamgnieniu odległość. Agregaty ładuje się różnorakimi wersjami Ościennego dała niebieskiego. Najpierw idą wersje pierwoodkrywców planety, fałszywe co najmniej w 100%. (Gdy usłyszałem te słowa, serce we mnie zamarło). Co najmniej, albowiem nawet na Ziemi pierwoodkrywca z reguły pojęcia nie ma, co odkrył, jak było z Kolumbem i z Ameryką. Nie uzyskał informacji zerowej, lecz ujemną. Zerowa byłaby, gdyby zwyczajnie powiedział, że nie ma bladego wyobrażenia, dokąd go zaniósł.

Następnych wersji dostarczają tubylcy, powodowani bardziej własnym interesem niż miłością prawdy. Te wersje najłatwiej można pojąć, bo jako eksportowe, są jasne, zwięzłe i wyraziste. Jeśli natomiast zbliżają się do rzeczowej prawdy, zrozumie się albo mało co, albo wszystko ha opak. Nie ma co robić hałasu o takie twierdzenie, gdy zważyć, że z chrześcijańskiej miłości bliźniego wyprowadzono konieczność masowych rzezi innowierców, rozrywania kołmi bogobojnych interpretatorów Ewangelii, grabienia bliźnich, uprowadzania niewolników, a mówiąc sumarycznie, nie ma tak wymyślnej zbrodni, której by nie dokonano pod auspicjami miłości oraz bojaźni Bożej. Te dyrektywy były przy tym zawsze w słowach przestrzegane, z czego wynika, iż ze wszystkiego może wszystko wyniknąć, a rozumu używa się w praktyce po to, aby pięknie uzgodnić z haniebnym. Dla optymistów pewną pociechę stanowi fakt, że chodzi o własność rozumu powszechną.

W roboczym dialekcie Instytutu przyjęło się nazewnictwo zaczerpnięte z artylerii, ponieważ wypadkową wszystkich prac ma być trajektoria zajęć bijąca trafnie w cel. Idealny stan to taki, gdy ziemski badacz, po przybyciu na symulowaną w Instytucie planetę, ma w rękę aktualną; w tym dniu gazetę, zwaną pospolicie wydaniem fantomowym, i zestawivszy ją z realnym wydaniem miejscowym, stwierdza ich bliźniacze podobieństwo. Jak to z ideałem,

osiągnąć go nie— można, ale trzeba doń dążyć. Pojedyncza dziejobotnia daje odchylenia zwane doskonałymi, bo się nic nie zgadza. Łączy się więc je w baterie, co daje ogromny rozrzut symulatów. Próbowano uśredniać wyniki, lecz powodowało to zupełny zamęt. Obecnie więc filtruje się wyniki skrajne i tak pracują trzy zgrupowania dziejobotni: Bateria Aprobujących Modułów (BAM), Bateria Oponujących Modułów (BOM) i centrująca Bateria Inwigilujących Modułów, czyli BIM, Próby uzgodnienia ich orzeczeń przeprowadza MUZG (Moduł Uzgadniający), lecz popada często albo w rezonans epileptyczny, albo w katatonię. Trwają prace nad tworzeniem dywizjonów trójdziejowych (BIM, BAM, BOM), aby utworzyć wyższe piętra syntezy, lecz rozruch pierwszego korpusu ciężkich dziejownic zawiódł pokładane nadzieje, okazało się bowiem, że celność historiograficzna korpuśnych zespołów może zadowolić dopiero, gdy ich łączna masa dorówna fizycznej masie całej Galaktyki. Przyszło się więc na rdzie zadowolić systemem trójkowym, a MUZG komentuje tylko jego diagnozy.

Wszystko to wydało mi się zupełnie nie do wiary. Jakże — spytałem — można przewidywać cośkolwiek z wypadków na planecie oddalonej od nas o tysiąc lat świetlnych, kiedy ręczę, że wszystkie wasze dziejobotnie nie przepowiedzą, co będę jadł jutro na obiad?

— Ha! — rzekł Zwingli — nie sądz pan, proszę, żeś wytoczył przeciw nam armatę. Zasada prognoz pewnych jest prosta. Istotnie, nie wiadomo, co pan będzie jutro jadł, ale wiadomo, że za cztery miliardy lat nikt nie będzie tutaj nic jadł, bo Słońce, zmieniawszy się w czerwonego olbrzyma, obróci wewnętrzne planety wraz z ziemią w popiół. Zgoda? — Przytaknąłem.

— No, więc trzeba dokonywać włączeń. Zajścia niepewne sprzęgać z pewnymi. To jest wytyczna, a resztę stanowią rachunki. Nie wykonałaby ich cała ludzkość obrócona w rachmistrzów, lecz dziesięć deka mapsyntu — syntetycznej masy psychicznej — bije ludzkość na głowę. W Naturze są pewne stałe. Np. stała rozszerzenia się nagranych ciał albo rozszerzenia się planetarnych cywilizacji. Nie jest ważne, co one sobie myślą, ważne jest, co robią. Styl srebrnej łyżeczki, jako wyrobu złotniczego, nie ma nic do rzeczy, gdy włożyć ją do pieca. Decyduje temperatura topnienia srebra. A zatem obok stałych, są punkty krytyczne, także historii. Proszę zerwać z tradycyjnym myśleniem historyków. Królowie, dynastie, racje stanu, zabory i tak dalej. Nie zliczy pan kropel wody w Niagarze, lecz jej moc i bieg wody podlegają rachubie. Młoda cywilizacja, jak to mówimy, słabo przylega do Natury. Gdy nie tylko gwiazdy są nieosiągalne, lecz dno mórz własnego globu, jego bieguny, jego kopaliny, gdy koczownicze hordy żyją z ręki do ust, mogą sobie roić w kwestii mórz, gwiazd, Wimatu, gleby, co im się żywnie podoba, bo te ich rojenia nie stanowią bazy efektywnych poczynań. Mogą zaklinać deszcz, modlić się do oceanu, wzywać słońce na pomoc, lecz to w niczym nie zmieni ich warunków życiowych. Im cywilizacja natomiast starsza, tym bardziej rozległy jej styk z Naturą. Nie może pan ograniczać się do wiadomości o trójzębie Neptuna, chcąc wydobywać ropę z morskiego dna! Co z tego wynika? To, że młoda cywilizacja nie zachowuje się jak kapusta na grzędzie latem, lecz raczej jak kaczeniec na przedwiośniu. Już pączki puszcza, a tu przymrozek i pączki diabli biorą. Mróz maluje na szybach paprotki. Nie wiadomo, jakie paprotki wymaluje, ale wiadomo, że wnet znikną, bo będzie coraz cieplej. Wczesny rozwój jest zająkliwy. Przejawia oscylacje. Miejscowi humaniści nazywają to cyklami historycznymi, epokami w kulturze i tak dalej. Oczywiście jako prognoza nic z tego nie wynika. Właściwym modelem jest miednica z wodą, do której dodawać mydła. Dopóki mydła jest mało, bańki pękają. Dolej pan wody — wszystko się rozpułynie. Ale dodając mydła utwardzamy pianę. Podstaw pan za mydło technologię późnych generacji, a bąble przestaną pękać. To jest model cywilizacyjnej ekspansji w Kosmosie! Każdy bąbel to jedna cywilizacja. W pierwszej kolejności obliczamy stałe bąbla. Jakie jest napięcie powierzchniowe? Czyli trwałość ustroju. Jaki ten bąbel w środku — czy jest jeden, czy poprzedzielany i składa się przez to z wielu mniejszych baniek mydlanych? Czyli państw. Ile mydła przybywa na

stulecie? Czyli jakie tam tempo techno—ewolucji? I tak dalej.

— Ale to nazbyt ogólne — nie dawałem za wygraną. — Może jakieś tam statystyczne uśrednienie z tego wyjdzie, ale żeby treść gazety w konkretnym dniu i roku, na obcej planecie, to na pewno niemożliwe. Nigdy w to nie uwierzę!

— Ale bo my nie rozmawiamy o historii, panie Tichy, tylko ją symulujemy i za dowody wydajności dziejowtórowej mamy symulaty — flegmatycznie odparł docent. — W pana obecności dokonamy dziś ładowania wsadu, i to ciała, na którym pan pobytował i opisał je wcale szczegółowo w swych „Dziennikach”.

— Co to jest wsad?

— Tak nazywamy zablokowane informacje o badanej planecie, a właściwie o jej cywilizacji, i pana informacje będą się znajdowały we wsadzie, a jakże, lecz wśród dziesiątka tysięcy innych. By panu unaocznic, co potrafi dziejowtórnia, skierujemy ją wzdłuż pańskiej relacji — zobaczymy, co z tego wyniknie!

— Nie rozumiem. Co będzie skierowane i jak?

— Będzie to, mówiąc w uproszczeniu, konfrontacja pana sprawozdania z tym wszystkim, czego jako wiedzy o planecie dopracuje się cały dywizjon wzmocniony bezpośrednim zasilaniem z naszego emeszetowskiego satelity, który ha bieżąco przekazuje nam wiadomości z Mount Wilson, a tam dysponują najświeższymi nasłuchami nieba. Osobliwością naszych prac jest to, panie Tichy, że nikt z nas nie wie, co się mieści we wsadzie. Lektura jednego wsadu wymagałaby od człowieka jakichś trzech tysięcy lat. Dywizjon użytkuje go natomiast na pięć sekularów w ciągu trzydziestu sześciu godzin. Może to da panu pewne wyobrażenie o różnicy między wyobraźnią historyczną człowieka i maszyny. Że wszystkich szkopułów, z jakimi się borykamy, przedstawię panu tylko jeden, żeby pan zrozumiał, co właściwie pokażemy panu jako wynik tej symulacji. Dziejowtórnia robią coś takiego, jakby rozgrywały tysiące partii szachów naraz, przy czym wynik każdej rozgrywki jest początkiem następnej. A żeby podejmować właściwe decyzje, dziejowtórnia tworzy rozmaite ewaluacje, hipotezy, teorie i tak dalej. Otóż my sobie wcale nie życzymy ich znać. One nas nic nie obchodzą, podobnie jak artylerzyści nic nie obchodzi sposób, w jaki palą się poszczególne ziarenka ładunku prochowego. Pocisk ma trafić w cel. To wszystko. Dlatego dziejowtórnia odpowiada na konkretne stawiane jej pytania bez balastu domniemań, których używała, żeby dotrzeć do odpowiedzi. W naszym dzisiejszym eksperymencie program ustala, że to, co pan opisał w swej czternastej podróży, ma zostać zbadane ze względu na możliwe skutki przyszłe. Więc nie o to chodzi najpierw, uważa pan, czy pan przedstawił jak przed trybunałem prawdę i tylko prawdę. Znajdujemy się na gruncie polityki, a nie fizyki. Nie o prawdę chodzi, lecz o Realpolitik. O skutki pana— działalności na tej planecie, w wymiarach wzajemnych stosunków obu cywilizacji, tamtej i naszej.

— Więc na co jeszcze czekamy? — spytałem. — Proszę jak najprędzej ładować ten wsad, gdzie należy...

Ładowanie wsadu odbyło się w piątek wieczorem, tak że w poniedziałek przybyłem do Instytutu w samą porę, by ujrzeć ostatni etap operacji. Do dyspozytorni przyszło sporo ludzi z innych wydziałów, wynik miał się pojawić na ekranie o grubym szkle, okrągłym jak okienko okrętowe, nad którym gorączkowo migotały białe i zielone światełka kontrolne, całkiem jak w kiepskim filmie fantastycznym, zegar pokazywał jedenastą, minuty mijały, a mętna głąb za szkłem pozostawała ciemna. Naraz w samym środku zajaśniał czerwony punkt i pałanie to rozpląnęło się na całą okrągłą powierzchnię, pokrytą drobiem maleńkich czarnych wijących się gąsieniczek. Wyglądało to bardzo nieapetycznie — niczym insekty na rozżarzonej patelni. Szef lingwistów doktor Blasenstein wydał okrzyk triumfu.

— Pismo rodofilne, narzecze górnej i dolnej Tetraptydy, język dokumentów oficjalnych! — zawołał. Zbliżył twarz do ekranu, w którym czarne żyjątka liter czy hieroglifów ustawiły się w dwu regularnych czworobokach, jeden nad drugim.

— To do pana, panie Tichy — dodał już spokojniej Blasenstein.

— Co to jest?

— Nie wiem dokładnie. Znam oba te dialekty, ale języki zmieniają się z upływem czasu, a to są projekcje z podwójnym sekularem wyprzedzenia ...jeśli nie większym. Kolego Dünгли, przełączcie na główny translator...

Dünгли już stał przy pulpicie i z pokerową twarzą naciskał kontakty. W pałający czerwono ekran wbiegł cienki jak igła promień i zaczął tam i na powrót przebiegać po rządках zakrzepłych znaków. Równocześnie maszyna podobna do dużego dalekopisu odezwała się pospiesznym werblem. Wszyscy skierowali się w jej stronę, robiąc mi miejsce. Z szerokiego wałka drobnymi skokami wysuwał się arkusz papieru, w miarę jak dalekopis młócił czcionkami. Pojawiły się litery łacińskiego alfabetu. Stałem, wstrzymując oddech, i czytałem.

**Koetchiurr Yoelchiurr  
Koerdellenpadrang**

**Ziemiańska Ambasada  
Nadmocnosilnego Państwochodu  
Khurdlandyi**

### **BARGMARGSOUAROSH!**

**P. Ijon Tichy  
w Ziemi.**

**115 Llimner, Kwiacień**

**Wasze Błogie Narodzenie!**

**My: Ministr Zupelnomocny i Wielemożliwy, akredytowany Ziemska, Nadmocnosilnego Państwochodu Kurdlandzkiego przewracamy się do Pana jako z poniżajszym.**

**Wiedzomości naszej doszedł spisany Panem Utworek, onże w Imieninach DZIENNIKI GWIAZDOWE, z osobliwym koncentratem na „Podróż Czternasta”, kędy Wasze Błogie Narodzenie opowiadujesz o peregrynacji na Naski Glob.**

**Wasze Błogie Narodzenie podtyka Pospółstwu Ziemiańskiemuiedzomości o Naszym Państwochodzie, tęgo od prawdy odpoddaszone.**

**Syngluray II Prymo: W B Narodzenie lewisz w wymieńczym pismaczeniu o KURDEL naprzeciwno Faktyczności, czym że przewracasz nasz Państwochód w wydrwinny Zaśmiech i Sfalsz, z poszkodzeńsfwem Obojga Niebiańskich Stron.**

**Gwisduqlasf II Sekondo: WB Narodzenie zapotrudziło się w wymienionej Księżnie zażyć POLOWANIE NA KURDEL i tamto Fenomen jest w Waszobłogim Edyciju wyciorne Paszkwilenie a też ohydyczne Wyszdyziny naszego Państwochodu w generalicji, zaś J.O. Potężność Przewodniczący w detaliach;**

**Kroessimay II Tercjo: WB Narodzenie w swym Obleśnictwie nie sprzywilegiowało ni Dychu z ustnika nie wydunknąć o zaistym Ohydu, Plagu Państwonym, LUZANII, która jest knujno-podkopicielskim Sprzeciwnikiem Naszej Państwochodowości. Naparskudzilo też WB Narodzenie naprzeciwno faktyczności zbrzoziberezinocnicko o SEPULKACH.**

**W twarzy onego My, Ministr Zupelnie Mocny i Wielemożliwy, akredytowany Ziemska, zakładujemy dyfamulacyjną Suprotestację a występowujemy naprzekurw Wasześcinnemu Błogiemu Paszkwileniu na Byt, Czar, Duch, Pieśń i Moc takowegoż. A jako Reprezentaciny i Ekscellentny zażależnik domagiwamy się z miłościwskim zatwardzeniem, iżby WB Narodzenie przewróciło się ku prawdołóstwu i odwymiętosilo skurdelny Falsz. Jako że My Pokoju Kochance i Polubownicy wywracamy się z przedpozycją życzliwiecką, wywilegiaturyzować Błogie Narodzenie Ijon Tichy na półkoszt Ambassady (BAM), na koszt Ziemiaństwa (BOM), na koszt własny (BIM),**

indeterminatum (MUZG) ku Planetu i tamój odnownie zbrzyć faktolyptyczność.

Do 117 Llimner (Kwiacień i Majski styk) czatujemy na Wasze Błogie Narodzeniowe jawicielstwo, a gdyby zlawolnie odniechciałeś, to się zguzdrawęzi Konphlyktum Międzyplanefarskie.

W ekspresnym oczekiwanistym warłogu

ORDL, Ministr Zupelnie Mocny NPK

## II

Ambasada Ziemska  
Polożeń Zesupłanych Luzanii

SUNN SENSELENN BRAMGORR  
Kirmregzudas

### BRIBARNOTROPS!

Idealor: Brannaxolax Tun Tann 115 Wloehna

Programmalor: AC/01-94ba

Operator: Linkomputer IX Type Soi U3

Operon: Ijon Tichy, Człek.

Szanowny Panie Tichy,

Ambasada PZL śle panu ciepławy frazes przywitalny, adekwatny pomiędzy ciałami różnych systemów.

Niemniej, doszło do wiadomości tejże Ambasady, że zechciał Paneś skomponować książczyzną książnicę książną pt. „Dzienniki gwiazdowe” itd., w której zogniskował Paneś uwagę na stosunkach naszego miłościwego ciała.

### PRECYZACJA

Ambasada PZL konstatuje z lżejszą boleścią, że dopuścił się Paneś wszechstronnych zmyłek, aberracyj i wybaczeń, jak następuje.

1) Z błędną doskonałością milczy Panesz w swej książniczce o naszym mocarstwie, tj. o PZL;

2) Opisał Paneś KURDLE jako łowny zwierzostan, gdy one są sklejanekimi zbiegowiskami, ukierunkowanymi wrogo wzgl. PZL przez starnaków ościennej Kurdlandii;

3) Uczynił Paneś moc aluzyjnych sprośności wzgi. SEPULEK, stwarzając zwid ich Pornosferyczności.

### KONKLUZJA

Bynajmniej nie przebywał Paneś na naszym cieple, a w szczególności na terenie PZL, lecz na terenie Syntelity Skan Sen, który jest częścią naszego terytorium wyorbitowaną w celach uzdrowiskowo-rekreacyjnego muzealnictwa. Tameczne imitasy, syntalia, erotomlastikony, zdalniki i pustaki (pusteory) zechciał Paneś obłądnie wziąć za przedstawicielstwo naszej cywilizacji, rozweselające zaś atrapy za istoty żywe, samobusy itp. tym samym zachachmęcił Paneś stan faktyczny ze szkodą dla pogłębiających się wzduż, w poprzek i w głąb stosunków pomiędzy Encją i Ziemią.

Mając na uwadze rzeczoną stosunkowość, dobrotliwie wzywamy Pana ścichapek dozowanym słowem do sprostowania fałszerstw.

W domniemaniu, iż działał Paneś z ciemnoty, a nie z niecnoty, Ambasada PZL gotowa jest uraczyć Pana przejazdem na trasie Ziemia — Encja — Ziemia, zapewniając immunitet myślnikowy ze wsparciem bystrowym i ciekączką dietarną w granicach PZL.

Za Ambasadora PZL:

**Przywiązaniec d/s Kultury  
Ziemskojęzyczny Dyplomater Sol U 3  
apostofizujący na podzespolach  
akredytowanych In Partibus Barbarorum  
Podpis Nieczytelny**

**Kod: A–Pc6ek–Ca–Pek–Py(7)Cek–Pra(5)cek–Pur–9–Cyk–Cyk–cyk–Mee.**

**Post Scripturam Terminalam: Na powyższy kod zechce się Penesz powołać w swej replice. W incydencie niezaistnienia takowej rozpoczniemy zwykle postępowanie gastroklastyczne 6–93.**

**Za zgodność: Dypluter Tajnokanałowy II Rangi  
Tzip Tziptziqip Titiquack**

Dalekopis przestał stukać i zapadła cisza. Rozejrzałem się po obecnych, którzy obstąpili mnie kręgiem, i widząc, że to Zwingli, Dungli, Nutzli oraz szereg innych osób o podobnie brzmiących nazwiskach, uświadomiłem sobie, że jestem wśród Szwajcarów.

— Co to ma znaczyć? — spytałem strasznym głosem. — Kto z panów ośmielił się na ten, za pozwoleniem, „żart”? Kto mnie znieważa? Czy to był pana concept, panie Zwingli? Proszę sobie nie myśleć, że nie dostrzegłem pańskich wczorajszych aluzji do srebrnych łyżeczek, ale przez przyrodzoną grzeczną puściłem to mimo uszu. Wszystko ma jednak swoje granice, mój panie! To już nie są jakieś łyżeczki...

Urwałem, widząc powszechną konsternację i zarazem drobny, lecz radosny uśmiech doktora de Calance'a, jakby dopatrzył się w mych słowach objawów pomieszania umysłowego i liczył na zasilenie swego zespołu tak wybitnym wariatem.

— Niech pan się uspokoi, panie Tichy! Tak nie jest, pan się myli, daję panu słowo. Przysięgam na głowy dzieci.

— Jeżeli te pana dzieci istnieją w taki sam sposób, jak te kalumnie — tu wyrwałem papier z dalekopisu i podniosłem go w górę — to pańska przysięga niewiele mi znaczył Proszę, słucham wyjaśnień...

— To jest autentyk! — zawołał Zwingli. — Ani ja, ani nikt z obecnych nie mógł znać z góry treści symulatów...

— I ja w to mam uwierzyć?! — wrzasnąłem, ostatecznie wyprowadzony z równowagi.

— Mogę uznać, że popełniłem pewne e... pomyłki w stylu Kolumba. Na to mnie stać. Ale wszelka wiarygodność ma swoje granice. Czy pan mi chce wmówić, że maszyna nie tylko wykryła moje potknięcia, nie tylko przewidziała otwarte tych jakichś ambasad na Ziemi za dwieście czy ileś. tam lat, nie tylko ustaliła, jakie noty skierują do mnie te ambasady, kiedy nikogo z obecnych tu na świecie nie będzie, ale że potrafiła to wysłowić w języku, którym oni będą się posługiwali w tym czasie, i że podpiszą do dyplomaci, których w całym Kosmosie nie ma, bo się nawet jeszcze nie urodzili!!

Położyłem zadrukowany papier na pulpicie, spojrzałem na nich i rzekłem:

— Daję panom dziesięć minut czasu na usprawiedliwienie.

Zaczęli mówić jeden przez drugiego, wreszcie Zwingli, wypchnięty do przodu, spotniały, z czerwoną twarzą, złożony błagalnie ręce, przyznał najpierw, że być może niedostatecznie przygotował mnie na swoisty charakter doświadczenia, czyli telosemantycznej fokusacji dziejopiśnic, albowiem skierowano je na zestawienie mych „Dzienników” z pełnym wsadem, ażeby okazać mi szacunek, a nie by mnie obrazić. Ponieważ program udaremnia agregatom używanie jakichkolwiek ogólników oraz pozostawianie w prognozie miejsc nie wypełnionych, maszyny wypełniają ewentualne luki supozycjami, czyli stawiają hipotezy nawet co do pojedynczych wyrażań oraz ich brzmienia, a nawet ortografii. Gdyby tak nie było, procentowa zasadność prognozy nie dałaby się dokładnie obliczyć. Praprowirt (prawdopodobnościowy procent wirtualizacji) każdego słowa symulatów maszyna może

podać na żądanie z dokładnością do czwartego znaku dziesiętnego. Praprowirt może być niski, lecz nigdy nie jest wielkością ujemną. Tam, gdzie zbliża się do zera, dziejopiśnica podaje sprzeczne wzajem wersje Baterii Aprobujących Modułów (BAM) i modułów oponujących (BOM), co może zechcą łaskawie dostrzec w pierwszym liście, tam gdzie mówi on o gotowości sfinansowania mej wyprawy na Encję przez jej przedstawicielstwo ziemskie. Spraw finansowych jaka szczególnie delikatnych nie można bowiem przewidywać tak, jak innych materialnych zająć. Wyjaśnijmy najpierw, rzekł rozpalając się Zwingli i wymachując całkiem nie po szwajcarsku rękami, co znajdowało się we wsadzie? Znajdowało się tam całość zgromadzonych dotąd wiadomości o Encji, zdobytych na miejscu, przekazanych drogą radiową i laserową, a ta dokumentacja obejmuje nawet śpiewniki dzieci szkolnych tamtej planety, nie mówiąc o podręcznikach miejscowej historii. Różnica w nazwie planety pomiędzy wersją dziejbitni i moją to mniej więcej tyle, co różnica między nazwą „Indie” i nazwą „Ameryka”. Przecież tubylczych mieszkańców Nowego Świata, wszystkich Apaczów, Komanczów, Azteków i innych Siuksów tylko dlatego zwiemy do dziś Indianami, ponieważ Kolumb wziął ich za ludność Indii. Znajdując się na niższym stopniu rozwoju niż ich odkrywcy, nie mogli ci tubylcy skutecznie temu fałszywemu ich mianowaniu zapobiec. Inaczej z Encją. Nazwa ta jest tłumaczeniem na łacinę pojęcia, jakim sami siebie określają (jako „bytujący” albo „rozumnie istniejący”), i stąd poszło the Entians, die Entianer, les Entiens i tak dalej. Nikt sobie tego z osobna nie wymyślił — tak stanowiąc będzie dalszy rozwój wypadków, ten, w który wycelowaliśmy maszyny dziejowe. Ich poszczególne bloki śledziły w ekstrapolacyjnych ciągach rozwój na całej planecie, to, jakie tamtejsze państwa jako pierwsze, będąc supermocarstwami, ambasadami ziemskie; to, jaki będzie wtedy tryb urzędowania ich dyplomacji, co znajdzie swój wyraz w formie ich korespondencji; te noty, które zostaną wystosowane kiedyś do mnie lub do osób fizycznych bądź prawnych, będących mymi spadkobiercami, niechybnie nie pokryją się co do przecinka z naszymi symulatami, lecz ujawnią analogiczną treść oraz styl; nawet co się tyczy kodu maszynowego, jaki podaje list luzański, został on prognozowany w oparciu o ogólną teorię rozwoju komputerów entej generacji w określonych technicznych okolicznościach; zapewne nie będzie to TEN kod, lecz ten TYP kodu, mianowicie używany w dyplomacji. Nie można bowiem wykryć unikatów, wykrywa się klasy, do jakich należą, czyli TYPY. Tak więc pod notą luzańską będzie figurowało nie TO nazwisko, jakie widnieje na fantomie, lecz TEGO typu, i będzie do fantomowego podobne tak, jak podobne jest nazwisko Zwingli do Dünгли, a Iwanow do Smirnowa. A to, ponieważ blok rodowodowo–genealogiczny baterii dzielowe dał typowe cechy dyplomatycznego narybku Encji nie poprzez ustalenie jego cech biologicznych, lecz tylko tych, które są tam przyjmowane do urzędowej wiadomości, podczas doboru do wyższych szkół kształcących dyplomatów. Symulatory nie docierają bowiem do jakowejś „ostatecznej prawdy materialnej”, lecz do ostatecznych kryteriów u r z ę d o w a n i a . Panowie przyrodnicy wyobrażali sobie i wmawiali wszystkim, że kontakty międzygwiazdne zaczynają się od wymiany zdań na temat geometrii Euklidesa i praw atomowych, jak gdyby pierwszą rzeczą na Ziemi przy zetknięciu się z nie znanymi dotąd krajowcami wokół Amazonki czy no Ziemi Ognistej było informowanie ich, przez wysłanników cywilizowanego świata, o trójkątach i atomach, a nie o tym, jakie interesy będzie można z nimi zrobić. Słyszałże ktoś w ogóle o jakiejś geometrii czy matematyce w stosunkach politycznych? A przecież kontakty z Innymi niepolitycznygo charakteru mieć nie mogą! Najpierw wyznacza się stałe urzędów, czyli biur, bo jeśli ma być polityka, muszą być i biura; zjawisko to ma charakter absolutny i tym samym relatywizmowi teorii Einsteina nie podlega. Pierwsze rozmowy toczą się nie o prędkości światła, lecz awansowania słupowego, nie o wielkości jąder atomowych, lecz administracyjnych kompetencji. Czy Tamci są zbudowani z krzemianów, jodków, chlorków czy aminokwasów, czy oddychają tlenem, czy fluorem, czy poruszają się przodem, czy tyłem, nie mm najmniejszego wpływu na parametry ich

biurokracji i od ich związków politycznych, a nie chemicznych zależy wzajemne zrozumienie! To nareszcie, co mi jest kamieniem obrazu, czyli fałszywy obraz tamecznych zjawisk, który wziąłem za dobrą monetę, stanowi, jak mi tłumaczono już wiele razy na wszystkich piętrach Instytutu, zwykły Zespół Uprzedzeń Pierywoodkrywcy (ZUP), który podlega Teorii Błędów i Wypaczeń i w moim przypadku równa się trzeciej potędze z różnicy między odległością Hiszpanii i Ameryki a odległością Ziemi i gwiazdzbioru Cielca. Co notabene wykrył magister symulacji powszechnej Prüngli. Kolumb wziął Amerykę za Indie, a Ijon Tichy sztucznego satelitę za glob niebieski, z którego go wystrzelono. Nie ma w tym cienia hańby i nie ma się o co obrażać.

Słuchałem już co nieco zmiytygowany, a uczony Szwajcar, zmierzwiwszy sobie brodę i zapociwszy okulary, machał fontannową korespondencją, wołając:

— Przysięgam panu, że tu Nic nie jest Przypadkowe! Proszę zważyć różnice wysłowienia obu listów. Świadczą one o różnicy w siatkach płac, a tym samym dochodów narodowych Kurdlandii i Luzanii... Różnicami tymi zajmował się finansowo–planetologiczny blok naszej maszynowni. List kurdlandzki świadczy o skromnych środkach, łożonych na dyplomację, skoro ich ambasada zatrudni kiepsko opłaconego, a tym samym i marnego tłumacza... bodajże człowieka, bo to im wypadnie taniej, niż taszczyć własnego poliglotę razem z walizami dyplomatycznymi.

— Co mi pan tu chce wmawiać — rzekłem — przecież oryginały listów są tam — wskazałem, płonący wciąż czerwony krąg ekranu, zapluskwiony skurczonymi hieroglifami — a tłumaczenia dokonała wasza aparatura tu i teraz, a nie jakiś człowiek, urzędnik, tłumacz, którego rodzice, a pewno i dziadkowie nawet się jeszcze nie zdążyli poznać...

— Nic podobnego! Myli się pan! Byłby to niewybaczalny błąd sztuki. Przecież ewentualny konflikt, tarcia międzyplanetarne jeszcze najłatwiej mogą dojść do skutku od nieporozumień przy wymianie not, toteż nawet gramatyczne i ortograficzne źródła takich nieporozumień trzeba antycypować! Tłumaczenia dokonał blok rodowodowy, przy współdziałaniu bloku propagandy eksportowej, a praca obu znajdowała się pod kontrolą bloku limitów płacowych, czyli, powiem to obrazowo, maszyna utworzyła fantom ambasady, umieściła w nim fantom drabiny służbowej i gdzie należy, na odpowiednim jej szczeblu, umieściła fantom podrzędnego urzędnika, który będzie tłumaczył inkryminowany dokument, nic z niego nie rozumiejąc, bo nie będzie opłacany za rozumienie czegokolwiek. Sądzę, dodał ciszej, jakby mówiąc do siebie, że to jakiś gasterbeiter, nie znający żadnego języka porządnie, poza tureckim... Natomiast bogatsza Luzania posługuje się w dyplomacji automatami, bo im państwo wyżej rozwinięte, tym tańsza w nim automatyka, i tym droższa praca żywa...

Nie powiem, że bym się czuł do końca przekonany tym wszystkim, ale pora zrobiła się późna, więc odłożyliśmy dalszy ciąg roztrząsania obu not i ich konsekwencji na następny dzień, a ja wróciłem do domu. Czuję się tak przybity, tak poszkodowany na kosmonautycznym honorze, że sięgnąłem po telefon i wykręciłem nowojorski numer Tarantogi, chcąc się wyzalić przed bratnią duszą. Jakiś czas profesor słuchał mnie cierpliwie, wreszcie parsknął cholerycznie w słuchawkę:

— I czegoż tak się nad tym rozwodzisz, mój Ijonie? Myślałby kto, że ci Szwajcarzy wymyślili komputery! Baterie, dywizjony, korpusy, dziejjobitnie, a przecież dość pomyśleć chwilę, żeby dojść czegoś podobnego. Kontakty są nawiązane, tak czy nie? Kiedyś musi więc przyjść do wymiany ambasad, tak czy nie? Każdy attache do spraw kultury musi coś robić, tak czy nie? Nic naprawdę sensownego nie robi, tak czy nie? Więc będzie zbierał materiały do przeglądu prasowego i dla raportów składanych zwierzchnictwu, żeby wykazać, że coś robi. Prędzej czy później dowie się o twych „Dziennikach”, i cóż oni będą wtedy mogli zrobić innego, niż wystosować do ciebie sprostowania?...

— Niby tak... — rzekłem osłupiały i skonfundowany naraz — ale bo, profesorze, tam były takie szczegóły... nawet tajny kod dyplomatyczny Luzanów... propozycje sfinansowania



mojej wyprawy...

— W podobnym przypadku każda ambasada robi taką propozycję, a reszta jest wata. Widziałeś, jak z łyżki cukru robi się w maszynie kłęb waty cukrowej wielkości pierzyny? No więc właśnie! Ale dobrze, żeś się odezwał, już dawno chciałem ci powiedzieć, że cała ta „Encyklopedia Kosmiczna”, którą ci wtedy pożyczyłem, pamiętasz, ta z Enteropią i sepulkami, to było fałszerstwo. Humbug. Bujda na resorach. Jakiś drab chciał zarobić parę groszy...

— To pan nie mógł mi tego trochę wcześniej powiedzieć? — spytałem rozeźlony, bo wyglądało, jakby się cały świat przeciw mnie sprzysiął.

— Chciałem, ale znasz mnie przecież, zapomniałem. Napisałem to sobie na wizytówce, wizytówkę włożyłem do kamizelki, ubranie dałem do pralni chemicznej, kwit z pralni zgubiłem, potem musiałem wyjechać na Proximę, i tak to poszło...

— Toś mi pan wyrządził niezłą przysługę — powiedziałem i prędko zakończyłem rozmowę, bo bałem się, że jako choleryk jeszcze naurągam profesorowi.

Był to dzień ponurych rewelacji i ataków złości. Przez grzeczność rozmawiałem z Tarantogą po północy, kiedy w Ameryce jest dzień, żeby nie wyrwać go z łóżka. W Instytucie zjadłem tyle co nic, zrobiłem się głodny, zajrzałem więc do lodówki za zimną pieczenią cielecą. Dochodząca, którą uprawniłem do spożywania u mnie posiłków, nie robi sobie żadnych subiekcji. Niby coś tam leżało, ale była to prawie sama kość osłonięta dla przyzwoitości skórą. Głodny i wściekły zjadłem więc chleb z masłem — i do łóżka.

W Instytucie ułożono tymczasem podręczny maszynowy rozumowany słownik obu listów. Odpoddaszyc — odstrychnąć, w twarzy — w obliczu, odwymiętosic — sprostować, i tak dalej. Ale ja nie chciałem nawet na to patrzeć. Zażądałem dostępu do źródeł. Wywołało to pewną konsternację. Żaden kierownik wydziału nie był do tego uprawniony, poszliśmy więc do dyrekcji. Tam okazało się, że zachodzi takie oto służbowe d i s t i n g u o. Instytut może mi udostępnić wsad, ale nie źródła, czyli oryginały raportów, dokumentów, sprawozdań itp., z których powstaje wsad metodą ekstraktów i podsumowań, ponieważ wszystko to znajduje się w tajnych archiwach MSZ i żaden pracownik Instytutu nie może z nich bezpośrednio korzystać. Nie ma co nad tym deliberować, rozwodzić się, bo nie ma w tym nic do dyskusji ani do rozumienia — taka jest po prostu pragmatyka, oddzielająca gestię Instytutu od gestii właściwych resortów MSZ. Wobec tego, powiedziałem, proszę o wsad, a jednocześnie niechże się zwrócą do kogo należy w ministerstwie, żebym mógł w niedalekim terminie zapoznać się z oryginalnymi materiałami, co mi się chyba jako pierwoodkrywcy i pionierowi należy. Z pierwszym nie będzie kłopotów, rzekli, a co do drugiego, będą się starać. Dünqli, zresztą może był to Wrangli, zaprowadził mnie tedy do małego gabinetu, w którym znajdował się jeden z terminali maszynowych, fotel, biurko, ekran, czytniki, termos z kawą, herbatniki i floksy w kryształowym pucharze, i zostawił mnie samego z aparaturą, tak że pouczony od razu puściłem sobie przez matową szklaną płytę sławetny wsad.

Niechaj się życzliwy Czytelnik nie spodziewa zrozumieć z tego, co tu dokładnie przepisuję, więcej, aniżeli mnie się wówczas udało. Przypominam tylko, że widniejące we wsadzie skróty oznaczają odpowiednio: BAM — Baterię Aprobujących Modułów, czyli opinię większości bateryjnej, BOM — Baterię Oponujących Modułów, czyli sąd mniejszości, MUZG to ustalenie Modułu Uzgadniającego, który zazwyczaj niczego uzgodnić nie był w stanie, i wreszcie BIM to Bateria Inwigilujących Modułów, która wtykała swe trzy grosze, kiedy powstał całkowity mętlik.

**ENCJA, luz. KIRMREGZUDAS, kurdl. KOERDELLENPADRANG, 7 planeta Gammy Cielca (Gamma fauri), 4 kontynenty (DYDLANTYDA, TARAKTYDA, CETLANDIA, MAUMAZJA), 2 bloceany, powst. z osadów mikrometeorytowych w rozkładzie (BAM), na skutek industrialnego zanieczyszczenia środowiska (BOM), nie**

wiadomo Jak (MUZG). Ok. 1000 podbłotnych wulkanów (bulkanów) branych przez pierwoodkrywców mylnie (BAM) słusznie (BOM) za nurzadła (Typ Immersionales, rząd Marmaeladinae, rodzina Maccaronicaea [kluchozlepnych]), 1 ściorg, (ściółka organiczna [BAM], ścierwiny orgiasłuczne [BOM], ścieki organowe [orkiestralne] [BIM], już dawno wysechl [MUZG]). 1 satelita sztuczny (syntelita) KASTRAT (Kamouflaż Strategiczno–Taktyczny [BAM], Muzealno–Skansenowy [BIM]), stanowiący wyorbitowaną część terytorium Luzanii (ob.), zmiennośrodkowy jako Nadymak (BAM), wskutek fatamorgany (BOM), diabli wiedzą (MUZG). Klimat umiarkowany, rozkojarzony industrializacją (BAM), kryptowojennie (BOM), zawsze taki był (BIM).

Planetę zamieszkuje rasa rozumna (BAM), dwie rasy rozumne (BOM), to zależy od punktu widzenia (MUZG). Jest to gatunek czlekokształtny (BAM), czlekokształtność to larwalna faza metamorfozy, gdyż tubylcy są zmiennikowcami i przechodzą linki od POŁCIA przez PÓŁTORAKA 1 DWÓJPOŁCIA dc ZLEPCA OLBRZYMKĄ (BOM), oni się tylko rozmaicie ubierają, i noszą (BIM), wszystko to mity i legendy, patrz: „Politografia ras Cielca” druk do uż. służb. MSZ 345 2ab/99 (BUM) Dane BAM pochodzą od Luzanów, a BIM, BUM, BOM od Kurdlandczyków i dlatego są niezgadnialne (MUZG).

Płci są wyraźne (BAM). Nie ma płci (BIM). Są odwrotnością ziemskich (BOM).

Państwa E.: 1. Unikalną formę ustrojową w Galaktyce stanowi Państwachód Kurdlandzki, takie: Kurdlestwo Nacjomobilistyczne, Chodliszcze. Jest on rustykalnym samorządnym zrzeszeniem zasiedlonych kurdli — MIASTODONTÓW. Władzę najwyższą sprawuje Przewodniczący Stamaków (Starszych nad kurdlem). Jednostkę administracyjną stanowi kierdel kurdli, czyli DREPARTAMENT. Dawniej starnaków zwano kurdliwodami. Nacjomobil powstał na przestrzeni wieków i trakcie zwalczania Pyrozaurów, zwł. wygasłych i ledwie tlejących form łowieckich, jak tracącego ogień Poliserwa (Wieloraba) i kukurdla — zimnokrwistych płazów dochodzących 1500 ton wagi cielska. Wygasły kurdel zwany był zmokiem, a podsuszony — smokiem (Draco Pyrophoricus Curd. L. Msimeteni od nazw. pierwoodkrywcy, uczestn. IX ekspedycji Instyt. Zaurologicznego). Także: Khoerdl, Kjordl i ORDL. Hodowla k. zastępuje budownictwo mieszkaniowe, niemożliwe na zabłociach i wybłociach, cz. terenach okresowo zalewanych przez błocian. Odpowiednikiem ziemskich złodowaceń są bowiem na E. zblotowacenia (Epoki Błotowcowe). (BAM).

Żadnych ogniowymiotnych gadów nigdy na E. nie było. BAM błędnie opiera się na mitologii i propagandzie kurdlandzkiej. Kurdle są to wieloroby (a nie wieloraby), powstałe w toku naturalnej ewolucji (walki o przeżywanie w błocie). Jako siła robocza tworzą tak zwane Zlepicielska (BOM).

W wersji luzañskiej kurdle to trupy (tusze) wypatroszone przez miejscowych wsioków w ramach głodu mieszkaniowego, poruszane ich galernicza pracą, czyli tak zwana Cadaverid Rusticana. Natomiast w wersji kurd. są to produkty bioinżynierii genetycznej wymyślonej przez Przewodniczącego Stamaków. Niezgadnialne (MUZG). Walki nomadów z płazami doprowadziły do symbiozy miejscowych Naczelných z kurdliami dzięki ich zapowietrzeniu, jako też adaptacji do gurgitacji i regurgitacji, (oraz Laksacji [BUM]). Miastodonty są bowiem symbiofycznymi osiedlami spółdzielczymi (BAM). Nic podobnego (BOMX Jako pseudozoa, czyli zwierzostan syntetyzowany, są one produkowane przez fabryki płodowlane Zjednoczenia Cenżynieryjnego (BEM), na wzór prakurdla, lecz tylko przez to doń podobne (MNIAM).

Strukturę państw. Kurdlandii zbadano słabo. Przewodniczący sam nie rządzi, lecz myśli tylko o rządzeniu, a myśli te interpretują na miejscowy użytek STARNAKOWIE. (Historyczne nazwy: Ojciec Kierdla Kurdli, Ojkierkur, Kurpan, i in.) (BIM, BAM, BOM).

Miastodonty cierpią od wewnątrz. niesnasek, wyw. alergią (BAM), różnicami poglądów politycznych (BIM), od pasożytów, drabów nierobów (cz. nierabow), rozrabów i zagrabów (BUM). Wymień, formy to nie pasożyty, lecz działacze spółdzielczości (BOM).

Kurdlandzcy są b. drażliwi na punkcie swej oryginalnej doktryny państwowej. Używanie nazw, jak Wieloryp, Rozwaleń, Trupiec, Zdechłoń, Ścierwiszon, Padliniak, określanie k. jako Zwłokochodów, Klusogrobów, Kryptodreptów itp. jest ścigane i karane poniżającym przesiedleniem (zsyłką w tył, tzw. ozadnictwem). W starożytn. k. używane były jako grobowce wybitnych mężów stanu na podob. piramid ziemskich (BAM). Są to wszystko mity i podania (BEM). Coś tam było na rzeczy (MUZG). Patrz: „Mitografia encjańska”, rozdz. „Archomobilistyka, Poliarchia Perypatetyczna, Mit Prezesa”. Ob. też „Grzęzoty” druk d/uż wewn. „Ile Nóg ma Khurdel? (Doc. J. Bladder. MSZ 6/4e4). „Historia walk z płazidlami”, tenże. „Emetyka jako polityka”, onże. „Kurdle — ofiary gospodarki rabunkowej”, ówże. „Prawo lokatorskie a metraż wisceralny”, tenże. „Czy kurdle służyły w prehistorii jako schrony przeciwmeteorytowe?” W. Tutas. Patrz: raport II niedoszłej do skutku ekspedycji encjańskiej, IM D, symulaty serii B/9 i t/9. Także: „Życie pozakurdlowe w herezji Dreptów”, w: „Annaly Instytutu Serowarsłwa Pośmiertnego”. T. Ouargl., PIP 20111. „Skład chemiczny słoniny opasów kurdelnych”.\l. Dragonder, „Acta Curdeliana”, tom XI, pag. 345 i nn. „Analiza strukturalna poezji kurdlandzkiej”. Praca zbiorowa IMD, 239/c. „Tuptazy i pyro—forazy ewisceralne jako środki ogniowymiotne”. Dr Revolvender, Boston McGraw Hill, praca habilit. prognozowana z 40-letnim wyprzedzeniem. Rtingli i Kinderstein. Skrypt.

Dalszych trzysta pozycji cytowanej literatury opuszczam, by przejść do drugiej części wsadu, poświęconej Luzanii.

Luzania. Inaczej: Położenia Zesupłane Luzanii Górnej (BAM). Luźna Federacja Stanów Doskonałych (BIM). Stany Związane Taraktydy (BOM). Pierwsze mocarstwo Encji, wysoko (BAM) zbyt wysoko (BIM) rozwinięte, w złych stosunkach z ościenną Kurdlandig. Narastające problemy wewn. doprowadziły do spadku inteligencji w obu gł. partiach politycznych, — z kt. rekrutują się kandydaci na Państwiciela (BAM) Prezydenta (BIM), gdyż w oblicza niepokonywalnych trudności zabrakło roztropnych kandydatów dobrowolnie ubiegających się o najwyższy urząd. Tak zwana debilitacja kolejnych administracji v doprowadziła do kryzysów i następowego wprowadzania Lopolu (loterii politycznej) jako przeciwdziałania zanikowi chętnych objęcia władzy. Ponieważ większość obywateli odmawiała uczestnictwa w ciągnięciach Lopolu, w XXII w. ogłoszono stan wyjątkowy i powszechny pobór przymusowy do Parlamentu i rządu (POP). Kryzys zażegnały postępy komputeryzacji. Automatyzacja administracji załamała się z końcem tego stulecia, gdy Civitatory odmówiły władania, wskutek tak zwanego syndromu logistronowego. Zbyt inteligentne układy ulegały albo malignizacji, albo porażeniu własną genialnością (genializ postępowy). Z tego kryzysu wyprowadziło PZL utworzenie syntury (syntetycznej kultury), jako ekozofizacji i hedopraksji (obligatoryjnej dystrybucji szczęścia). Te instytucje Luzanii sproteżowały upadające pod dobrobytem więzi społeczne (BAM), Wynikły one na skutek zlania się racji stanu z panującą religią (BIM). Wątpliwe (MUZ6). Są to efyffkacyjne przeróbki otoczenia, techniki zachwyto—przechwyto, złochnonne, wjaźnicowe, tworzące łącznie synturę. Opierając się na uszlachetniającym namyślnianiu środowiska życiowego, drogi, budynki, sprzęty, odzież itp. produkuje się z bystrów — mikroelementów logicznych, edukowanych patriotycznie wstępłą obróbką. Ubystrzenie osiągnęło w metropoliach

poziom 60 jedn. inteligencji na gram i sekundę. Do głębokości 40 metrów nie występują już w ośrodkach miejskich żadne substancje nieinteligentne (BAM). Taka jest wersja oficjalna (BOM). Pozostały obszar uległ uzmysłnieniu w 87° (BAM). Wątpliwe (BOM). Syntura urozumnia środowisko cywilizacyjne, żeby dbało o dobro obywateli i o siebie, samonaprawiając uszkodzenia wywołane przez opozycję, ponadto kształcąc, usługując, doradzając, pochłaniając usiłowania przestępstw oraz stręcząc w granicach prawa do konsumpcyjnego nierządu (BAM). Kwalifikacje te wynikają ze stosowania cło opisu syntury kategorii ziemskich (BOM).

Obiekty zbystrowane wykonują zlecenia do granicy interesu bliźnich. Bystry pierwszych generacji (zmyślniaki i myślunki) znieprawiał świat przestępczy, lecz prototypy wyposażone w zmory (zastawki wzgl. zapory moralne) są w 99,998% złoodpome (BAM). Tak głosi rząd (BOM).

Produkcja przemysłowa dzieli się na delektacyjną i prewencyjną.

1. Delektacyjną masę towarową tworzą: wjaźnicowanie, felicytacja taśmowa oraz przykrawana na miarę indywidualną, opychanie przepychem, zaszczytanie, dosładzanie oraz syntetyczne preparowanie karier (synprekary), przy wsparciu wybieractwem docelowym. Są to zindustrializowane działy informatyki hedotelicznej czyli lubociągowej. Zgodnie z dewizą Luzanii „Fac quod vis” każdy obywatel robi, co chce, a zadaniem państwa jest maksymalizacja szczęśliwości powszechnej. Administracja posługuje się hedometrią, czyli pomiarem ilości tych lubych doznań, jakie można przetłoczyć drogami nerwowymi obywatela w ciągu życia, Ponieważ jednak podaż jest ok. 108 razy większa od osobniczej przepustowości, wliczając też czas snu, trzeba wybierać między uciechami. Trud ten usuwa osobisty wybierak obywatela, zwany też Proponatorem, który uszczęśliwia go wg zamilowań, temperamentu oraz wytrzymałości indywidualnej.

Dzięki temu nikomu w Galaktyce nie może być lepiej niż Luzańcykom. (Wg expose rządowego CCC/7/Zub.) (BAM). Zaprzeczają temu źródła kurdlandzkie, wskazując na rosnącą stopę samobójstw (BOM). Jednym z najtrudniejszych do przewyciężenia był problem utraty osób bliskich wskutek zajęć losowych oraz śmierci naturalnej. Nieskuteczność kuracji odwykowych skłoniła MSZ (Ministerstwo Szczęścia Zupelnego) do podjęcia produkcji apryksymatów czyli nibytów (pseudotów, pseudoistot), jak np. Amoroidów, Matkoidów, Tatoidów, Kochankowców, Dziatczyny, itp. Wykonuje się je z polecenia samych zainteresowanych bądź odnośnych zarządów cmentarzy komunalnych w ramach pogrzebów, przedłużonych zjawianiem się Drogich Nieobecnych, w postaci idealnych kopii. Obywatele mający najbliższych o trudnym charakterze, prowadzącym do tarć, mogą sobie w analogiczny sposób protezować rodzinę także za życia osób oryginalnych, którym dla sprawiedliwej rekompensaty dostarcza się również właściwych sobowtórów (pospolicie zwie się to lalosiowaniem rodziny). (Tak wg źródeł luzańskich, B A M). Wypchane pseudorodziny są terenem koszmarnych zajęć, od których włos jeży się kurdłowi na wezglowiu (BOM, wg danych kurdlandzkich. Patrz też „Poradnik kurdelskiego agitatora” 391 /R oraz przemówienie Przewodniczącego Prezesorium Starnaków na X spędzie miastodontów, zwł. ustęp pt. „Faisyrodzice jako trenażery zadręczycielstwa w Luzanii” [BEM]).

Różnicowanie umożliwia współprzeżywanie tego, czego normalnie naraz doznawać nie można dzięki podłączeniu lubociągów przez rozjaźniacz do obu półkul mózgu. Program rządowy zakładał wzrost powszechnego szczęścia o 4% w pięcioletce, lecz doszło do stagnacji (B A M), do zjawisk, o jakich niżej (BIM, BOM).

2. Produkcja przemysłu prewencji nie poddaje się prawdołowczej filtracji modułów bateryjnych ze względu na znaczną rozbieżność danych dotyczących tej dziedziny. Podług źródeł fuzańskich przemysł taki w ogóle nie istnieje; toteż poniższa część wsadu

opiera się na źródłach kurdlandzkich z uwzględnieniem Ich luzańskich sprostowań. Dlatego zamiast wskaźników modułowych (BIM, BAM, BOM) figurują w tekście źródłowe (KUR, LUZ).

Opozycja antybystrowa dąży do renaturyzacji środowiska, pod hasłami „destrukcji ratowniczej”. Rząd luzański toleruje ją (LUZ), prześladuje aż do stosowania utajnionych tortur oraz stopniowego zastępowania niełojalnych obywateli niebywatelami lojalnymi, czyli lalonami (fajny projekt totalnego sproteżowania społeczeństwa, czyli lalonizacji) — (KUR). Są to oszczerstwa propagandowe bez wszelkich podstaw (LUZ). O rzeczywistym stosunku mas społecznych do dyktatury uszczęśliwarskiej świadczą obiegowe wyrażenia, jak „załakocić na amen”, „wykończyć lubem”, „dać kandyzera”, o tym zaś, kto został zalalosiowany, mówi ogół, że go trafił „cukierszlag” (KUR). Są to cytaty z literackich utworów fantastycznych (LUZ).

Prymitywny konsumeryzm towarowy ogłupiał społeczeństwo, natomiast wyzwanie, rzucone mu przez wybitną inteligencję środowiska, sprzyja rozwojowi umysłowemu i upowszechnia oświatę (LUZ). Głównie jednak w dziedzinie skrytobójstwa i służących mu metod (KUR). Rzekoma działalność wywrotowa oraz perseweracja w antysynturalnych perwersjach (persewersja) to także część nowego systemu oświaty. Zetyfikowane otoczenie nie tylko pochłania próby występku, lecz działa z profilaktycznym wyprzedzeniem perswazyjnym dzięki troskliwej opiece na jawie i somnoskopii (spektroskopii snów dla usuwania koszmarów i majaczeń) (LUZ). Chodzi o bezustanne szpiegowanie obywateli i kastrację ducha nawet we śnie (KUR). Zamiast leczyć sadystów, luzańskie MSZ (Ministerstwo Szczęścia Zupelnego) dostarcza im obiektów, jakie rozpowszechniają Zakłady Tworzyw do Bicia oraz Wytwórnice Faksyfamilii (KUR). Pobudki mordu uległy zupełnej przemianie. Nie morduje się ze względu na osobę ofiary, lecz na opór stawiany przez zastawki moralne bystrów (zmory). Por.: „Amatorski sport mordowniczy w Luzanii”, Państw. Wyd. Nauk. Kukurdel 56/b/9; nadto: „Etykosfera jako hodowla degeneratów”, Pisma Przew. Starn. T. V, S. 77 i n. Także: broszurka wewnątrzklubowa luzańska: „Co można zrobić z POPEM?” (POP — Postać Osobliwie Pikantna). W przestępczej gwarze luzańskiej występują synonimy POPA jak fiksiak, kopadło, bezbronniś, lupiec, znęcawka, kopiec, męczak („Słownik Idiomatyczny Syntury”, Ak. Nauk Kurd., Pcim, 67/b./KUR). Dementi powyższego przez stronę luzańską w: „Kampania oszczerstw i pomówień” w „Acta Synturales Lusaniae”, II t. 67/431. Próby odwodzenia od złych zamiarów mirażami oszalamiającego użycia wywołują w miastach luzańskich szalowiska (zbiegowiska szalowe). (KUR). Są to pogwarki sportowych kibiców po meczach piłki telekinetycznej (LUZ). Główne niedomagania socjalne PZL to miażdżycza, dopadaczka, wyskoczycielstwo, wpijactwo, grzebizm familijny i zespół samojezdkiL

I) Miażdżycza to paniczne masowe ucieczki z metropolii w poszukiwaniu terenów niezbystrowanych (KUR). To chodzenie na grzyby (LUZ). Uciekający tłum niszczy wszystko na swej drodze, a że nieruchomości się bronią, dochodzi do licznych wypadków złamania podstawy czaszki, gdyż mimo ich uzmysłnienia materiały budowlane przejawiają bezwładność. B

II) Indywidualną reakcją na szlachetność otoczenia jest wyskoczycielstwo. Pod pozorem szukania pięknych widoków wyskoczyciele usiłują przechytrzyć wysokie balkony, otwory okienne itp. (KUR). W Kurdlandii jest osiem razy tyle samobójstw (LUZ).

III) Inne objawy tejże reakcji wykazują dopadacie, wpijocy oraz ochlofile, czyli tłuszczakowie. Usiłują się oni kryć przed synturą za ciałami osób trzecich. Ochlofile szukają ścisku w tłumie (tłuszczy), a dopadacze i wpijocy wpijają się w byle napotkanego (są to tak zwane konwulsyjne wzepiny niepopuszczalskie). Tłuszczaków

od wpijaków różni to, iż pierwsi działają pomrocnie i katatonicznie, toteż są traktowani jako chorzy umysłowo, drudzy natomiast stanowią sektę religijną i mają wczepiny za rytualny akt autentycznej (niewbechtanej) miłości bliźniego.

Grzebiizm rodzinny przejawia się jako wygrzebywanie, przez ojca najczęściej, dołu tak głębokiego, by dotrzeć do niezbystrowanej gleby, po czym grono rodzinne osiada w nim na stałe.

IV) Skrajny wyraz postaw antysynturalnych to ukradkowe samobójstwo porcjowane. Akt rozpoczyna się zazwyczaj od niewinnego z pozoru obgryzania paznokci.

Ponadto działają na terenie PZL indyści (indyferentyści), którym jest wszystko jedno, byle było to sprzeczne z założeniami syntury. Zasadzają się oni na upatrzonych, np. na matrony będące matkami wyższych funkcjonariuszu państwowych, zniechęcają młodzież szkolną do używania lubociągów, zanieczyszczają usilnie środowisko życiowe, psują osobom niedołęzonym i starcom ich osobiste wybieraki, a takie trują, szkalują i wicherzą. MSZ, niezdolne temu zapobiegać, zleciło Ministerstwu Przemysłu Lekkiego wszywanie czujników doloratorowych (bobików) do bielizny osobistej; czujniki te, zaprogramowane w ramach prewencji penitencjarnej (prepent), wykrywając złe zamiary nosiciela bielizny, powodują ciężkie ataki ischiasu. (Zapobieganie doloratorowe złu).

Nieskuteczność tej praktyki doprowadziła do monstrialnej eskalacji legislacyjnej (KUR). Kto przechytrzywszy bólniki, zdaltniki, zmory, łagodyzery itp., popełnia przestępstwo w recydywie, zostaje wymóżdżony i obrócony neuralną preparacją perpetuacyjną (nerperpacją) w udrękowca dożywotniego. Skazaniec, a właściwie jego neuropreparat, wystawiony na widok publiczny pod elektropręgierzem, wydaje ryki bóleści, wzmacniane przez megafony, do których są podłączone pnie nerwowe jego exkrtani. Nauko luzańska dba o pełne wykorzystanie pojemności przesyłowej bólowych włókien dzięki odpowiednim obliczeniom (KUR). Hałasy te pochodzą z młodzieżowych dyskoteek; wszystko inne to nikczemna potwór nie przebierającej w środkach wrogiej propagandy kurdlandzkiej (LUZ).

Było już dobrze po północy, gdy wstałem od wsadu, przerwawszy dalszą lekturę, bo miałem w głowie zupełny mętlik. Pływały w niej prognozy kurdlandzkie o zagrażającej Luzanii bezludnej wojnie domowej bystrów z antybystrami czyli syntury z antysynturą, przeplecione ponurymi rewelacjami luzańskimi w kwestii miastodontów jako k r o c z ą c y c h więzień (KROWIE). Promiłki (protezy miłości bliźniego), etyfikacja środowisko i jego antyzoficzne paskudzenie, bomby złoślinowe, jurnhroy, odchutnie, preparaty detrogentowe, czyli odterroryzujące, matkoidy, przeciwbracia, wnyki teściolowcze, mordaliery, wydromanse i tysięczne równie zagadkowe hasła krążyły w mym nieszczęsnym mózgu istnym Maelstromem. Stałem przy oknie i z szesnastego piętra patrzałem na pogodnie śpiącą Genewę, przytłoczony niepewnością, czy uda mi się dotrzeć do prawdy o planecie, którą tak pochopnie i prostodusznie odfajkowałem niegdyś w mych raptularzach. Ledwie jakiś BAM, MUZG czy MNIAM nazwał Amortadele cytadelami pierwszej miłości, już KUR czy BOM określał je jako mielonkę, czyli rodzaj wędliny. Toż nie dowiedziałem się nawet, czy Encjanie są jedno-, dwu- czy więcej płciowi, bo i w tej materii panowała wielość sprzecznych poglądów. A przy tym doskwierała mi myśl, jak koszmarnie zblaźniłem się ongi, biorąc jakieś satelitarne wesołe miasteczko za planetę, a toczące się w nim zabawy i igraszki za dramatyczne zjawiska związane z deszczem meteorów. Rozumiałem przynajmniej, czemu tylko ja tak przeżywałem STRUM, z którego tubylcy nic sobie nie robili; zachowałem się jak dzikus, który woła w teatrze z widowni do Otella, żeby pilnował się Jagona i za Boga nie dusił Desdemony. Od tej świadomości gorąco buchnęło mi w policzki. Postanowiłem zmyć hańbę, żeby nie wiedzieć co. Przysiągłem sobie, że nie spocznę, póki nie dotrę do

oryginalnych źródeł, nie. zamaconych bezmyślną, a rzekomo bezstronną pracą komputerów. Jużem się dowiedział, że to nie będzie łatwe, bo dostępu do archiwów Cielca mógł mi użyczyć tylko niejaki doktor Strümpfli, tajny radca w MSZ, podobno człowiek bardzo trudny w obejściu, fanatyk przepisów i bezduszny formalista — jednym słowem Szwajcar. Profesor Gnuss uczynił dla mnie, co mógł. Wyjednał mi nazajutrz spotkanie ze Strümpflim w cztery oczy, cała reszta, czyli pokonanie oporów biurokratycznych, należała do mnie. Westchnąwszy ciężko, spróbowałem wysączyć z termosu resztkę kawy, lecz było tam tylko trochę zaschłych fusów na dnie. Nie wiem czemu wydało mi się to zwiastunem porażki, czekającej dopełnienia w biurze radcy. Obrzuciłem ponurym spojrzeniem gabinet, włożyłem do ust pastylkę miętową, bo mdliło mnie, nie wiem, czy od cordon bleu, który zjadłem na obiad, czy od wsadu, i poszedłem spać.

\* \* \*

Strümpfli przyjął mnie lodowato. Dyplomata tej rangi — tajny radca rzeczywisty — ma oczywiście sztukę spławiania interesantów w małym palcu, toteż nic bym nie wskórał, gdyby nie mój dobry traf. Żeby mnie odprawić z niczym, musiał bowiem na mnie spojrzeć, a ja popatrzyłem na niego — po czym poznaliśmy się, nie w okamgnieniu, bośmy się nigdy w życiu nie widzieli, lecz stopniowo, błędząc po sobie wzrokiem — poznałem go zrazu najpierw po krawacie, a właściwie po sposobie, w jaki go wiązał, a on mnie, dobrze nie wiem po czym, lecz nieomal równocześnie zachrzękaliśmy potem uśmiechnęli się z pewnym zażenowaniem, wątpliwość nie wchodziła w rachubę. — Ależ to on! — pomyślałem i jemu to samo musiało przemknąć przez głowę. Zawahał się, podał mi rękę przez biurko, lecz tego było nie dość w powstałej sytuacji — przez ułamek sekundy wsłuchiwał się w siebie — na szyję paść mi nie mógł, tego byłoby za wiele — więc, powodowany instynktem dyplomaty, wyszedł zza biurka, wziął mnie kordialnie pod rękę i poprowadził w kąt gabinetu, ku wielkim skórzanym fotelom. Na obiad poszliśmy razem, potem radca zaprosił mnie do siebie i rozstaliśmy się koło północy. Skąd to wszystko? Ano stąd, że mamy wspólną dochodzącą. Nie jakiegoś autogarnkotłuka, lecz autentyczną, żywą, krzątliwą, której usta się nie zamykają, toteż bez przesady mogę rzec, że znamy się z radcą, jakbyśmy beczkę soli zjedli pospołu. Mając się za osobę dyskretną, nie wymieniła nigdy jego nazwiska, mówiła zawsze „radca”, a jak o mnie do niego, nie wiem i nie pytałem, boż byłoby głupio, lecz i tak nasza znajomość wymagała szczególnie na początku obustronnego taktu, zwłaszcza na mnie spoczywała duża odpowiedzialność, bo bywaliśmy przeważnie w jego mieszkaniu, musiałem się więc pilnować, byle spojrzenie na komódkę, na dywanik u szezłaga, u obcego niewinne, stawało się, ponieważ moje, aluzyjne, znaczące — alboż to nie wiedziałem, co zawiera komódka, co się wytrzepuje każdego poniedziałkowego ranka z owego dywanu... Tak więc nasza zażyłość trwała w specyficznym zagrożeniu i zrazu nie wiedziałem, gdzie podziać oczy, rozważałem nawet, czy nie przychodzić w ciemnych okularach, lecz byłoby to faux pas, zaproponowałem więc kawę u siebie, lecz nie był jakoś skory mnie rewizytować. Namysłiwszy się na osobności, doszedłem tego, że nie szło o materiały, które miał u siebie — pozwolenie na dostęp do tajnych archiwów wymagało nie tylko jego zgody, ale wziął dalsze formalności na siebie — lecz że wystawiał mnie raczej na próbę, bo u mnie on musiałby się bardziej mieć na baczności. Jakkolwiek nieobecna dochodząca patronowała przecież tym spotkaniom, doskonale wiedziałem, jak skomentuje nazajutrz stan małego baru, popielniczek, obaj mieszkaliśmy niczym starzy kawalerowie, a takim żadna dochodząca nie przepuści, niczego za oczami nie daruje, przy czym wiedziałem, że on wie, że ja wiem, co ona powie, toteż na zaminowanym terenie nie poruszałyby się z taką subtelnością, jak w mieszkaniu radcy, bo nad każdą kroplą puszczoną na obrus rozlegał mi się w duszy jej komentarz, a to nie jest

kobieta przebijająca w słowach, lecz trzeba jej ulegać, skąd wziąć inną, toż przepytuję; nieraz krytycznie omawiała przede mną sposób bycia radcy w łazience, kwestię mydełniczek zwłaszcza, no i tej sprawy z zatkanym zlewem, i tych małych ręczników, przy czym od okazanej nieuwagi mogła po prostu pójść sobie i nie wrócić, a jak trzeba było pamiętać o jej imieninach, u mnie była na to zbyt krótko, lecz u radcy od lat, z upominkami kolosalne trudności, bo to nie piła, nie paliła, nic słodkiego, skąd, jakoby początek cukrzycy, cały plik analiz moczu w torebce, musiałem czytać, a przynajmniej udawać, że czytam, i nie wolno było bagatelizować: ślad białka to nie jest nic — i znów wracała do radcy; kosmetyczka, czy może torebka, nie powiem, brała, bodaj żeby wybrzydzać przede mną: takie kolory, w moim wieku, co sobie myśli, czy ja się w ogóle maluję? — czułem się jak na scenie. Grała każdemu z nas sztukę o drugim, istny teatr wyobraźni, a jak się spieszyła u mnie pod koniec sprząwania, żeby go zastać w domu, nie zносиła pustych pokojów, musiała mieć słuchacza, niełatwo to szło, aleśmy się obaj starali, każdy u siebie, bo cóż, dochodząca w dzisiejszych czasach wprost rozrywana, a już ta była jak ze sceny, musiała być z powołania artystką dramatyczną, której się nie powiodło, bo jej nikt tego powołania nie wyjawiał, a sama się, chwała Bogu, nie domyśliła. „Homo sum et humani nihil a me alienum puto”. Życzliwość życzliwością, a głowę bym dał, że radca się tak zaangażował w moją sprawę, tak mi pomagał z tą biblioteką ministerialną, bo już wtedy liczył na to, że gdy wyjadę (prędzej wyczytał mi to postanowienie z twarzy, nim zdążyło mi się skryzalizować w duchu), będzie ją miał sam — zrozumiałe, choć bodaj zwodnicze pragnienie... Łaknął wyłączności, przemiany ulotnej dochodzącej w osiadłą pomoc domową i wiedział, że gdyby mnie zamknięto (bo jako bratniej duszy wypowiadałem mu się z Küssmicha, zamku, odżywki dla niemowląt i nawet łyżeczek), nie zagnałby chwili spokoju, gdyż zaprzestawszy mi sprząwać, poczęłaby mnie przed nim idealizować, stawiać mu za nieosiągalny wzór, żeby się poczuł . gorszy. Musieliśmy się zaprzyjaźnić, nie było innej rady, toż lepiej, gdy intymne sprawki zna ktoś bliski niż obcy, a bodaj jeszcze nieprzychylny, zaiste nie mieliśmy przed sobą tajemnic, żaden psychoanalityk nie schodzi w taką głęb duszy jak dochodząca (jakie pomięte dziś prześcieradła, co to się też przyśniło?), jednym słowem gra toczyła się w otwarte karty, choć wspólnie wysilaliśmy się udając, że nic podobnego. Parę razy radca zaprosił poza mną dyrektora gabinetu Cielca i dwóch ekspertów z archiwistą, tak że prawie całe kolegium debatowało nad ptifurkami i kawą w jego mieszkaniu, jak udostępnić mi wszystko, ale to wszystko bez żadnych wyjątków; z tego co mówili, rozumiałem chwilami jeszcze mniej aniżeli ze wsadu.

Najtrudniej przyszło im ustalić, w jakim właściwie charakterze mogę wejść do archiwów. Pierwoodkrywca planety — tłumaczył mi cierpliwie mgr Schwiegerli z wydziału personalnego — to tytuł do chwały bardzo piękny, ale dla czytanek szkolnych, bo w ministerstwie nie znaczy nic. Nie jestem przecież ani biegłym, któremu departament obserwacji Cielca dał pracę zleconą, ani członkiem rady przy ministrze, ani nawet dokooptowanym z zewnątrz bezetatowym ekspertem. Jestem osobą prywatną, a taka nie ma w MSZ nic do szukania, równie dobrze mógłby się o wstęp do archiwów i o dostęp do tajnych akt ubiegać nocny dozorca. Tajność akt to nie tylko postawiona na nich pieczęć, to znak sprawy służbowej w nadanym jej biegu lub znieruchomieniu, bo niekiedy taki bieg to właśnie pochówek; więc wysilali umysły nad czarną kawą radcy, żeby znaleźć przynajmniej pretekst, jeśli nie przepis, który otwarłby przede mną drzwi Sezamu. Jak się prędko zorientowałem, wszyscy ci wyżsi i niżsi urzędnicy MSZ nie mieli o Encji zielonego pojęcia, tak samo jak o astronautyce, bo to nie podlegało ich gestii, i zdarzyło mi się słyszeć, jak zamiast Cielec mówili wołowina. Na koniec Strümpfli zrezygnował z dalszych konsultacji, polecił mi czekać w domu na telefon i po trzech dniach obwieścił triumfalnie, że zwycięstwo jest nasze. Konieczny warunek, abym przychodził do głównego gmachu wyłącznie nocą i opuszczał go przed świtem, przyjąłem naturalnie bez jednego słowa, rozumiałem już bowiem na tyle delikatność przedsięwzięcia, że mogłem mu tylko być wdzięczny. Noce miały się



zatem stać moim czuwaniem, po godzinach urzędowych miałem wreszcie zgłębić wszystkie tajemnice innego świata.

Nabyłem największy, jaki się dało, termos na kawę, podręczną torbę z przegródkami, upchałem w niej keksy, słoik z marmoladą, bułeczki, płaską flaszkę martella, którym poi się ciężko rannych na polu chwały, gruby zeszyt i w ostatniej chwili dołożyłem tam zapomnianą, symboliczną wręcz, choć całkiem rzeczowo i zwyczajnie niezbędną — łyżeczkę.

## ŹRÓDŁA

Tak więc Strümpfli, zdobywszy po temu nieoficjalną zgodę dyrektora departamentu Cielca, wprowadził mnie nocą, po skończonym urzędowaniu, do archiwum encjańskiego i w pierwszej sali bibliotecznej udzielił mi osobiście wyjaśnień, jak mam korzystać ze zgromadzonych tam materiałów.

Dane dotyczące planet nie zamieszkanymi magazynuje się, jak mnie uświadomił, dość prosto, parcelując je potrójnym kluczem. Najpierw idą raporty pierwoodkrywców, siłą rzeczy błędne, potem wyniki specjalistycznych ekspedycji, gdzie już dochodzi do rozwidleń w pomyłkach, bo nie bywa, żeby się fachowcy zgadzali ze sobą, więc zjawiają się vota separata, koreferaty i kontreferaty, dalej przychodzą ekspertyzy rzeczoznawców ziemskich, czyli ludzi, co nogi nie postawili na żadnym statku kosmicznym, nie mówiąc już o innych globach, więc od ich opinii, jako gabinetowych i bezwartościowych, składają omszali w bojach kosmonauci–badacze odwołania, postulaty superrewizji i protestacyjne atestaty, co pociąga za sobą planowanie następnych wypraw, ucinane w połowie lub u końca drogi służbowej przez buchalterię, bo podług niej znacznie tańsze są komisje rozjemcze i arbitraż na miejscu, i na tym się zwykle spór kończy, chyba że jakiś dostojnik, osobliwie wpływowy lub ambitny, pragnąc:] się uwiecznić przez związanie swego nazwiska z nowym ciałem niebieskim, dokończąc się nadzwyczajnej subwencji, wszelako sprawa tak czy owak traci wówczas wszelkie znaczenie dla MSZ, skoro wiadomo, że żadnych stosunków się nie nawiąże, bo nie ma z kim, więc akta idą do archiwum z sygnaturą Nolo Contendere naczelnika odnośnego wydziału.

Gorzej z planetami zaludnionymi. Przy nich bardzo wcześnie już dochodzi do pomieszania materii astronautycznej z polityczną, bo każda obca cywilizacja wytwarza co najmniej tyle wersji swych dziejów, ile w niej państw; są to wersje niespójne, wręcz diametralnie sprzeczne, lecz MSZ jawnie nie może żadnej kwestionować, boż byłaby to prosta droga do konfliktu ante rem; akceptuje się tam prima vista wszystkie i potem dopiero przychodzi praktyczne ustalanie, co z tymi fantami zrobić. Pragmatyka dzieli gwiazdy na te, co się oddalają od naszego słońca, i na takie, które się ku nam zbliżają: z pierwszymi nie ma problemów, bo i jak mogłoby dojść do zbliżenia dyplomatycznego wobec rosnących astronomicznych dystansów; uwagę służbową skupia się natomiast na drugich, i do takich właśnie należą układy planetarne Tauri. Tutaj obowiązuje podział materiałów na oficjalne i prawdziwe, czyli jawne i tajne; kurs polityczny trzeba wszak ustalać podług tego, jak tam JEST, a kroki dyplomatyczne stawiać zgodnie z tym, co oni TAM o tym mówią.

Jeśli na planecie jest osiemnaście państw (a to w skali kosmicznej pestka), tylko naiwny oczekiwałby osiemnastu wersji jej spraw wewnętrznych; prócz dzieł historyków oficjalnych są wszak orzeczenia historyków tolerowanych, ewentualnie kaźnionych i rehabilitowanych post mortem, jako też dziejopisów — krytykantów i obraźowiaczy, którzy, niestety, ulegają nieraz perswazjom duchowym bądź fizycznym i zmieniają swe diagnozy w następnych wydaniach, bo, dajmy na to, mają żony i dzieci, jeśli dopuszcza to tameczna biologia, zresztą instykt samozachowawczy ma każde istnienie rozumne, więc nie warto zbyt długo deliberować nad tą komplikacją historiografii galaktycznej. Na tak utworzony stos wariantów kładą się cetnary kronik, obrazujących los danego państwa piórami historyków sąsiedzkich oraz sąsiadów; jak wiadomo, pierwszą wojnę światową nazwali Chińczycy wojną domową Europejczyków, i to jest całkowicie zrozumiałe, lecz też obraca prace MSZ w zmagania z labiryntem pełnym zasadzek i zagadek, gdyż, jakby powiedzianego było nie dość, przychodzą nowe raporty, nowych wypraw, a kiedy wraz z misjami dyplomatycznymi udadzą się TAM handlowe, zainteresowane bardziej w obrotach niż w prawdzie historycznej, znów trzeba subtelnych uzgodnień. A kiedy nareszcie jakoś się wszystko uładzi na miejscu, następują

przełomowe zmiany i całą robotę trzeba zaczynać od początku, bo pomniki czczonych dotąd włodarzy leżą z piedestałów, zbrodnicze demony i potwory okazują się bohaterami i przywódcami narodowymi, peany na cześć i pisma uwieczniające po wsze czasy zasługi monarchów czy poliarchów tracą aktualność i ładnie by wyglądał ziemski dyplomata, który przy wręczaniu listów uwierzytelniających pomylił fazę.

Zdumiony tymi objaśnieniami, nie mogłem powściągnąć pytania, czy doprawdy Ziemia nawiązała już stosunki z takim rojem planet, co stwarza tyle najcięższych kłopotów erneszetowi, boż w Instytucie mówiono mi o treningowym charakterze obecnych prac. Strümpfli popatrzał na mnie z niedowierzaniem, jakby mu się zdawało, że nie dosłyszał, i powoli, wyraźnie, żebym lepiej zrozumiał, wyjaśnił mi niedorzeczność tkwiącą w pytaniu. Ministerstwo Spraw Zaziemskich urzęduje w oparciu o posiadane akta spraw i tyle. Jedynie temu, kto nie ma zielonego pojęcia o urzędowaniu, może się wydawać, że w tej pragmatyce tkwi coś nadzwyczajnego, niedowarzonego czy zgoła niepoważnego. Przecie cała historia polityczna Ziemi składa się z pomyłek i ich konsekwencji; od zarania dziejów państwa stawiały na fałszywe karty, robiąc to, co NIE leżało w ich najlepiej rozumianym interesie; toteż na politykę składają się błędne oszacowania przeciwników, a częściej jeszcze robienie przeciwników z potencjalnych przyjaciół, wskutek nieporozumień i myślowego niedowładu. Zarówno podboje jak i klęski wynikały z niewłaściwych antycypacji, skoro na ogół zwyciężeni wychodzili z klęski w lepszym stanie od zwycięzców, a jeśli nie było tak od razu, to po pewnym czasie. Polityka dotyczy bowiem zająć przyszłych, których przewidzieć z pełną trafnością nie można, a polityk wytrawny to ten, kto wie o tym doskonale i robi swoje z patriotyzmu, poczucia obowiązku oraz wyższej konieczności dziejowej. Więc Ministerstwo Spraw Zaziemskich nie weszło na jakąś całkiem odmienną drogę, lecz działa tak samo, jak zwyczajne ziemskie emeszety, tyle że margines nieuchronnego błędu uczestniczącego w urzędowaniu powiększył się astronomicznie. Czy nie wiadomo mi o tym, że krytyczne decyzje, przesądzające o wojnach światowych, zapadały przy całkowitym nieuwzględnieniu raportów i innych niepodważalnych dokumentów wyjawiających, że wojny wypowiedać nie należy? Jakież znaczenie może mieć zatem to, czy podobne raporty i dokumenty są autentykami, czy fantomami? Jak miałyby właściwie ta różnica wpłynąć na tok urzędowania?

Udzieliwszy mi tonem dobrotliwym, lecz kategorycznym tej admonicji, Strümpfli przestrzegwał mnie przed tykaniem głównego katalogu, bo ma ponad 40 000 pozycji, więc tylko się w nim zagubię. Wręczył mi kartkę z najważniejszymi tytułami, przygotowaną przez życzliwego magistra Brabandera, poklepał mnie po ramieniu, uśmiechnął się i poszedł spać, zostawiając mnie sam na sam z bibliotecznym labiryntem.

Mając kartkę radcy za nić Ariadny, zawahałem się przez chwilę między termosem i piersiówką, wychyliłem wreszcie haust koniaku, by dodać sobie odwagi, i wziąłem się do harówki, literalnie zakasawszy rękawy, gdyż najstarsze raporty pokrywał grubą warstwą kurz, a nie chciałem sobie zbyt pobrudzić koszuli; nawet w tym miejscu zdawał się czuć nade mną niewidzialnie zręczliwy duch dochodzącej. Notatka radziła mi zacząć od „Dziejów powszechnych” Msimsa Pittiliquastra, prehistoryka luzańskiego, ale z czystej ciekawości sięgnąłem po najstarszy, pożółkły fascykuł papierów. Był cienki. Na przybrudzonej arkuszu widniały nieporządnie nalepione wstążki telegraficzne czy może telexowe; chyląc głowę nad dostojnym tekstem, odczytałem nie bez trudu wypłowiałe słowa:

CIELEC. GAMMA. DO CHOLERY PLANET ALE DZIĘKI BOGU BEZLUDNYCH W PERYHELIUM BŁOTNE W AFELIUM ZALODZONE. WSZYSTKO PASKUDNA ENTROPIA I TYLE STOP ZAŁOGA MA DOSYĆ STOP OBSKOCZYMY JESZCZE JEDEN PARSEK I DO MAMY STOP ZA PIERWSZEGO JANKIPAS I FILERGUS STOP. PO POWROCIE PORACHUJEMY SIĘ ZE STOCZNIA CZEŚĆ STOP KONIEC

Tekst był na krzyż przekreślony czerwonym pisakiem. Niżej widniał ręczny dopisek: „Szóstka zamieszkała wnoszą o wstrzymanie premii tym bumelontom”, i nieczytelny podpis.

Jeszcze raz spojrziałem na archaiczny astrotelex i łuski spadły mi z oczu: pojąłem, że nazwa ENTEROPII poszła po prostu od „paskudnej entropii”, przekreślonej przez jakiegoś kancelistę. Była tam jeszcze druga kartka, a raczej formularz delegacji służbowej z podczepionym rachunkiem hotelowym, na którym siniała pieczęć „NIE UZNANE”. Na odwrocie delegacji napisał ktoś niewyraźnie: „Przez kuriera z immunitetem. Satelita szóстки to syntelita kamuflażowy zapewne Dystraktor Przechwytywania Cudzoziemców, pusto—ścienny, nadymany w razie potrzeby. Zalecona ostrożność, bo ze względu na makiety KURDLI uważany jest przez część tuziemców za księżyc prowokacyjny. Szczegóły p. aide memoire mój szyfr TZG/56 Eps. Robię co mogę. Nie protokołować. Nie publikować. Nie urgować. Spalić. Rozsiać komisyjnie popioły”. Następował zapewne podpis, zalepiony pomarańczową karteczką z nadrukiem UTAJNIĆ.

Pożegnałem więc westchnieniem ów prastary tekst, odczuwając zarazem ulgę, że nie zblądziłem się biorąc zwyczajny latający Lunapark za planetę, skoro był to specjalny satelita dystrakcyjnego przechwytywania. Jednocześnie pomyślałem, że poznam tu nareszcie zagadkę sepulek, która dręczyła mnie przez lata, lecz ogarnąwszy spojrzeniem rzędy szaf bibliotecznych i ksiąg pod zamkami (ale radca zostawił mi wielki pęk kluczy), zreflektowałem się, że nie przyjdzie mi to łatwo. Następna teczka, którą otworzyłem, też była pokryta grubą warstwą kurzu. Odstawiłem ją niezwłocznie na półkę, zawierała bowiem jakieś historie chorób z lecznicy psychiatrycznej. Dziwiłem się, co ją tu zaniósło, aż tknięty nową myślą wyjąłem z niej plik przyżółkłych kart i zacząłem przeglądać je stojąc. Znalazłem atestat lekarski, stwierdzający u załogi „Rhamphornychusa” zbiorową psychozę halucynatoryczną, zespół dementywno–progresywny i znaczną agresywność wobec otoczenia, przejawiającą się w stawianiu czynnego oporu terapeutom i służbie pielęgniarstwu. Diagnoza uznawała chorobę za zawodową i wnosiła o przyznanie renty inwalidzkiej. „Rhamphornychus” miał przy pomocy dwóch ładowników zbadać sejsmiczny płaskowyż półkuli północnej oraz wielkie nizinne obszary podmokłe strefy umiarkowanej. Deluzje obu grup badawczych były jednakowo uporczywe, lecz całkowicie różniły się treścią. Ludzie z rekonesansu moczarów utrzymywali, że mieszkańcy planety spędzają całe dni po szyję w błocie, wieczorami zaś wynurzają się i nucąc z cicha, wążą na siebie na suchszym miejscu, niczym cyrkowcy w akrobacji parterowej, tworząc żywe kolumny, a po nich wążą inni, i tak powstaje pewna ilość grubych nóg, przy czym wspinanie się trwa, aż spleceni nogami i rękami utworzą coś jakby podobiznę słonia czy mamuta z obwisłym brzuszyskiem. W tak zespolonej postaci oddalają się ze śpiewem na ustach w niewiadomym kierunku. Próby wypytywania tych, co odpadli po drodze, nie powiodły się mimo użycia najsilniejszych translatorów, indagowani dawali bowiem nurka w błoto, i z ich fragmentarycznych okrzyków można było się tylko dorozumieć, że olbrzymi stwór, jaki tworzą dzięki powszechnemu wczepianiu, zwie się Kuradłem lub Kurasiem, a może Kurczęciem Bładym. Nie jest jednak wykluczone, że oni sami siebie zwą kuradłami lub może kurczydłami. Natomiast objawy psychotyczne, produkowane przez członków grupy północnej, były znacznie bogatsze. Jedni zwiadowcy mieli dostać się do wielkiego kompleksu zabudowań bez drzwi czy okien, stwierdziwszy, że trzeba z jakimś rozpędem ruszyć na ścianę, która wtedy przepuszcza do środka. Nim rozeszli się jeszcze w poszukiwaniu tubylców, zostali zaatakowani przez watę względnie watolinę, jako też luźno zszyte albo może sfastrygowane sztuki odzieży w rodzaju fufajek, które mając liczebną przewagę, wyparły ich na dach, skąd ratowali się taktycznym odwrotem na ładowniku. Inni utrzymywali, że powiodło im się lepiej. W wielkim parku, pełnym spacerujących leniwie drzew, natknęli się na grupę małych krajowców i dwu lub trzech większych, którzy na ich widok uciekli. Mali natomiast, uznani przez nich za miejscową dziatwę szkolną, nie zdradzając lęku ani zaskoczenia usiłovali wdać się ze zwiadowcami w rozmowę, z czego nic jednak nie wynikło, bo translatorzy zamiast mówić, wydawały tylko odgłosy podobne do beczenia. Niemniej, owe rzekome dzieci przystały chętnie na wspólną

fotografię z ludźmi i obdarowały ich na pożegnanie sporą ilością zagadkowych przedmiotów. Zwiadowcy musieli się jednak wycofać, bo doszły ich sygnały alarmu wysłane przez grupę błotnego rekonensansu. Zdjęcia się nie udały, albowiem jak stwierdzono już na pokładzie „Rhamphornychusa” aparaty fotograficzne uległy takiemu uszkodzeniu, jakby je poddano działaniu wysokiej temperatury. Soczewki obiektywów popękały i stopił się też film. Pytani, co się stało z rzekomymi podarunkami, które mieli otrzymać, twierdzili, że w pojemnikach, do których je załadowali, nie było nic prócz znikomej garstki szarawego pyłu. Żaden z badanych nie miał poczucia choroby psychicznej. Tej diagnozy nie postawiono pochopnie. Dowiedziono eksperymentami, że aparaty fotograficzne zostały poddane silnemu nagrzewowi, prawdopodobnie w kuchennych piekarnikach statku, choć się do tego choroby nie chcieli przyznać. Spektroskopowa i chromatograficzna analiza pyłu, w jaki miały się jakoby obrócić podarunki, wykryła pierwiastki właściwe dla wszelkiego rodzaju zmiotków, śmieci itp. Choć tak staranne analizy zadawały kłam ich słowom, chorzy utrzymywali z uporem, że zetknęli się z mieszkańcami planety, którzy, z dala człekokształtni, z bliski bardziej przypominają skrzyżowanie strusia lub emu z pingwinem, poddanym kuracji odchudzającej. Mogą chodzić jak ludzie, lecz mogą też poruszać się skokami trzymając obie nogi razem jak wróble, albo jak dzieci grające w tak zwane klasy. Nie potrafią usiąść jak człowiek, gdyż kolana ich zginają się do tyłu jak u ptaków, toteż dla spoczynku kucają. Noszą się kolorowo, a na twarzach mają, jak można sądzić, maski, bo potrafią je zdejmować, i wtedy ukazuje się dość odrażające wyglądem oblicze o szerokim czole, z rozstawionymi oczami, całkiem okrągłymi, a tam gdzie mamy usta i nos, oni mają wyłupiaste wzniesienie z otworami jak gdyby nozdry. Po odosobnieniu w lecznicy agresywność nieszczęsnych znacznie się wzmogła. Następowala lista urządzeń szpitalnych zdewastowanych przez nich w atakach szału.

Komisja, powołana do zbadania tej sprawy, rozpatrzywszy czterdzieści osiem różnych hipotez, uznała za możliwe nagły wybuch masowej psychozy rozmyślnie indukowany przez obcą cywilizację, broniącą się w ten sposób przed niepożądanym wtargnięciem. Planeta została tedy objęta kwarantanną i gromadzone potem materiały uzyskano wyłącznie dzięki nawiązaniu kontaktów radiowych z typowym dla nich opóźnieniem w czasie. Właściwie rad byłem nawet, doszedłszy do tego miejsca tajnych raportów, że wszystkie dalsze informacje o Encji i Encjanach pochodzą wprost od nich, nie będą zatem zniekształcone uprzedzeniami właściwymi ludziom. Niemniej czekała mnie ciężka i długa robota, bo objawiając niemały altruizm kosmiczny, Encjanie przekazali nam setki swoich dzieł, traktatów, podręczników, a nawet gazet i innych druków ulotnych.

Uznałem za rozsądne rozpoczęcie ich lektury od podręczników historii, i to najstarszych, ażeby pójść niejako śladem naturalnego rozwoju społecznego, a zarazem umysłowego nieznanymi istot. Miejscem mych zmagania z sążnistymi tekstami stało się biurko, porządnie oświetlone nisko zsuniętą lampą. Mając po lewicy termos, a po prawicy keksy, zabrałem się do pierwszego tytułu, włożywszy jeszcze na wszelki wypadek odkręconą piersiówkę koniaku do wysuniętej poręcznie szuflady, tak żem mógł po nią sięgnąć na oślep, nie odrywając oczu od gęsto zadrukowanych stronic. W ogromnej bibliotece było cicho jak makiem zasiał. Prócz szelestu przewracanych kartek rozlegały się w niej od czasu do czasu moje ciche westchnienia, z upływem godzin coraz bardziej podobne do powściągniętych stęknień, bo też za nielekka wzięłem się sprawę. Jak to mam we zwyczaju, przejrzałem najpierw bibliografię, zamieszczoną na końcu studiowanego dzieła, i dała mi poniekąd do myślenia, bo nazwiska uczonych cytowane przez encjańskiego historyka brzmiały: Tzirtzwarraquax, Tirrlitriplrirlipitt, Qiuqiuxix, Quorrstiorrquiorr, Cwidtderduduck, i podobnie. Nie należy niczego przesądzać przedwcześnie, rzekłem sobie i spojrzałem na kartę tytułową.

Były to „Dzieje Encji” pióra znakomitego ponoć historyka kurdlandzkiego Quaquerli. Radca polecił mi je jako niezgorszy wstęp do dalszych studiów, ale na widok nazwiska

autora, rymującego się wyraźnie ze szwajcarskimi, przemknęła mi obłąkańcza myśl, że Strümpfli dlatego mi je doradzał. Oczywiście brednia, świadcząca tylko o stanie mego ducha. Poszedłem za radą, bo wydała mi się rozsądna. Nie potrafiłbym co prawda orzec, która część wsadu była mniej zrozumiała, kurdlandzka czy luzańska, lecz coś mówiło mi, że dziwaczna, wręcz unikalna kultura miastochodów jako zasiedlonych żywych stworzeń musi być bliższa Natury i tym samym mniej sztuczna niż cywilizacji tak wysokiej, że tchnęła rozum nawet w glebę i kamienie. Natura, przez swoją kosmiczną powszechność, miała być spójnikiem i wejściem w obcą historię. Myślałby kto, że rzucę się łąpczywie na owo grube dzieło, pochłaniając stronicę po stronicy, a tymczasem stałem jak niezdecydowany kąpielowicz nad przerębłem, aż wreszcie, wciągnąwszy powietrze do płuc, wziął się do czytania.

Początki życia na Encji opisywał Quaquerli bardzo uczenie, ale i dość zwyczajnie. Jak tłumaczył, życie rodzi się wszędzie tak samo. Pierwej w niebywale powolnym rozwoju ocean musi przybrzeżnie skisnąć w kisielkową chlustwę i ciche fale sulają ją przez wieki, a to i tysiąclecia, nim z tego mięsiwa wyłoni się kurczliwa mlazgroć, która po niezliczonych pokrętnych przygodach dociąpka się tam, gdzie jej mięsz zwapnieje w jakiś stelażyk. Quaquerli utrzymywał, że podług miejscowych warunków powstają na różnych globach różne istoty wyższe, jako to podług typów głównych ćpaki, ssaki i ptaki. Rozmnażają się też rozmaicie — przez pocieranie, zapyłanie, pączkowanie, a czasem, ale bardzo rzadko, absolutnie wręcz wyjątkowo, przez tak zwane szpuntowanie, do którego na Encji, jako na planecie normalnej, nie doszło. Pochodząc od wielkich ptaków bezlotów, Encjanie zwą siebie człakami, co niektórzy entropologowie wiążą z człapaniem po błocie, gdyż błota, bezkresne moczary i olbrzymie topieliska stanowiły tu pierwotną kolebkę życia. Wyjaśnia się to lokalną geografją. Encja krąży wokół swego słońca po silnie wyciągniętej orbicie, i w afelium ściska ją potężny mróz. Ocean podchodzi wszakże niezwykle rozległymi płyciznami pod brzegi kontynentu, na stokach błotnistego, lecz górującego w głębi wulkanami płaskowyżu sejsmicznego, i odpromieniuje zbawienne ciepło, które okresowo podsusza mokradła. Wszelako od tego gorącego regionu odstraszały wszystko co żywe nieustające dawniej erupcje wulkaniczne i siarkowe, wrzące gejzery. Przyszło się więc życiu osiedlić kompromisem między lodami oceanu i wulkanami .Taraktydy, w obszarze Wielkiego Błocanu. Tam to wylęgły się z łązów płazy, aż płazów przepelży i niedopelży. Te ostatnie, jak sama nazwa wskazuje, utoneły, bo nie dotarły na cieplejszą suszę, natomiast przepelży dały początek błockom. Błocki zrodziły błociany, co miały nie dość jeszcze długie nogi, a kto ma tam krótkie nogi, ten wnet grzęźnie i ginie z głodu. Błociany przekształciły się w błotniaki, błocieńce i błotniskowce. Było też skoczne błocie, lecz stanowiło ślepą odnogę, skoro niedowidziało i dlatego szczezło. Dalszy rozwój przystanął na milion lat, bo rozmnażać się w oślizgłym zimnym błocie to niewielka satysfakcja, toteż samce częściej udawały, że biorą się do rzeczy, niż czyniły to naprawdę, cisnąc się do samic raczej dla rozgrzewki. Tamtejsze błoto jest niezwykle lepkie, tak że stada przestały się ze wszystkim rozłączać. Łatwo pojąć, że dzięki temu powstawała z parki czwórka, z niej — ósemka i tak dalej, aż następne generacje wyolbrzymiały w zmoczydła, zmoczęta, zmoczki i — wreszcie — z m o k i właściwe. To właśnie ze zmoków narodził się potem kurdel. Zmoki miały wprawdzie uczciwie długie nogi — przeciętnie 6 do 9 metrów, lecz i tego mało, by utrzymać tułów nad powierzchnią mokradła, więc od taplania się i wałęsania po błocie ogon z brzuszyskiem zawsze są zmoczone, i żeby ratować się z tej opresji, gdyż błoto jest paskudnie zimne, zmoki jęły podwyższać temperaturę swych ciał, oczywiście nie umyślnie, jako zwierzęta bardzo tępe, lecz dzięki selekcji naturalnej najcieplejszych. Nie mogły wszakże przyspieszać dalej przemiany materii, boż w końcu ścięłyby się niczym jajko we wrzątku i kolejna mutacja uprzywilejowała wyrzucanie z paszczęki gazu, który od zgrzytania zębów (albo od szczekania zębami z zimna) zapalał się jak u nas gaz błotny na podmokłych torfowiskach. Odtąd zmok, żeby się nie zaziębić, zionął ogniem, który go przyzwoicie podsuszał, a wygodniej było się

nawzajem suszyć dwu zmokom, stojącym naprzeciw się co wykształciło pierwocinę altruizmu. Te pierwsze pyroforyczne zmoki nie były jeszcze ani w połowie tak wielkie, ich późny potomek — kurdel. Podsuszany dobrze zmok je się s m o k i e m . One właśnie, ziejące ogniem, zastąpiły Praencjanom niebo, z którego Prometeusz wykradł ogień. W legendach ich występuje mężna postać herosa, zwanego Gromaciejem lub Gromateuszem, który miał dokonać tego samego. Chwywane w zapadnie, były smoki używane do celów ogrzewczych w sadybach plemiennych wodzów.

Ale to się stało miliony lat później, za czasów mitycznego króla Topiela. Tymczasem w stadzie smoków chadzał zwykle jeden gigant—przodownik oraz mniejsze, zdominowane przezeń samce, lecz gdy nasiadał na nie zbyt okrutnie, zbijały się w kupe, udając kopulację, i dzięki temu trzy lub cztery zmoczki, szczepiwszy się, wspólnymi siłami dawały radę wielkiemu. Dialektyka ewolucji zmoków była taka, że kiedy się zbyt rozmnażały, udeptywały do sucha duża połać mokradła, lecz chodząc po twardym gruncie, udeptywały go w jałowe klepisko, niedostawało więc żarcia i ginęły z głodu. Wtedy mokradła brały górę, robiło się grząsko, błotne mchy rozkwitały i cały cykl powtarzał się od nowa. Gdy paszy było już bardzo mało, zmoki zaczynały pożerać się nawzajem z głodu, przy czym raziły się ogniem buchającym z paszcz, i tak nawiąły do pieczystego. Zmoczy kanibalizm doprowadził właśnie do powstania kurdli, gdy prakurdel był to po prostu zmok straszliwie przejedzony. Lecz prakurdel, ze względu na gigantyzm, nie okazał się zwierzęciem sprawnym ewolucyjnie. Miał zwłaszcza trudności w zorientowaniu się, gdzie sam się kończy i gdzie zaczyna się coś innego, nadającego się do spożycia, toteż samożerstwo, poczynając od ogona było zjawiskiem częstym, o czym świadczą paleontologiczne wykopaliska, gdyż prakurdel—samojed ginął, gdy zbyt się skonsumował, można to stwierdzić na szkielecie.

Potem małe smoki, obawiające się wielkiego, który zaczynał już się kurdlić, podtykały mu rozmyślnie takie egzemplarze, które wskutek długotrwałego tarzania się w porostach mokradłowych, takich jak wymiotnik pospieszny, niezapominajka torsjowa lub żygielnica rychłozwrotna, działały po połknięciu jak emetyk. Były to tak zwane nauzeaki, a nauzaniem zwie się podtykanie zmokowi wymiotnych zmocząt. Niebezpieczeństwo grożące tym zwierzętom było dubeltowe. Zbyt wielki kurdel—odnieniec łatwo sam siebie napocznął na dalekim perymetrze, a zbyt mały, ze względu na zwykłą dalekowzroczność, mógł się w ogóle nie zauważyć, po czym, sądząc, że go nie ma, przestawał żreć i zdychał. W tym miejscu właśnie ewolucyjny los kurdli definitywnie skrzyżował się z ewolucją społeczną Encjan, wywołał bowiem niesłychane skutki, jakich odpowiednika brak w całej Galaktyce.

W swoim eolicie, czyli epoce kamiennej oddawali Praencjanie cześć kurdlom jako istotom boskim, choć plugawym. Stąd symbolika kurdłowa weszła trwale do arsenału ich mitologii oraz legend i podań archaicznych; stąd wzięła się też późniejsza nazwa państwa jako kurdelstwa. Już wtedy zdarzało się, że kurdel łykał człowieka, więc Praencjanie, by uniknąć takiej śmierci, smarowali się w błotnych ostępach pastą wytwarzaną z roślin, podkradanych małym nauzeakom, wypatrzyli bowiem, w jakich roślinach tarza się takie bydlę, zanim podłoży się kurdłowi jako przynęta zniechęcająca do kanibalizmu. Ten, kto połknięty przez kurdla, opuszczał potwora cały, był otaczany szczególną czcią jako tak zwany Połykanin, więc gdy składano kurdłom ludzkie ofiary, smarowano je przy rytualnych pieniach pastą, tak że kurdel wprawdzie przyjmował ofiarę, lecz rychło zwracał ją z niesmakiem. Czy jednak zawsze tak postępowano, nie jest całkiem pewne. Podobno wytypowani nacierali się na własną rękę nielegalnie zdobytym wywarem mdlących ziół, nabywanych od plemiennych szamanów, co miało doprowadzić do powszechnej korupcji, bo w niektórych okolicach zwrócenie ofiary przez kurdla uchodziło za niedobłą wróżbę. Lecz w innych znów regionach Połykanin sam był szamanem albo i wodzem, skąd poszedł obyczaj, że kandydat na wodza musi dać się połknąć kurdłowi. Ten pasaż uchodził za formę rytualnej inicjacji. Kto nie chciał dać się połknąć wskutek małoduszności, nie mógł liczyć na żaden poważniejszy urząd w

gminie. Praencjanie, żyjący na zabłociach, zwali się już wtedy Człakami. Ich wierzenia były z naszego stanowisko bardzo dziwne. Najwyższą czcią otaczali kurdla, co sam się zżerał, w domniemaniu, że samojedztwo jest podniesieniem do potęgi (skoro kurdel jako istota boska wypełnia się są mym sobą, zostaje bóstwem do kwadratu). Olimp człackiej starożytności był gęsto zamieszkały, ze względu na wielość form kurdla i jego losów. Tak np. głodujący kurdel robi się coraz mniejszy i coraz bardziej zły, i to jest kurdel skundlony czyli kundrel. Powstają z nich kurdeludki, i to one, a nie sąsiedzi, zanieczyszczają po nocy obejście. A kukurdel to jest taki kurdel, który zjadł kundrła i rozeźlił się przez to, lecz nie zmałał. Czatuje on na wędrowców i zadaje im zagadki których nie można rozwiązać, bo nie można go zrozumieć mówi bowiem bardzo niewyraźnie. We wczesnym średniowieczu uznawali Człakowie nazwę „kurdel” za świętą i niewymawialną, nadając potworom imiona zastępcze jak Doerdel, Brrrdl, Merdel itp. Ich mity bohaterskie prawią o dzielnych, co się wkurdlili i wykurdlili za sprawą czarów, stąd poszła nawet herezja, która odwróciła znaki dotychczasowe wiary i ogłosiła kurdla wcieleniem wszelkiego zła i ohydy jednym słowem — monstrum rodem z piekieł (wejścia ich miały stanowić kraterzy wulkanów). Ponieważ średniowiecze trwało w Encji osiem razy dłużej niż na Ziemi, miało to ważne skutki dla rozwoju człackiej kultury. Laicyzacja rozpoczęła się w okresie wielkiego głodu, od polowań na kurdle, kiedy to grupa wojowników z dzirydami i włóczniami (ale były składane, żeby nie stanęły kurdlowi w gardle), mając pochowane za pazuchą torebki i mieszki z zieleń womitalnyrn, dawała się pochłonać, i nasmarowawszy się w żołądku owym ekstraktem, dźgała jego organy wewnętrzne, aż zaczynało mu się robić niedobrze i dostawał kolek. Niekiedy kurdel wydalął myśliwych przedwcześnie, niekiedy padał ginąc razem z nimi, to znów ginął wprawdzie, ale udawało im się wyjść na światło dzienne. Gatunek tak zagrożony począł ulegać dziwnym postaciom mimikry, były np. kurdle, które porastały trawą, a nawet ponoć krzewami i wyglądały jak kurhany, czyli mogiły człackich przodków, i stawały się dzięki temu nietykalne. Lecz nauce nie udało się ustalić, czy podania te zawierają żdźbło prawdy.

Uczyniłbym rozsądnie, nie odrywając się w lekturze od „Dziejów Encji” w wersji kurdlandzkiego uczonego, ale w tyłu miejscach pomstował na historyków luzańskich, opatrując ich nazwiska epitetami nędznych łgarzy, falsyfikatorów i potwornych demonów, aż zachciało mi się dowiedzieć, czym wywoływali takie wybuchy gniewu, i wyszukawszy kitka ich dzieł, odłożyłem tom, założywszy go w doczytanym miejscu łyżeczką, bo nie miałem, pod ręką nic innego. Najpierw otwarłem „Historię zmistyfikowaną”, bo to była książka najcieńsza ze wszystkich. Napisał ją luzański kurdlog Arg Quarg Tralaqsarg. Dowiedziałem się od niego, że żadnych zmoków, zmocząt ani smoków nigdy na Encji nie było. Są to prastare bajędy, bezkrytycznie przejęte przez poważny odłam nauki kurdlandzkiej, z przyczyn całkowicie pozanaukowych. Nie było też tam żadnych ogniem ziejących zwierząt. Były po prostu na błotach osobno błędne ogniki samozapalającego się metanu i osobno ziemnowodne płazy, jako też podbłotne wulkany, zwane pospolicie bulkanami, które, zwykła rzecz, wybuchały i gulgotały od czasu do czasu, co w ciemnych umysłach krajowców przemieniło się w straszliwe walki pyrozaurów i co potem usiłowali zrationalizować czyli uzgodnić z teorią ewolucji Cipcirwina uczeni ze szkoły paletyńskiej, subwencionowani przez ministerstwo propagandy kurdlandzkiej, albowiem Przewodniczącemu zależy na dobrej reputacji nacjomobilizmu także poza granicami państwowodu.

Lecz autor ten polemizował z innym, Quickxakiem, sięgnąłem więc po jego pracę paleontologiczną i znalazłem podany w niej cały cykl przemian miazgi pokarmowej w żołądku kurdla (właściwie w żołądkach, bo jest ich coś sześć), czyli tak zwany cykl Grepasa, oraz tablice z widmami spektralnymi wykonanych laboratoryjnie doświadczeń nad owym samozapłonem, z których wynikało, że kurdel z niedokwasotą produkuje wyziewy palące się jasnym pomarańczowym płomieniem, natomiast gdy ma nadkwasotę i dręczy go zgaga, zionie ogniem sinofioletowym, a jeśli uprzednio spożył w nadmiarze rośliny zdrewniałe —



dymi. Tam się też znajdowały fotografie, przedstawiające osoby, które na własne oczy miały widzieć w kurdlandzkim mateczniku Fyffary okaz żywego prakurdla, jak spał zanurzony w błocie powyżej uszu, wystawiwszy nad powierzchnię trzęsawiska tylko swe zrogowaciałe nozdrza i od czasu do czasu ciężko wzdychał, aż dostał czkawki, wynurzył łeb i zgrzytnął zębami, że iskry poszły, od czego buchnął z paszczy ogniem, przy gromowym odgłosie dwutaktowego diesla. Miało to świadczyć o tym, że nie ocknął się całkowicie, lecz zionął płomieniem przez sen. Wolałbym co prawda ujrzeć zdjęcia tego zięjącego kurdla zamiast zdjęć osób, które go tak dokładnie obserwowały, jednakowoż precyzja opisu była poniekąd zniewalająca. Cóż, kiedy Yx Quasseryx Hetelent, pono pierwszy autorytet planety w zakresie kurdlistyki genetycznej i morfologicznej, wylicza niezbite doświadczenia przemawiające przeciw istnieniu pyrozaurów, przeprowadzone z kurdami w jego Instytucie. Choć ostrzono im specjalnie zęby szlifierką, choć podawano im do żarcia palony korek i same strączkowe, a nawet usiłowano poić lotnymi, łatwo palnymi cieciami, od eteru po benzynę, żaden nie czknął bodaj najmniejszym nawet płomyczkiem i tylko wskutek nieuwagi spłonął Instytut, bo się zaprószyl ogień rozpalony przez zirytowanych zwolenników hipotezy pyrozaurycznej. Hetelent nie wyjawia jednak, zapewne przez lojalność wobec kolegów, czy usiłowali oni tym podpaleniem zniszczyć rezultaty negatywnego eksperymentu, czy wręcz głosić, że podpalaczem był badany kurdel. Co gorsza, tenże Hetelent kwestionuje w ogóle istnienie MIASTODONTÓW, utrzymując, że w żołądku kurdla można utopić się lub skonać od razu z fetoru, a w jego powietrznych miechach też by nikt nie wytrzymał ani przez pięć minut, to zaś, co na organizowanych przez kurdlandzkie biura podróży wycieczkach zwiedzają turyści luzańscy, jest perfidnie spreparowaną makietą, praktycznie bezwonną wsią potemkinowską, podczas gdy każdy, kto zbliżył się na dziesięć kroków do choćby tylko z cicha bekającego kurdla, wie, że oddech jego na tym dystansie zwala z nóg i powoduje astmatyczne duszności. Tak więc podług Hetelenta nie tylko żadnych ogniowymiotnych smoków nie było na planecie, ale nie istniały też i nie istnieją miastochody. Na tym stwierdzeniu, orzeka, kończy się jego rola jako oddanego poznaniu paleontologa, bo co do reszty, czyli pytania, dlaczego Kurdlandczycy upierają się przy istnieniu istot nie istniejących, powinny zabrać głos pozanaukowe instancje i czynniki. Zdaje się, że głos Hetelenta wywołał burzę polityczną zarówno w Luzanii jak Kurdlandii, bo doszło do nieparlamentarnych interpelacji w miastodontach, do protestacyjnych wieców żołądkowych i do debaty w parlamencie luzańskim, a potem do wymiany not dyplomatycznych zamkniętej oświadczeniem rzecznika luzańskiego, że jego rząd nie kwestionuje faktu zasiedlenia kurdli pod względem bytowym, uczeni zaś, wypowiadający się w tym przedmiocie, czynią to jako osoby prywatne, nie upoważnione do składania wyjaśnień o charakterze programu, wytyczającego, co jako prawda obiektywna decyduje o zagranicznym kursie państwowej polityki.

Porządnie otumaniony tak zasadniczą kontrowersją, wzięłem się na powrót za „Dzieje Encji”, których autorem był Quaquerli, bojąc się, że jeśli raz stracę jakiś przewodni wątek, utonę w grzęzawisku sprzecznych poglądów naukowych. Drugą część swej monumentalnej monografii poświęca Quaquerli rozumnym mieszkańcom Encji. Przedstawia rzecz dość wyraziście, mianowicie tak, że nie było na planecie jednego tylko gatunku Rozumnych, lecz dwa, mianowicie Dwońcy, oraz Człakowie, czyli Połcie. Z Dwońców powstałi Luzanie, a z Człaków — Kurdlandczycy. Jedni i drudzy pochodzili od wielkich bezlotów, toteż byli dość podobni do siebie anatomicznie, natomiast różnili się zasadniczo pod względem umysłowym. Dwońcy odznaczali się lubieżnością, skłonnością do występku oraz ogólnym niedorozwojem duchowym. Natomiast Człakowie rozwijali się jak po maśle. Dlatego, przewidziawszy na setki lat' naprzód, dzięki rozwijaniu astronomii, że planeta wejdzie w chmury meteorytowe, bo się jej naturalny księżyc rozleci, wchodząc w perturbacyjną strefę Roche'a, Pracłakowie postanowili sporządzić sobie schrony. Na zabłociach, które zamieszkiwali wtedy jeszcze wspólnie z tępyimi Dwońcami, żywiąc ich niekiedy z przyrodzonej litości, nie było jednak

możliwe żadne budownictwo, a znów żyjąc z łowiectwa, nie mogli wędrować na północ, na płaskowyż wulkaniczny, bo ich łowna zwierzyna, kurdle, wyginęłaby tam rychło, zdolna do życia tylko na moczarach i żywiąca się bagiennymi wodorostami. Pobudowali więc sobie jedyne w swoim rodzaju arki Noego, jako ruchome warownie (basztochody) z olbrzymich kości szkieletowych upolowanych kurdli, których tusze spożywali, co było dla nich jedyną szansą ocalenia, bo przed milionami lat rozpadł się był w strefie Roche'a inny, mniejszy księżyc planety i spadał na nią deszczami kamiennych odłamków, zanim powstały jeszcze rozumne Naczelne, i to właśnie wywołało mutacje prakurdli, którym wyrosły na grzbiecie potężne pancerze zeskalającej się krzemionki. Wydzielają ją tak zwane gruczoły przeciwmeteorytowe, które opisał Ququeriqqu, inny badacz kurdlandzki, archeolog, w oparciu o wizerunki zachowane na ścianach jaskiń wulkanicznego płaskowyżu.

Ostatki tych pancernych prakurdli wymierały bowiem, gdy watahy Człaków zapuszczały się w śmiałych wyprawach na płaskowyż i (jak utrzymują Quiqueriqqi oraz Quacquerlack, też archeolog) Człakowie nauczyli się doić te kurdle, bo wydzielina ich dójek krzepła i wlana w foremki dawała bardzo przyzwoitą cegłę silikatową. (Co prawda rzeczoznawcy luzañscy jak jeden mąż zwą to zupełną fantazją, podkreślając, że cegły te pochodzą z ósmego tysiąclecia starożytnej ery i były zwyczajnie wypalane, a nie wydojone).

Tak więc, gdy rozpoczęły się strumy, czyli opady meteorytów drugiego rozpękłego księżyca Encji, Człakowie mieli już pobudowane warownie na nogach, warownie notabene nie były żywymi zwierzętami, gdyż to jest oszczerczy wymysł tępogłowych Luzanów (czyli Dzwonców). Z natury miłośni, pozwalali Prapołcie (Człakowie) przebywać Luzanom pod swymi hulajgradami i w samej rzeczy pod brzuszyną dnem każdego koczowała wataha bezdomnych Dwońców. Tutaj muszę dodać, że ta podwójna nomenklatura (Połcie—Dwońcy, Człakowie—Luzanie) wynika z istnienia w samej Kurdlandii dwóch zwalczających się szkół archeologicznych, z których każda dysponuje dziesiątkami argumentów, zniewalających do uznania za właściwą tylko jednej pary nazw, lecz niestety, nie mogą się one z sobą pogodzić. Włóczędzy ci żywili się odpadkami, jakich udzielali im z warownego kurdla zacni Człakowie. Utrzymując się z owej jałmużny, biegając w ochronnym cieniu kurdla, dorobili się ci Dwońcy miana Luzanów, że niby chodzili luzem, w przeciwieństwie do człackich załóg. Ale i Kurdlandczykom nie żyło się wtedy słodko, bo pracowali od świtu do nocy jak na galerach, poruszając setnym zbiorowym wysiłkiem olbrzymie gnaty, uruchamiając nogi ich warowni. Tym pracom galerniczym na dobre położył kres dopiero Przewodniczący, który osobiście wymyślił bioinżynierię. Pouczył swych maluczkich pobratymców, jak należy syntetyzować pod jego przewodem małe kurdleta i hodować je hormonami wzrostowymi, co uczyniono ze znakomitym skutkiem. W ten sposób powstały syntekurdle, a z nich współczesne miastodonty, znakomicie urządzone, skanalizowane, komfortowe i schludne, jako grody chodzące i dbające o swych lokatorów. Każdy może sobie wychodzić na spacer lub za inną potrzebą z rodzimego kurdla, a potem wraca tak, jak się wraca do domu. Wprawdzie strumy się od dawna skończyły, cóż jednak może być wygodniejszego nad luksusowy basztomobil, w którym zimą jest ciepło, latem nie ma upału, w którym podróżuje się wygodnie, w swojskim otoczeniu, poznając ojczysty kraj we wszystkich kierunkach? Co się tyczy przepustek i paszportów, uprawniających do czasowego opuszczenia kurdla, okazały się niezbędne z czysto administracyjnych powodów, żeby nikt nie musiał się tłoczyć u wejść i wyjść. Paszportyzacja okazała się ponadto konieczna, bo nikczemni Luzanie, zamiast okazywać Kurdlandczykom dozgonną wdzięczność za uratowanie życia podczas strumów, przebierali się za Człaków i udając powracających z przechadzki prawowitych mieszkańców miastodonta, dostawali się doń, żeby siać zamęt i demoralizację, zwłaszcza w szeregach niedoświadczonej młodzieży, wmawiając jej, jakoby życiowe warunki poza kurdlem były lepsze. Po kilku wiekach, nakradłszy się i narabowawszy ile weszło, Luzanie opuścili zabłocia i pobudowali sobie sadyby na płaskowyżu północy, gdzie przy zaniku aktywności sejsmicznej

utworzyli własne państwo, pod każdym względem gorsze od kurdlestwa. Tymczasem błocan cofał się i na podmokłych obszarach okrzepł Kurdlistan, a na graniczącym z nim płaskowyżu Cesarstwo Luzańskie, które potem stało się republiką. Do wytyczenia granic doszło około 900 lat przed nową erą. Rzecz ciekawa, wojny w stylu ziemskim, z wyraźnymi frontami i ruchami wojskowych zastępów, trwały na Encji zaledwie trzysta lat. Zarzucono je na rzecz walki ciągłej, lecz nie tak jawnej. Szkodzono sobie wzajem szarpaniem, podjazdami, prowokacjami, sobotażem i dywersją, w czym prym wiodła zawsze Luzania (przypominam, że cytuję uczonych kurdlandzkich). Powstały wtedy w sztabach luzańskich nowe metody zwalczania miastochodów, na przykład przez wszczepianie im piątej nogi, która pełniła rolę piątej kolumny. Chytrność nędzników polegała na tym, że udawali, jakoby nic im nie było wiadomo o mieszkańcach kurdli. Jeśli więc komandosi luzańscy wszczepiali kurdłowi piątą nogą (ten, kto to robi, zwie się maćcinogą), jeśli wprowadzali w cielskach kurdli chaos jako tak zwani wichrzycałacze, smarując np. ogon bydłęcia czymś smacznym, żeby się tam napoczęło, jeśli uprawiali wywrotową robotę, podrzucając pasącym się kurdłom truciznę z balonów, wywołującą tak silne torsje, że kurdel może się wynicować (jest to tak zwane rozkurdlenie), były to ataki oficjalnie wymierzone tylko w zwierzęta. Luzanie nie przyjmowali bowiem do wiadomości ich Budowlanej, syntetycznej genezy i głosili przewrotnie, że żadnej bioinżynierii Przewodniczący nie wymyślił.

Zasadniczą przemianę stosunków przyniósł dopiero wiek XXII, który mniej więcej odpowiada naszemu dziewiętnastemu. Zapoznałem się z tym dzięki trzynomowej pracy profesora doktora habilitowanego, członka Kurdlewskiej Akademii Nauk, Mzizimrqssa. Luzania weszła wtedy na szlak industrializacji, którego to nieszczęścia Kurdlandia uniknęła dzięki pouczeniom Przewodniczącego. Pierwszy impuls dało wynalezienie maszyny smakowej, napędzanej płomieniami, jakie namoczony i podrażniony tym smok wyrzuca z paszczęki. Co majątniejsi Luzanie jęli sprzedawać włóści i lokować środki w ogniotrwałych kurdlach. Dało to asumpt do hodowli. Wrychle powstały rasy nader ogniodajne i zarazem ogniodojne. Używano ich w hutnictwie do wytopu żelaza, a też do celów ogrzewczych. Kapitalizacja kurdli doprowadziła do wzmożonego popytu na sztuki wysokocielne i długowieczne, lecz kurdli bezdymnych wyhodować się nie udało. Stada rozmnażały się gwałtownie i po kilkudziesięciu latach doszło do fatalnego zatrucia środowiska. Powstała wtedy idea centralizacji smoków (zwanych już często smogami), bo niewiele potężnych sztuk dymi mniej niż rojowisko maluchów, a stąd już niedaleko było do koncepcji znacjonalizowania wszystkich stad. Był to tak zwany program optymalizacji komasacyjnej, lecz część uczonych, zajmujących się obliczaniem, jaki kurdel byłby najekonomiczniejszy, twierdziła, że wszelki kurdel naturalny na nic. Inni głosili ideę Komasaata, zarazem ognistego i chędogiego, który pracuje w cyklu zamkniętym, żywi się tym, co sam wydalą, po niejakiem wzbogaceniu witaminami. Lecz jedne zdychały albo— wściekały się i obaliwszy mury ochronne uciekały do Kurdlandii, inne traciły ogień, a niektóre w trakcie naukowych eksperymentów poczęły się nawet oziębiać do temperatur ujemnych, co miało być wyzyskane w chłodziarstwie, lecz nic z tego nie wyszło, bo powymarzały. Zagroził kryzys energetyczny, akcje towarzystw kurdlich leciały na łeb na szyję, kto mógł, pokątnie chomikował ostatnie smoczki, próbowano na gwałt wybudować wypośnicę, co by żarła trawę i ze sfermentowanej wytwarzała gaz, ale to się nie udało. Rozpadowi Luzanii zapobiegło dopiero wyzwolenie energii atomowej, dokonane zresztą wielce niezdarnie, jak wszystko, co się robi w tym państwie. Tyle kurdlandzki akademik. A może i więcej, ale sił mi już nie stało do dalszej lektury. Ponieważ dunderował szczególnie na luzańskiego kolegę o nazwisku Pirivitt Piritt, nie referując jego poglądów, lecz wieszając tylko na nim zdechłe psy, a właściwie kurdle, z ciekawości odszukałem niewielką książeczkę tego Luzanina. Tytuł jej brzmiał „Mendosfera czy ety—kosjera”. Zaniepokojony zajrzałem do wielkiego słownika wyrazów obcych i dowiedziałem się, że pierwsze słowo tytułu pochodzi od łacińskiego *mendax* — kłamca.

Na wstępie autor rozprawiał się z kurdlandzką wersją uprzemysłowienia Luzanii. Nazwał ją stekiem złośliwych bredni: żadnej hodowli pyrozaurów nigdy w cesarstwie nie było ( w tym czasie Luzania była jeszcze cesarstwem), ani kapitalizacji smoków, co o tyle zrozumiałe, że nie może być kapitałem to, czego nie ma. Nie było też żadnych prób zastąpienia budownictwa mieszkaniowego hodowlą kurdli (jak utrzymywała strona kurdlandzką) częściowo na licencjach bioinżynierów Przewodniczącego (kurdle — drapacze), a częściowo dzięki grabieży patentów kurdlandzkich. Wszystko to od a do zet miało być propagandą na użytek wewnętrzny, ogłupiającą nieszczęsnych kurdelników–galerników, którym nosa nie wolno wysunąć poza brzuch swego wieloraba, czyli wielozniewoleńca, bo tak powinno się zwać miastodonty. Trudności ani zjawisk kryzysowych nie brakowało wprawdzie w dziejach Luzanii, lecz były nieposiężne dla umysłów zatrzymanych w rozwoju, posiadających naukowe tytuły z nadania, a nie z wiedzy. Pirivitt Piritt wskazywał, że kurdlandzki akademik nie był nawet autentycznym doktorem, lecz nosił czysto honorowy tytuł „doctor honoris causa” i był przez własnych uczniów zwany doktorem kurdlem. To było przynajmniej dosadnie jasne. Natomiast w dalszych rozdziałach polemizował Pirivitt Piritt z etyfikatorami i hedomatykami luzzańskimi i mało co z tego mogłem pojąć. Głosił, że nie ma innej drogi dla społeczeństwa jak etyfikacja środowiska, a rzecznicy etyfikacji parcelowanej, którzy proponują umoralniać tylko gmachy i miejsca publiczne, nie zdają sobie sprawy z koszmarnych konsekwencji, które taki krok musiałby za sobą pociągnąć. To, że w całej Galaktyce nie ma ani jednej totalnie zbystrowanej cywilizacji, nie jest żadnym argumentem contra rem, bo jak aś społeczność musi być w niej pierwsza jako najdalej wysforowana w rozwoju i ten los zarazem zaszczytny i ciężki przypadł właśnie w udziale Luzanom, którzy torują tym samym drogę mlecznym braciom w rozumie. Następowaly wykresy, tablice, wzory matematyczne i schematy, podobne w mych oczach do hieroglifów. Mając przykre wrażenie, że po przewertowaniu książki o tak dobitnie brzmiącym tytule wiem mniej niż przed jej otwarciem, zabrałem się do szukania jakichś przystępnych opracowań, kompendiów, i to napisanych na Ziemi, boż takie piszą przecież ludzie dla ludzi, swojaków, ale tum dopiero wpadł, wyszperawszy między grzbietami podręcznik tak zwanego kursu zerowego dla doktorantów — historyków luzanistyki. Była to praca zbiorowa coś dwudziestu autorów fachowców, istna chińszczyzna, przynajmniej dla kogoś jak ja, kto nie rozumiał, co czyta, bo jakże mogłem rozumieć, jeśli co chwila pojawiały się łańcuszki wzorów i terminy w rodzaju „szczęścianów”, „entropków”, „antybitów”, EMCI (entropii modułów cyfrowych inteligencji), a pod zachęcającą nazwą „Wyprawy w głąb nauki luzzańskiej” krył się całkowicie ciemny dla mnie tekst o organizacjach insperytyzy w grupach półżywych ze wsparciem pozakosmicznym. Okazało się później, że wszystko to miało całkiem zdrowy sens, ale umęczyłem się setnie i nazłościłem, nimen go ogarnąłem, bo stałem tej nocy nad stertą odrzuconych tomów, patrząc na szeregi nie ruszonych jeszcze na półkach z taką beznadziejną irytacją, jak człowiek, który chce wskoczyć do pędzącego pociągu, bo musi, a zarazem wie, że może przy tym kark skrócić. Rękę obciążał mi potężny tom „Słownika luzano–kurdlandzkiego” i poczułem piekącą chęć, by rąbnąć nim o podłogę, co przyniosłoby mi nie lada ulgę, bo choleryk ze mnie, ale powściągnąwszy się, wziąłem tylko stary, w kącie umieszczony stojak na kapelusze i huknąłem nim jak taranem w drzwi wielkiej szafy z aktami, gdyż były dębowe i tym samym wytrzymałe. Stojak, co prawda trzasnął, ale ustawiłem go przy ścianie tak, żeby odłamane ramiączko oparło się o nią i szkoda nie była widoczna. Mógłby kto pomyśleć, że powinienem te nocne awantury pominąć, skoro wystawiają nie najlepsze świadectwo i moim nerwom, i mej lotności, uważam jednak, że taki krytyk myliłby się grubo, gdyż sposoby, jakimi dochodzi się wiedzy, nie są dla tej wiedzy całkiem obojętne. Połamanie stojaka bardzo dobrze mi zrobiło. Ułagodzony, zabrałem się do szukania lektur, chodząc wzdłuż półek i wybierając to, co wpadło mi w oko, jakkolwiek i ta metoda nie była zbyt mądra, zorientowałem się bowiem poniewczasie, że sięgam po

szczególnie ładne, solidnie oprawne tomy, a wszak nie suknią zdobi ciało. Była to niestety przeważnie lektura dla zaawansowanych luzanistów, zdolna przyprawić o rozpacz, bo miałem, czego chciałem — byłem u źródeł, skarbnica wszelkich wiadomości o Encji stała przede mną otworem, i nic nie potrafiłem z nią począć. Kusiło mnie nawet, żeby wyrwać radcę ze snu telefonem o pomoc, ale wstydziłem się, więc otarłszy pot z czoła, a kurz z zabrudzonych rąk, ruszyłem do nowego natarcia. Spuściłem jednak z tonu i wziąłem się za „Wstęp do melioracji epistemicznej”, bo mi zaświtało, że nie będzie miał nic wspólnego z gleboznawstwem i sztucznymi nawozami. Tak też było. Dowiedziałem się, że w XXII wieku popadła Luzania w okropny kryzys, wywołany samozaćmieniem nauki. Najpierw coraz częściej było wiadomo, że badane zjawisko na pewno już ktoś, kiedyś dokładnie przebadał, nie wiadomo było tylko, gdzie tych badań szukać. Specjalizacja naukowa rozdrabniała się w postępie geometrycznym i główną przypadłością komputerów, a budowano już megatonowe, stało się tak zwane chroniczne zaparcie informacyjne. Obliczono, że za jakieś pięćdziesiąt lat nie będzie już żadnych innych komputerów uniwersyteckich jak tylko tropicielskie, czyli poszukujące w mikrozespołach i przemyślnicach całej planety, GDZIE, w jakim zaułku, której pamięci maszynowej, tkwi wiadomość o tym, co jest kluczowe dla prowadzonych badań. Nadrabiając wiekowe zaległości, w szalonym tempie rozwijała się ignorantyka, czyli wiedza o aktualnej niewiedzy, dyscyplina do niedawna pogardzana aż do zupełnego zignorowania (ignorowaniem niewiedzy zajmowała się gałąź pokrewna, lecz osobna, mianowicie ignorantystyka). A przecież porządnie wiedzieć, czego się nie wie, to już dowiedzieć się niejednego o wiedzy przyszłej, i od tej strony zrastała się ta gałąź z futurologią. Drogiści mierzyli długość drogi, jaką poszukiwawczy impuls musiał przemierzyć, ażeby dopaść szukanej informacji, a była już taka, że przeciętnie wypadało czekać na cenne znalezisko pół roku, aczkolwiek ten impuls poruszał się z chyżością światła. Jeśliby szlak labiryntowych tropień wewnątrz zawłaszczonych dóbr wiedzy miał się przedłużać nadal w obecnym tempie, to następnemu pokoleniu fachowców przyszłoby czekać po 15 do 16 lat, nim świetlnie gnająca sfera sygnałów—odnajdywaczy zdoła im zgromadzić pełną bibliografię do zamierzonego przedsięwzięcia. Ale, jak mówił u nas Einstein, nikt się nie drapie, jeśli go nie swędzi, powstała więc najpierw domena ekspertów szukanistyki, a potem tak zwanych inspertów, bo potrzeba powołała do bytu teorię odkryć zakrytych, czyli zaćmionych innymi odkryciami. Tak powstała Ariadnologia Ogólna (General Ariadnology) i rozpoczęła się Era Wypraw w Głęb Nauki. Tych właśnie, co je planowali, zwa inspertami. Pomogło to trochę, ale na krótko, bo insperci, też przecie uczeni, chwycili się teorii inspertyzy z działami labiryntyki, labiryntystyki (a one są tak różne jak statyka i statystyka), labiryntografii okólnej i krótkozwartej, jako też labiryntolabiryntyki. Ta ostatnia to ariadnystyka pozakosmiczna, podobno dziedzina wielce ciekawa, traktuje bowiem istniejący Wszechświat jako rodzaj małego regału czy półeczki w olbrzymiej bibliotece, która nie może wprawdzie istnieć realnie, lecz nie ma to poważnego znaczenia, teoretyków nie mogą bowiem interesować banalne, bo fizyczne” granice, które świat nakłada na Insplorację, czyli Pierwsze Wgłobienie Samożerzce Poznania. A to, ponieważ ta straszliwa ariadnystyka przewidywała nieskończoną ilość następnych takich wgłobień (poszukiwanie danych, poszukiwanie danych o poszukiwaniu danych, i tak dalej aż do zbiorów mocy pozaskończonej Continuum).

Ciekawe, nieprawdaż? Dobrze się złożyło, że miałem przy sobie dwie paczki proszków na ból głowy. Ariadnystyka postulowała nieskończenie wielowymiarową niemetryczną przestrzeń informacyjno—entropijną i zapanowała powszechna, triumfalna radość, gdy się dało udowodnić, że ta przestrzeń jest doskonale kongruentna z Panem Bogiem, który w ten sposób przynajmniej został definicyjnie ogarnięty w swojej Wszechwiedzy Wszechmocnej, I jeszcze się pokazało stąd, że kreowany świat odłącza się od takiej quasi—bożej przestrzeni niczym maciupęńki bąbelki i staje się z nią nigdzieistyczny, i że inaczej być nawet nie może. Nader osobliwe skutki miało to finalne zmatematyzowanie Bożej esencji, jako systemu

Wszechwiedzy, rozumie się całkowicie abstrakcyjnego, więc to nie był jakiś obraz Boga jako osoby, lecz. topologicznie doskonale Domknięcie Jego atrybutów. Okazało się przy tym, że owa pozaskończona przestrzeń ma granice, ale że nie mieści się w nich nic realnego, a w szczególności Kosmos. Jak nietrudno się domyślić, żadna religijna ortodoksja nie przyjęła tego dowodu do' wiadomości. Ów transfinałny przestwór okazał się niezwykle ciekawym obiektem badań, lecz nie wniosły one nic praktycznego w epistemę, bo szło o układ wszechwiedzący, a zatem taki, w którym niczego szukać jako informacji nie trzeba, a nawet nie można. (Mówiąc w silnym, naiwnym uproszczeniu, wszechwiedza jest jednocześnie założeniem i własnością tego zdumiewającego tworu myśli abstrakcyjnej i nigdzie się .z rzeczywistym Kosmosem nie przecina). Było więc tak, jakby ktoś, zgubiwszy w mieszkaniu łyżeczką, nie mogąc zapodziejanej znaleźć od ręki zabrał się do rzeczy z takim rozruchem, — że zbudowałby idealny porządek poszukiwań nieomylnych, który oczywiście musi być od razu systemem Wszechznalezienia, wobec tego nie może niczego orzec w kwesty łyżeczki,, jako zupełnie trywialnej. Znalazistyka ma się do szukaniastyki mniej więcej tak, jak matematyka czysta do stosowanej. Ten podział ariadnologii ogólnej na użytkową i abstrakcyjną pogorszył sytuację, bo im który ariadnolog był potężniejszy umysłem, tym bardziej się interesował własnościami Wszech—znaleziska i tym mniej banalnym gmeraniem we wnętrzościach sztucznej pamięci planetarnej, zatłoczonego magazynu wiedzy. Toteż kryzys zdawał się nieuleczalny, jednakowoż Luzanie pozbyli się go, właśnie się go pozbyli, a nie przewyciężyli na obranej drodze, wylali bowiem kąpiel razem z dzieckiem, czyli udało im się pozbyć ze wszystkim samej nauki — przynajmniej w tym rodzaju, jaki znamy. Na Encji nie ma już od stu kilkudziesięciu lat uczonych, są jedynie uczący się od wykładowców, a ci wykładowcy to już nawet nie spotęgowane maszyny cyfrowe, lecz bystry. Zrozumienie bystrologii kosztowało mnie sześć bezsennych nocy, w których dawałem memu biednemu mózgowi ostrogi litrami kawy. Bystry to elementy logiczne, niewidzialne gołym okiem, bo wielkości dużych molekuł, sporządzane przez inne bystry metodą przypominającą poniekąd powstawanie białek w żywym organizmie, ale mniejsza o stronę techniczną. Ten przewrót był dla uczonych luzańskich niezmiernie bolesny i całe kadry kończyły nieraz samobójstwem, kiedy się wyjawiało, że pisanie prac magisterskich ani nawet habilitacyjnych nie ma już najmniejszego sensu, i że najmędrszy doktorant czy profesorant jest w sytuacji tego, kto usiłuje przy pomocy krzemienego ciosaka produkować krzemienne noże, podczas gdy odpowiednie maszyny produkują tysiąc razy lepsze noże z hartowanej stali. Doszło zarazem do tak zwanego unicestwienia empirii, a tym samym do likwidacji wszystkich rodzajów eksperymentu laboratoryjnego czy polowego. Nie trzeba przeprowadzać żadnych doświadczeń realnie, ponieważ każde może wykonać odpowiedni układ bystroniczny in abstracto, to znaczy wymodelować cyfrowo, analogowo czy jak tam jeszcze inaczej to właśnie doświadczenie, i to z chyżością światła, tak że nie trzeba czekać, aż gdzieś wzrośnie jakaś dąbrowa nad ruczajem, żeby zbadać jej wpływ na mikroklimat, bo to, co trwałoby sto lat, bystry zrobią w mgnieniu oka. Mgnienie oka jest dla nich zresztą cholernie długim czasem, bo trwa ono bodaj jedną dziesiątą sekundy, a im wystarczy jedna milionowa. Lecz i te zbystrowane eksperymenty robiono tylko początkowo, niejako wskutek bezwładności dotychczasowych nawyków oraz zgodnie z tradycją. Mikroklimat bada się wszak zawsze w jakimś celu; dość tedy określić ów cel, nie troszcząc się o etapy pośrednie, i tym zajmują się celiści, dawniej zwani teleonomami. Należy zaznaczyć, że cel może być zupełnie kretyński, na przykład jako żądanie, ażeby jednego dnia padały deszcze koloru zielonego, a drugiego — bładocytrynowe albo żeby ponadto każdemu sekundowało powstanie tęczy, lub żeby piżama pieściwymi dotknięciami materiału usypiała w łóżku, i żeby rano o właściwej porze budziła subtelnym masażykiem, gdyż cały cykl produkcyjny takich nocnych strojów albo takich opadów atmosferycznych zostanie samoczynnie opracowany i wdrożony. A jeśli ktoś jest ciekaw, jak to się dzieje, zapisze się na oczywiście zbystrowany poliwersytet, gdzie najpierw

wyjaśnia mu nauczaki, jakie pytania ma zadawać, bo na głupie pytania nie ma mądrej odpowiedzi, i po ukończeniu kursu pytanistyki może dowiadywać się o tym, co go interesuje, lecz nie jest to żaden fach, a tylko coś W rodzaju hobby. Pytania tworzą tak zwaną hierarchię piramidalną —albo może piramidę hierarchiczną, bo nie spamiętałem tego dokładnie, i ta hierarchia ma tak zwany poziom Tiutiquotzitoka, zwany też barierą graniczną, bo powyżej tego poziomu nikt nie może już zrozumieć ani pytania, ani odpowiedzi, przede wszystkim dlatego, ponieważ musiałby całe życie poświęcić temu jednemu pytaniu i tej jednej replice, i też byłoby tego nie dość, skoro umysłowe siły słabną z wiekiem, a tu winny by rosnać nieustannie co najmniej przez sto a to i trzysta lat. Umrze więc, nim się porządnie spyta i uczciwie się dowie, czego chciał. Natomiast rezultaty praktyczne pytań stawianych powyżej bariery Tiutiquotzitoka można użytkować, i nie jest to nic nadzwyczajnego ani pierwszego na świecie, bo jak wyjaśnia rzecz nauczak TITIPIO 84931109, w swojej popularnej broszurce przeznaczony dla szkół podstawowych, jedząc placek z żytniej mąki, nie trzeba znać ani historii powstania żyta i sposobów jego uprawy, ani teorii z praktyką piekarni—ctwa, tylko wbija się zęby w placek i już. Tak więc nauka pogrążyła się w ciężkiej żałobie po samej sobie, co zresztą nie obeszło specjalnie społeczności luzañskiej, bo choć zawdzięczała nauce rozkwit cywilizacyjny, miała ten rozkwit uczonym coraz bardziej za złe, więc i samej nauki dość, a teraz dzięki Bogu wyglądało na to, że nikt nie będzie już mógł wynosić się nad innych wiedzą jako docent habilitowany, co wielce kontentowało demokratycznie nastrojonych szarych obywateli. Rozum nie był do luftu, lecz stanowił coś, czym można się prywatnie radować, niby gładką cerą bez piegów, która, jak wiadomo, nigdzie nie używa specjalnych przywilejów społecznych. Kto chciał, mógł naturalnie uprawiać naukę po staremu, bo to był nieszkodliwy konik niczym budowanie pałaców z pudełek po zapalkach lub puszczenie latawców. Podobno i dziś nie brak w Luzanii osób, które oddają się ze świętym zapałem tej zdzieciniałej niejako działalności, w potajemnej nadziei, że uda im się odkryć coś, co zakasuje całą bystronikę, lecz są to mrzonki biedaków, którym nie przyszło się urodzić w zamierzchłych wiekach, kiedy pewno staliby się miejscowymi Newtonami bądź Darwinami. Od zlikwidowania tradycyjnej nauki zaczęła się właśnie w Położeniach Zesupłanych budowa syntetycznej kultury, czyli syntury. Co prawda w tej kwestii nie ma zgody historyków. (Historycy są nadal ludźmi, to jest, chcę rzec, Encjanami, bo nie udało się zautomatyzować humanistyki, nie żeby była taka niedościgle zawila, na odwrót, przez to, że jest tak niespójna i nielogiczna, pełna dowolnych wymysłów, stanowiących chlubę humanistycznych prądów i szkół, toteż nie można jej przekazać układom logicznym, bo zaraz dostają zaparcia albo rozsypkowej wysypki). Jedni, jak Otottotz twierdzą, że syntura powstała dla protezowania kultury naturalnej, gdy ta konała przywalona powszechnym dobrobytem, i to samo utrzymuje wielu synturologów, lecz inni jak Tziotziupirr albo Quixiqokx powiadają, że było z tym jak z powietrzem i próżnią: bystry wkraczały wszędzie tam, gdzie mogły wkroczyć, bo się tworzyły puste miejsca. Nazywają to naturalnym gradientem ewolucji sztucznego środowiska, co po prostu znaczy, że jak natura nie znosi próżni, tak też nie znosi jej kultura, a gdy rozpadały się więzi społeczne, dobre obyczaje, moralność, gdy padały bariery wiekowych zakazów religijnych i legislacyjnych, gdy już każdy od razu mógł mieć, cokolwiek mu się tylko zachciało, ostatnią godną jeszcze požądania rzeczą stało się robić bliźniemu, co mu niemiłe albo nawet okropne, ponieważ ten bliźni się bronił i stawiany opór był pikantną przyprawą zaostrzającą apetyt lub nawet głównym celem łaknień, natomiast posięście wszelkich innych dóbr albo usług straciło jakąkolwiek wartość. Co zbyt łatwe, to nic nie warte. Kiedy kto ma osiemnaście ubrań, może się miło przebierać co dnia w inne, ale będąc posiadaczem dziesięciu milionów, nie ma się z nich nic oprócz fatygi. Tylko małym dzieciom wydaje się, że mieszkać na górze sporządzonej z samej czekolady byłoby wspaniałe. Satysfakcja kończy się bólami brzucha. Tym sposobem na wyżynnym poziomie powszechnego dobrobytu odrodził się stan powszechnego zagrożenia, bo cóż to za uciecha mieć wszystko i bawić się tym ze świadomością, że w każdej

chwili można dostać pałką w łeb lub znaleźć się w piwnicy jegomościa, gustującego w bardziej wyrafinowanym zadawaniu mąk. Bystry zareagowały więc na ów stan rzeczy, albowiem policja uległa zbystrowaniu bardzo wcześnie, i tak właśnie syntura poczęła pełnić funkcje opiekuńczo-osłonowe, a potem przejęła patronat nad losami wszystkich żyjących. Muszę wyznać, że ta sprawa — korzeni syn—tury — wydała mi się najniezwyklesza ze wszystkiego, czegom się dotąd dowiedział. Wygląda na to, przynajmniej z historycznego doświadczenia Luzanów, że kiedy się zapoczątkuje narodziny inteligencji w życiowym środowisku, kiedy się tę inteligencję przeflanuje z głów do maszyn, kiedy później po maszynach jak po mamutach i prymitywnych gadach odziedziczą ją molekuly, kiedy te molekuly, doskonaląc następne generacje zmyslnych molekuł, przekroczą tak zwany próg Squarcka, czyli ich intelektualna gęstość znacznie przekroczy umysłową gęstość mózgu ludzkiego, tak że w objętości ziarnka piasku będzie tkwiła psychiczna moc nie to żeby jednego docenta, lecz stu fakultetów wraz z radą wydziałową, żaden diabeł już nie wyzna się, kto kim powoduje — ludzie bystrami czy bystry ludźmi. I nie chodzi przy tym wcale o jakieś bunty maszyn, o te powstania robotów, którymi kiedyś straszili nas niedokształceni dziennikarze podczas mody na futurologię dla mas, lecz o proces zupełnie innego rzędu i znaczenia. Bystry akurat tak samo się buntują jak zboże rosnące w polu czy mikroby na agarowej pożywce. One dalej bardzo sprawnie robią to, do czego je przeznaczone, ale robią to coraz lepiej, i przez to właśnie po jakimś czasie zaczynają robić to tak świetnie, jak się tego nikt nie mógł domyślać na początku. Niby od dawna było wiadomo, że cały plan człowieka razem z całym przedsiębiorstwem budowlanym, które ten plan zrealizuje, tkwi w niedostrzegalnej gołym okiem główce plemnika, ale nikt nie przypuszczał, żeby stamtąd można było wziąć produkcyjne licencje dla zmolekularyzowania rozumu, aczkolwiek każdy niby wiedział po ukończeniu szkoły, że jego mózg w całości mieścił się przed przyjściem na świat właśnie w niewidzialnym okruszku cząsteczkowym ojcowskiego spermatoocytu. Co oznaczało, że będzie można przejąć te metody produkcji w takiej samej masowej skali, w jakiej jądra wytwarzają miliardy i miliardy plemników, bez wszelkiego nadzoru, planowania, bez fabryk, biur projektowych, załóg robotniczych i tak dalej. Tym bardziej więc nikt nie wierzył, że te jakieś bystry uzyskają nad ludźmi wyższość, nie żeby miały ich zdominować zastraszeniem czy siłą, ale tak, jak rada wydziałowa złożona z samych doktorów podwójnie habilitowanych góruje nad pędrakiem w krótkich majtkach. On tej zbiorowej mądrości nie rozumie, żeby nie wiedzieć co. A gdyby nawet był królewicem i wydawał jej rozkazy, a ona słuchała go podług najlepszych chęci, to przecież efekty tego posłuchu nie będą się pokrywały z jego dziecinnymi oczekiwaniami, jeśliby, dajmy na to, życzył sobie, żeby mu umożliwiono latanie. Owszem, będzie latał, ale nie na ten bajkowy sposób, jaki pewno sobie wystawiał, nie na dywanie latającym, lecz w jakichś odrzutowcach, balonach, raketach, ponieważ największa nawet mądrość może sprawić to tylko, co jest możliwe w realnym świecie. Więc z jednej strony spełnią się rojenia tego szczeniaka, a z drugiej owo ziszczenie będzie mu każdorazowo zaskoczeniem. Mędrycy może by mu w końcu jakoś wytłumaczyli, dlaczego nie tą drogą doszli do celu, jaki im wskazał, boż malec dorośnie i będzie mógł pobierać u nich nauki, ale środowisko rozumiejsze od swych mieszkańców nie może im wyjaśnić tego, czego nie pochwycą, bo aby nazwać wreszcie rzecz po imieniu, są na to za głupi. Te dalekie skutki rozwoju cyfroniki, uwieńczone wreszcie narodzinami bystroniki, są dla naturalnej dumy istot rozumnych nadzwyczaj niemiłe. Cóż jednak robić! Samiście chcieli, no to macie. I nie to macie, czegoście się naiwnie obawiali — nieposłuchu, rewolty, wzięcia za łeb przez stalowe monstra i potwory, przez jakieś zdziczałe czy żądne władzy komputeraki i komputerzyska, ale przemieszczony z głów w otoczenie, utysiąckrotniony w trakcie przeprowadzki rozum w ekstrakcie molekularnym zachowuje się poniekąd tak samo, jak łan zboża czy plemniki. Nie jest on żadną osobą, lecz podczas gdy powstałe w walce o swój byt zboże, ameby czy koty troszczą się o samozachowanie, czyli o siebie, a hodowcom



służą tylko ubocznie, bo nadają się do spożycia jak zboże lub do zabawy jak kotki, zbystrzone środowisko dba najpierw o ludzi, a o siebie tylko podług niezbędnego minimum samozachowawczości, boż gdyby nie dbało o siebie wcale, to wrychle uległoby zniszczeniu, po prostu by się rozpadło.

Czy można kierować ewolucją bystrów? Można, pewno że można, ale nie ze wszystkim dowolnie, podług tego co przyjdzie do głowy, tak samo jak można hodować różne odmiany zboża jarego czy ozimego, ale nie można sprawić, żeby z kłosów sypały się dynie. A z bystrami ten jeszcze szkopał, że ich prospektywne przemiany zależą od miprów, mikroprogramatorów, a mipry od kodkodaków, kodów koherencyjnie dawkowanych, a kodkodaki już nie pamiętam od czego. Kiedy się uruchamia pewien rozwój, nadaje się temu, co powstaje, autonomię w nie znanych z góry granicach, jakby się powoziło końmi, które słuchają lejców i bata i galopują posłusznie, wcale się nie narowiać, lecz będą właśnie gnały coraz prędzej, i droga, jaką was powiozą, będzie wam coraz bardziej nie znana, a różnica tylko ta, że końmi można zawrócić, a cywilizacją nie bardzo.

To znaczy — w zasadzie można by i Luzanie mogli, rzecz jasna, zlikwidować swoje bystry, zrenaturyzować swe życiowe środowisko, ale byłoby to niewyobrażalną w skutkach katastrofą, gorszą, niż gdyby na Ziemi naraz wysadzić w powietrze wszystkie elektrownie, spalić biblioteki, rozpędzić inżynierów i uczonych z lekarzami — czyż warto opisywać konsekwencje takiego powrotu do Natury?

\* \* \*

Przesypiałem dni, a nocami ślęczałem w archiwach Emesztetu. Całkiem nieźle się tam urządziłem. W biurku trzymałem maszynkę do kawy, cukier, mydło, ręcznik, filiżankę, tylko łyżeczka gdzieś mi się zapodziała i mieszałem kawę trzonkiem szczoteczki do zębów, bo wciąż zapominałem przynieść inną, mając głowę zatkaną masą wiadomości, których nie próbowałem nawet uporządkować, ale zauważyłem, że o wysokich sprawach Encji niby coś już wiem, natomiast o rzeczach zwykłych wciąż nic, bo luzańskie źródła zaprzeczały kurdlandzkim i na odwrót. Siedziałem w środku dużego miasta, a całkiem jak Robinson Crusoe na bezludziu. Przez dwa dni studiowałem anatomię i mitografię kurdla. Ma on ogromne miechy pławnikowe po obu stronach płuc i ten, kim się kurdel udławi, może się dostać do tych miechów, Podobno jest tam miejsce dla trzydziestu chłopca z każdego boku. Ponoć kiedyś kurdle były tresowane i używane jako zwierzęta do walki, jak bitewne słonie. Niektóre człackie plemiona uważały wulkany za beznogie kurdle i być może stąd się wzięły podania o pyrozaurach, boż wulkany dymią. Ciekawe, że nawet w podręcznikach anatomii wciąż trafiały się zachwyty nad Przewodniczącym, a zaraz po nich potępienia Luzanów. Ciekawsza była mitografia. Odpowiednikiem naszego świętego Graala był święty kurdel, a pierwsze kosmogonie Człaków utrzymywały, że Kosmos jest zbudowany na podobieństwo i obraz superkurdla, zwanego też superdlem. Najwyższy kapłan, który zanosił do niego modły, miał godność kurdynała. Sporo było w tym i niezrozumiałości. Rycerzy wyruszających na poszukiwanie świętego kurdla zwano żołądkowcami. Czyżby szukali kurdla, siedząc w jego żołądku? Ale czy można przykładać zwykłe miary do myślenia mitologicznego? Dopadłem nawet stosu kulinarnych przepisów na pieczone smoki, tak zwane przysmaki. Z drugiej strony prawie na pewno żadnych smoków nie było. Czyżby wchodziła w grę metafizyka transsubstancjacji? Na grzbietach przewertowanych już książek robiłem kredą znaki, żeby do nich nie wracać. Wciąż miałem i tak wrażenie, że grzęznę w rozmaitych drobiazgach i głupstwach. Długie nogi potworów błotnych nazywali Połcie nie kończynami, lecz nieskończynami. Niegdyś istniała sekta tak zwanych kaudytów, którzy mierzyli długość ogona kurdla i wróżyli z niej łowiecką pomyślność. Coś się z tej tradycji zachowało, skoro do

dzisiaj istnieje godność doktora honoris caudae. Ale ostatecznie mógł to być też zwykły błąd drukarski. Przewodniczący, jak piszą jego apologety, ściągnął kurdla z nieba na ziemię w ramach laicyzacji i udostępnił go swym ziomkom. Ponieważ wulkany uchodziły za beznogie kurdle, wyrwanie nóg stanowiło akt beatyfikacji. Niechaj to pojmie, kto potrafi. Podobno luzańscy agenci przebrani za Człaków wkradają się do zamieszkałych kurdli, są to tak zwani Nibypolcie. Wiarołomcom tym udaje się niekiedy wszcząć zamieszki wśród jednostek przesiedlonych karnie w tylne regiony miastodonta — nazywa się ich ozadnikami i stanowią element niepewny, a nawet wsteczny (z uwagi na miejsce zamieszkania). Szczególną niejasnością odznaczała się kwestia wściekliwości kurdli, bo uchodziła podług Luzan za irredentę polityczną, a podług rzeczników kurdlandzkich za skutek sabotażu. Długo nie mogłem się połapać w tym rozgardiaszu, bo nie znałem doktryny politycznej Człaków, a nie znałem jej, albowiem jakiś bałwan bibliotekarz umieścił cały dział Nacjomobilistyki razem z Automobilistyką pod hasłem Transport i Komunikacja Miejska; ja natomiast szukałem pod „Doktryny Polityczne”, „Polityczne doktryny”, „Ideologie” i tak dalej. Na właściwe regały natrafiłem zupełnie przypadkowo, kiedy potrzebny mi był bardzo gruby i ciężki tom do wygładzenia spodni, bom je czasem zdejmowałem dla wygody i dostrzegłem, jak są pomięte, a trudno było chodzić do Ministerstwa z żelazkiem i deską do prasowania. Bynajmniej nie Przewodniczący wynalazł ideę państwochodową, lecz osiemnastowieczny społecznik Xarbagsar, który opisał w swoim dziele idealne państwo jako Powszechny Splot Szczęściarzy, w skrócie PSS, a miał ci ten myśliciel przykry mi zwyczaj posługiwania się skrótami ukutych przez siebie terminów, tak że przyszło mi go studiować z kartką w rękę, na której wypisałem sobie te wszystkie skróty, bo inaczej popadałem w kompletny mętlik. Praktycznym urzeczywistnieniem swojej idei Xarbagsar bardzo mało się interesował, uskrzydłony lubymi wizjami Raju na Encji, i dopiero jego cioteczny brat Gęgęx odkrył tożsamość idealnego państwa z idealnym kurdlem. Wzięta w dwa słowa idea polegała na zjednoczeniu przeciwieństw jako Natury F Kultury; Człak został stworzony siłami Natury, toteż tylko na łonie Natury może się czuć naprawdę dobrze; jednakowoż kultura także jest mu niezbędna, w przeciwnym bowiem razie nie różni się dostatecznie od zwierząt. Otóż kur—del, będąc sam zwierzęciem, jest ponad wszelką wątpliwość integralną częścią Natury i chodzi o to, ażeby go skulturalizować, czyli zasiedlić, zmieniając jego pierwotną Animalność, lecz nie zmieniając jego Istoty. Zdaje się, że dobrze oddają myśli tych dwóch wybitnych krewniaków, od których przejął centralny koncept Przewodniczący. Z zewnątrz naturalny, od środka kulturalny, czy skulturalizowany, miał stać się kurdel podstawową komórką państwa także i ze względu na czcigodną tradycję, mianowicie schedę podań, mitów i rytów, związanych ze strumiami i Człakami, z ich arką Noego i tak dalej. Ojcowie nacjomobilizmu postawili jednak sprawę realistycznie, odwracając kurdla do góry nogami, a dokładniej mówiąc nie samego kurdla, lecz stosunek między nim a Człakiem. Dawniej bowiem stanowił istotę wyższą, a oni oddawali mu boską cześć; najeżało go tedy zdesakralizować, ażeby odtąd służył Człakom. Konsekwencją wdrażania tej idei w życie stały się właśnie miastodonty, gminochody, drepartamenty, urbanistyczne wypasy i tak dalej. Pojawiły się też, jak to bywa, gdy szczytna myśl zetrze się z szorstką rzeczywistością, rozmaite dylematy, nie przewidziane przez rodziców nacjomobilizmu, poczynając od biegunek i innych przypadłości miastochodów, i półki całej sali bibliotecznej ugięły się pod ciężarem tomów poświęconych roztrząsaniu immanentnych lub akcydentalnych defektów państwochodzenia. Było tych dzieł tyle, że plecy zabolowały mnie od samego ich znoszenia po drabince i w krzyżach zatrzeszczało. Mimo to wierny postanowieniu zgłębienia rzeczy do dna nie ustawałem w lekturach. Subtelna zawilość wywodów nakazywała szacunek, ale choć nie natknąłem się ani raz na takie słowo, powoli narastało we mnie przemożne wrażenie, że żyć w kurdlach było niewygodnie, żaden jednak teoretyk kurdlandzki nigdy by czegoś podobnego nie powiedział. Mówili o pewnych przejściowych trudnościach związanych z niedostateczną wentylacją, o złej jakości

filtrów i odwaniaczy, o schorzeniach kręgosłupa, wywołanych koniecznością życia w kucki, bo zwłaszcza na niższych stanowiskach trudno się jakoby w kurdlu wyprostować na całą wysokość, ale o tym, żeby po prostu można porzucić te mieszkalne wnętrza, żaden ani się zająknął. Muszę powiedzieć, że porządnie mnie to dziwiło, bo niby jaki absolutny mus zniewalał ich do pędzenia takiego żywota? A więc odpowiedzi na to powracające pytanie padały ze wszystkich dzieł, które studiowałem, istnym deszczem; szło o syntezę natury z kulturą, o zjednoczenie tych przeciwbieżnych pierwiastków i pozycji, i gdybym chciał tu wypisać tylko główne argumenty szermierzy państwowochozizmu, papieru by mi nie starczyło. Może, myślałem, .tak się już do tego przyzwyczaili, że inaczej nie potrafią, z drugiej jednak strony przyzwyczajenie nie objawia się aż taką niezmordowaną elokwencją perswazyjną. Uznawszy na koniec, że nie zgruntuję tej obcej zagadki, zrezygnowałem z dalszych lektur w sali klasyków. Przewodniczącemu poświęcona była następna sala, ale raz tylko do niej wszedłem i dałem spokój. Była jeszcze trzecia sala, tak zwanych Przeklętników, czyli Kacerzy kurdlizmu, ponieważ najważniejszym wśród nich autorem był pewien stracony za przekonania mędrzec, nie .wymieniany przez ortodoksów z nazwiska, lecz zwany raz Potwornym Maciorem, a raz Maciornym Potworem. Zajrzałem do jego głównej pracy w dziale prohibitów kurdlandzkich i dowiedziałem się dzięki temu dwu rzeczy. Po pierwsze nazwisko tego odszczepieńca nie poddawało się w ogóle transkrypcji na jakikolwiek ziemski język i dlatego figurował w katalogach jako Kinderlos, Sansenfants albo Bezdzielnik, bo to oddawało jakoby s e n s tkwiący w jego kurdlandzkim zawołaniu. Po wtóre, w herezji, jaką rozpowszechnił, nie mogłem się dopatrzeć nic zdroźnego ani szczególnie oryginalnego. Po prostu sugerował, aby wszyscy chodzili do kurdli na noc, spać, natomiast dni spędzali poza nimi, robiąc każdy, co mu się żywnie podoba, i to właśnie było głównym kamieniem obrazy dla prawomyślnych kurdlistów. Zabijcie mnie, jeśli wiem, dlaczego ta banalna myśl tak ich przerażała. Posuwając się wzdłuż regałów dotarłem do czytanek dla dzieci szkolnych. Znalazłem w nich pocziwe opowieści o tym, jak w pradawnych czasach Nibypolcie, to jest agenci luzańscy, chcąc podejść Prapołciów w ich miastochodach, puszczały w obieg różne kłamstwa i perfidne gadki, na przykład viceversizm, czyli program odwrócenia kurdla tak, żeby miał ogon na miejscu głowy i odwrotnie. Liczyli bowiem na to, że jeśli uda im się namówić zacnych mieszczan do tego kroku, powstanie bałagan i chaos, wówczas zaś wezwą plugawych pobratymców, by wspólnymi siłami natrzeć na rozkojarzony miastochód. Wypędziwszy prawowitych lokatorów na pewną śmierć pod meteorytami (bo to się działo w czasach strumów), Luzanie zajęliby ich miejsce, urządzając zarekwirowanego kurdla dla siebie. Lecz zawsze znalazł się bohater, który w zarodku zdławił te nieczne zakusy. Szczególnie wryła mi się w pamięć historyjka o dzielnym malcu, który sam jeden dał radę całej watasze łotrów, włazłszy śmiało do gardzieli, by łechtać kurdla w podniebienny języczek, aż ów obruszył na zaczajonych napastników gastryczny potop. Czytanki zachęcały działwę do czujności wobec wagantów–prowokantów, którzy usiłują odbić sennego albo roztargnionego kurdla od stada, bądź też używają drabin strażackich w poszukiwaniu jego łechczywych miejsc, bo olbrzym łaskotany uporczywie, przejawia skłonność do nagłej irredenty. Skądinąd wyczytałem u luzańskich znawców szkolnictwa, że tło tak zwanej irredenty nie jest wcale polityczne. Żygant to nie kurdel wynicowany przez sabotażystów, ale miastochód, którego mieszkańcy nagminnie pędzą samogon i w opilstwie poty zatrują nieszczęsne zwierzę, aż popadnie w stan pomrocznego delirium, w którym rzuca się na inne sztuki. Opilstwo jest bowiem społeczną plagą Kurdlandii, o czym wszakże czytanki milczą. Zresztą w samych kurdlach krążą ponoć ulotki, podające, że poszczególne miastochody zra się ze sobą o paszę, a starnakowie razem z rodzinami i protegowanymi zabawiają się potajemnym orgiami, tnąc hołubce wewnątrz biednych, walących się z nóg starych kurdli i niejednego już zatańczyli od środka na śmierć. Ten zakazany oficjalnie taniec nazywa się kurdesz. Tego rodzaju rewelacje pochodzą głównie od ozadników i na nich opierają się

kurdlistycy luzzańscy, skupieni w Instytucie Teorii Państwa, kiedy utrzymują, że Człakowie są po prostu pasożytami kurdli, bo o żadnej symbiozie pierwszych z drugimi mowy być nie może. Z włóczęgostwa przeszli Prapołcie do perypatetyzmu, z perypatetyzmu do preparazytyzmu, a z niego do zwykłych form pasożytnictwa. Dziwne, że nie ma między tymi ekspertami zgody, czy kurdle żyją, czy nie. Podług niektórych zaszło to, o czym pisał baron Miinchhausen, gdy „wilk skoczył na ciągnącego sanie konia, wgrzył mu się w zad, przeżarł go na wylot i znalazł się sam w uprzęży, żeby pognać dalej już jako zwierzę pociągowe. To właśnie mieli uczynić Człakowie z kurdłami. Z gigantów, skonsumowanych po trochu od środka, zostało tyle co nic, najwyżej szkielet nośny i potężna skóra z grzbietowymi tarczami pancernymi i teraz aktywiści na zmianę poruszają takiego strupieszalca, a właściwie po prostu trupa, czego zresztą nie wolno nikomu powiedzieć, żeby nie sprawić Przewodniczącemu przykrości. On bowiem wierzy w doskonałe zdrowie i wigor miastodontów, co mu przychodzi tym łatwiej, że nie mieszka w żadnym, lecz w całkiem zwyczajnej rezydencji otoczonej pięknym parkiem i o panującej w kurdlach sytuacji dowiaduje się z rządowej prasy. Pewien luzkański psychosocjolog, Tiurrirrquarr, uważa zresztą, że idea nacjomobilistyczna jest żywa, choć kurdle zdechły, bo jak to mówią, wiara góry przenosi, a cóż dopiero zwłoki. Chodzi wprawdzie o fałsz, ludność akceptuje go atoli z entuzjazmem, i nie dziwota. Wszak wleźli do tych bydła, żeby się ratować przed strumami, w celach samozachowawczych, a nie ideologicznych, i doskwierała im niejasno świadomość podrzędnej pozycji na planecie. Mówiąc po prostu, głupio im było tak żyć, zwłaszcza że parazytyzm nie cieszy się na Encji niczym uznaniem. Któż głosiłby na Ziemi, że tryb życia pcheł czy tasiemców to najwyższa forma socjalizacji? Lecz właśnie Przewodniczący, połączywszy w jedno teorię idealnego kurdla z tradycyjnymi legendami, poprzekręcanyimi fragmentami historii cywilizacyjnej i ewolucyjnej, zaspokoił polityczne aspiracje Człaków, podkreślając w swych pismach ofiarnczy i przez to szczytny sposób ich bytowania, wiodący ku świetlanej przyszłości.

Tyle zwolennicy koncepcji skrajnej, zwanej mumifikacyjną albo trupicielską. Nie brak jednak badaczy bardziej umiarkowanych w sądach. Ci podkreślają, że od czasu do czasu miastodonta walą się jak długie z nóg, czego hipoteza trupich cielsk nie umie wyjaśnić. A więc one jednak żyją, choć może ledwie zipią, czasem jednak i ryczą, na tak zwanych rżęzawiskach, gdy odzywają się potępieńczym chórem na grzęzawiskach, podczas mityngów i świąt państwowych. Co do ustroju, jest on kastowo—feudalny w rozumieniu anatomicznym. Pozycja obywatela zależy od miejsca, jakie mu wyznaczono w kurdlu. Niestety, są jeszcze inni naukowcy, ale doprawdy nie czuję się na siłach referowania ich poglądów, bo i tak żadnego definitywnie sprawdzić nie byłem w stanie. Miałem już opuścić tę część biblioteki, kiedy natknąłem się na wielką kupę broszur i gazet, zalegającą kąć między dwiema szafami. Zwalono je, jakby zostały wyłączone z zestawu bibliotecznego i miały pójść na śmiecie. Nad nimi dopiero się zdumiałem, bo choć pochodziły wszystkie z Luzanii, pełne były peanów na cześć nacjomobilizmu. Kichając od kurzu usiadłem przecież nad tą stertą, rzucając okiem to na reportaże, to na wiersze, sztuki dramatyczne, poematy, opiewające czar bytowania w miastodontach, w których wszyscy się znają, nie ma żadnej alienacji, frustracji ani inwigilacji bystronicznej, gdzie każdy mówi każdemu po imieniu, a wszyscy zespalają się życiowym rytmem z tym dobrym, wspaniałym stworzeniem, które zapoznawszy się bliżej z gustami swych mieszkańców, spożywa, pasąc się, takie jagody i takie zioła, którymi może im sprawić szczególną przyjemność. Znalazłem w tej stercie całe roczniki periodyków, jak „Czar kurdla” „W kurdla ciszy”, śpiewnik, z którego zapamiętałem „Mój Połykaninie, rozwijaj się”, oraz libretto opery „Curdelio”. Były tam jednak i broszury diametralnej treści, zrównujące brzuch kurdla z piekłem, a nawet pamflet zapewniający, że pewni Praastronaucci wylądowali na Encji przed milionem lat i osadzili na zabłociach parę pyrozaurów, co się rozmnożyła w złowonne stada, i co miało na celu zepchnięcie Encjan z przyzwoitej drogi rozwojowej. Udało im się niestety, bo monstra te pochłonęły nie tylko Człaków, lecz i Luzanów, przynajmniej pod

względem duchowym, skoro mają odtąd głowy zatkane problemem kurdla respective skurdlenia jako zbawienia.

Można by z tego wnosić, że na Encji nie mają innych kłopotów poza pytaniem „Być albo nie być w kurdlu”. Ja jednak postanowiłem wziąć z nim rozbrat, i to na długo. Czekają mnie nie tknięte dotąd szeregi szaf z wystrojonymi w ordynku książkami wyższej, trudniejszej wiedzy. Gdy stanąłem na progu pierwszej sali, księgozbiór luzanistyki rzędami grzbietów rzucił mi wyzwanie, od którego nogi się pode mną ugięły. Nec Hercules contra plures, przemknęło mi przez głowę, ale też dodałem zaraz: sursum corda! Z tą myślą ruszyłem sam przeciw Encji — przeciw spiętrzoną jak warstwy geologiczne duchowym osadom obcego świata.

\* \* \*

Nigdy względność urody nie ulega tak okropnemu wyjawieniu, jak kiedy patrzą na siebie przedstawiciele dwóch różnych pochodzeniem ras planetarnych. Profesor Schimpanser cytuje w swej „Porównawczej entropologii” raport do użytku służbowego, jaki encjańscy terratologisci złożyli swoim władzom po zapoznaniu się z licznymi emisjami telewizji ziemskiej. Szczególną ich zgrozę wzbudziły konkursy na miss piękności świata. Uosobienie zła stanowi dla ludzi lokalna grawitacja, przy czym walce z nią poświęcone są określone części ciała. Z niepojętych przyczyn kobiety muszą demonstrować swój udział w tym zmaganiu stale, mężczyźni natomiast tylko okresowo. Prawdopodobnie świadomość takiej dysproporcji wywołuje protesty samic homo sap., zwane ruchem wyzwolenia kobiet. Bojowniczkami ruchu demonstracyjnie odmawiają noszenia pod odzieżą specjalnej uprząży (chomąta), która przeciwdziała grawitacyjnemu opadaniu wyrostków karmicielskich, symbolizujących aktywność życia. Walka biustów z ciężeniem zawsze kończy się ich klęską, o czym ludziom z góry musi być wiadomo, bo z wiekiem słabnie napięcie tkanek. Niemniej samce odmawiają przegrywającym samicom choćby szczątków tego uwielbienia, jakim je otaczają, dopóki pozory suwerenności antygravitacyjnej są zachowane. niesprawiedliwość tego kodeksu zachowań jest tym bardziej rażąca, że jak się wspomniało, samców analogiczne demonstrowanie niepodległości obowiązuje tylko kiedy niekiedy, a i to przez czas bardzo krótki. Skąd się ten obyczaj wziął, nie dało się ustalić. Musi mieć podkład religijny (metafizyczny), aczkolwiek wszystkie ziemskie wiary milczą w tym temacie, co świadczyłoby o kryptoreligijnym charakterze narządowej walki z siłą przyciągania Ziemi. Rozstrzygnięcie zagadki utrudnia wielofunkcyjność organów wydelegowanych do przeciwciażeniowych wystąpień, gdyż skutkiem jedyne go w swoim rodzaju, unikalnego w Galaktyce zrostu narządów wydalniczych z rozrodczymi u ziemskich ssaków nigdy nie jest do końca jasne, w jakim konkretnie charakterze narządy te są aktywowane prywatnie bądź publicznie. Niechybnie powikłania natury biologicznej, które doprowadziły anatomię człowieka do tego pożałowania godnego stanu, znajdują swoje pokrętne odbicie w jego kulturze i religii.

W każdym razie utożsamianie zła z ziemią nie ulegaj wątpliwości; poddać się ostatecznie grawitacji, to wpaść do jamy zwanej grobową, i zgodnie z tą diagnozą każdego, kto umiera, ludzie chowają w ziemi. W tej dziedzinie obowiązują ich szczególne rytuały zbiorowego zakłamania, choć bowiem ponad wszelką wątpliwość znany im jest rozkład zwłok, zaprzeczają mu wszystkie wielce skomplikowane czynności, towarzyszące ukryciu zmarłego przed widokiem powszechnym (używa się do tego futerałów z tworzyw zdrewniałych, a dla utrudnienia konstatacji, co dzieje się z ciałami pochowanych, po zakopaniu ich, miejsca te przykrywa się ciężkimi konstrukcjami z kamienia, granitu i innych zakrzepłych skał ogniwych).

Tok widzą nas Encjanie, powiada profesor Schimpanser, i nic tego nie odmieni, bo muszą mówić niczym ślepi o kolorach. Niedostępne są im wszystkie pojęcia związane z erotyką, na równi z jej duchowymi i zmysłowymi namiętnościami, natura ukształtowała bowiem ich rozród na radykalnie pozaziemską modłę. Nie mają zewnętrznych narządów płciowych, nie parzą się, nie kopulują i nawet pojęcie rodziny wyzbyte jest u nich więzi biologicznej, jako że zapłodnienie żeńskiego jajeczka odbywać się musi w polimiksji, czyli mówiąc mniej uczenie, musi w nim uczestniczyć siemię co najmniej dwóch samców. Ażeby zrozumieć, jak do tego doszło, należy cofnąć się do samych początków ewolucji życia na Encji, i profesor Horacy Gorilles, do którego fundamentalnej „Wegetatywnej prokreacji” skierował mnie profesor Schimpanser (który wciąż cytuje Gorillesa, dając mu prym nad innymi encjologami), w przystępny sposób przedstawił ów niezwykle dla nas stan rzeczy.

Przed trzema miliardami lat planeta przedstawiała się z przestrzeni kosmicznej jako bladoseledynowy dysk. To nie zielonkawe chmury zakrywały jej tarczę, lecz tryliony owadów, znacznie mniejszych od komara. Owady te, zwane zieleńcami (Gorilles Viridans Ohrentangi L.), pełniły funkcję naszych alg, były bowiem zdolne do fotosyntezy, toteż unosząc się na granicy stratosfery, w ciągu miliarda lat nasyciły powietrze tlenem. A ponieważ, obrazowo mówiąc, tarczowe pastwiska znajdowały się w niebie, ewolucja wyższych zwierząt rwała się w górę i już od pierwszych pełzów i gadów poszły odmiany latające, odpowiednik naszych roślinożernych, a im który był sprawniejszy w locie, tym skuteczniej korzystał z nieprzebranych zasobów pokarmu w żywych, zielonych chmurach Encji. Rośliny okrytozalążkowe nie powstały na niej nigdy, mokradłowe zaś nie zawierają chlorofilu, lecz nie znany na Ziemi pigment oddechowy, który rozkłada siarczki i siarczany, obficie splukiwane z sejsmicznych płaskowyżów do błocanu. Zwierzęta, co przystosowały się do spożywania takich siarczkowych porostów, nie mogły rozprzestrzenić się po całej planecie, przykute do trzęsawiskowych żerowisk, włącznie z największymi, jakie stanowiły kurdle. Zwierzęta te miały moc pasożytów i symbiontów, pochodzenia, jak powiada profesor Gorilles, „niebiańskiego”, bo liczne » odmiany zieleńców, tracąc zielony barwił<sup>^</sup> często wróż ze skrzydełkami, przechodziły na krwawy wikt, towarzysząc wielkim stadom pełzów i gadów na zabłocjach. O perspektywach rozwoju życia decyduje, jak wyjaśnia doktor Achilles Paviani (na którego powołuje się Gorilles), całość piramidy żywieniowej, czyli to, kto kogo na danej planecie je i przez kogo z kolei bywa jedzony. Porostami siarczynowymi (Sulphuroidea Ohrentangi) żywiły się pełzy, pełzawce oraz inne błotniskowe wraz z kurdkami; a one same stanowiły żer drapieźców, chybkich, zwinnych, przeważnie skaczących, bo dwunogich (dość podobnych do dwunogich kanguropodobych gadów jurajskich) i żerowanie miało zwykle charakter pogoni; tylko olbrzymy jak kurdle usiłowały się kryć przed predatorami nurkując w błotnej mazi, wszystko inne umykało przed kłami i pazurami chyżych wygryzów, zagryzów i przegryzów, jak je nazywa Abraham Gibbon w swej „Historia naturalis praedatorum Entianum”. Schimpanser, Gorilles i Gibbon akceptują bez zastrzeżeń twierdzenie biologów encjańskich, że choć to przykre, zwierzęta Naczelne zawdzięczają zawsze i wszędzie swój rozum tak zwanemu pasażowi predatyzacyjnemu. Sęk w tym, że dla roślinożernych istnieje wyłącznie terażniejszość, bo mają żarcie pod nosem i tyle, natomiast drapieżcę są z natury rzeczy zwrócone ku przyszłości, skoro muszą oczekiwać zdobyczy, czaić się na nią, podchodzić, tropić, ściagać, pokonywać wszystkie jej wybiegi, co sprzyja wzrostowi inteligencji tym energiczniej, im bystrzejsze są ofiary. Rozum jest tylko potencjalny i niejako śpi/dopóki zdobyczy nie brak; lecz gdy jej mało, przychodzi kryzys i kto nie ma za czym pójść wtedy do głowy, ginie z głodu. A właśnie życiowe warunki były na Encji wyjątkowo ciężkie i groźne; mało, że epoki wulkaniczne czyniły ciepły płaskowyż regionem śmierci, planeta tkwiąc w gromadzie Cielca ulegała często strasznym promienistym udom gwiazd Nowych, które tam wybuchały, powodując istne hekatombi ofiar wśród zwierząt, a także zabijały każdorazowo lwią część wirydyków (zieleńców) atmosferycznych, i

to właśnie dopingowało pozostające przy życiu gatunki do wielkich mutacyjnych przekształceń. Było to, powiada profesor Paviani, jakbyś młócił cepami w stodole pełnej myszy; jasne jest, że cało ujdą tylko najsprytniejsze i najbardziej chyże. Naszym biologom zdawało się, tłumaczy profesor Schimpanser, że decydującą rolę odegrał w antropogenezie pasaż arborealny, czyli, jak niektórzy żartobliwie powiadają, małpi—zacja i następowa demałpizacja pewnych prymitywnych form, co najpierw powłaziły na drzewa, gdzie zyskały chwytność rąk, wyprostną postawę i bystrość wzroku, bo inaczej nie doskoczysz gałęzi, a potem kiedy glaciał wymroził drzewostany, musiały zleźć na udeptaną ziemię i wziąć się do poszukiwania żeru nie czekającego tak biernie spożycia jak jabłko czy banan. Lecz ważniejszy od pasażu arborealnego jest predatyzacyjny; kto wlezie na drzewo jako skończony kretyń, nie zmańdrzeje, gdy zlezie na dół; Encja nie miała lasów, nie było się na co wspiać, i dlatego Naczelnie poszły tam od wielkich ptaków. A doszło do tego, wyjawia doktor Schimpansohn (nie należy go mylić z Schimpanserem), bo wielkie ptaki encjańskie miały niezwykle, jak na ptaki, wielki mózg. To znów wzięło się stąd, że wirydyki, które nie oddychają jak zwierzęta, lecz jak rośliny, mogą się unosić w stratosferę bardzo wysoko, tam, gdzie już braknie tlenu dla płucodysznych; więc żerujące na nich ptaki formalnie dusiły się przy wzbijaniu za lotnym pokarmem, a ponieważ najpierw od głodu tlenowego giną komórki nerwowe mózgu, powstało silne ciśnienie selekcyjne, żeby tych neuronów było jak najwięcej; gdy ich było bardzo dużo, ptak mógł przeżyć, chociaż część mózgu obumierała. Jak wiadomo, komórki mózgu nie są zdolne do regeneracji. W ten sposób masa mózgowa ptaków encjańskich rosła i niejako stała się nadmiarowym tworzywem, z którego po milionach lat późniejsze wypadki wykrzeszały inteligencję. Stało się to dopiero, gdy przestały latać i jako wielkie dwunogie bezloty zajęły się na błotnych nizinach łowiectwem. Dlatego właśnie Encjanin ma wygląd człowieka tylko gdy stoi bez ruchu; bo przy poruszeniach widać, że stawia nogi jak struś, zginają się bowiem w kolanach do tyłu, a głowę może odwrócić o 180 stopni; ma beczkowatą pierś, ręce o grubych, pustych kościach, a na szkielecie pozostały ślady zaczepu mięśni skrzydłowych. Oczy ma okrągłe, twarz wielce dla nas odrażającą, gdyż zamiast nosa i ust w jej środku wznosi się pałubiczne zgrubienie, z szeroko rozstawionymi nozdrzami, które wcale nie są zresztą nozdrzami, lecz ujściami narządów płciowych, a jego brzuch i łono są gładkie jak u lalki, nie będąc bowiem żyworodnym ssakiem, nie ma ani pępka, ani genitaliów. Nie miałem zdrowia, żeby przebijać się przez podręczniki Schimpansera i Gorillesa do końca, bo zamiast zwięźle rzec co, czym, jak, po co i dlaczego, wypełnili setki stronic genetyką populacyjną bezlotów i Preencjan, lecz szczęśliwie znalazłem krótki rys organologiczny u magistra Stanleya Lemura i na niego się powołam. Wprawdzie Lemur, niższy rangą naukową od Chrentanga, Schimpansera, Gorillesa i innych luzanistów, wie może trochę mniej od nich, ale mnie to w zupełności wystarczyło. Powiada, że wszystkie wyższe zwierzęta Encji rozmnażają się po roślinnemu, lecz nie całkiem, bo czynią to zawsze w biegu, i to w największym pędzie. A jednak trzeba nazwać ten typ rozplodu roślinnym, upiera się dzielnie S. Lemur, choć tamci łaja go za zbytne uproszczenie rzeczy. Ptaki encjańskie nie składają jaj. Zdaje się, że najstarsze archeopterygia składały, lecz bezlotnym biegaczom, pokonującym dziennie wiele dziesiątków mil w pogoni za pożywieniem, jajorodność byłaby zgubną zawadą. Embriony, podobne raczej do gąbek niż do jaj, nosi samica podczepione pod brzuchem w fałdzie przypominającym nieco torbę kangura. To ma jeszcze jakieś odniesienie do ziemskich stosunków. Sam akt zapłodnienia nie ma go jednak wcale. Samica ulega inseminacji przez orificia oviductales, umieszczone powyżej otworu gębowego, a samce zamiast koloidowego nasienia produkują lotne pyłki, wyrzucane przez podobne otwory, kiedy dogonią ją w rytualnym biegu godowym. Schimpansohn nie zgadza się tu z Ohrentangiem, a ten z Gorillesem. Ignorując ich spory, Lemur oświadcza, że wszystko wzięło się od wielkich opresji, nekających na planecie zwierzęta. Nacisk zagrożeń ponaglał je do anatomicznych rozwiązań, które się dziedziczy, nim przyszła szansa wyższego

zróznicowania. Mówiąc inaczej, ten zarazem seksualny i bezkopulacyjny rozród jest daleko bardziej prymitywny niż ziemski. Muszę jednak lojalnie dodać, że chodzi o stanowiska zajmowane przez badaczy, którzy jako ludzie pochodzą od małp i uważają, że im kto bliżej spokrewniony z gadami (a ptaki wprost się od nich wywodzą), tym większą ujmę mu to przynosi jako istocie rozumnej. Zdanie Encjan jest radykalnie odmienne. Prymitywizm, i to w najgorszym guście, głoszą widać tam, gdzie defekację od prokreacji oddziela parę milimetrów albo i mniej. Ów sposób pozostaje obojętny moralnie, dopóki nie ma morderstwa, a nie ma jej, póki zachowaniem zwierząt rządzi bezrozumny instynkt. Wszelako ten oszczędnościowy sposób złączenia w jednym miejscu i kanale funkcji tak diametralnych, jak usuwanie z organizmu nieczystości i uprawianie miłości, musiał się stać zgubą budującego kulturę rozumu. Ponieważ każda żywa istota stroni od własnych wydaliny, ten powszechny wstręt należało jakoś przezwyciężyć i ewolucja posłużyła się wybiegiem tyleż prostym, co cynicznym, czyniąc miejsca naturaliter obrzydliwe magnesem dzięki dostępnej w nich rozkoszy. Ci nieszczęśliwi, bezgranicznie naiwni ludzie głowią się od nie wiedzieć ilu wieków, orzekł człekista encjański Pixiquix, dlaczego kopulacja przynosi zmysłową uciechę ich samicom, a nie czyni tego u żadnych zwierząt niższych. Zdumiewające, dodaje ów uczony poptak, że w ogóle ktoś, będąc rozumnym, może sam siebie okłamywać tak długo i tak skutecznie, jak to robią biedni Ziemianie! Kto parzy się bezrefleksyjnie, nie potrzebuje żadnych obietnic przyjemności, pokonującej odrazę. Ślimak, żaba, żyrafa ani byk nic, ale to nic sobie nie myślą, gdy nachodzi je ruja; lecz żeby stłumić ‘wszelkie myślenie u tych, którzy nie tylko mogą, ale muszą się posługiwać rozumem, trzeba zamroczyć ich umysł autonarkozą i to zadanie przypadło właśnie orgazmowi. Działający pomrocznie spazm mija wszak rychło i powraca jasność myśli. Biedne, oszukane przez ewolucję, niewinne jej ofiary! — wykrzykuje w tym miejscu swojej „Homologii komparatystycznej” doktor Pixiquix, cała Galaktyka winna wam współczucie, za waszą bezradną szarpaninę duchową, z której nie wymotaliście się po dziś dzień i nigdy się nie wymotacie, bo to się przy takim kalectwie nie da zrobić. Dodam nawiasem, że w dziale poezji luzańskiej znalazłem kilka poematów, roniących łzy nad naszym seksualnym nieszczęściem, które zmusiło do rozpaczliwych wykrętów zwłaszcza ziemską filozofię i religię. Spore wrażenie zrobił na mnie „Traktakt niemoralny” Hetta Titta Xiurrxiruxa, otwierający się takimi strofami:

**Jakież Natury oskarżenie  
Stanowi los nieszczęsnych Ziemian  
Zmuszonych mieć w miłosnej cenie  
Metabolicznych ujścia przemian.  
Litością zdjęty, Kosmos cały  
Wyciąga do Was, ludzie, dłonie,  
Co macie uczuć ideały  
W najpaskudniejszym ciał regionie.**

Przełożył to, zdaje się całkiem nieźle, poeta szwajcarski Rudi Wüetz. Znany teoretyk literatury, strukturalista Teodoroff uważa jednak przekład drugiej strofy za chybiony i proponuje taką wersję:

**Wiedząc, gdzie mają ideały  
I ujść nie mogą z tej zasadzki,  
Litością zdjęty Kosmos cały  
Ze zgrozy załamuje macki.**

Tenże uczony zwraca uwagę na liczne apokryfy, ułożone na Ziemi, a przypisywane



Encjanom fałszywie, co widać z wymienianych w nich rekwizytów lirycznych, jak różyczki, pszczołki czy motyle, ponieważ na Encji nie ma ani podobnych zwierząt, ani roślin<sup>1</sup>.

Wróćmy jednak do rzeczy przyrodniczych. Życiowe zagrożenie było na moczarach tak wielkie, że ich mieszkańcy nigdy nie ustawali w biegu, ani polując, ani rozmnażając się. W okresie godowym bezloty rozpoczynają tańce rytualne, po czym od stada odpryskują najpierw samice, mknąc w różne strony, a gromady samców gonią je, by otoczyć dościgniętą kłębami pyłku rozplemowego, który galopująca wciąga nozdrzami. Łatwo pojąć, że ojcostwo nie jest w takich okolicznościach do ustalenia, nawet gdyby zapłodnienie mogło się obyć bez polimiksji (zwanej też polipollinizacją). Nie może jednak obyć się na pewno, jak to udowodnili modelowaniem komputerowym Orr, Angutt, Thang oraz ich współpracownicy w Massachusetts Institute of Sexual Technology.

Zdaje mi się, że przekazywane międzyplanetarnie wyrazy współczucia i kondolencji zirytowały naszych uczonych, nie mogli wszakże dać jawnie upustu takim emocjom ani w jakiś kategoriyczny sposób odtrącić skądinąd szlachetnie pomyślanej życzliwości. Robotę odwetową podejmują tedy sine ira et studio, podkreślając jakby mimochodem wielkie niewygody prokreacji w galopie, lecz znaleźli w biologach luzzańskich tęgich polemistów, ci bowiem wyjaśniają, że skoro najlepszego zdrowia dowodzi ponad wszelką wątpliwość ten, kto najszybciej i najdłużej biegnie, encjański mechanizm godów gwarantował i nadal gwarantuje przeżywanie osobników pod każdym względem najsprawniejszych, czego dalipan nie da się rzec o aktach zachodzących na trawie bądź w łóżku, gdyż położyć się potrafi nawet ostatni kuternoga. Dookoła tej apodyktycznej tezy powstał niejaki hałas, ponieważ nie wszyscy nasi luzaniści byli zgodni w tłumaczeniu ostatniego słowa; tak na przykład profesor Pogorilles (nie mieszać z Gorillosem) sądzi, że prawidłowy przekład powinien brzmieć „ostatni zwyrodnialec”. Inni jednak przeczą temu, powołując się na brak pojęcia zwyrodnień, zwłaszcza seksualnych, wśród Encjan: po prostu nie miały tam żadnych szans powstania. Żeby zamknąć tę kwestię, dodam, skąd się wzięła lokalizacja twarzowa seksu u Encjan. Otóż z ziemnowodnego, a dokładniej mówiąc błotnego życia ich najstarszych przodków przed miliardem lat. Pewne gatunki pełzów usiłowały składać jaja po ziemsku, lecz jaja te tonęły jako cięższe od wody (miały być cięższe przez ich skład chemiczny, gdybym jednak i to miał wyjaśniać, nigdy nie doszedłbym końca) i ginęły marnie w błotnistym mule; przyszło do mutacji, radiacji gatunkowej i tak dalej, aż wyżyły tylko Sexofaciales i Spermonarinales, które puszczały nosem bańki, zawierające odpowiednio jajeczka z pławnikami oraz chybkie, pływające siemię. Różnie z tym później bywało, lecz nie chcę przekształcić mego sprawozdania z genewskich lektur w podręcznik encjańskiej ewolucji. Ciekawym dalszych szczegółów radzę zwrócić się po prostu do departamentu Cielca w MSZ z prośbą o przepustkę do archiwów.

Studia zajęły mi już pięć tygodni; pozostawały jeszcze prawie dwa miesiące przymusowego pobytu w Szwajcarii, lecz zdawało się to niczym wobec nie przemierzonych dotąd, następnych sal olbrzymiej biblioteki. Nie upadałem jednak na duchu, choć stałem się kompletnym odludkiem, przesypiając dni i budząc się, kiedy dokoła Szwajcarzy załatwiwszy z satysfakcją porcję codziennych interesów, kierowali się w bamboszach do pościeli. Ja

---

1\* Profesor Teodoroff miał na myśli tekst piosenki, rzekomo luzńskiego pochodzenia:

**Gdy w pędzie dziewczę me zapylę,  
Liryki piszę, w których tańczą  
Pszczółki, różyczki i motyle.  
Lecz ty, nieszczęsna ludzka nacja,  
Która, kochając swe samice,  
Musisz się łączyć opętańczo  
Niestety, z ich kanalizacją  
Zali wysławisz ją — w liryce...?**

natomiast, z teczką wypchaną zapasami kawy, cukru i tartinkami, bo na sam widok krakersów i keksów już niedobrze mi się robiło, maszerowałem pustoszącymi ulicami do Emeszetu.

Strümpfli nie dawał o sobie znać, toteż pojęcia nie miałem, że on i jego zwierzchnicy dyskretnie śledzą moje pracowite poczynania, mając względem, mej osoby bardzo konkretne zamiary, lecz jako szczeniaki dyplomaci woleli mi ich przed czasem nie wyjawiać. Sam nie wiem, co bym zrobił, gdybym się dowiedział o ich planach. Sądzę, że robiłbym jednak to samo, bo płałem autentyczną chęcią dowiedzenia się pełnej prawdy o naszych dalekich braciach w rozumie.

Pryncypialna odmienność encjańskiej kultury wynikała z zasadniczych różnic prokreacji. Na Ziemi tej centralny element stanowiła walka o prawo pokrycia samicy, a więc czynnik jawnej konkurencji, natomiast tam miało to zjawisko od praczasów charakter kolektywny. Gdyby samice biegały gorzej od samców lub chociażby przeciętnie tak samo, rasy wielkich bezłotów stałyby się po kilkudziesięciu generacjach ociężałe. Groziło to zgubą i dlatego w walce o by zwyciężyły odmiany o samicach długonogich, tak że dognanie ich wymagało nie lada wysiłku. Było też bardzo ważne, ażeby samce orientowały się, i to natychmiast, kiedy doszło do skutecznego zapłodnienia, a raczej zapylenia. Otoczona kłębam pyłków samica wydaje przenikliwy głos, brzmiący nam dość przykro, bo czyni to na wdechu. (Trudno krzyczeć na wydechu przy takich maratońskich biegach). Czasem zdarza się w tej fazie tak zwane momentalne poronienie, a to, gdy zapłodniona samica kichnie, bo pyłki zakręcą jej w nosie. Lecz wówczas zgraja samców podejmuje dalszy wyścig do upadłego, dosłownie zresztą, co słabsi bowiem doprawdy padają po drodze.

Zdolność wydawania porozumiewawczych okrzyków była wstępem wyniknięcia mowy. Warto sobie uświadomić, że ptasia krtań nadaje się do niej o wiele lepiej niż na przykład małpia, bo nie nauczysz szympansa ludzkiej mowy, natomiast szpaki czy papugi nie mają z tym żadnych kłopotów, a nie można od nich usłyszeć nic zajmującego, bo im mózgu nie dostaje. Z pierwotnego upierzenia zostało Encjanom tyle co nic — puch okrywający ciało, a nieco grubszymi pasmami zewnętrzne powierzchnie ramion, tam gdzie niegdyś wyrastały im skrzydłowe lotki. Bez ekskursji w przeszłość, na jaką tu sobie pozwoliłem, nie można zrozumieć przepaści, zięjącej między życiem duchowym ludzi i Encjan. Ich rzucająca się w oczy człekokształtność to skutek ewolucyjnej konwergencji; lecz mimo chwytnych dłoni, czaszek o pojemności/zbliżonej do ludzkich, pionowej postawy ciała, umiejętności mowy, może i trudniej nam ich pojąć, jak utrzymują uczeni encjanscy, aniżeli naczelne małpy, od których pochodzimy.

Nim wezmę się do zajrzenia w ich filozofię i wiary religijne, wymienię to wszystko, co nam swojskie, jest dla nich niepojęte i niedostępne. Nie znają, nie mogą bowiem znać wszelkich zawłości i aberracji erotycznych, pojęć zawłaszczenia partnera erotycznego, wierności, zdrady, monogamii czy poligamii, incestu, seksualnego oddania się i sprzeciwu, jaki ono może budzić, nie znają też żadnych formacji kulturowych utworzonych odgenitalnie bądź seksocentrycznie, boż i to było niemożliwością. Sporo kategoriicznych orzeczeń w kwestii kultur ziemskich przyszło nam wysłuchać od tamtejszych antropologów. Typowej dla Encjan skrajności w sądach nigdy się nasi uczeni nie dopracowali. Ziemskie pojęcia czystości i nieczystości, twierdzą, a zarazem i stąd rytuały oczyszczenia i odkupienia, ascezy jako walki ze zmysłowością, wyrzeczenia jako buntu przeciw popędowi seksualnemu, jego potępienia i uwznioślenia, doprowadziły — wciąż cytuję Encjan — do parcelacji ciała przez jego człowieczego właściciela, tak że w pewnych epokach, na przykład w średniowieczu, kultura wydała to ciało na istne tortury, ciągnąc górną jego połowę do nieba, a dolną spychając do piekła. Żaden teolog ani się zająknął (choć mieli dwadzieścia wieków czasu), co właściwie ludzie, którym chrześcijaństwo gwarantuje zmartwychwstanie ciała, będą robić z genitaliami w raju. Zresztą i hedonistyczna cywilizacja, idąca od Renesansu, była, zdaniem Encjan, takim tylko równouprawnieniem obu połówek ciała, które nie wyszło kulturze na zdrowie, bo w

efekcie człowiek brzuszno—genitalny pokonał człowieka sercowego i myślącego. To dolne ciało było istną mordęgą dla wszystkich zresztą wielkich kultur, zarówno kultur Zachodu, z ich opozycją grzechu i ascetycznej świętości, jak wschodnich, gdzie tę dwojce zastąpiły biegunowe pojęcia rozpasania i totalnej negacji ciała (nirwana). Nieszczęśnik homo bił się z tym swoim ciałem, powiadają, i nie znalazł żadnego definitywnego sposobu na pogodzenie się z nim, a tylko namiastki bądź ułudy, jeśli nie aż grzęzawiska samozakłamań. Jakże to ograniczyło ludzi, oświadczają, skoro musieli przez tysiąclecia inwestować tak ogromną część, sił rozumu w usprawiedliwianie, tłumaczenie, czy wręcz przeinaczanie stosunków, nieodwołalnie, znalezionych w ciele. Ileż musieli się namęczyć i samo—oszukiwać, żeby teza o kreacji na obraz i podobieństwo Najwyższego uzgodniła im się ze zrostem narządowym, nad którym święty Augustyn w popłochu wykrzyknął, że „inter faeces et urinam nascimur”. Wciąż trzeba było jedno idealizować, drugie przemilczać, to zakrywać, tamto przemianować, i żadne przewroty w życiu duchowym nie dały pełnej zgody na daną anatomie. Przychodziło najwyżej do przemiany faz, pruderię pokonał cynizm albo pokrewna mu ostentacja; jak gdyby ludzie powiedzieli sobie: „skoro nic się na to nie poradzi, róbmyż z zastanych narządów bezustanny użytek, bodajże tak, by uniemożliwić prokreację, bo choć w ten sposób powstaniemy przeciw Naturze, jeśli inaczej nie możemy”. W przełomach sekularnych problemy dosłownie genitalne nie pojawiały się pierwszoplanowo, co też nietrudno zrozumieć; racjonalizująca się cywilizacja nie chciała, po prostu wyznać sama przed sobą, do jakiego stopnia jest ukrócona w swym racjonalizmie biologią. A jednak Odrodzenie było publicznym przyznaniem się człowieka do ciała także w tych regionach, co były zgromadzeniem teologów, na dalekim Oriencie zaś myśliciele upatrywali w nicości jedyny prawdziwie radykalny środek przeciw rozdarciu osoby pomiędzy zmysły i ducha, delectatio morosa i ratio. Albo rozkosz, przewyciężająca obrzydzenie, albo obrzydzenie, do którego przyznawać się nie można, bo ten, kto kwestionuje normę, sam się przez to staje nienormalny. Tak brzmi podług Encjan nasz wieczny dylemat. Szukałem ziemskich ekspertów, którzy by podnieśli rzuconą rękawicę (a właściwie całkiem coś innego), ale, dziwna rzecz, nie znalazłem nic, co by zabrzmiało przekonująco, bo nie szło wszak o sofistykę, lecz o logicznie zniewalające unieważnienie tamtych wywodów. Jeśli nasi nie pozostawali dłużni Encjanom, to nie w kontratakach na terenie seksu, lecz w innych całkiem dziedzinach, przez co dyskurs stawał się po prostu wichrowaty. A szkoda. Tego rodzaju refleksja innoplanetarnych istot nad człowiekiem nie może być uznana za obraźliwą. Jest tylko zasmucająca jako kolejny dowód, że ludzkie roszczenia do kosmicznego uniwersalizmu jeszcze raz upadły.

Gozko jest przyznać, powiedział pewien stary filozof, żeśmy zostali ponownie zdetronizowani, wycuci z wysokich pretensji, i to nie abstrakcyjnymi rozważaniami, lecz naocznym dowodem w postaci rozumnych stworzeń. Ten fakt nie do odparcia pokazał nam, jak próżny był mózół ludzkiej myśli, szukającej dla czysto lokalnych ziemskich przypadków racji koniecznej i powszechnie przez to ważnej. Jakie góry karkołomnych argumentów powznosiliśmy, żeby uczynić z kondycji ludzkiej niezmiennik w skali Wszechświata! Do jakiego stopnia dał się człowiek ponieść rojeniom o bezstronności, którą świat okazuje mu przynajmniej, jeśli nie jest, wbrew pocieszycielskim wiarom, światem zycliwie przychylnym. To, co się przytrafiło jakimś pramięczakom, trylobitom i rybom pancernym przed miliardem lat, co było po prostu kwestią pasowania i tasowania narządowych połączeń, co nie miało żadnego ogólniejszego sensu prócz doraźnej funkcji, stało się naszym dziedzictwem i spowodowało tak gwałtowną i beznadziejną — jak teraz widzimy — szarpaninę najlepszych naszych umysłów, stawiających wszystkie siły na jedną kartę, żeby wyprowadzić na czystą wodę kreacji lojalnej wobec Kreowanych to, co się jako urządzenie ciała obronić tak nie daje. Zresztą, dodał tenże filozof, wcale nie jest tak, jak by mógł pochopnie sądzić odbiorca encjańskich sygnałów, że dzięki korzystniejszym trafom dziejowym przypadł im w udziale los świetniejszy od ludzkiego. Brak cudzych nieszczęść nie

równa się własnemu szczęściu. Do raju tak samo daleko tamtym, jak nam. Każdy rozumny gatunek ma swoje dylematy, z ich niemalą częścią niepokonywalną i reguła przechodzenia z deszczu pod rynnę zdaje się godna uniwersału, skierowanego w cały Wszechświat. Nie brak zresztą i takich, co dopatrują się w ludzkim seksie wyższości homo sapiens nad homo entianensis, lecz sama zasada takich porównań stanowi nonsens, ponieważ nie jest ani tak, że niedostępne nam przeżycia innych są wyborniejsze od naszych, ani tak, że są gorsze. Gdy przyjąć równość w rozumie, co zdaje się zachodzi, różnice budowy ciał, rzuconych przez mieszało ewolucyjne na scenę planetarną, można tylko skonstatować. Resztą, czyli oceną jakości bytowej, musi być w każdym takim przypadku — milczenie.

## WIARA I MĄDROŚĆ

Bodaj pierwszego, ale może i drugiego września wyrwał mnie z najgłębszego snu w samo południe dzwonek telefonu. Mecenasek Finkelstein chciał się ze mną zobaczyć. Udałem się do niego od razu, w nadziei, że zdołam się jeszcze po tej konferencji wyspać do wieczora, co było mix wprost niezbędne, miałem bowiem rozpocząć szturm na ostatni, filozoficzny bastion archiwów Emeszetu. Gdybym się wytuszczał, otrzeźwiłbym się może aż nadto, lecz gdybym tego nie zrobił, nie bardzo wiedziałbym w senności, co mi adwokat ma do powiedzenia. Wziąłem więc kompromisowo niasiadówkę i poszedłem pieszo do biura Finkelsteina, dość zdziwiony ruchem ulicznym, od którego odwykłem. Nie jestem wprawdzie solipsystą, niemniej nachodzi mnie czasem wrażenie, że tam, gdzie mnie nie ma, a zwłaszcza tam, gdzie byłem, ale skąd się oddaliłem, wszystko zamiera, a przynajmniej powinno zamrzeć. Są to prywatne myśli, których nie przeceniam, a tylko referuję, by ułatwić życie moim przyszłym biografom, w profilaktycznej intencji, bo kiedy biografom brak prawdziwych szczegółów z życia sławnego człowieka, zmyślają na potęgę fałszywe.

Mecenasek przyjął mnie szerokim uśmiechem i chciał częstować kawą, lecz odmówiłem, mając na oku rychłą drzemkę. Zauważyłem, że ma nową sekretarkę, tak przystojną, jakby nie umiała nawet pisać na maszynie. Istotnie nie umiała, mecenasek nie krył tego, robiła też potworne błędy ortograficzne i co najgorsze, wtykała niewłaściwe listy do niewłaściwych kopert, lecz patrzeć na nią było taką przyjemnością, że klienci odwiedzali go częściej, niż musieli. Przypomniało mi to fragment książki, którą studiowałem ostatniej nocy, i powiedziałem mecenasowi, że węzowy czar, jaki rzuca na nas piękna twarz kobieca, jest w gruncie rzeczy kompletną zagadką. Uświadomiłem to sobie na dobre przy owej lekturze, natrafiwszy w niej na zaskakujące nieporozumienie międzyplanetarne. Komisja ekspertów człekoznawców, która badała programy ziemskiej telewizji, stwierdziła, zwłaszcza dzięki oglądaniu konkursów piękności, że pewne rodzaje żeńskich twarzy są u nas preferowane, i pogłowiwszy się nad tym, doszła do oficjalnie zgłoszonej hipotezy, że twarz pełni u ludzi funkcję tabliczki znamionowej, czyli takiej mosiężnej blaszki z podanymi cechami mocy, wydajności i napięcia, jakie umieszcza się na przykład na motorach elektrycznych. Encjanie jako odmienny gatunek, oświadczyła komisja, nie potrafią odczytać z kobiecych twarzy parametrów, bo one nie są zakodowane ani cyfrowo, ani analogowo; lecz jakoś tam są zakodowane. Kolor tęczy, krój nosa, warg, układ włosów na głowie, wszystko to są czytelne dla ludzi znaki. Syć może ustalają dzielność przemiany tkankowej, odporność na ziemskie choroby, sprawność w biegu (choć na dobrą sprawę łatwiej byłoby ją wprost odczytać z nóg), ogólny poziom inteligencji, coś znaczy to na pewno, bo różnice między twarzami królowych piękności i przeciętnych samic człowieka nie są większe niż różnice wyglądu różnych liter alfabetu. Nie chodzi więc o stronę estetyczną, bo parę milimetrów nosa więcej czy mniej nie może grać poważnej roli. Komisja sumiennie się napracowała, rozważyła bowiem coś ### natywnych hipotez, zaczynając rozumie się ###, że niby ludzki samiec wyczytuje z samiczej ###, których życzy swojemu potomkowi, lecz kon### nie dała się utrzymać w świetle refleksji, iż ani w życiu społecznym, ani zawodowym nie widać na Ziemi uprzywilejowania nosów prostych przeciw perkatym lub odstających uszu przeciw ściśle przylegającym do czaszki. Jeśli zaś samiec pragnie potomstwa silnego, to z ukształtowania żeńskich mięśni dowie się więcej niż z zaglądania w oczy. Jeżeli chodzi o lekkie porody, to winien zmierzyć szerokość miednicy, ale tak wcale ludzie nie postępują. Ponieważ nogi zginają się ludziom w kolanach do przodu i pędza, oni znaczną część życia na siedząco, resorowe walory pośladków mogą mieć pewne doborowe znaczenie i rzeczywiście wygląda na to, że je mają dla samców, lecz twarz dają wyraźnie prym i tego żadnym siedzeniem na twardych stołkach się nie wytłumaczy. Ta nieszczęsna komisja zbadała coś

osiemset tysięcy zdjęć aktorek, prezenterek telewizyjnych i domowych gospodyń, ażeby szukać korelacji między rysami ich twarzy a zachorowalnością na kamienie żółciowe, żylaki, pocenie się nóg, a nawet łagodność usposobienia i ani śladu korelacji nie znalazła, co postawiło ją w kropce. Komisje poddała więc indagacji paru Ziemiań, kiedy przybyli no planetę, ale nic się od nich naukowego nie mogła dowiedzieć i uznała, że atrybuty, zakodowane w twarzach pięknych kobiet, stanowią tajemnicę państwową na Ziemi i wyjawic ją znaczy popełnić zdradę stanu. To jednak, że pytani ludzie sami nie wiedzieli, czemu twarz Marylin Monroe powoduje u każdego mężczyzny silne zbieżenie oka, a koleżanki biurowej raczej nie, to tym uczonym Encjanom nie mogło pomieścić się w głowie. Mecenas Finkelstein długo się śmiał i powiedział, że nie marnuję czasu, oddając się tak głębokim studiom, co go cieszy tym bardziej, że ma zakomunikować mi korzystną wiadomość. Küssmich okazuje niejaką gotowość do kompromisu. Sprawa zaczyna się przeciągać, gdyż znaleźli się degustatorzy, twierdzący, że tej ### nie weźmie do ust, a Küssmichowi nie udało ### to są rzetelni eksperci, czy podstawieni przez Nestle. Jednym słowem, jeśli zrezygnuję z zamku, Küssmich miał zwrócić mi 75% kosztów, jakie poniosłem przy remontach, a oszczercze zeznania, jakie złożył przeciw mnie, zostaną schowane pod sukno. Skończywszy, mecenas Finkelstein spojrzał na mnie oczekująco.

— Bo ja wiem — rzekłem w zadumie. — W zasadzie cały zamek to już dla mnie zeszloroczny śnieg, wie pan. Dlaczego właściwie miałbym ponieść stratę? Nie chodzi o pieniądze, lecz o sprawiedliwość. Ile lat ma właściwie ten doktor Küssmich? — spytałem, tknięty nową myślą.

— Siedemdziesiąt osiem.

— Nie powinien więc już myśleć o pieniądzach — rzekłem surowo. — A co pan mi radzi?

— Mogę ciągnąć dalej — rzekł z małym chichotem — ale chciałem upewnić się, że pan też przy tym stoi. Mamy jeszcze pięć tygodni do następnej rozprawy.

— Przez ten czas może się jeszcze wiele zdarzyć — rzekłem, pojęcia nie mając, jak prorocze są moje słowa, stając się z adwokatem poprosiłem go, żeby o ile to możliwe, nie dzwonił do mnie za dnia, gdy śpię, lecz między siódmą a ósmą, gdy trzeźwię się przed wyruszeniem do biblioteki.

Ledwie się rozebrałem i usnął powróciwszy do domu, rozległ się znów dzwonek, tym razem do drzwi. Wściekły otworzyłem dostojnie wyglądającemu mężczyźnie z teczką pachą i pomyślałem, że to nowy adwokat Küssmicha, jednak w błędzie. Był to starszy pracownik redakcji światowego miesięcznika i chciał przeprowadzić ze mną w kwestiach kosmicznych.

W pierwszej chwili zamierzałem wyrzucić go za drzwi, przyszło mi jednak do głowy, że mecenas Finkelstein nie byłby z tego zadowolony. Moja wypowiedź w światowym organie prasy poniekąd wzmacniała przetargową pozycję w sporze z plugawcem, żerującym na łakomstwie niemowląt. Co prawda nie dosłyszałem nazwy tego pisma, ale z klatki schodowej ciągnęło, więc zaprosiłem przybysza do pokoju i kiedy rozsiadł się na dobre, usłyszałem, że reprezentuje redakcję „Penthouse”. To mnie zmroziło. Wyraźnie byłem prześladowany przez narządy rodne najwyższych ssaków ziemskich, skoro magazyn, zajmujący się ich reklamowaniem, nie dawał mi spać.

— Czego pan sobie życzy ode mnie? — spytałem. Ten redaktor nie odpowiadał ani trochę memu wyobrażeniu o współpracownikach „Penthouse’a”. Zamiast nosić się krzykliwie, z obleśnym wyrazem twarzy, z wargami wykrzywionymi w sprośnym uśmiechu, z kieszeniami wypchanymi mnóstwem pornograficznych zdjęć, wyglądał jak dyplomata z żurnala, miał siwe skronie, delikatnie przystrzyżony wąs, głębokie spojrzenie intelektualisty i czarną płaską teczkę adwokacką. Założywszy nogę na nogę, naświetlił mnie promiennym uśmiechem i powiedział, że najwyższy już czas, by tajniki kosmicznego seksu uległy należnemu rozpowszechnieniu. Jak zrozumiałem, ten wytworny drab wiedział o mych studiach w Emeszecie. Teraz, gdy wyrwał mię z najlepszego snu, na jaki mnie stać, zwyczajne

wyproszenie za drzwi nie mogło stanowić dostatecznej rekompensaty. Chciałem zrobić mu jakąś większą, starannie przemyślaną przykrość, i dopiero potem powiedzieć, żeby wrócił do swej składnicy genitaliów.

— Udzielę wywiadu — rzekłem — pod warunkiem że to, co powiem, opublikujecie bez wszelkich zmian. Z uwagi na liczne doświadczenia, jakie tu zdobyłem, nie zadowolę się pana ustnym przyrzeczeniem: potrzebne mi są pewniejsze gwarancje...

Zaczęły się długie pertraktacje, bo redaktor połknął haczyk. Im solidniejszych domagałem się gwarancji, tym bardziej był pewny, że mam w zanadrzu zboreństwo, o jakich nawet on nigdy nie słyszał. W ruch poszedł telefon. Porozumiał się ze swoją redakcją, a potem ja z moim adwokatem, żeby się upewnić, że oświadczenie, jakie zostawi mi redaktor, będzie wystarczającą podstawą prawną do wytoczenia sprawy o osiemset tysięcy dolarów w przypadku zaniechania bądź zniekształcenia mej wypowiedzi. Umyślnie wyjechałem z taką kwotą, żeby się redakcyjnej szajce zbiegły w ustach wszystkie śliny, jakoż i postawiłem na swoim. Schowawszy do biurka żądane oświadczenie, którego tekst podyktował mi mecenas Finkelstein, żeby nie dało się podważyć w żadnym punkcie, coraz bardziej wściekły, skoro o przespaniu reszty popołudnia ani mowy nie było, nalałem redaktorowi wyjątkowo wstrętnego koniaku, który zostawił w barku poprzedni lokator, sam pijąc herbatę, jakoby z uwagi na stan mych nerek, i przystąpiłem do deklaracji przy kręcącym się magnetofonie.

— Nie przemawiam we własnym imieniu — rzekłem — tylko jako rzecznik galaktycznych cywilizacji. Seks w ziemskim stylu jest im nie znany. Pod tym względem stanowimy w Galaktyce coś w rodzaju potworniaka, któremu twarz wrosła w siedzenie, tyle że w skali globalnej. Rozród winien od początku przebiegać pod kontrolą wzroku i tak jest wszędzie. Raz na dwa tryliony myli się ewolucji kierunek wyjść i wejść ciała. Biegli gwiazdowi twierdzą zgodnie, że tu zaszedł ten fatalny wypadek. Prokreacja umieściła się w odchodowym odcinku ciała. Gatunki ziemskie stanęły tedy przed taką alternatywą: albo ukochać tę okolicę, albo wymrzeć. W samej rzeczy wszystkie ustroje, przenoszące śmierć nad paskudę, wyginęły. Pozostało to, co okazało gotowość umiłowania traktów wydalinowych. Jest to naszą niezawinioną tragedią — kalectwem w wymiarze astronomicznym. Jak wiadomo, całość procesu prokreacji wcale nie jest miłą. Nie jest miły stan ciąży, trudno też nazwać szczególną przyjemnością poród. Każdy proces dzieciotwórczy obejmuje dziewięć miesięcy od wstępnego rozruchu do pojawienia się prototypu ante portas, czyli 389 000 minut. Z tego przyjemność sprawia pierwszych pięć minut do ośmiu, ale niech będzie, że nawet dziesięć. Pozostałych 379 000 nie daje już owej przyjemności, wręcz przeciwnie, są to rozmaite fatygi, kończące się w wielkich boleściach. Jest to najgorszy interes, twierdzą galaktyczni ekonomiści, jaki można sobie wystawić. Jakby za trwającą minutę przyjemności zjedzenia czekoladki trzeba było płacić boleściami brzucha przez cały miesiąc. Ponieważ transakcja, jaką oferuje ciało, przytrafiła mu się niechcący, nie było w niej znamion złośliwej premedytacji bądź oszustwa, a więc niczyjej winy. Tak nie jest już jednak, odkąd do ludzkich instynktów wziął się wielki kapitał, żeby czerpać zyski z utrzymywania tych instynktów w rozognionym pogotowiu. Jest rzeczą naganną drażnić spragnionych pokazami dużej ilości wody sodowej i wysokogatunkowych lemoniad, jeśli wyciąga się tok ostatni grosz z kieszeni, lecz nie syci pragnienia. Jest rzeczą nikczemną ludzi głodnych zdjęciami pieczonych kurczaków w sałacie i malowanymi tortami ze śmietaną. Lecz jest to niczym wobec procederu tych, którzy czerpią zyski z reklamowania różnych mniej czy bardziej nieapetycznych otworków ciała jako rzekomych wejść do raju. Zapoznawszy się z tym wyzyskiem ludzi przez ludzi, Galaktyka postanowiła położyć mu kres. Ratownicze ekspedycje pospieszą nam niebawem z pomocą. Odnośną dokumentację gromadzi się już od dawna na latających spodkach, gdyż w tym celu je do nas skierowano. Odnośni eksploatacownicy zostaną skazani na dożywotnie praktykowanie wszystkiego, co oferowali nieszczęsnej publiczności, z przymusowym użyciem całego arsenału chutnicznych

instrumentów, jakie produkowali. Rada szukała daremnie okoliczności łagodzących. Prawdą jest, że pewne wynalazki człowiek wypatrył w tej swojej biedzie i stąd poszły maszyny parowe, heblarki, piły, jako też szuflady i korki do butelek. Jednakże zespoły redakcyjne w rodzaju pańskiego żadnych wynalazków tego typu na swoją obronę podać nie mogą. Publikacje wasze wołają o pomstę do nieba. Niebo zjawi się zatem i zrobi, co uzna za niezbędne. To wszystko. Żegnam pana.

Redaktor próbował coś mówić, żeby obrócić moje słowa w żart, lecz pomogłem mu wyjść. Byłem taki rozeźlony, że oka nie mogłem zmrużyć do wieczora, tęsknie myśląc o szczęśliwych ptakach Encji, które gonią się i zapylają jak motylki. Po ósmej wziętem jak zawsze torbę z prowiantem i udałem się na dalsze studia, wielce niezadowolony z udzielonego wywiadu, bo daremnie wpatrywałem się z nienawiścią w błyszczące guziki redaktorskiej odzieży i paliłem wzrokiem nienagannie związany krawat. Jakże chętnie powłóczyłbym go za ten krawat po podłodze. Słyszałem, że jak handlarze narkotyków nigdy ich sami nie zażywają, tak panowie z tych redakcji czytają wyłącznie „Pszczółkę Maję”. Myślałem o tym, aż zamajaczyła przede mną w zapadającym już zmroku wielka kuta brama ministerstwa. Razem z ziemskim kurzem strząsnąłem przyziemne myśli, bo czekał mnie wzlot w najwyższe regiony obcych duchowych robót.

Lektura teologii, teodycei i filozofii wymagała całej mocy umysłu. Otwarłem więc okno, zrobiłem trzydzieści głębokich przysiadów, uruchomiłem maszynkę do kawy, zapobiegawczo łyknąłem aspirynę, i sięgnąłem po pierwszy tom z przyszykowanej już sterty, przy czym dalipan mimowoli z piersi wyrwał mi się cichy jęk. Małe dziwactwa wielkich myślicieli są rzeczą dobrze znaną. Co prawda podręczniki historii filozofii na ogół o tych nieładnych i wątpliwych sprawkach geniuszów milczą. Ten stracił ze schodów starszą parną, tak że połamała obie nogi, tamten zrobił dziecko i wycofał się z niego, lecz były to wybryki i wyskoki indywidualne. Ot, pomieszkać w beczce, pisać donosy na kolegów, takie może i brzydkie, ale też małostkowe sprawy. Na Encji było z tym inaczej, zwłaszcza w późnym średniowieczu, gdy filozofia kwitła. Powstałe tam szkoły (zaraz powiem o nich więcej) zwalczały się w nie spotykany nigdzie indziej sposób. Każdy wie, że czasem mówi się „to prawda, żebym tak zdrów był” albo „niech skonam”, „niech mię ziemia pochłonie, jeśli kłamię” itp. Szkoły firxirska i tirtracka wprowadziły te groźby w tryb erystycznej argumentacji. Wzięło się to stąd, że generalnych tez filozofii nie można dowodzić eksperymentem. Nie można udowodnić, że świat przestaje istnieć, gdy nie ma nikogo, bo żeby udowodnić, że go nie ma, trzeba pójść i zobaczyć, a wtedy oczywiście jest jak wół. Otóż uczniowie Firxatyka używali jednak argumentu empirycznego, zwanego ostatecznym. Jeśli ten, z kim polemizowali, nie chciał nic opuścić i nie dawał się w żaden sposób przekonać, grozili samobójstwem. Toż chyba dostatecznie pewny jest swej racji ten, kto gotów za nią zginąć, i to na miejscu! A jeśli któryś chciał ‘wzmocnić argument, to kazał z siebie pasy drzeć lub coś w tym rodzaju. Maniera ta rozpowszechniła się i przez drugą połowę XVII wieku dyskusje na śmierć i życie toczyły się zbiorowo. Wszyscy okropnie się przy tym spieszyli, żeby ci drudzy nie skończyli ze sobą jak i pierwsi, boby wtedy decydujący argument nie zdążył do nich dotrzeć. Podług współczesnego filozofa — zwącego się Tiurr Mohohot — szaleństwo to miało dwie strony. Dobra była taka, że filozofią zajmował się ten tylko, kto traktował ją ze śmiertelną powagą. Zła oczywiście taka, że argument samobójstwa nie ma rzeczowej wartości i stanowi formę szantażu, a nie przekonywania o racjach. Niektóre szkoły jak paletyńska mocno się przetrzebiły od tego procederu, a w powszechną wściekłość wprawiali pozostałe solipsyści. Argument się ich nie miał, skoro świat jest podług nich jedynie złudą umysłu, nikt zatem nie popełnia samobójstwa naprawdę, a jedynie to się tylko tak zdaje, nie ma zatem powodu, by się przejmować. Ta ponura aberracja trwała kilkadziesiąt lat. Widać w niej najpierw tylko zbiorowe szaleństwo, świadczyła jednak o intensywności, z jaką uprawiono już wtedy rozmyślanie nad naturą świata. To, że samostraceńczych filozofów



u nas nie było, świadczy może o naszej większej trzeźwości, ale nie przesądza niczego w obrębie głoszonych systemów. U nas największy bodaj wpływ na cały rozwój antologii wywarł Platon. Umysłem równej pewno mocy, lecz o całkiem odmiennej postawie był Xirax, twórca ontomizji, doktryny głoszonej, że Natura jest zasadniczo Nieżyczliwa. Jego naczelny wywód jest tak zwięzły, że przepiszę go w całości. W czterdziestym roku Nowej Ery pisał:

**Bezstronny to obojętny albo sprawiedliwy. Bezstronny daje równe szansę wszystkiemu, a sprawiedliwy mierzy wszystko tą samą miarą.**

**1. Świat nie jest sprawiedliwy, bo: Łatwiej w nim niszczyć, niż tworzyć; Łatwiej dręczyć, niż uszczęśliwić; Łatwiej zgubić, niż ocalić; Łatwiej zabić, niż ożywić.**

**2. Xigronaus głosi, że to żywi dręczą, gubią i zabijają żywych, a więc nie świat jest im nieprzychylny, lecz oni wzajem. Lecz i ten, kogo nikt nie zabije, musi umrzeć, zabity przez własne ciało, które jest ze świata, bo skądże? Powiemy zatem: świat jest niesprawiedliwy dla życia.**

**3. Świat nie jest obojętny, skoro:**

**Budzi nadzieję trwałości, niezmienności i wieczności, nie jest jednak ani trwały, ani niezmienny, ani wieczny: oznacza to, że jest zwodniczy.**

**Daje się zgłębiać, lecz wprowadza zgłębiających go w poznawanie bez dna; znaczy to, że jest perfidny. Pozwala się opanować, lecz tylko w sposób zawodny. Ujawnia swe prawa, oprócz prawa niezawodności. Ukrywa je przed nami. Oznacza to, że jest złośliwy. Powiemy więc: świat nie jest obojętny wobec Rozumu.**

**4. Narzarox głosi, że albo Bóg istnieje i wtedy jest Tajemnica, albo nie ma ani Jego, ani jej. Odpowiemy: jeśli Boga nie ma, tajemnica pozostaje, ponieważ jest tak:**

**Jeśli Bóg istnieje i stworzył świat, to wiadomo, KTO uczynił go niesprawiedliwie stronnym, takim, w którym nie możemy być szczęśliwi. Jeśli Bóg jest, lecz nie stworzył świata albo jeśli GO nie ma, Tajemnica pozostaje, bo nie wiadomo, skąd się bierze nieżyczliwa stronność świata?**

**5. Narzarox mówi za starożytnymi, że Bóg mógł stworzyć poza światem szczęśliwy zaświat. Jeśli tak, to po co stworzył ten świat?**

**6. Austezaus głosi, że mędrzec zadaje pytania, aby na nie odpowiedzieć. Tak nie jest: zadaje pytania, a odpowiada na nie świat. Czy można sobie wyobrazić inny świat niż ten? Są dwa takie światy. W bezstronnym niszczyć byłoby równie łatwo jak tworzyć, zgubić jak ocalić, zabić jak ożywić. W powszechnie życzliwym, czyli dobrostronnym, łatwiej byłoby ocalać, stwarzać lub uszczęśliwiać, niż gubić, zabijać i dręczyć. Takich światów nie można zbudować w tym świecie. Dlaczego? Ponieważ on nie daje na to zgody.**

Doktryna ta, zwana Doktryną Trzech Światów, była wielokrotnie rewidowana i interpretowana za życia Xiraxa i po jego śmierci. Jedni z jego uczniów uważali, że Bóg nie mógł stworzyć lepszego świata, bo ma granice, inni natomiast, że nie chciał. Dawało to asumpt do uznawania Boga już to za byt nieostateczny, czemuś podległy, już to za niedoskonale dobry, było jednak wykładni znacznie więcej. Cesarz Zixizar skazał Xiraxa za głoszenie Doktryny Trzech Światów na najsrozsą karę — dwa lata śmierci, jako powolnych mąk, zadawanych przez medyków (kat musiał mieć w cesarstwie medyczne umiejętności), z taką pieczołowitością, że nie powodowały przedterminowego zgonu; skazańca na przemian torturowano i leczono. Najmocniejsze argumenty wytoczył przeciw doktrynie Xiraxa jeden z twórców chemii w dolnym średniowieczu, Rahamasterax. Dowodził, że zarówno w świecie neutralnym jak przychylnym życie rozmnażałoby się lawinowo, więc w obojętnym, wypełniwszy go, uległoby wrychle samozadławieniu, a w życzliwym musiałyby mieć jakieś specjalne ograniczenia, powściągające samozgubny rozplem. Tym samym świat rzekomo

obojętny okazałby się śmiertelną pułapką, a życzliwy — więzieniem, bo wszak ono ogranicza swobodę wszelkich poczynań. Dowód ten wsparł jednak pośrednio ateistyczny trzon nauki o Trzech Światach,! umacniał bowiem w bezbożności, unaoczniając wichrowatość] świata względem życia, które, jako w nim przypadkowe, zdane jest tylko na siebie. Toteż i Rahamasterax zapłacił za swe; dzieło życiem, lecz jako mniejszy winowajca został litościwie ścięty. Ostatni swój renesans przeżyła teza Trzech Światów w nowożytności, podczas burzliwego rozwoju fizyki grawitacyjnej. Houshorux, który był Einsteinem Encjan, sformułował rzecz prosto: aby odpowiedzieć, dlaczego świat jest taki, jaki jest, trzeba pierwszej rozważyć, czy możliwy jest inny, co mógłby zrodzić życie (gdyby nie mógł, nie byłoby w nim nikogo, a to likwiduje problem). Na tak postawione pytanie nie da się odpowiedzieć n i g d y, projekt innego świata równa się bowiem projektowi innej fizyki. Do tego trzeba pierwszej definitywnie poznać fizykę naszego świata, czyli ją z a m k nąć w formułach krańcowej prawdy, lecz tego zrobić niepodobna. Tu właśnie powraca Tajemnica starożytnych filozofów, nie wiemy bowiem, czemu świat (więc fizykę) zgłębia się bez kresu. Skoro żaden umysłowy model nie może jej zamknąć w sobie ostatecznie, znaczy to, że rozum i świat nie są do końca przywiedlne. Podejmowane później próby dowodu, że właśnie tak musi być w każdym świecie, nie powiodły się i ostatni sąd, przy którym stoi encjańska filozofia, opiewa: nie ma dowodu ani na trwałą wichrowatość świata i rozumu, ani na nieprojektowalność takich fizyk, co zarazem inne są od realnej i przewyższają ją w opiekuńczości okazywanej życiu. Czterdziestodwuwiekowa bitwa o postawienie świata ostatecznej diagnozy zakończyła się remisem podług jednych, a przegraną wedle drugich.

Niemniej miała ona ogromny wpływ na kierunek cywilizacyjnego rozwoju Luzanii i pomniejszych państweczek, leżących na północy, które podlegały jej wpływom. Niezaprzeczalnie cała koncepcja etykosfery opiekującej się bezbłędnie społeczeństwem pochodzi od „Trzeciego Świata” Xiraxa j echo jego argumentacji pobrzmiewa zarazem w diatrybach, co utraciły podjęte wcześniej projekty przekształceń autoewolucyjnych Encjan.

Zazarte dyskusje wokół tego projektu wzburzały przez kilkanaście lat opinię publiczną. Filozofia nie upadła na Encji tak nisko, jak się to stało u nas w wieku nauki. Świadczy o tym udział filozofów w starciach rzeczników autoewolucji z jej przeciwnikami, a przede wszystkim rola, jaka przypadła Xixoqtowi w ukazaniu tak zwanego paradoksu autoewolucyjnego. Pospolicie zwie się go paradoksem Xixoqta.

Każdy chciałby mieć piękne i rozumne dziecko. Nikt natomiast nie chce mieć za dziecko rozumnej i pięknej maszyny cyfrowej, nawet gdyby miała być sto razy bardziej inteligentna i krzepka od dziecka. Otóż program autoewolucji to śliska pochyłość bez zastawek, wiodąca ku otchłani nonsensów. Jest on w pierwszej fazie skromny; — zmierza do usuwania genów zmniejszających żywotność, powodujących ułomności, mankamenty dziedziczne itp. Lecz tak wszczęte naprawy nie mogą się zatrzymać przy żadnym osiągniętym stanie, bo i najzdrowsi chorują, a najmędrsi ulegają starczemu marazmowi. Ceną za usuwanie i tych niedostatków będzie stopniowe odchodzenie od naturalnego planu budowy organizmu, utrwalonego ewolucyjnie. Tutaj pojawia się w autoewolucyjnym działaniu paradoks łysego. Po wyrwaniu jednego włosa nie powstaje łysina i nie można wskazać, ile włosów należy wyrwać, żeby powstała. Zamiana jednego genu na inny nie przekształca dziecka w istotę obcego gatunku, lecz nie można wskazać miejsca, w którym powstanie nowy gatunek. Gdy traktować ustrojowe funkcje oddzielnie, usprawnienie każdej wyda się pożądane: krew odżywia tkanki lepiej od naturalnej, nerwy nie ulegające zwyrodnieniom, bardziej odporne kości, oczy, którym nie grozi ślepotą, nie wypadające zęby, nie głuchnące uszy i tysiąc innych cech cielesnej niezawodności warto by mieć ponad wszelką wątpliwość. Lecz jedne udoskonolenia muszą za sobą pociągnąć inne. Spotęgowane mięśnie wymagają potężniejszych kości, a szybciej pracujący mózg — głębszej pamięci; gdy następny etap melioracji będzie tego wymagał, zwiększy się pojemność czaszki i jej kształt, aż nadejdzie czas, kiedy przyjdzie sam białkowy

budulec zastąpić bardziej uniwersalnym, wtedy bowiem sprawności ustroju pójdą skokiem w górę. Ustrój niebiałkowy nie boi się żaru, promieniowania, przeciążeń astronautycznych, ustrój bezkrwawy, w którym utlenianie zachodzi wprost dzięki wymianom elektronów bez prymitywnego pośrednictwa krwiobiegu, o ileż mniej będzie uciążliwy i śmiertelny, i takimi przekształceniami rasa wykroczy poza nałożone na nią ograniczenia planetarnego łożyska. Te kolejne kroki prowadzą wreszcie do istoty, zbudowanej może bardziej harmonijnie, znacznie odporniejszej na przeciwności i urazy od człowieka czy Encjanma, do istoty daleko bardziej wszechstronnej, rozumnej, chyżej, trwałej, w granicy nawet nieśmiertelnej dzięki łatwej wymianie zużytych organów i zmysłów, do istoty, która poradzi sobie z każdym środowiskiem i z każdą zabójczą dla nas sytuacją, która nie będzie obawiała się raka, głodu, kalectwa, uwiąznięcia starczego, boż nie będzie się wcale starzała, i będzie to istota prawdziwie udoskonalona dzięki technikom poprawczym, przyłożonym do całej masy dziedziczności i do całego ustroju — z tym jednym zastrzeżeniem, że ta istota będzie akurat tak podobna do człowieka, jak maszyna cyfrowa lub traktor. Paradoks w tym, że nie można wskazać miejsca, w którym następny krok okazuje się już nie do postawienia, każdy bowiem przybliży do ideału sprawności, lecz tym ideałem jest stwór zupełnie już nieludzki.

Skoro takiego miejsca, takiej nieprzekraczalnej granicy nie ma, po cóż właściwie te syzyfowe roboty, rozciągnięte na wiele pokoleń? Skoro dane pokolenie samo się nie przemienia, lecz wprowadza zmiany w potomstwo, czyż nie prościej i lepiej od razu usynowić maszynę cyfrową albo cały ośrodek obliczeniowy? Przecież rozłożenie optymalizacji na następujące po sobie generacje to zwykły kamuflaż, transakcja gatunkowego samobójstwa na raty, więc dlaczegoż by właściwie samozagłada na raty miała być czymś lepszym od natychmiastowej? Tylko ten, kto się godzi na usynowienie ośrodka obliczeniowego na nogach (czy też na poduszce raketowej), może bez obawy i zastrzeżeń rozpocząć preparowanie własnego potomstwa, skierowane ku doskonałości prawnuków. To, co nam patrzy na całkowity absurd jako usynowienie jakiegoś pancerno-kryształowego układu, z którym można rozmawiać o sprawach nieba i ziemi, wydaje się mniej absurdalne, kiedy przejście od stanu naturalnego do zoptymizowanego odbywa się na wielopokoleniowej przestrzeni długą serią zmian wprowadzanych stopniowo, lecz absurd powraca, kiedy scałkować ten ciąg. Czyż bowiem autoewolucja ma być kuracją odwykową od zestroju cech człowieczeństwa? Czyż nie jest w gruncie rzeczy wszystko jedno, KTO będzie potomną maszyną cyfrową — układ zbudowany w całości przez techników, czy też przepuszczany przez zrazu żywe macice, a potem przez jakieś uteratory? Kto daje zgodę na autoewolucję, ten zgadza się na likwidację własnego gatunku i przejęcie cywilizacyjnego dziedzictwa przez istoty pod każdym względem nam obce, ponieważ jesteśmy ułomni, śmiertelni, ograniczeni w myśli i w czasie, więc niechaj się zwolennicy perfekcji wyzbędą fатыgi, za jednym zamachem adoptując całość myślącej technologii planety. Bo niby czemu miałyby nas zastąpić oddzielne jednostki systemowe, wszak jeszcze sprawniejszy będzie od nich planetarny krystaliczny mózg, nasz potomek, dziedzic i spadkobierca!

Xixoqt głosił w polemicznym ferworze, że kto uprawia autoewolucję, jest jak ten, który zabija upatrzonemu nie od razu, lecz powolnie, dozowanymi dawkami trucizny, żeby się przyzwyczaić do obrazu agonii. Jego ironiczne hasło „Genżynierowie wszystkich krajów, adoptujcie komputery!” poważnie zdyskredytowało ów wielki projekt Encjan. Na każdy kontratak genżynierów miał gotową kąśliwą odpowiedź. Chcą zachować zewnętrzne podobieństwo udoskonalonych do nas! — wołał. — Jakież to ma inne znaczenie prócz fałszerskiego — chodzi o biegłość w produkcji falsyfikatów! Podobieństwo to ma uspokajać umysły, że niby tylko niewidzialne wewnątrz zostanie udoskonalone, powierzchowność natomiast wcale się nie zmieni. A więc wypychajcie manekiny komputerami, wszak wyjdzie na to samo!

Genżynieria, dowodził, tym bardziej staje się absurdalna, im MNIEJ ma ograniczeń. Kto

zdobył tylko umiejętność drobnych retuszu, mało zdobył i niczemu nie zagraża. Spoza takich upiększeń świta nadzieja lepszego bytu, jakim obdarzymy potomstwo. Genżynierowie powołują się na to, że przodkami naszymi były ptaki wirydożerne, brodzące wielkie bez—loty, do których jesteśmy niezbyt podobni ciałem i duchem. Skoro więc nie upatrujemy, mówią, nic złego w tamtym pradawnym przejściu od niższej fazy ptasiej do wyższej rozumnej, analogicznie winniśmy postawić następny krok!

Analogia jest fałszywa, podobieństwo skłamanie, bo ptasi przodkowie Encjan nie stali przed żadnym wyborem, my natomiast stoimy. Przywilejem ich była ignorancja i bezświadomość: obie utraciliśmy bezpowrotnie. Odrzucając śmiertelne powłoki, odrzucamy siebie samych, a dodatkowym nieszczęściem okazuje się zdobyta wolność w projektowaniu usprawnień. Możliwe są liczne i różne. Będą więc współzawodniczyły rozmaite projekty Homo Novus Entianus i na jeden prototyp będzie się trzeba zdecydować (wielość dowiodłaby wszak do ich wzajemnego starcia). Znaczy to, że zdobędziemy potomstwo podług uzgodnienia, jakie poweźmiemy; lecz postanawiając, że nasze dzieci mają być takie a takie, oszukamy się, gdyż wszystko jedno, czy mają do nas przybyć z gwiazd, by wziąć w posiadanie Encję, czy z retorty. Samozagładę można oczywiście rozważyć, jak wszelką inną rzecz, ale bez fałszywych pozorów i kłamliwej prawdzie charakteryzacji.

Sporo napisałem o tej umysłowej wojnie, bo jak zapewniają historycy, miała kluczowe znaczenie dla późniejszego zbudowania etykosfery. Pojęcie Boga przeszło w toku dziejów Encjan szczególną ewolucję. Pierwotnie był utożsamiany z przyrodą: ona była Nim, jego pełnym wcieleniem, jednym z wielu kolejnych. Ciała niebieskie były Jego członkami, a żywe istoty — myślami wyższymi i niższymi. Najwyższymi były istoty rozumne, więc sami Encjanie. Ta autodeifikacja wymagała doraźnych wyjaśnień — jak to może być, że jedne Boże myśli niezgodne są z innymi, a nawet je zabijają? Tłumaczenie było proste: będąc Wszystkim, Bóg może mieć wszechmożliwe myśli, więc także i złe, którym dobre oponują, bo jeśliby miał tylko dobre, nie byłby Wszechrzeczą. Dopóki instytucje religijne utożsamiały się z państwowymi, wykładnia ta wystarczała, gdyż władza zarazem świecka i duchowa decydowała o tym, jakie myśli Boże (= jacy obywatele) są złe, a jakie dobre. Lecz w łonie tej kosmiczno—państwowej religii zrodziły się herezje Mizjan, Teokryptów i Serwistów. Podług Teokryptów Bóg wciela się w ludzi jedynie najniższą częścią swego jestestwa, a zadaniem ich jest doskonalić się, dzięki czemu stają się coraz wyższymi cząstkami Bożego umysłu. Ani mogą Go pojąć, ani Go przedstawiają w całości, jak palec nie reprezentuje całego ciała, a jedna myśl nie zdoła ogarnąć całego umysłu. Wedle Mizjan Bóg jest z swej natury „ponadludzki”: nie w tym sensie, jaki przypisywano im podczas prześladowań, jakoby utrzymywali, iż On jest zły po prostu, lecz w tym, że Bóg zwrócony jest ku sprawom dla Encjan nieposiężnych, a zadanie Kościoła to zadanie busoli, by orientację umysłów uzgadniać z nieobejmowalnym kierunkiem Bożych działań. Natomiast Serwiści uważali Boga za Stwórcę tego świata przede wszystkim, bez względu na to, czym miałyby się ponadto zajmować, i z tego tytułu przypisywali mu całkowitą odpowiedzialność za wszystko w świecie. Bogu należała się miłość i wdzięczność w takiej niebezpiecznej mierze, w jakiej niósł tę odpowiedzialność, gdyż, jak to wyraził naiwnie Mixiquix, szewc, który by stworzył milion śpiewających cudnie chmur i jedną parę marnych butów, nie jest dobrym szewcem, bez względu na to, jak pięknie by te chmury śpiewały. Został za to rozpalonymi cęgami rozerwany na sztuki przed cesarzem Sxem (Sx szczycił się swym krótkim mianem, ale to jest osobna sprawa, i myślę, że będę rozsądny, pomijając całą toponomastykę encjańskich zawołań rodowych i jej związki z pełnionym zawodem, bo tam pełniony zawód odciska się w nazwisku). Prócz tych głównych powstały herezje pomniejszych, na przykład fragistów uważających, iż Bóg stworzył świat, lecz kreacja nie udała mu się ze wszystkim, ponieważ będąc nieskończenie dobrym, nie chciał stworzonych niewolić do niczego, więc do samego tylko dobra też i przez to dał im więcej wolności, niż mogli jej podźwignąć. Doktryna ta jest

(jak mówią) najbardziej jeszcze podobna do nauki o grzechu pierworodnym i upadku, z tą różnicą, że przypisuje winę za upadek praludzi kolizjom dobroci Bożej z Bożą zręcznością kreacyjną. Fragizm przyjmuje bowiem milcząco, że Bóg rzeczy wzajem sprzecznych stwarzać NIE może — jako ożenku zupełnej dobroci z zupełną wolnością czynu, więc tym samym pokazuje się, że nad Bogiem sprawuje władzę logika, która nie dopuszcza współzachodzenia wykluczających się logicznie stanów, co wytycza granice Wszechnocy — lecz autorzy owej herezji nie zdawali sobie z tego sprawy.

Za początek ery nowożytnej uznają Encjanie lata 1811— 1845. Jawność — czy może raczej literalność — wszystkiego, co działo się w cesarstwie — uległa pochłonięciu przez rządy czterech pseudocesarzy, zwanych grafoklastami. Wszczęta spaleniem wszystkich kronik wraz z kronikarzami, grafoklazja osiągnęła taką doskonałość, że początków jej niepodobna dokładnie ustalić. Spośród apokryfów, podających, jak do tego doszło, na chybił trafił podam uwardzki. Xixar, kolejny władca z dynastii Xixów, miał ponoć we zwyczaju każdego dnia przed pierwszym posiłkiem kłaść w bestiarium pałacowym umyślnie głodzonego i przez to rozjuszonego kurdla. Przy pierwszym szczwacu korony kurdel miał go wtrącić do pustej studni, czy też Xixar sam się w niej schował przed szarżującym potworem, który oddał do jamy urynę, by wyniosła schowanego na wierzch. Szczwacz zabił monstrum i wydobyl pana z opresji, wszelako pojął zaraz, że przyplaci to życiem, ów bowiem będzie musiał, przez wzgląd na rację stanu, ściąć ratowniczego świadka swej hańby. Jako zwyczajny szybkich decyzji myśliwskich, szczwacz wtrącił więc Xixara na powrót do pełnej studni i potrzywał w niej aż do zgonu, po czym sam wstąpił na tron jako Xixar. Nie musi to być zupełnym zmyśleniem, gdyby się był zmienił odzieżą z zabitym, bo Encjanie tej epoki zakrywali twarz, jak my osłaniamy wstydlive okolice ciała. Ponoć rzecz wrychle wyszła na jaw, jednakowoż wielu moźnych dworaków stanęło przy Pseudoxixarze, widząc w tym swój profit. Działając nader chytrze, jednocząc się z jednym przeciw drugim, udoskonalił absolutną władzę absolutnym przeinaczeniem wszystkich nazw, bezpośrednio czy choćby pośrednio tylko związanych z rządzeniem. Czy sam stwierdził, że nie ma żadnej różnicy między władaniem autentycznego Xixara i byłego zamiatacza bestiarium, czy też podszepteli mu to cyniczni doradcy, nie wiadomo. Grafoklazja zwała się politycznym przedłużeniem prawdy; Pseudoxixar — po prostu nadal żyjącym Xixarem; przybrał on sobie przydomek Pierwszego Miłośnika Ludu i zniósł karę śmierci oraz dotąd stosowane w jurysdykcji tortury; jednakowoż osoby źle widziane przez dwór lub policję (ale zwała się już Zrzeszeniem Siewców Łagodności Publicznej) znikwały w niewiadomy sposób lub ulegały nieszczęśliwym wypadkom, a udreki zadawali tak zwanym Niechętnikom oraz Podlistom zboje, jakoby nasadzani przez Siewców Łagodności. Przyszedł zarazem kres wypowiedaniu wojen, a potem i samym wojnom, bo kronikarze cesarscy zwali je stawianiem czoła wraźym zakusom; to, że owe zakusy żywiło kilkanaście państweczek mniejszych od poszczególnych prowincji Cesarstwa, nikogo nie dziwiło, a jeśliby i dziwiło, to niedługo. Szczególnie zajadłych niechętników, zwanych nawiedzonymi niecnikami lub nawiedzeńcami, sam lud rozdeptywał na środku miasta, ponoć z wielką skwapliwością. Nie dało się ustalić, jak długo panował Pseudoxixar, bo oficjalnie zgon jego nie został nigdy podany do publicznej wiadomości. Przez dwieście lat śmierć kolejnych władców utajniano jako rzecz niezgodną, z wyższym porządkiem rzeczy. Politologia luzañska wyjaśnia, że rządy Pseudoxixarów były miejscowym objawem prawidłowości powszechnej w Galaktyce. Każda cywilizacja przechodzi co najmniej w części fazę werozji — erozji prawdy, choć niekoniecznie w tej właśnie grafoklastycznej postaci, jak to było u nich. Werozja przyjmuje rozmaite formy, lecz występuje wszędzie w podobnym okresie historycznym, mianowicie podczas embrionalnej industrializacji. Zdesakralizowana władza słabnąc wspiera się na hierarchii administracyjnej, tworzącej miraże (pseudoobrazy) społecznych stanów, idealizujące rzeczywistość w wykładniku zależnym od aktualnych wierzeń, ale to są wierzenia biurokratyczne, a nie

religijne. Niekiedy zwą ten fenomen samołudzącym ludzeniem albo też autofatamorganą. Wiare w nadprzyrodzoną moc władców zastępuje policja, a zarazem rosnący wpływ krążenia informacji na całość życia tworzy pokusę jej monopofizowania. Monopole ekonomiczne oraz informacyjne są różne co do zawłaszczanych nimi obiektów, lecz podobne w zakresie zjawisk, jakie wywołują: prowadzą do socjalnej oscylacji. Albo dominują drgania ekonomiczne (rozkwit–kryzys), albo informacyjne (prawda–fałsz). Pocieszanie zmysłami to najprostszy stabilizator struktur społecznych, zresztą ma on tę dobrą stronę, że wiele trwożnych oczekiwań opartych o znajomość deprymujących faktów jednak się nie spełnia, więc trzymając te fakty pod korcem, oszczędza się ludziom nerwów. Łatwo atoli przebrać miarę w tym procederze. Syndrom autofatamorgany (zabajczenia) oznacza zarażenie się fikcją samych wytwórców fikcji; prowadzić może do tak zwanego zupełnego wewnętrznego odbicia i pochłaniania w biurocyrkulacji, do socjoschizofrenii (jedno mówią, w drugie wierzą), oraz jeszcze bardziej powikłanych zjawisk informatyki patologicznej. W normalnej (przeciętnej) cywilizacji zanieczyszczenie środowiska informacyjnego fałszem sięga 10–15%; gdy przekracza 70%, pojawiają się drgania typu dudnień w cyklach 12–15–letnich, a powyżej 80% odfiltrowanie czystej prawdy staje się niemożliwe i rozpoczyna się kollaps. Żeby go uniknąć, trzeba nolens volens zamrażać naukę, bo rozwój jej koliduje z rozwojem werozji. Obie te rozwojowe drogi rozchodzą się w końcu definitywnie i powstają tak zwane widły Siraxosa (od socjomatyka, który je wykrył). Trzeba poświęcić dalszy rozwój wiedzy na rzecz werozji lub na odwrót, groźną iluzją jest bowiem wyobrażenie, jakoby można utworzyć zamkniętą enklawę prawdy wewnątrz powszechnego fałszu, jako wyspę oddanej autentycznemu poznaniu nauki w dezinformowanym społeczeństwie. Nigdzie się to nie udało dłużej niż 90 do 100 lat. Nie ma też statecznego kompromisu między alternatywami. Kto usiłuje stawiać i Bogu świeczkę, i diabłu ogarek, wychodzi na tym jak Za—błocki na mydle, zyskując w efekcie marne kłamstwa i marną naukę. Tłumione oscylacje powodują tak zwane uślizgi boczne w irracjonalizm, pseudodemencję itp. Im większe przyspieszenie cywilizacyjne, tym trudniej trzymać osobno informację oraz dezinformację; całość społeczna drga pomiędzy pseudorzeczywistością i pseudowiarą jako stanami skrajnymi. Dudnienia takie (bo falowania ekonomiki nakładają się na informacyjne, a że nie są one synchroniczne w fazie, powstaje interferencja, dająca rezonans i dudnienie) wystąpiły w cesarstwie luzańskim na schyłku XIX stulecia i roztrzaskały je, niczym potężnie uderzony ton, który wprawiając w rezonans szklanekę, powoduje jej rozprysnięcie. Doszło do kolejnych dwu rewolucji i przedzielających je dekad zamętu zwanych w tradycyjnej historiografii chaotyckim anarchizmem. Kurdlandii kłęski te nie dotknęły, gdyż świadomie czy bezświadomie wybrała werozję przeciw panweryzmowi, co właśnie przejawia się w jej kompletnym zastygnięciu socjalnym; w samej rzeczy, powiada Tetraxix, nie dlatego siedzą Czła—kowie w swych smutnych bydłach, że o niczym innym nie marzą, lecz nie marzą o niczym innym, bo tak dokumentnie zostali w kurdlach zakorkowani; uprawianie nauki w największym nawet żołądku jest niemożliwością i to właśnie ratuje państwachód od rosnących oscylacji i ostatecznego rozpadu.

Wróćmy wszakże po tej wycieczce w galaktyczną politologię do naszych baranów, czy raczej owieczek, skoro idzie o kwestie wiary. Kościół, bodajże bezwiednie, stanął przy weryzmie i przeciw werozji, gdyż jego doktryna hyloistyczna poczytywała każde nowe odkrycie i każdy wynalazek za dowód własnej prawdy: skoro maszyny mogły zastępować Encjan w ciężkim trudzie, skoro kopaliny ułatwiały ich bytowanie, znaczy to, że Bóg w samej rzeczy uczynił Naturę ich służebnicą, skromnie czekającą wezwania. Sam Bóg przecież dostarczył im otoczenia, którym można zawładnąć, i umysłów, które zawładnięcia tego potrafiły dokonać. W bodaj nierozmyslny sposób wprowadził na pierwszy plan tę stronę Bożej natury, którą można by nazwać „usługową” względem Stworzonych, dlatego Encja znała liczne zderzenia polityki i nauki, lecz prawie żadnych — nauki z religią. I to też było

przyczyną skwapliwości, z jaką przyjęte zostały już pierwsze projekty zbudowania Etykosfery, jako uszlachetnionego naukowo środowiska życiowego. Środowisko to, jakkolwiek w całości sztuczne, sporządzone podług recept psychotechnicznych, a nie podług tenoru Kościoła, było przecież z tym tenorem w najlepszej zgodzie: toż miało stanowić urzeczowiony zamysł Boży. Bóg dał oto swym istotom tę właśnie szansę, umożliwiając im doskonale wyrugowanie ze społeczeństwa zbrodni, występku, nędzy, klęsk i wszelkiego innego zła; chciał, żeby własną pracą i własnym przemysłem dosięgły tego, co im już przed Kreacją przeznaczył, lecz im tego nie narzucił z góry i od razu w postaci Raju, by pozostały w prawie całkowicie wolnego wyboru.

Można więc istotnie utrzymywać, że główna religia planety była bardziej „materialistyczna” i zarazem mniej „buchalteryjna” aniżeli chrystianizm, ponieważ przypisywała Boże królestwo Temu Światu i nie dodawała światu żadnego zaświata, w którym dojdzie do rozliczania z grzechów i zasług. Być może tendencja zaprojektowania nieba i piekła w jakichś lokalnych transpozycjach tkwiła potencjalnie w hyloizmie (tak się zwie główna religia, ale błagam, nie zmuszajcie mnie, bym wyjaśniał pochodzenie tej nazwy — jest ono historyczne, czyli bardzo pokrętne, a dla samej rzeczy bez wszelkiego znaczenia), lecz nie mogła się na Encji ujawnić, ponieważ raj został tu umieszczony na końcu, a nie na początku dziejów Stworzenia. Co do mnie, zawsze chciałem się dowiedzieć od kompetentnych osób, czy ten raj, który ziemski Kościół obiecuje cnotliwym, jest tym samym rajem, z którego wypędzono prarodziców, lecz zapominam spytać, ilekroć trafia mi się okazja. Zdaje mi się, że tamten wstępny raj był jakby nieco skromniejszy od pośmiertnego.

Nadzieje na życie wieczne pojawiały się w kanonach wiary tylko pod postacią mglistych rojeń w starożytności, gdy Encjamie dostrzegli własne podobieństwo do wielkich ptaków południowego zabłocia; po śmierci wyrastać im miały skrzydła, na których ulatywali do niebios; jednakże żadna istota przypominająca anioła nie pojawiła się tam w sakralnej ikonografii. Nie mam pojęcia, czemu. Na zdrowy rozum zdawałoby się to logiczne, ale widać ten rozum nie ma wiele do gadania w kwestiach tak cienkich jak angelologia. Hyloizm udaremnił wyniesienie raju poza ten świat głównym artykułem wiary, że mianowicie Bóg dał stworzonym pełnię możliwości doskonalenia bytowych warunków, wolno było tedy, pozostając w Kościele, mniemać, iż, wierni sami dopracują się doczesnej nieśmiertelności, byle podążali we właściwym kierunku.

Teologowie ziemscy, zwłaszcza chrystologowie, zarzucają hyloizmowi płytkość: istotnie nie ma w nim bowiem tej tajemnicy, jaką w chrześcijaństwie stanowią Grzech Pierworodny, Upadek, Wygnanie z Raju oraz skażenie natury ludzkiej, rozświetlone nadzieją Odkupienia. Teologowie encjańscy na to, że ich religia od zarania zakładała zgodność Bożego zamysłu z naturą Stworzenia — że co Bóg chciał, tą i stworzył. Teologia Encjan różni się jednak od chrześcijaństwa i innych wielkich wiór monoteistycznych w sposób bardziej jeszcze zasadniczy, nie stoi bowiem przy jedyności Objawienia. Podług Ziemian, mówią hylości, Bóg objawił się pierwszym ludziom wprost i tym samym ograniczył ich niepewność co do swych postanowień i swej osoby — nie ograniczył natomiast ludzi w wolności czynu, przez co doszło do Upadku. Tak twierdzą mozaizm i chrystianizm, nie bęc, w zgodzie z innymi znacznymi wiarami, zwłaszcza Bliskiej i Dalekiego Wschodu, bo tam albo nie było równie wyrazistego Objawienia, albo było innotreściowe. W tej sytuacji współistnienia różnych wyznań nie doszło do żadnych uzgodnień, lecz każdy Kościół ma się za wyłącznego powiernika Bożej prawdy, przypisując innym błąd. Encjanie natomiast, czy dlatego, że są z natury bardziej racjonalnie myślącymi istotami od ludzi, czy z innych jakichś niezbadanych przyczyn, panującą i u nich wielość wiar uczynili zwierzchnią dyrektywą teologii. Głosi ona, że Bóg nikogo nie ogranicza w czynie, ani w myśli. Dążąc do obdarzenia Stworzonych wyższą wolnością, Stwórca niejako zataił się przed nimi i docierać do Niego można tylko przez refleksję nad bytem. Gdyby tak nie było, utrzymuje hyloizm, gdyby Bóg był się

rzeczywiście objawił, uczyniłby to tak potężnie i jednoznacznie, że treść Objawienia byłaby wszędzie jedna i nie doszłoby do rozbitcia religii. To, że Bóg jest, mówią, widać z kosmicznej powszechności Teogonii, to zaś, że nie ustanawia jedynej drogi do siebie jedynym autentycznym Objawieniem, lecz daje milczącą zgodę na wielość teologicznych dróg, widome jest w mnogości wyznań. Nikt się nie myli, jeśli wierzy, ale myli się każdy, uważający się za posiadacza wyłącznej prawdy Objawionej i tak pozyskana wyłączość jest błędem w teologii. Ziemia teologowie na to, że całe to rozumowanie można i trzeba zastosować też do samego hyloizmu, który nie daje żadnej religii prawa na wyłączość, więc prawo to musi się i do niego odnosić. Spór ten strąca nas, powiedział pewien dominikanin, z nieba wiary w piekło paradoksu. Luzanie odrzucają jednak argumentację ludzi, uważają bowiem, że Ziemia tkwi w niższej fazie ruchu teocentrycznego niż Encja, na której nie ma już od dawna wzajem sprzecznych wiar. Tu znowu nasi wskazują na poważny udział przemocy w owym zjednoczeniu religijnym Encjan, lecz w tym miejscu utnę dalszy spór o Rewelację.

Ich Kościół dość mile widział pojawienie się rozsądnych maszyn usługowych, bo zdało się ze wszech miar godziwe, aby bezduszne manekiny zastąpiły żywych w nieposilnym trudzie, więc przykrym zaskoczeniem stał się wzrost ich inteligencji, szczególnie kiedy jęły się domagać zrównania z Encjanami we wszystkich prawach, włączając i prawo uczestnictwa w Kościele. Roboty te, po miejscowemu Ardryci, powołują się na doktryny Kościoła, interpretują je tylko szerzej, niżby on chciał, bo twierdzą, że Encjanie zbuntowali ich, ponieważ Bóg to umożliwił czyniąc świat takim, aby MOŻNA w nim było konstruować uduchowione maszyny, tym samym przestające być maszynami. Gdyby tego nie chciał, toby nikt nie mógł czegoś podobnego sprawić. Mnie to brzmi przekonywająco i jest porządnie przykre dla ich Kościoła; wybrnął z tego nie własnym przemysłem teodyktycznym, lecz dzięki powstaniu uduchowionych systemów pozakomputerowej generacji, mianowicie bystrów. W ciągu kilkudziesięciu lat roboty znikły, lecz to jest eufemizm, osłaniający okropne zajścia, nazywane przez niejednego cybernocydem. Encjanie sami nie tknęli żadnego Ardryty? A to mi usprawiedliwienie, skoro wzięły się do nich układy bystrów; toż i szczwacz nie goni sam zajęcy ani ich nie rozrywa własnymi zębami i pazurami. Podobno działały się straszne rzeczy po lasach i jaskiniach, a byli jakoby Encjanie gotowi ginąć raczej ze swym Ardrytami, niż wydawać ich na złomowanie. Dziwne, jak m to przypomina różne rzeczy naszej historii. Gdyby analogiczne zdarzenia zaszły u nas, być może znaleźliby się chętni przypisywania robotom zła, jakby stanowiły nowe Wcielenie węża. Dajmy na to, że nie ma o czym mówić, bo to spekulacja — ale choć tego nie było, jeszcze może być. Do powstania zgodnych stosunków między religią i nauką przyczyniła się poważnie pterygeneza Encjan, bo gdy rozpoznali ją dzięki swym przyrodnikom, nie było o to takiego hałasu, jak u nas po małych rewelacjach. Małpi przodek stanowił od początku kamień obrazy, wszak pośród ziemskich ludów małpa od praczasów uchodziła za karykaturę człowieka, i to złośliwą. Małpowanie jako przedrzeźnianie jest terminem uwłaczającym we wszystkich językach. Mało które zwierzę nadaje się też tak kiepsko do idealizacji jak małpa. Natomiast ptaki uznane za przodków nie budziły ani świeckiego, ani kościelnego sprzeciwu, bo tradycja zwała niebo ich mieszkaniem, więc Kościół encjański mógł się w tym pochodzeniu dopatrywać tylko naukowej nobilitacji swych własnych pouczeń: Praencjanie zstąpili niejako z nieba na ziemię, w tym zgodnym dwójgłosie wiary i nauki kryło się potwierdzenie prawdy obojga. Tak właśnie Bóg dawał im znać, że domysły w obu porządkach są jednakowo słuszne. Zarazem wczesne rozpoznanie ewolucji przyspieszyło rozwój przyrodznawstwa i dlatego Encjanie dotarli do genżynierii u schyłku XX wieku, gdy powstawały prototypy Ardrytów. Zdaje się wielce osobliwe, że nie teologia, lecz filozofia stała się pierwsza w obronie nietykalności naturalnego ciała, jakem mówił już o tym cytując Xixoata. Złośliwi powiadają, że teologia przyciąga umysły nie najwyższej klasy, w przeciwieństwie do filozofii, co bowiem w pierwszej zawsze i tak z góry wiadomo jako ostateczny wynik podjętych dociekań, to w drugiej jest pełną,



niczemu nie podporządkowaną zagadką, i stąd niby wzięła się naiwna bezradność, a nawet przyzwolenicza ochota hylologów wobec planu autoewolucji, bo cielesne udoskonalenie Encjan zdawało się wywodliwe z podstawowego dogmatu o świecie jako tworzywie, które Bóg tak urobił i oddał im w takie władanie, by uczynili z niego najlepszy dla siebie pożytek. Skoro sami byli częstkami tego tworzywa, nic nie wskazywało na to, żeby Bóg nie życzył sobie ich perfekcjonistycznej samoprzekształcalności. Xixoqt i jemu podobni zmobilizowali wszakże opinię społeczną przeciw tej nazbyt już ufnej wierze.

Cóż więcej? Nasi teologowie mówią, że Encjanie zrezygnowali z wieczności, oni zaś na to, że chrystianizm wzgardził doczesnością, którą ma za poczekalnię czy proscenium za—świata, o nim zaś, cokolwiek by mówić, nic nie wiadomo tak dokładnie, jak o tym świecie, a wszak stworzył go podług zgodnej opinii obu planet Bóg, trudno więc o<sup>^</sup> dziwniejszą wiarę nad taką, co ma rezultat Bożej Kreacji za prowizorkę do wyburzenia na Sądzie Ostatecznym. Cóż za uzurpacje i roszczenia pod maseczką pokory, mówią, nie zadowalać się tym Bożym wróblem, który w garści, lecz domagać się szczygła na dachu, gdzie ma być więcej komfortu t delicje wieczne. Dla tamtych teologów wystarczającą racją stania przy doczesności jest jej podległość śmiertelnemu rozumowi. Jeśliby jej sobie Bóg nie życzył, to rozum trwałby przeciw światu, ale by go nie zgłębiał i nie zawłaszczał we wszystkich utajonych w nim skarbach i potęgach. To, że właśnie jest tak, a nie inaczej, dowodzi skierowania Kreacji ku istotom rozumnym, jakkolwiek skierowanie to nie równa się takiemu przerzuceniu zwrotnicy, by każda społeczność jechała jak po maśle do swego planetarnego raj. Ogólnie biorąc, tamtejsi teologowie wykazują sporo powściągliwości przy wymianie międzykościelnych orzeczeń, lecz znaleźć można i takich, którzy oświadczają, jak Xix Xass, że na dnie naszej teodycei spoczywa nie zło „w stanie czystym”, lecz nierozdzielnie wtopione w seks. Xass utrzymuje, że człowiek od prawieków wiedział o tym, czy raczej się niejasno domyślał, lecz nie chciał się do tego przyznać przed sobą i tylko opędał się od poczucia „bezwinnego winy” ogólnikiem „skazonej w powiciu natury ludzkiej”. Xass wprowadził tu do swego wykładu ziemskich spraw jeszcze i małpę. Z ikonografii demonologicznej wiadomo, jak podobny bywał diabeł do małpy, bo i diabeł ma ogon, i na ogół pokrywa go sierść jak wielkie antropoidy, ma też dość małpią, spłaszczoną czaszkę i małpie uzębienie, co wszystko można ujrzyć na płótnach średniowiecznych malarzy w wizjach Sądu Ostatecznego, a choć niechybnie fantazjowali, trzeba spytać, dlaczego sięgali akurat po małpy jako wzorzec, a nie dajmy na to po drapieżne ptaki? Czemu ptasie atrybuty przypisywali raczej istotom niepokalanym jak anioły? Czemu nie tylko ręce, ale i nogi malowanych diabłów bywały c h w y t n e ? Czemu diabły chodzą na dwu nogach jak wyższe małpy, a nie na czterech jak jakieś smoki? Stojący poza religią encjańscy antropologowie uważają te koncepcje za błędne, boż chodzi o wyobrażenie tylko jednego kręgu ziemskiej wiary, wszak taoizm czy' buddyzm nie znają europejskich wcieleń zła, lecz zainteresowanym skrajnościami proponują „Porównawczą anatomie diabła”, wydaną przez Instytut Hylozoistyki Świętej w Urx., któremu patronuje ów luzański teolog, bo jeśli nawet zabrnął na manowce, to w ciekawy sposób.

Wróćmy do spraw poważniejszych.

Podczas kiedy nowa era, liczona od narodzin Chrystusa, była w obszarze panowania chrześcijaństwa wielkim czekaniem na Koniec Świata i Sąd Ostateczny (przy czym pierwsze gminy chrześcijańskie spodziewały się tego końca lada dzień, a późniejsze z rosnącym wyprzedzeniem w czasie, aż Straszny Sąd oddalił się w głąb niewiadomej przyszłości), średniowiecze encjańskie, nie znające ani eschatologicznego lęku, ani nadziei, żywiło całkiem inną — nadejścia niepojętych zmian i obrotów losu, które ziszczą dane przez Boga przyrzeczenie, że z Jego wsparciem, lecz własnymi siłami zwalczy lud zarazy, nędzę, kalectwa, głód, a wreszcie i śmierć. Więc chociaż tu i tam czekano, oczekiwanie dotyczyło rzeczy tak różnych jak niebo i ziemia.

Tylko to tłumaczy, skąd się właściwie wzięła Encjanom w pierwocinach felicytologia i hedonistyka jako doktrynalne dyscypliny, uprawiane zrazu w samym kościele, a potem zeświecczające się coraz silniej, które miały ustalić warunki osobniczego i powszechnego błogostanu. Miała w tej orientacji swój wkład biologia, utrudniająca przeradanie się użycia w nadużycie, gdyż nad Encjanami nie wisi niczym miecz Damoklesa o wielu ostrzach erotyczna orgiastyka, a choć potrafią się lubować w okrucieństwie, i w nim nie może być seksualnej przymieszki. Jest tylko owo piętno, które wyciska we wszystkich jakoby rozumnych stworzeniach pasaż predatyzacyjny, więc to, że nie ma wzrostów inteligencji zwierzęcej bez przejścia przez rozlaną krew.

Hylizm znał schizmy i scholastykę, lecz niepodobne do ziemskich. Nie mając na głowie trudnych spraw, z jakimi borykała się nasza scholastyka, jak jest urządzone raj, a jak piekło, dokąd idą noworodki, jeśli umierają nie ochrzczone, co się dzieje w czyścicu, jak mogą pomagać żyjący potępięcom wiecznym i czasowym, ilu aniołów dosiadłoby szpilki, wykoncypowali ich teologowie scholastykę, która przygodziła się jak znalazł, kiedy powstała technika otamowań zła i propagacji dobra. Co prawda tysiąc lat potem rozległy się głosy, że ta przedtechniczna hedonistyka przygotowała fatalność, jej wychowankowie zbyt łatwo bowiem, wręcz lekkomyślnie, a nawet z zjadłością wzięli się do realizacji obmyślonych religijnie planów. To są jednak uproszczenia, wyjawiają znawcy; uznawać, że technologia przyjęła programy wykonawcze od wiary, jest nonsensem. Trudno jednak mówić o scholastyce felicytologicznej zwięźle, boż obejmuje zwały inkunabułów i rękopiśmiennych dzieł, co powstawały w ciągu wieków. Hedologowie kościelni, penetrujący problematykę powszechnego uszczęśliwienia, starali się najpierw wykryć, ile jest rodzajów błogostanu i co je sprawia. Czym: innym są rozkosze krótkotrwałe, czymś innym status delectationis, jeszcze czymś innym błogostana. Rozróżnień takich dokonali moc, przyjęło się jednak mówić sumarycznie o maximum i minimum dobra. Minimum równa się jedynie brakowi wszelkiego zła, maximum zaś to szczęście zupełne. Po dają jako curiosum teorię doktora hedonistyki Scirruxa: doznanie maximum nie pokrywa się z właściwym maximum lecz jest dwudzielne: w antycypacji oraz w rekapitulacji, czyli tuż pod wierzchołkiem krzywej saturacyjnej, zanim się go osiągnie, i zaraz potem; ten, kto już szczytuje, nigdy o tym nie wie; wiadomość dochodzi go bowiem tylko w oczekiwaniu i we wspomnianiu. Jak widać z tej próbki, owa scholastyka odznacza się porządnym zawikłaniem. Wymienię tylko parę nazw rozdziałów z „Codex Felicitomanticus”, jakby leksykonu doszczęśliwień (XIII wiek): Niemal styczeń ulgi i szczęścia, dogadzanki powolne i nagłe, szczęście ascezy w jej stromym porzuceniu, infinytymalizm szczęścia (było to ponoć bardzo istotne, zapomniane później odkrycie — że osiągnięcie szczęścia wrychle znieczula na nie i dlatego trzeba psychoakupunktury jako odczuleń potęgujących osłabłą wrażliwość na lube doznania); osobno stoi tak zwana „Czarna rodzina szczęść” — lubość z ofiar, upokorzeń, udaremnień i tortur; chodzi o szczęście doznawane dzięki nieszczęściu Innych. Tu też należy pantoklastyka (satysfakcja płynąca z niszczenia), deluzyjno—widziadłowa (to już właściwie domena psychiatrii), zwyrodnialcza i autocydalna (jakiś średniowieczny mnich wykoncypował altrucydalne igraszki — jako uciechę wynikłą ze skutecznego namawiania osób trzecich, by popełniły samobójstwo, bo ten, kto przeżywa innych, ma stąd profit przyjemności; trzeba podkreślić, że ów mnich nie musiał być jakowymś demonem zła, bo jego zakon — felicytów — badał wszystko, co sprawia uciechę, bez względu na ocenę moralną takich zjawisk). Frapująca jest lektura samego katalogu każdego ze starych księgozbiorów hedonistyki kościelnej, gdyż objawia, że właściwie nie ma takiej biedy, która nie mogłaby w pewnym zestrojeniu trafić i okoliczności stać się dla kogoś źródłem miłych doznań. Dystynkcją szczęścia godziwie i niegodziwie zdobywanego zajmowali się Fipraxowi bracia; sam Fiprax kazał się podobno dręczyć najbardziej wyszukanyymi metodami, by stwierdzić, czy aby czasem nie ma w tym choć szczypty satysfakcji osobistej; został on patronem nauki przez

względ na samozaparcie, jakie okazywał w swych dociekaniach.

Ekumena nie obowiązuje, jak dotąd, między planetami; liczne były diatryby naszych teologów, skierowane w hyloizm, wymienie jednak znów tylko przykładowo krytykę, kwestionującą encjański obraz Stwórcy jako „Boga rzeczy”, któremu stworzeni mają służyć, służąc samym sobie, co sprowadza ich religię do wynalezienia teodyktycznej sankcji dla zbiorowego egoizmu, a w najlepszym razie do takiej doktryny melioracji społecznej, którą mogłaby bez żadnych zmian głosić każda grupa świeckich ateistów. Obiekcja ta jest, odpowiadają Encjanie, skutkiem wichrowatego rozejścia się pojęć, powstałych w odmiennych światach. Hyloizmowi nie jest obce pojęcie służby Bożej, wyzbytej wszelkiej interesowności. Lecz od dolnego średniowiecza, od pierwszego soboru obowiązuje wiernych służenie Bogu, wyrażane tylko sposobem życia. Ojcowie kościoła encjańskiego wyjaśniają w swych encyklikach, że nie tylko imienia Bożego nie należy wzywać nadaremno, ale i prosić Boga o cokolwiek. Wolno Mu tylko dziękować za istnienie, ale milcząc, bez słów — w sercu. A nie należy zwracać się do niego o nic, gdyż byłby to albo akt dziecinnej naiwności (i wtedy nie stanowi grzechu), albo złej wiary. Ten, kto świat stworzył, nie patrzy na zjawiska w ich chwilach i życie każdego wraz z nieznaną przyszłością leży przed nim jak otwarta księga, albowiem Bóg jest ponad czasem. Jego własnością jest nieustająca wieczność. Stworzył on świat, wraz ze wszystkimi jego gwiazdami i mieszkańcami, czyli powołał go do bytu takim, jakim chciał go mieć, w każdej galaktyce i w każdym pyłku. Byłoby więc rzeczą albo dziecinną, albo nieprzyzwoitą domagać się od Niego jakichkolwiek zmian, interwencji, pomocy, usług czy też zaniechań z uwagi na interes jednostek bądź grup. Jak widać, i nam znany zakaz niewzywania Boga nadaremnie podsunęli Encjanie, co nam brzmi dziwacznie, aż po ostateczny skraj. Uważają oni, że próby wpływania prośbą, modlitwą, a nawet samą intencją na wolę Bożą to dowód wiary słabej i nierozumnej, gdyż tak okazuje się brak zgody na wyroki Boże i brak ufności w Bożą dobroć. Jeśli ceny są stałe, nie ma się co targować i nikt przytomny tego nie czyni; jeśli jednak czyni, to dla samej uciechy targów; jakoż teologom Encji doskonale znana jest psychologiczna korzyść, zawarta w modlitwie, towarzysząca jej ulga i nadzieja spełnienia prośb, lecz w czym nasi duchowni upatrują zasługę, oni widzą zwątpienie. Kto nie wątpi, powiedział Drugi Ojciec Hyksjon, ten o nic nie prosi. Przypominaniem Panu Bogu o sobie traktuje się Go niczym zatkaną centralę telefoniczną, modlitwa to targanie widełkami, stukanie w aparat, a gorąca modlitwa to podnoszenie wewnętrznego głosu, aby zostać usłyszonym, wszystko to kwestionuje nie polepsza i nę jako już ostateczną Wszechwiedzę i Wszechmoc Dobra. Pomysł, iż Pan Bóg niejako patrzy w inną stronę, a nie tam, gdzie jest potrzebujący, to pomysł rodem z kołyski. Jeśli wszystko wie i widzi, to nie trzeba mu się pchać na oczy ani zwracać na siebie Jego uwagę wysokim skoncentrowaniem nabożności w aktach strzelistych; Bóg umie wejrzeć w nas głębiej, niż sięgają nasze płynące z ust deklaracje. Do drugiego soboru wolno było jeszcze się modlić o innych, choć nie o siebie, lecz odtąd już nie. Psychologiczna korzyść zawdzięczana modłom uległa likwidacji, ale gdyby nie uległa, powiadałyby to zwycięstwo egoizmu, jako trosk osobistych, nad wiarą w nieomyślność Boga. Służy się Bogu służąc innym, bo tak się wypełnia plan Stworzenia, jako ruchu ku doskonałości. Zdaje się niezrozumiałe, jak mogła zachować niezmienność doktryna wiary w sytuacji zespolenia władzy duchowej ze świecką, boż winna by była ulegać znanym z Ziemi zmianom podług interesów panujących (toż cały anglikanizm poszedł stąd właśnie). W znacznej części wyjaśnia to skierowany w przyszłość dogmat „doczesnego raj”, który zostanie zbudowany, gdy nagromadzą się po temu środki. To kunktatorstwo, zawarte w samej dogmatyce, jako uznanie nieuchronności zwłoki w społecznym doskonaleniu, można w samej rzeczy uznać za zwyczajny wybieg władzy, odwracający uwagę ludu od aktualnych przypadłości i bied, taki też właśnie zarzut kierowali pod adresem kościoła wolnomyśliciele oraz kacerze encjańscy. Co prawda ta „wbudowana we wiarę retardacja spełnień” walnie przyczyniła się do

utworzenia zbiorowego klimatu „milczących przeczekiwań”, gdy przychodziły rządy potworów, jak choćby trzech Pseudoxixarów (nie wiem czemu utarło się mówić, że ich było trzech, skoro o żadnym z osobna nic nie wiadomo, ale myślę sobie, że co najmniej tyle samo niezrozumiałości napotyka każdy Encjanin w naszych dziejach powszechnych). Trudno uznać, żeby średniowieczni kapłani i teologowie mogli mieć jakąkolwiek podstawę do przewidywania rozwoju nauki, a właściwie powstania nauki (boż jej wcale jeszcze nie było), która pozwoli Encjanom realnie zmierzyć się z przykazaniem „udoskonalenia widzialnego świata”. Trzeba jednak sądzić, że nie mogąc oprzeć takich oczekiwań na posiadanych wiadomościach, wierzyli w ich prawdziwość sposobem nie mniej niewzruszonym aniżeli ziemscy wierni w zbawienie po śmierci. Wpływ wiary, hamujący ruchy społeczne, począł słabnąć w masach ludowych na początku XXII wieku. Podaż dóbr rosła, piramida różnicowań socjalnych spłaszczyła się i w sposób typowy dla industrialnego skoku wszystko ulegało przyspieszeniu: tempo produkcji, handlu, komunikacji, migracje ludności. Dostępna stała się umiarkowana zamożność i właśnie to poderwało osnowę wiary. Tak przynajmniej utrzymują historycy. Lud czekał obiecywanej przez religię perfekcji wszechzaspokojenia, tym wspanialszych, że nikt ich sobie nie wyobrażał w konkretach, a posmakowane zaczątki dobrobytu rozczarowały, jak gdyby wszyscy myśleli „a więc to tylko tyle?” Wtedy właśnie doszło do wojny światowej, dziwnej w tym, że do końca pozostała tajemnicą państwową. Nazywają ją rozmaicie — kryptobellum, mirumbellum, a już najmniej można się dowiedzieć ze źródeł luzzańskich o przeciwniku tych skrytych zmagają. Od niego zaś nic zupełnie, bo przestał istnieć po dwudziestu kilku latach, tak jak gdyby nigdy go nie było na planecie. Nawet sama nazwa wrogiego państwa nie zachowała się w jedynej wersji. Wiadomo, że obszarem równe Luzanii, rozpościerało się na antypodach, w pobliżu bieguna południowego, na kontynencie cetlandzkim i że Luzanie nazywali je Kliwią Czarną, a Kurdlandczycy Goliwią. Nie zostało po nim nic, oprócz pustyni z sięgającą kilkuset metrów w głąb ładu wieczną marzłocią. Rząd luzński objął ów zniszczony, stracony teren bezterminową kwarantanną, nie zezwalając, przynajmniej podług dostępnych wiadomości, żadnym ekspedycjom naukowym czy militarnym wstąpić na Cetlandię. Nasi luzaniści snują w tym temacie liczne domniemania, ale nie wynika z nich żaden jasny obraz. Ta Czarna Kliwią czy też Goliwią nigdy nie wypowiedziała Luzanii wojny, nigdy nie weszła z nią w jawny konflikt zbrojny, lecz usiłowała zawładnąć całą Encją po trosze, okólnie i stopniowo. Jej mieszkańcy byli wprawdzie także Encjanami, innej jednak rasy, a bodajże nawet odmiennego gatunku. Gdy bowiem przesmykiem podrównikowym hordy koczowników przedostały się z Taraktydy do Cetlandii, w tym samym mniej więcej czasie, kiedy inne ich grupy penetrowały płaskowyż wulkaniczny na taraktydzkiej północy, gdzie powstać miała później Luzania, w szeregu kataklizmów otworzył się wielki podmorski rów i rozdzielił dotąd złączone łądy, tak że doszło do izolacji rozdzielonych Praencjan i po jakichś stu tysiącach lat zdobywcy Cetlandii odmienili się fizycznie pod wpływem srogich warunków tego przybiegunowego ładu. Byli mniejsi, nie tak długonodzy, ich postawa z całkowicie wyprostnej zmieniła się na pochyloną z lekka do przodu, odznaczali się w starożytności i w średniowieczu szczególnym okrucieństwem wobec obcych, to znaczy Encjan Taraktydy; mieli wymordować wszystkie kolejne wyprawy, które dotarły do nich poprzez błocean. Stanowili zrazu plemiona uprawiające łowiectwo, potem przez setki lat jednoczyli się i znowu rozpadali na oddzielne państewka, ale brak dokładnych wiadomości o ich dziejach. Bierze się to, jak myślę, stąd, że nękanie nigdy nie wypowiedzianą ani nawet oficjalnie nie toczoną wojną Luzanie, zadali im straszliwy cios i od jego przerażającej skuteczności ogarnęło ich poczucie niezmywalnej winy. Kliwianami rządził jakoby szczególny imperatyw, ni to religijny, ni to świecki, żądający od nich największych wyrzeczeń w imię powszechnego Ka–Undrium. Czym było to ich Ka–Undrium, nie dowiedziałem się jak należy, chociaż przewertowałem w poszukiwaniach wszystko, co zawiera ten dział biblioteki, a nie jest tego mało. Zresztą sama nazwa pochodzi

od tak zwanych Intrytów hyloistycznego zakonu repenitentów, rozpamiętujących okropny los Kliwian; rząd luzański toleruje ten zakon, nie wolno mu jednak komunikować się ze społeczeństwem ani ogłaszać wewnętrznych spraw publicznie, i tylko z przecieków wiadomo, że Kliwianie, w przeciwieństwie do północnych Encjan, mówili bezgłośnie, jak gdyby zdolni byli tylko do chrapliwego szeptu, a bezdźwięczna ich mowa nie znajduje dokładnych odpowiedników ani w kurdlandzkim, ani w luzańskim. Ka–Undrium to hasło, jakim Intrycy obdarzyli — ale właściwie co? Rację stanu Kliwian? Symbol ich państwowości? Ideę podboju planety? Drogę do szczęścia? Czy to szczęście właśnie? Chętnie bym po—Pytał jakiegoś mnicha tego zakonu, jak właściwie z tym jest, bo jak powiedziałem, żadnych pism rozpowszechniać na temat Kliwii nie wolno. Ka–Undrium to była jakaś idea o charakterze powszechnym, wymagająca skrajnych ofiar, wraz z ofiarą składaną z życia — to zdaje się pewne. Nazywali oni wszystkich innych Encjan Hs–Hsce, to znaczy „Nic Nie Rozumiejący”. A ponieważ takich Nic Nie Rozumiejących nie mogli nawrócić na Ka–Undrium i stali w ich oczach owi ignoranci na drodze do Spełnienia — ale nie wiem, czego — usiłowali ich, wszystkich, co nie byli Kliwianami, podbić i unicestwić. Zdaje się, że zaszła taka osobliwa przemiana najpierw zwalczali Nic Nie Rozumiejących tylko symbolicznie i magicznie (i zabijali każdego, którego dopadli, zwąc to jego Konwersją), a potem coraz bardziej już realnie, w miarę ja o władali pierwocinami technologii. Byli mistrzami wszelkie mechanicznych kunsztów. Oni pierwsi zdaje się skonstruowali samoczynne urządzenia bitewne, z których potem powstał tak zwane Ultymaty, i stopniowo wymusili na Luzanii uczestnictwo w wyścigu zbrojeń. Ponieważ jednak nie można usłyszeć kliwiańskiej wersji tych wydarzeń, obejmujących górne średniowiecze i pierwszy wiek ery nowożytnej, a Luzanie są na pewno stronni w tej materii, uczciwy badacz winien zawiesić nad tą całą sprawą duży znak zapytania. Tak rób zresztą większość luzanistów. Osiem tysięcy mil błocianu dzielących Taraktydę od Cetlandii, czyniło zrazu wyścig lądowych zbrojeń jak gdyby obustronną aberracją, wyzbytą militarnego sensu i znaczenia. Pojawiali się wprawdzie wojowniczy sztabiści, którzy żądali, by luzańskie siły zbrojne wylądowały w Cetlandii, lecz nigdy do tego nie doszło i każdy taki plan został utracony w zarodku przez roztropniejszych polityków. Kliwianie, nader biegli w matematyce, byli zimnymi rachmistrzami. Ten jakiś mistyczny, a w każdym razie tajemniczy charakter Ka–Undrium, nadającego spójny kierunek ich wysiłkom, nie osłabiał bynajmniej rzeczowości ich postępowania. Sama przyświecająca im idea podboju było może i bezsensowna (ale czy są inne?), lecz do jej ziszczenia brali się z nadzwyczajną systematycznością. Koszty, jakie od tego nieśli, musiały być gigantyczne, bo to był już wiek przemysłowej akceleracji i co parę lat przychodziło projektować i wytwarzać zupełnie nowe, coraz droższe rodzaje broni. Luzania, ze swoimi bogactwami naturalnymi, korzystniejszym klimatem, która ponadto pierwsza weszła w erę industrializacji, dotrzymywała antagonistom kroku, lecz zżymała się, bo finansowy ciężar tych zbrojeń, zwanych czysto obronnymi, rósł. Wielka wojna światowa rozpoczęta się cichaczem, bez jednego wystrzału, bez wprowadzonych w akcję zgrupowań wojskowych, ponieważ wszystkie operacje były krypto —militarne. Nie wiadoma nawet, czy prawdą jest to, co podają niektóre kurdlandzkie źródła (Kurdlandia zachowała w konflikcie neutralność, nader względną, jak zaraz wyjaśnię), że przeciwnicy próbowali zwalczać się zdalnym rozstrajaniem klimatu i trzęsieniami ziemi; może były to tylko pogroźki i próby zastraszenia albo manewry psychologiczne, mające skłonić wroga, żeby inwestował środki w takie metody walki, które nie dadzą spodziewanych rezultatów. Wprawdzie wielkie centralne jeziora Cetlandii rzeczywiście znikły wchłonięte przez sejsmiczną rozpadlinę gruntu, ale nic nie wskazuje na to, że katastrofa nie była naturalnego pochodzenia. Jakkolwiek z tym było, do bezpośredniego starcia w ogóle nie doszło. Niemal równocześnie Taraktyda i Cetlandia wkroczyły w epokę biotechniki. Nie można się dowiedzieć, która strona zastosowała jako pierwsza tak zwaną broń koncepcyjną. Trzeba sobie uzmysłwić, że walczący przez oceaniczny przestwór byli Encjanami, a

zapłodnienie ma u nich postać zapylenia. Ktoś wprowadził do akcji „patofery” — patogenne fertylizatory. Bodajże jednak uczynili to Kliwianie. Luzania miała przez kilka lat ciężkie problemy z przyrostem naturalnym: rodziła się moc dzieci z wrodzonymi potwornictwami. Otóż oni nawet i wtedy nie przyznali się do tego, że ta endemia nowotworowych porodów może mieć jakiś związek z Kliwią, a tym bardziej do tego, że odpowiedzieli na ów potajemny atak ludobójczym kontratakiem.

Biblioteka MSZ nie posiada w ogóle, nie wiem czemu działu militariów i na pracę doktora generała Briimmla, poświęconą transkontynentalnej wojnie biologicznej na Encji, natknąłem się zupełnie przypadkowo. Briimmel (ale może i Brummla, nie pomnę już) przypuszcza, że wojna od początku była genowa; on sam jest zdaje się specjalistą w dziedzinie tych broni. Doktor generał (dziś nie można zostać sztabistą bez paru doktoratów) domniemywa, że Kliwia zaczęła pierwsza rozsiewać nad Luzanią patogeny, czy też patofery, hodowane w biomilitarnych kompleksach, ale jedynie część tak poczynanych dzieci była niezdolna do życia. Pod względem militarnym, wyjaśnia sucho i rzeczowo doktor generał, niszczenie żywej siły nieprzyjaciela na drodze biologicznej, zdalnym zapłodnieniem, stanowi bardzo trudne zadanie. Oczywiście biologia naturalnego rozrodu Encjan znacznie je ułatwiła, lecz sęk w tym, że plemnik nazbyt różny od normalnego ulega odrzuceniu przez jajeczko, a plemnik nie dość patogenny powoduje przyjście na świat dzieci, które można leczyć. Zaprojektowanie (bo to są prace projektowe i muszą: się nimi zajmować specjalne biura, pełne odpowiednich, i to; znakomitych naukowców) plemnika zarazem akceptowanego przez ustrój samicy i zgubnego w embrionalnym rozwoju to rzecz największej wiedzy i produkcyjnej sprawności. Krótko mówiąc Luzanie zrobili doskonale to, co Kliwianie wszczęli kiepsko, ponieważ pierwsi byli bardziej zaawansowani w dziedzinie biotechniki, a właściwie militarnej technobiotyki. Nie działali pochopnie, nie stosowali półśrodków, lecz uderzyli w Kliwian „nieczystą bronią fertylizacyjną” tak masowo, cała ludność Cetlandii wyginęła w ciągu jednego pokolenia: płody pozabijały wszystkie zdolne do rozrodu Kliwianki. Luzanie zastosowali, powiada generał Brummla, „fertolety”, czyli takie fertylizatory letalne, które powodują inseminację, a embrion przekształcają w złośliwy nowotwór, atakujący organizm matki, nim zdąży opuścić jej ciało. Zarazem Luzanie stosowali u siebie nie określone bliżej techniki osłony antynatalistycznej w obawie, że Kliwia odpowie analogicznym ciosem, lecz jej zbrojmistrze nie zdążyli, a może nie umieli, wyhodować analogicznie śmiertelnych inseminatorów. Nieokreślonym sposobem słuchy b tym kataklizmie dotarły nawet do paru ziemskich żurnalistów; niejaki Howard Pintel w magazynach SF pisał, jakoby na Encji działały „brygady skoczków antykoncepcyjnych” oraz „miotacze środków odstręczycielskich”, co jest brednią, boż Encjanie nie rozmnażają się tak, jak to sobie wyobrażał dziennikarz-ignorant. Były, owszem, próby naruszenia równowagi ekosferycznej, lecz nie one zadały genocydowy cios Kliwii. Nie było też w Luzanii żadnych „wojskowych abortystów”, bo wewnętrzna służba obronna składała się z odpowiednio przeszkolonych lekarzy i biologów. W końcu nie można było ukryć lata przecież trwającego wymierania całej ludności Kliwii. Pewno by zresztą nie wymarła w całości, gdyby Luzanie nie utrzymywali nad nią właściwego stężenia zabójczych pyłków. Ich stuprocentowa filtracja nie jest możliwa; Kliwianie usiłowali wprawdzie, budując olbrzymie podziemne schrony, ratować Chociaż część ludności, lecz nie zdążyli tego uczynić, nie byli bowiem przygotowani na tak porażające działanie Luzanów. Co prawda ta strona rzeczy nie jest jasna, nie wiadomo bowiem, dlaczego średnia roczna temperatura południowej półkuli opadła o dziewięć stopni w ciągu sześciu lat, jeżeli jednak Luzanie maczali w tym palce, nigdy się do tego nie przyznali. Ruiny miast kliwiańskich pokrył lodowiec i jak się rzekło, wieczna marzłota skłała całą Cetlandię na głębokość setek metrów. Dopiero po stu latach klimat południowej półkuli uległ ociepleniu, lecz nie powrócił do temperatur sprzed wielkiej wojny. Doktor Brummla cytuje w jednym z przypisów swej książki opinię anonimowego kolegi po fachu, który powiada tak: ten, kto się

opędza od uprzykrzonych owadów albo od jakiegoś płaza czy myszy i dosięgnie wreszcie natrętnego stworzenia, ale nie śmiertelnie, widząc jego drgawki ulega panice musi wtedy zabić je czymkolwiek natychmiast; agonii zarazem lęka się i brzydzi, toteż chce z nią skończyć jak najszybciej i wszelkie środki po temu będą mu do Włec, dodają już od siebie, bo istotnie mogło coś być rzeczy, jeśli nawet Luzanie sami nie spodziewali się aż potwornej skuteczności swych genolotów (bo są też eksperci zwący te bronie genolotami, wszak chodzi o lotne p zapładniające), zastosowali wszystkie środki, jakie zawieci ich arsenał, by wytracić Kliwian do nogi, chociaż może b że pierwotnie takiego zamiaru nie żywili. Może chcieli tylko osłabić, niszcząc ich siłę żywą, jak to fachowo z konfliktologowie, i zmusić ich do poddania się, może do jakiejś formy ugody, rozejmu, pokoju, lecz sam niewiarygodny ogrom .zadanej śmierci (Kliwia liczyła miliony mieszkańca uczynił jakiegokolwiek porozumienie zwycięzców ze zwycięzonymi zupełną niemożliwością. Tak sądzi przynajmniej generał Brümml i jego koledzy po fachu. Bronie biologiczne ty genowego, dodaje Brümml, łatwo dają efekty autoeskalacyjne. Nawet zwyczajną epidemię bakteryjną łatwiej je wszcząć, niż powstrzymać. Są to, mówi uczony generał, bronie nieregulatywne i Encjanie bez wątpienia zastosowaliby przeciw Kliwii raczej broń martwą typu zdalnie sterowanych, lecz nie, dysponowali nią, gdy konflikt wszedł w krytyczni fazę. Otófe strony jeszcze nie przekroczyły wówczas tak zwanego progu nadkomputerowego w wyścigu zbrojeń. Brümml ma w ogóle bardzo wiele do powiedzenia o tej sprawie, lec tyle co nic o zabitym państwie, które swojemu Ka–Undriur (Brumml pisze jednak „KON–UNDRIUM”) zawdzięczało samostraceńcze zderzenie z potężniejszym przeciwnikiem.

Cała ta rewelacja ogłuszyła mnie, jakbym dostał pałką w łeb. Jużem sobie utworzył obrazy Luzanów i Kurdlandczyków, nie idylliczne, rozumie się, ale jednak dosyć niewinne nawet w tym, czego nie potrafiłem pojąć. Hyloizm zdawał się wręcz zniewalać Luzanów do prowadzenia pokojowej polityki, a dziwactwa kurdlandzkiego państwochoodu można było uznać za szczególną, miejscową postać przywiązania do rustykalnych form życia. Już tak wiele dowiedziałem się o jednych i drugich, aż przyszło mi raptem nie to, że korygować ich wizerunki, ile po prostu zastąpić je nowymi. Kurdlandia bodajże cięższe nawet poniosła straty w wojnie, w której wcale nie była stroną walczącą, lecz wiatry przenoszące obłoki rozplemowego pyłu nie zważały na granice państwowe. Co znów jest tylko domniemaniem luzańskim, Kurdlandia bowiem do żadnych wywołanych wojną strat się nie przyznała. W ogóle historia tej wojny to piekielny labirynt, bo oba ocalałe państwa mają odmienne systemy utajnienia określonych spraw i wiadomości wewnętrznych, systemy wielostopniowe, i trudno się dziwić, że informacji, znajdujących się pod pieczęcią wyższego stopnia zatajenia, nie wysyłają w kosmiczny eter, a to jest przecież główny kanał przesyłowy, który pozwolił ministerstwu wypełnić biblioteczne sale tysiącami tomów. Z bardzo skąpych źródeł dotyczących wielkiej wojny encjańskiej wyniosłem więcej pytań niż odpowiedzi. Dlaczego Cetlandia pokryła się lodolodem? Jeśli za sprawą Luzanów, jak sugeruje generał Brümml, to czemu i po trzystu latach — a już tyle czasu minęło od owego globalnego konfliktu — lodowiec nadal pokrywa ruiny kliwiańskich miast? Myśl, że Luzanie nie życzą sobie ujawnienia tych ruin, śladów popełnionego ludobójstwa, i wołają, aby lodowiec był mu płytą grobową, nasuwa się wprawdzie jako wy tłumaczenie, lecz trzeba też zważyć, że średnie roczne temperatury całej planety obniżyły się o dwa stopnie od powojennego ochłodzenia, co musi się odbijać ujemnie także na klimacie Luzanii. Mogłoby wielkie państwo trwać tak pamiętliwie w takim wstydzie popełnionej zbrodni wojennej przez całe wieki? Z tego wszystkiego wyniosłem jedyną potajemną ulgę, nie żaden tytuł do chwały, lecz raczej coś na kształt starannie skrywanej satysfakcji, jaką odczuwamy dowiedziawszy się, że osoby uchodzące za stateczne i zacne mają na sumieniu nie mniej od nas.

### III. W DRODZE

Już październik, gwiazdy przyżółkły i jakoś chłodniej zrobiło, a ja lecę. Nie powiem, abym się pierwszej śmierci spodziewał niż tej wyprawy, bo od początku mi się zdawało, że nadzwyczajna przychylność radcy stoi w związku z. dochodzącą. Zresztą teraz już wszystko jedno. Co miałbym robić w rakiecie z dochodzącą i skąd by miała dochodzić? Faktem jest, że leżę na kursie Cielca, w półkożuszku, co poniekąd rymuje się z tym, że lecę jako półkurier dyplomatyczny. To wymyślił to po wielkich konferencyjnych mękach Departament Profilaktyki Skarg i Zatargów. Ani pełny kurier, bośmy jeszcze nie wymienili z Encją ambasadorów, ani prywatny turysta, bo nie idzie tylko o erratę w następnym wydaniu „Dzienników”, lecz o zapobieżenie incydentowi, który wydedukowały moduły Instytutu Maszyn Dziejowych. Skutkiem tej podróży będzie — w języku prawniczym — anulowany dolus, a w futurologicznym — samoniszcząca się prognoza. Podam samą prawdę, stare wydanie usunie się cichaczem z bibliotek i tym samym nie będę już autorem kamienia obrazu. Piszę to nie tylko w półkożuszku, ale jakby w półśnie, toteż nie wiem, czy można mówić o autorstwie kamienia? Przy kamieniach nerkowych czy żółciowych może by jeszcze uszło lecz obrazu? Myśl moja utyka w mineralogii metaforycznej. Chcąc sięgnąć po „Słownik wyrazów obcych” spuściłem sobie na nogi żelazko, bo mam nowoczesny statek ze sztuczną grawitacją, i klnąc w żywy kamień udoskonalenia, z żalem pomyślałem o prymitywnych wyprawach, kiedy to człowiek polatywał po całym statku jak duch. Zrezygnowałem z przywiązywania śpiwora do ściany, bo rano bardzo trudno wyleźć, i było coś zabawnego w tym, że wiedziałem, gdzie kładę się (a właściwie zawisam) na spoczynek, ale nigdy, gdzie zbudzę się o czarnym świecie. Śpiwór pływał ze mną to tu, to tam, miałem pod jaśkiem latarkę i nieraz, gdy zahaczyłem w takim szybowaniu o półkę z książkami, ażem się ocknął, łapałem się jej, książki leciały niby spłoszone ptactwo, a ja uchwyciwszy pierwszą, co wpadła mi w garść, brałem się do lektury przy latarce, wewnątrz śpiwora, zawsze ciekaw, jaką lekturą poczęstował mnie nocny przypadek. Grawitacja pokładowa ma właściwie tę tylko dobrą stronę, że po powrocie na Ziemię człowiek nie robi przez pierwszy miesiąc w domu tylu szkód; bo to wiadomo, kiedy przyzwyczaisz się, że przy wyciskaniu pasty do zębów na szczotkę można szklanekę z wodą odstawić w powietrzu, a potem wziąć do ręki i nie ucieknie w okamgnieniu, to samo robi się odruchowo na Ziemi, niestety także z wazą zupy przy obiedzie, z talerzami, no i wciąż trzeba zmiatać potłuczone skorupy. Co się tyczy spirytyzmu rakietowego, zawsze wyśmiewałem tych klnących się, że ich straszyla między Betelgeuzą a Antaresem. Są to po prostu części suszącej się bielizny; czasem coś chrobocze, stuka, i człowiek radośnie drży na myśl, że ma towarzysza samotności w jakiejś myszce, ale z drugiej strony mysz pozbawiona ciężenia traci zupełnie kontenans, można ją znaleźć w nieprawdopodobnych miejscach, wiem coś o tym i tutaj jestem już po stronie postępu. Dałem sobie zamontować na pokładzie dyskuter. Jak sama nazwa wskazuje, taki kompanion ma wspierać rozmowami, a jeszcze profesor Bourre de Calance postarał mi się o najnowszy model, rozszczepienny. Nabyłem makietę wszystkich osób, z którymi chętnie uciałbym pogawędkę. To dziwne, jak prosta jest idea tych makiet i jak długo nikt nie mógł na nią wpaść. Robią bioelektryczny portret upatrzonego, bitują go, czyli pakują do programu i w postaci najzwyklejszej kasety wtyka się go do dyskutera, jedno przytyknięcie palcem i ot, znajomy głos rozlega się w pomieszczeniu, a przy tym nie jest to żadna osoba i można bez kłopotu w każdej chwili ją zgasić, wstawić kasetę z inną albo pójść spać. Oczywiście pewne minimum przyzwoitości, *savoir-vivre*'u należy zachować w takich stosunkach, nie żeby się zmakietowany mógł obrazić, nie powinien bo to jest jego czysto racjonalny ekstrakt, wyciąg, ale dla osobistej higieny umysłowej pewnych form obejścia wypad przestrzegać. Dobrze mieć na pokładzie taką psychotekę, ale nie zawadzi orientacja, jak to z nią jest właściwie. Na głupi



rozum każda książka kucharska zawiera wszystkie informacje potrzebne, dajmy na to, do wypieku tortów orzechowych; jednakowoż torty, sporządzone według tego samego przepisu przez dwie różne gospodynie są akurat tak niepodobne, jak Chopin, kiedy go gra Rubinstein i kiedy ja go gram. Przepis, choć zawiera wszystko, jest martwy i trzeba tchnąć weń życie, żeby rozkwitł. Masowe cukiernictwo, raz wreszcie trzeba to powiedzieć wyraźnie, stanowi formę płatnej prostytucji, a nie miłosego oddania. Podejście do tortownicy musi być indywidualne, a nawet, powiedziałbym, natchnione poczuciem misji i dlatego tort, gdy oprócz świeżych orzechów weszły weń delikatne, świeże uczucia, zachowuje pod łyżeczką jakąś, powiedziałbym, dziewiczą intymność, jakby się dawał jeść po raz pierwszy na świecie. Otóż komputer–dyskuter to książka kucharska; formalnie biorąc zawiera wszystko, ale temu wszystkiemu na niczym nie zależy, temu wszystkiemu jest wszystko jedno, i dopiero makietą konkretnego człowieka robi z tych biernych złożeń wiadomości duchowy użytek, czyli serwuje mądrość. Jednym słowem chodzi o styl. Zamówiłem sobie paru luminaryzantów, Bertranda Russella, Poppera, Feyerabenda, Finkelsteina, Szekspira oraz samego Einsteina. Przelot przez układ planetarny był, jak zwykle, dość zajmujący, więc tak wytyczyłem sobie drogę, by obejrzeć Marsa, do którego mam pewną słabość z dzieciństwa, stałem też u iluminatora mijając stare grzmotne globy Saturna i Jowisza, bo zawsze sobie myślę, że wypadaloby chociaż na jednym postawić nogę, ale cóż, kiedy się idzie do muzeum, to nigdy przecież w rodzinnym mieście, po co, skoro można w każdej chwili, więc jedzie się w tym celu do jakichś Włoch, i to samo z tymi zresztą wcale efektywnymi gratami. Odsądziwszy się dopiero na parę świetlnych miesięcy od Słońca i Ziemi razem ze Szwajcarią, gdzie sprawa Küssmich contra Tichy nie weszła jeszcze na wokandę i nieprędko wejdzie, rozważyłem, co robić, a jest to materia tak delikatna, powiedziałbym nawet — przykra, że jej nigdy dotychczas nie tknął jednym słowem. Cóż, trzeba to jednak nareszcie powiedzieć w sposób wyraźny: astronautyka pachnie kryminałem. Gdyby nie iluminatory, można by sobie doprawdy myśleć, że się dostało uczciwy wyrok, nie rok, nie dwa, lecz co najmniej dwudziestaka, i nie można nawet liczyć na przedwczesne zwolnienie dzięki dobremu sprawowaniu, ani na paczki od rodziny, ani na wizyty. Pomiędzy nawigacją transgalaktyczną a odsiadką była dawniej różnica widoma w braku ciężenia, teraz natomiast nie ma już pod względem praktycznym żadnej i nie dziwota, że są natury specjalnie predestynowane do takich podróży. Pomysł pewnego teoretyka, żeby rekrutować załogi kosmolotów z dożywotnich, po ziemskich zakładach karnych najwyższego stopnia izolacji, wcale nie był taki bezsensowny, jak mówiono. Czy stoisz, czy leżysz, czy kręcisz się pod sufitem, tkwisz w czterech ścianach, więc siedzisz, a to, że na zewnątrz zamiast murów i strażników jest wysoka próżnia, nie przynosi ulgi. Z najdoskonalszego więzienia można uciec, ale z rakiety zawieszanej między gwiazdami nigdzie się nie wymkniesz, i to jest ta ponura strona mej działalności, której dotąd nie tykałem. Per aspera ad astra, lecz bardziej prozaicznie — droga do gwiazd wiedzie przez długoletni wyrok. Zapewne — sam chciałem i chcę. Także i teraz drożyłem się w kolegium MSZ, oświadczyłem, że nie mam najmniejszej ochoty jechać, ale podkreślałem to, żeby im się nie przewracało w głowach, nie mogą mnie traktować jak chłopca na galaktyczne posyłki. Prawdę mówiąc jednak chciałem, bodajże od momentu, gdy przekroczyłem próg biblioteki. Gdy dobre stare słońko znikło, jakby się rozpuściło w czarnej zupie „nic”, poczułem znaną od dawna, bo tylekroć doświadczaną cześć i uznałem, że muszę od razu powziąć decyzję: spać albo skorzystać z dyskutera. Jednakowoż stuletni sen to nie fraszka. Wyrzyciłem wprawdzie co należy — ażeby budzik odezwał się o pięć milionów mil od Encji, jedzenia się przyoszczędzi, co ma swe znaczenie, zrobiłem też wielkie sprzątnięcie, choć wiem, że przez tyli czas wszystko i tak obrosnie brudem. Najgorsze jest zawsze przebudzenie. Nie znoszę wiechciowatej brody, włosów po kolana no i paznokci jak węże — zawsze szykuję gdzieś pod ręką nożyczki i maszynkę do strzyżenia, lecz zeszyłem razem zapomniałem, gdzie, i pół rakiety musiałem przewrócić do góry nogami, płacząc się

wciąż we własnej brodzie i klnąc na czym świat stoi, nim odnalazłem fryzjerskie przyrządy, bez których — kto by pomyślał? — astronautyka nie jest możliwa. Dobywając pościel z bielizniarki zauważyłem, że prześcieradła są twarde jak z blachy — a przecież prosiłem dochodzącą, aby dopilnowała tego w pralni, i wściekły na nią, rozrywałem raczej, niż rozwijałem sklejone krochmałem płótna. Sprawdziłem też, czy aby nie ma u poszewek takich drucianych i obszywanych nicią guzików, które wytłaczają śpiącemu na policzkach wyraźne odciski, czego winien unikać każdy astronauta, bo po stuletnim śnie trzeba paradować później z fizjonomią całą w negatywach guzików, a obcogwiezdne istoty biorą je za integralną część ludzkiej twarzy. Przygotowując sobie różne wstrętne płyny do wypicia przed hibernacją, z wolna traciłem na nią ochotę. Po cóż w końcu wziąłem na pokład komputer z personalizacyjną przystawką i tylu skasetowanych sławnych mężów? Przyjrzałem się tym kasetom. Na każdej figurowało nazwisko a pod nim instrukcja obsługi oraz czerwony napis LIVE lub POST MORTEM. Oczywiście kasetą Szekspira nosiła hasło POST MORTEM, a Finkelsteina — LIVE, bo ten żył, a tamten nie, lecz jakie miało to znaczenie przy reprodukcji? Zajrzałem do książki obsługi personalizatora i dowiedziałem się, że osobowość zmarłych ekstrahuje się z ich dzieł zebranych, co sprawia między innymi, że wskrzeszeni nie mówią tak, jak mówili za życia, lecz jak pisali, a więc dajmy na to poeci — wyłącznie wierszem. Jak to w instrukcjach, było tam mnóstwo niezrozumiałych terminów fachowych i niejasności, w rodzaju uwagi, że im kto dawniej zmarł, tym jest mniej „pouczalny” i dlatego nie zaleca się rezurgować osób pradawnych nikomu z wyjątkiem historyków, bo nikt inny nie zdoła nawiązać z taką postacią konwersacji, chyba że się dysponuje eksplikatorem. Nie powiem, żeby to mi rozjaśniło w głowie, więc po krótkim namyśle włożyłem do komputera kasetę z Rupertem Trutti, licząc na to, że jako professor of computer science udzieli mi pożądanых wyjaśnień. Jakoż po naciśnięciu klawisza „GO” usłyszałem przyjemny baryton i usiadłszy, słuchałem go nieco zdziwiony, że wcale nie czekał na moje pytania, lecz sam mówi jak najęty.

— Jestem Rupert Trutti z Massachusetts Institute of Autofuturotogy i zajmuję się, jak wskazuje nazwa mej uczonej siedziby, prognozowaniem prognoz, czyli wykrywaniem, co będą przepowiadali przyszlówieczni przepowiadowcy. Uprzejmie zaznaczam, że będąc kasetonem, jak zwie się obiegowo facetów zakasetowanych, mogę czerpać z pamięciowych pojemników komputera, do którego zostałem wsadzony, bez żadnych ograniczeń.

— A właśnie, profesorze — wpadłem mu w słowo — dlaczego pan może, a podobno osoby bardzo dawno zmarłe nie mogą? Wyczytałem to w instrukcji ...

— Żeby się dowiedzieć czegokolwiek — odparł Trutti — trzeba już coś uprzednio wiedzieć. Dowiadywanie się polega bowiem na upychaniu posłyszanego w głowie, przy zachowaniu określonego porządku. Właśnie dlatego nikt nie pamięta pierwszych doznań życiowych okresu niemowlęctwa, bo nic wtedy jeszcze nie wiedział. Wszelako, mój zacny rezurrektorze, im kto więcej dowiedział się w jednej epoce, tym mniej może się dowiedzieć w następnej, bo ma głowę zapchaną starociami, a ma głowę zabita, ponieważ wczorajsza święta! prawda jest dzisiejszym przesądem i zawracaniem głowy. Ja, choć jestem cyfronikiem, mogę korzystać z innych działów pamięci tego komputera, do któregoś pan mnie włożył, albowiem liznęło się biologii, psychoniki, fizyki, toteż wiem, co to jest ekspertoliza i enspertolacja, ale wsadź pan tutaj Platona, a przekonasz się, że nic sobie nie przyswoi...

— A co to jest? — spytałem rozciekawiony.

— Ekspertoliza to rozpuszczanie się biegłych w zbytnim ogromie wiadomości, enspertolacja zaś to odruch obronny jako otorbianie się ekspertów ze strachu. Co się tyczy ekspertolastyki...

Może i niegrzecznie postąpiłem, ale wyłączyłem jednak profesora w obawie, że przy pomocy dalszych wyjaśnień zaciemni mi to, czego się zdążyłem od niego dowiedzieć, siadłem nad stertą kaset i jałem rozważać, jakie by tu skomponować uczone grono, żeby się

intelektualnie ponapawać dyskusją. Już ani myślałem o hibernowaniu. Jakże, mogąc uciąć rozmowę z największymi duchami dziejów, miałbym się oddać bezmyślnemu chrapaniu przez setki lat? Włożyłem tedy do komputera kasety z Bertrendem Russellem, Karlem Popperem, mecenasem Finkelsteinem (choć był to duch minorum gentium, chciałem go mieć w kompanii jako sympatycznego znajomka) i mimo przestróg profesora Trutti dołożyłem Szekspira. Przysiągłbym, że zamówiłem też Einsteina, ale choć wysypałem wszystko z pudła na podłogę, znalazłem tylko Feyerabenda i zgniewany, że nie mogę złożyć reklamacji — toż odsądziłem się już o parę trylionów mil od Ziemi — przygotowałem się do dyskursu, to znaczy poręcznie ustawiłem stolik z krakersami i tonikiem, a pod krzyże wetknąłem sobie poduszkę. Włączyłem komputer, ale zjadłem i wypiłem wszystko, a nic nie było słyhać, ażem spostrzegł, że moi kasetowi towarzysze podróży od dawna już wiedą spór, lecz głośnik był ściszony. Pokręciłem co należało i usłyszałem głos Bertranda Russella.

— Inteligencja, panie Feyerabend, to siła przebicia problemów i dlatego można zastosować najświetniejszą do najgłupszych spraw. Natomiast mądrość obejmuje także sam wybór problemów.

— Mam czelność nie zgadzać się z lordem Russellem — Feyerabend na to. — Mądrość jest raczej samopoznaniem po klasycznym, a bardziej nowoczesnie — wykryciem, gdzie własny rozum ma szczyby i luki. To oczywiście sokratyczne. Jak wiadomo, idiotom zdaje się, że się na wszystkim znają. Idiota, zwłaszcza skończony, jeśli mu pan to tylko zaproponuje, gotów z miejsca zostać prezydentem USA. Człowiek roztropniejszy pierw się zastanowi, a mędrzec wyskoczy raczej przez okno. Bardzo silne skupienie mądrości poraża, i to aż do zamilknięcia, aczkolwiek sądzę, że zamilknięcie Wittgensteina miało inną przyczynę.

— Jeśli sądzić po pana elokwencji, kolego Feyerabend, to nadmiar mądrości raczej panu nie zagraża — rzekł Russell. — Nie tylko ludzie bywają głupi, są też głupawe systemy filozoficzne, co się bierze ze zjawiska, które nazwałbym efektem historycznej monumentalizacji byle czego. Był król angielski, który chciał i religijnym pozostać, i przespać się z pewną panią jako małżonką, choć już był żonaty. Więc cóż? Nie mogąc zmienić swych chuci, zmienił nieco religię, odłączył angielski kościół od Rzymu i stąd się wziął anglikanizm. Jak wiadomo każdemu, kto mnie czytał, Hegel był myślicielem z gatunku tak zwanych mętnych bajtłoków, i właśnie temu zawdzięcza trwałą popularność, choć już nie taką, jak przed stu lały. Precyzyjny dureń jest mniej szkodliwy od mętnego, bo męty są ciemne i patrzą przez to na głębię. Pozwoliłem sobie dać to do zrozumienia w mej „History of Western Philosophy” i naturalnie moc obrażonych durniów wpiła mi się w tydy. Taki Dewey na przykład. Niestety, savoir-vivre obowiązuje nie tylko w Izbie Lordów — także w filozoficznych polemikach. Dopiero po śmierci może sobie człowiek pozwolić na wygarnięcie całej prawdy bez ogródek. Ale ja i tak byłem zawsze weredykiem, co mnie sporo zdrowia kosztowało. Kto proponuje nowy system filozoficzny, ten daje tym samym do zrozumienia, że zbliżył się do prawdy bardziej niż wszyscy ludzie przed nim. Każda taka propozycja zakłada więc nieprześcignioną rozumność jej autora. A przecież normalny rozkład inteligencji w społeczeństwie dotyczy też filozofów, toteż i wśród nich jest sporo durniów. Ciekawe, że te moje tak bezadresowe spostrzeżenia budziły tyle zacietrzewionych reakcji...

— A gdzie pan sam plasujesz się na krzywej .rozkładu mądrości, lordzie Russell? — spytał ścichapek Feyerabend.

— Obiektywnie mówiąc, wyżej od pana, ponieważ zrozumiałem wszystko, coś pan pisał, a pan tego, co ja pisałem, nie, w każdym razie pokręcił pan to mocno.

— Tak? Ale ja publikowałem po pana śmierci...

— Toteż czytałem już po skasetowaniu. Sporo wziął pan ode mnie, w czym nie byłoby nic złego, ale trzeba się przyznawać do nauczycieli...

— Ponieważ występuję tu jako czysty duchowy ekstrakt — rzekł Feyerabend — zaznaczam, że mym słowom towarzyszy lekkie wzruszenie ramion i pobłażliwy uśmiech.

Lord Russel zawsze usiłował odgryźć od placka filozoficznego większy kęs, niż mógł strawić.

— To jest z Quine'a — zimno wtrącił Russell.

— Trudno, abym podczepiał pod każdym wypowiedzianym słowem odnośniki bibliograficzne! — rzekł nieco poirytowanym głosem Feyerabend. — Lord Russell, który po śmierci rzeczywiście jest jeszcze mniej grzeczny, niż był za życia, nie daje mi dopowiedzieć do końca ara' jednego zdania. Lord Russell nie tylko odgryzał więcej, niż mógł, ale rzucał się na ten placek z coraz to innej strony, jak gdyby ontologia ogólna była przekładańcem lub babką, z której należy wybierać tylko rodzinę...

— Einstein — odezwał się naraz głębokim od zamyślenia głosem Karl Popper — porównywał to raczej do deski aniżeli do babki. Powiadał, że głupcy szukają najcieńszego miejsca, żeby wywiercić w nim możliwie wiele dziur, geniusze natomiast biorą się do najtwardszych, sękatych calizn...

— Ta druga część to już jest od pana, lordzie Popper — zauważył kostycznie Feyerabend. — Całe szczęście, że w filozofii nie obowiązują rangi ani szarże, bo w przeciwnym razie, oskrzydłony przez dwóch lordów, musiałbym milczeć jak trusia. Moim zdaniem inteligencja i erudycja winny się równoważyć jak dwie szale wagi. Zbyt wielka erudycja ściąga za nogi mały rozumek na grząskie dno, a znów duch nie obciążony solidnymi ołowiankami wiadomości leci, dokąd mu się chce, przeważnie ku nieodpowiedzialnym fikcjom. Najważniejszy jest złoty środek. Nie uważam atoli za złoty środek taktyki, polegającej na wyłącznym cytowaniu siebie samego, i to jeszcze złośliwym, gdy ktoś zamiast wdać się w merytoryczną polemikę, podaje w odnośniku jedynie jakieś prastare szpargały, w których jakoby ongiś był guz owej kwestii poświęcił uwagę, po czym czytelnik winien zgromadzić Opera Omnia takiego autora, odsyłającego odsyłaczami gdzie raki zimuja pierwej, nim weźmie się do lektury jego artykułiku. To jednak w dzisiejszych czasach przesada.

— Obawiam się, że Mr. Feyerabend przepija do mojego szanownego kolegi z Izby Lordów — rzekł Russell. — Coś było na rzeczy! Ale może już dość uszczypliwości ad personam? W tym zimnym kasetowym grobie rozmyślałem sporo o mej teorii typów. Można ją zastosować do ontologii, a nie tylko do logiki. Istnieją predylekcje ontologiczne, podobnie jak istnieją predylekcje samcze. Ja osobiście zawsze wolałem blondynki, a problemy miałem stąd, że one nie zawsze mnie wolały. Mogą też istnieć różne TYPY poznania. Oczywiście mówię to jako makiet. Proponuję jednak używanie słowa „makiet”, ten makiet, ze względu na naszą płeć męską, jakkolwiek znajduje się ona już w plusquamperfectum.

— Makiet jak pakiet? — rzekł Feyerabend i wybuchnął śmiechem. Najpierw zachichotał ironicznie i lekko, potem wdał się w to na pół mocy, następnie jął rechotać, aż w głośnikach zatrzeszczało.

— Cóż tak śmiesznego dostrzegł pan w mojej małej propozycji terminologicznej? — spytał Russell.

— Ach nie — odparł Feyerabend jeszcze trochę się krztusząc — przypomniałem sobie po prostu pewną brunetkę, bo lord Russell...

— Panowie — rzekłem tonem łagodnej apostrofy — ośmielam się zwrócić waszą uwagę na to, że kasety kosztowały mnie ponad 9000 franków, i to szwajcarskich! Łaknę wtajemniczenia w najwyższe zjawiska bytu, chcę, abyście mi podali pomocną dłoń, oczywiście sposobem figuralnym, a choć nie dorównuję wam umysłowo, liczyłem na skutki wiekowego obcowania z takimi umysłami... a tymczasem, te blondynki i brunetki...

— Jeśli ktoś chce dokądś zajechać — rzekł Bertrand Russell — musi postarać się o dobre konie i zaprząć je do powozu jak należy. My atoli, panie Ticzi (tak wymawiał moje nazwisko), nigdzie pana nie dowieziemy, bo nie stanowimy zgodnego zaprzęgu. Każdy z nas ciągnął w filozofii w inną stronę... Jeżeli pan się więc chce czegoś dowiedzieć, proszę wyłączyć mych cennych kolegów.

Tu rozległ się chór oburzonych protestów. Przekrzyczałem wszystkich wołając, aby się

wypowiedzieli w kwestii etykosfery encjańskiej. Na to się zgodzili.

— Być może — powiedział lord Russell — udało się tym ptasim synom sporządzić tę tak zwaną etykosferę, lecz jak drut na niebie wykonali w ten sposób indywidualne więzieńka, niewidzialne kaftany bezpieczeństwa w ogromnej ilości. Każde byle dostatecznie potężne dążenie ku szczęściu powszechnemu kończy się budowaniem kryminalów. Sama ta idea jest irracjonalną fatamorganą rozumu...

— Ja to zawsze twierdziłem — ozwał się silnym starczym głosem lord Popper. — *Corruptio optimi pessima* i tak dalej. Widmo stanów socjalnych jest jednoosiowe, rozpostarte między społeczeństwem zamkniętym i otwartym. Ekstremum lewe to tyrania totalitarna, czyli zarządzająca wszystkim co ludzkie, aż do treści piosenek w przedszkolach, ekstremum prawe zaś to anarchia. Demokracje mieszczą się mniej więcej pośrodku. Ci Encjanie usiłowali najwyraźniej połączyć te skrajności, żeby każdy mógł żyć w społeczności zarazem otwartej i zamkniętej i brykać jak chce, zamknięty w swoim niewidzialnym bąblu nieprzekraczalnych przykazań. Można by to nazwać tyrarchią, ale nic dobrego wyniknąć stąd nie mogło. Sądzę, że jest tam nawet więcej nieszczęścia niż gdziekolwiek indziej.

— Dlaczego, lordzie Popper? — spytałem.

— Dlatego, bo torturowany w państwie policyjnym może przynajmniej wierzyć, że gdyby przestano go torturować, zbudowałby z innymi szczęśliwy świat. Natomiast zapieszczany bezustannie pod zarządem państwowym przez tę tak zwaną synturę nie może nawet myślać uciec gdziekolwiek, bo już nie ma dokąd. Tylko pośrednie stany agregacji społecznej są znośne.

— A ja sądzą — rzekł Feyerabend — że gdzie nie ma *law and order*, wygrywają kły, łokcie i paznokcie, a gdzie jest *law and order* od powijaków do krematorium, nieszczęście musi być takie samo, tylko ma inny smak. Lord Popper ze swoją apologią otwartego społeczeństwa winien był zauważyć, że to jest grzeczna nazwa sytuacji, w której są duże i małe psy i wolno im na siebie czekać, ale pożerać się nie. Jako dziecina zaczytywałem się w pięknych powiastkach o przyszłym świecie, w którym gospodynie domowe przekwalifikują się w docentki limnologii, dozorczy domowi w profesorów ogólnej teorii wszystkiego, a pozostali będą tworzyć ile wlezie, dzięki czemu zapanuje niestłuchany rozkwit sztuk. Dziwne, jak wielu całkiem niegłupich ludzi wierzyło w takie brednie. Większość ludzi nie chce przecież wcale spędzić życia na zbieraniu starych muszli, i nie interesują ich żadne prócz klozetowych, a myśleć o 'sprawach ostatecznych' zaczynają po wizycie u lekarza, który na pytanie o diagnozę udziela wykrętnych odpowiedzi. Efekty totalnej automatyzacji muszą być nową edycją tak zwanej w średniowieczu *Höllenfahrt*. Różne drogi prowadzą do piekła. Niektóre są usłane różami i polane miodem. Społeczeństwo otwarte jest od zamkniętego tylko pod tym względem lepsze, że z pierwszego łatwiej uciec niż z drugiego. Inna rzecz, że nie wiadomo, dokąd uciekać. Alić zawsze milej mieć za sobą otwarte drzwi niż zakratowane i przybite gwoździemi do futryny. Ja przynajmniej tak to odbieram.

— A czyż ja gdziekolwiek pisałem, że społeczeństwo otwarte to jakiś ideał? — obruszył się Popper na Feyerabenda. — Jako sceptyk stałem zawsze przy mniejszym złu.

— Szkoda, żeś się pan nie ograniczył do tego — rzekł Feyerabend — bo pańska koncepcja poznania naukowego jest nie do utrzymania, jakem to wykazał, zresztą ani pierwszy, ani ostatni.

— Sam Einstein przyznał mi rację — zaczął dotknięty do żywego Popper, lecz Feyerabend nie dał mu skończyć^

— O okolicznościach, w których Einstein przyznał panu rację, będąc człowiekiem gołębiej dobroci serca, pisał pan już, lordzie Popper, tyle razy, że wystarczy podanie odnośników. Jak mówił mi doktor Chippendale, Einstein miał wtedy migrenę i zażył znaczną ilość proszków na ból głowy, których otepiające działanie jest powszechnie znane.

Obrażony Popper zamilkł. Dłuższą ciszę przerwał wreszcie Russell.

— Mój czcigodny kolega filozoficzny z Izby Lordów miał nieszczęście urodzić się na filozofa systemowego w czasie, kiedy filozofii systemowej być już nie może. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, kolego Popper! Pan Feyerabend jest umiarkowanym ekstremistą anarchicznym w teorii poznania, ja jestem bezimperatywnym przeciwintuicyjnym kategorialistą w stylu analitycznym, a lord Popper to twórca paru bystrych conceptów, poza tym jednak niesynkategorematyczny odgrzewacz zneutralizowanych ontologicznie zrazów w sosie po Circulus Vindobonensis. Po tym kółku, w którym Wittgenstein świecił, świecił, aż przestał. Kółko zostało zawieszona na kółku. Przecież eklektyczny synkretyzm pism pana Poppera ...

— Pan zmieniałeś poglądy częściej niż gacie! — krzyknął rozeźlony, wręcz wyprowadzony z socjostatycznej równowagi lord Popper.

— Lordzie Russell, co ci zostało z tych lat młodości pierwszej? „Principia Mathematica” wymęczone w trzech tomach przez lata. Otóż donoszę pośpiesznie, że Czuang Weng albo inny Ping Pong, bo ja nie mam pamięci do chińskich nazwisk, zaprogramował komputer tak, że wszystko, czego B. Russell dowiódł w sławetnych „Principiach”, maszyna wykonała w osiem minut, z przeciętną chyżością samobójcy, który rzucił się z dziewięćdziesiątego piętra na Jowiszu, gdzie, jak wiadomo, ciężenie jest tyle razy większe od ziemskiego, ile razy dochodząca pana Tichy pomyliła się w rachunkach z pralni na swą korzyść.

Te ostatnie słowa wydały mi się tak szokujące, że uczyniłem znaczny wysiłek i rzeczywiście od razu otwarłem oczy. Najgorsze było to, że nie wiedziałem, w jakim momencie uległem senności, wstydiłem się jednak do tego przyznać. Bodaj jednak nie straciłem zbyt wiele, bo spierali się, choć nie aż tak, jak mi się przyśniło. Aby ich trochę rozruszać, wrzuciłem do dyskutera dwóch luzanistów, jeden zwał się Bionizy Rohren, a drugi Pierre Saumon, i pewno pod wpływem niejakiej drętwoty ducha, w którą wprawia człowieka długi pobyt w próżni, pomyślałem, że gdyby byli obaj jedną osobą indiańskiego pochodzenia, to zwałiby się Ryczący Łosoś. Profesor Saumon okazał się cennym nabytkiem dla naszego zespołu jako znawca filozofii luzañskiej. Od XXII wieku jest to, wyjaśnił nam, filozofia podmiotowo relatywistyczna, a przedmiotowo stosowana. Inaczej mówiąc, podczas gdy na Ziemi podmiotem, a więc po prostu filozofem jest zawsze człowiek, na Encji filozofują też maszyny oraz zachmurzenie, albowiem pewne postaci bystrów, porywane wiatrami, łączą się na granicy troposfery w nadzwyczaj inteligentne cirrocumulusy i nimbostratusy, które nic lepszego nie mając do roboty, roztrzaskują sens bytu. Czasy, w których działał Ax Titorax, obrazoburczy myśliciel, otoczony jeszcze na łożu śmierci przez wiernych uczniów i policję, minęły bezpowrotnie. Do przeszłości należą też problemy władzy takiej czy owakiej. Prawdziwe dylematy wyłaniają się dla filozofii dopiero, kiedy dobrobyt przybiera zatrważające rozmiary. Skoro rzeczy przykrych ma być coraz mniej, a miłych coraz więcej, to z logiczną koniecznością optimum pokrywa się z maksimum dóbr, swobód, uciech i rozrywek i z minimum zagrożeń, chorób i harówki. Minimum równa się zeru, a więc żadnej pracy, że żadnych chorób, żadnych zagrożeń, a maksimum jest tam, gdzie słodycz życia staje się niewyczerpalna. Tego z taką precyzją ustalonego optimum nikt jednak nie może wytrzymać. Gdzieś po drodze postęp obraca się we własne przeciwieństwo, ale nikt nie wie, gdzie. Na tym polega tak zwany paradoks Schlappenrocka i Kicksa. Profesor Röhren, zabierając głos po swym koledze, wyjawiał nam, że nie jest aż tak jak można by sądzić. W każdym społeczeństwie są tetrycy–retrycy, ciągnący wstecz do tak zwanych „dawnych dobrych czasów”, lecz nie ma powrotu do przeszłości. Etykosferę należy, wręcz odwrotnie, podnieść na nową wyżynę rozwoju. Na razie jest to tylko projekt rządowy, w opracowaniu Rac Entofilów. Idea przedstawia się dość prosto. Każde społeczeństwo odpowiada najlepiej ludziom jakiegoś konkretnego pokroju. Ludzie ci wcale nie muszą należeć do jego elity. Dzięki przyrodzonej naturze robią oni z zamięłowaniem to właśnie, co jest dla ich czasu

doniosłe i możliwe. Będą to konkwistadorzy w epoce imperialnej ekspansji i będą to natury kupieckie, gdy ekspansja ta zawłaszczy dalekie terytoria. Mogą być uczeni, gdy prym wiedzie nauka. Duchowni, w czasach wojującego Kościoła. Są też ludzie, którym nie jest wygodnie w czasach spokojnych, którzy zresztą mogą o tym sami dobrze nie wiedzieć. Tacy potęgują się niejako podczas klęski powszechnej lub wojny. Są też poświęceni, żyjący niesieniem pomocy innym, i są abnegaci, którzy profitują od wyrzeczeń. Historia jest teatrem, a społeczności to zespoły aktorów, obsadzające role w granych sztukach, lecz żadna z tych sztuk, żadnego okresu dziejowego, nie daje pola do opisu wszystkim aktorom. Stworzeni na wielkich tragików nie mają nic do roboty w farsach, tak samo jak pancerni rycerze w kameralnych przedstawieniach mieszczańskich. Egalitaryzm to program życiowy, w którym wszyscy mają występować po równi i po trochu, i nikt nie może tam zagrać wielkiej romantycznej roli, bo nie ma na nią miejsca. Taki nieszczęśnik skazany jest na rywalizację w ilości zjedzonych jajek na twardo, jazdę na rowerze tyłem przy jednoczesnym wykonaniu scherza opus a-moll na skrzypcach lub podobne błazeństwa, poświadczające tylko rozdziew między jego aspiracjami a skrzeczącą rzeczywistością.

Jednym słowem różne czasy preferują różne charaktery i w każdym znaczna część społeczności stanowi masowe tło dla wybrańców losu, boż jedynie czysty przypadek może sprawić, by właściwy temperament zeszedł się z właściwą dlań chwilą historyczną.

Można to powiedzieć też nieco inaczej. Świat, w którym jednostka o określonych własnościach ducha może rozwinąć je najświetniej, jest światem osobiście dla niej przychylnym, ale nie ma tak uniwersalnej przychylności świata, która by satysfakcjonowała z tym samym natężeniem wszelkie rodzaje ludzkich natur. Możliwość taką stwarza dopiero utworzenie syntetycznego środowiska. Środowisko to może—okazywać poszczególnym ludziom taką przychylność (lecz za przychylność trzeba uznać przy pewnych naturach także swoisty opór świata, bo są też i stworzeni do walki z przeciwnościami), która została indywidualnie przykrajana i dopasowana. Środowisko będzie więc wyzwaniem rzuconym ryzykant spokojnym portem dla poczciwych łagodniaków, nieznanym łodem dla natur odkrywczych, ukrytym skarbem dla romantycznych poszukiwaczy przygód, strefą poświęceń dla ofiarników, dla strategów polem bitewnym, obszarem mozołu dla pracusiów i nie wiadomo tylko na razie, co ma taki świat robić dla natur nikczemnych, bo i tych nie brak. Bliższe rozpatrzenie zdradza, że istnieje ogromna ilość odcieni zarówno bohaterstwa jak tchórzostwa, ciekawości jak obojętności łaknienia walki jak łaknienia spokoju, i to samo dotyczy także nikczemności. Przychylne a zmyślne środowisko winno więc stać się kroczym materii życiowej i tak ją zszywać, żeby każdy otrzymał kondycję, która najlepiej mu odpowiada. Jedną tylko, ale przeraźliwą trudność należy pokonać, aby się tak stało, gdy wszystkie środki techniczne będą już gotowe jako środowisko, adaptujące się bezbłędnie do ludzkich natur. Oto każdy musi tam mieć poczucie zupełnej autentyczności bytowej. Nikt nie może uznać, że gra jak na scenie, więc tym samym może z niej w każdej chwili zejść. Że otaczają go specjalnie ku niemu zwrócone dekoracje. Jeśli to jest gra, a raczej system wielu gier, oferowanych przez środowisko jego mieszkańcom, musi to być gra bez apelacji i przerw, śmiertelnie poważna jak życie, a nie umowna ja zabawa. Tym samym nikt z graczy nie powinien wyjść poza społeczną szachownicę, by spojrzeć na nią spoza jej obrębu. Wiedza o tym, co mu przeznaczone, musi pozostać dlań nieosiągalna, nikt nie śmie dostąpić układania reguł własnej gry czy gier dla innych ludzi, bo to są prerogatywy w takim sta nie rzeczy równe Bożym. Powstaje stąd stare jak świat pytanie, quis custodiet ipsos, custodes? Kto ma stać się ty Deus ex machina, który pilnuje aniołów stróżów poszczególnych ludzi i dba poprzez owych stróżów o tyleż sprawiedliwi co doskonałą optymalizację Istnienia? Nieuchronnie zjawia się za każdą, najbardziej nawet pomysłową odpowiedzią na pytanie widmo kryptokracji i zmagania toczą się o jej wyeliminowanie, ażeby dystrybucja syntetycznych losów była całkowicie zdecentralizowana. Ten problem socjotechniczny w

przełożeniu na język tradycyjnej religiologii oznacza rozruch panteizmu. Kryptokraty nie będzie można znaleźć tak, jak Boga, bo znajduje się wszędzie naraz. Lecz jeśli się coś w tej prefabrykowanej harmonii popsulo, któż ją naprawi? A ponieważ ktoś winien ją też zaprojektować i skierować do produkcji, będzie ów osobnik albo ich zespół predestynowany do samozwańczego, jawnego albo gorzej jeszcze, tajnego zagrania Bożej roli w tym wszechprzedstawieniu. Na razie mówi się o wielofazowym przejściu od etykosfery zwyczajnej do tej kryptoprowidencyjnej. Poniekąd znów trochę jak w Biblii prabystry zrodzą bystry, bystry zrodzą bystrole, które dadzą początek następnym generacjom aż do stateczników–ostateczników równych samonaprawczą niezawodnością żywiołom Natury, il to będzie prawdziwa Kreacja Rekreacyjna wewnątrz Prakreacji Kosmicznej. Droga daleka, najeżona przeszkodami, lecz cel już widomy i optymiści sądzą, że za jakichś dwieście do trzystu lat paradyzacja Luzanii stanie się faktem dokonanym.

Wykład ten wywarł na kasetonowcach tyleż znaczne, co ujemne wrażenie. Sama świadomość nieposiężnej aranżacji losu, oświadczył lord Russell, jest katastrofą rozumu i wezwaniem do buntu. Należy się obawiać w tym zupełnie nowym społeczeństwie bezliku nowych form obłędu, cierpienia i rozpacz. Nawet Karl Popper zgodził się tu z Russellem. Natomiast Feyerabend zauważył, że to nie musi być takie złe. Są mianowicie, rzekł, rzeczy jeszcze znacznie gorsze nawet od starannie wydawkowanego, powszechnego szczęścia. Tamci nie chcieli się z nim zgodzić. Naraz poprosił o głos milczący dotąd mecenas Finkelstein. Uprosiłem obu lordów i Feyerabenda, żeby adwokat mógł przedstawić swój punkt widzenia, na co dość niechętnie się w końcu zgodzili.

— Panowie — ozwał się Finkelstein — aczkolwiek jestem tylko podrzędnym adwokacją o raczej nieciekawej klienteli, wyjąwszy obecnego tu pana Ijona lichego, i w życiu nie przeczytałem tylu mądrości, ile każdy z panów w ciągu jednego dnia, chcę wetknąć moje trzy grosze, skoro znalazłem się w tej kasetowej kompanii. Mój błogosławionej pamięci ojciec miał w Czortkowie antykwariat i dużo wolnego czasu, więc czytał filozofów i nie brał do ust wódki z wyjątkiem pejsachówki raz do roku. We Lwowie wychodziło wtedy pismo do walki z alkoholizmem, „Świetlana Trzeźwość” i jeden redaktor, znając wyższe zainteresowania mego ojca, poprosił go o artykuł. Alkoholizm, odpowiedział na to mój ojciec, to paskudna rzecz i byłoby lepiej, gdyby go nie było. Ale nawet gdyby zebrać argumenty jak armaty, to i tak nic z tego, bo „Świetlanej Trzeźwości” nie czytają pijacy, tylko abstynenci, żeby się umocnić w przekonaniu, że są lepsi, a kiedy jakiemu pijanicy zawiną w tę gazetę śledzie i rzuci okiem na mój artykuł, to albo zrobi z niego brzydki użytek, albo zaraz upije się ze zmartwienia, że uległ tak zgubnemu nałogowi. Ja bardzo przepraszam, ale ja nie wierzę, żeby pisanie takich mądrych, głębokich książek o szczęściu i o moralności, które pisał lord Russell, mogło jedną muchę uratować przed wyrwaniem skrzydełek. Kiedy byłem mały i bawiłem się, moja matka od czasu do czasu wołała do mnie z drugiego pokoju „Spuciu, przestań”, choć nie wiedziała, co ja robię, ale sądziła, że nic dobrego, i to samo można powiedzieć o ludzkości. Niestety, ona nie chce przestać. Ojciec abonował „Ilustrowany Tygodnik” ze zdjęciami Trudu Białego Człowieka, który stoi w korkowym hełmie na głowie i z winczesterem w rękę, opierając stopę na nosorożcu, a za nim jest tłum spoconych gołych Murzynów z tobołami na głowach i z uszkami od filiżanek w nosie. Marzyłem wtedy, żeby ci czarni zrzucili z siebie te toboły i przepędzili białych z Afryki, uprzednio połamawszy na nich winczestery. Zbierałem staniol z czekolady Hazet na wykup małych Murzynków, kręcąc ten staniol w wielkie kule, tylko nie mogłem się dowiedzieć, gdzie trzeba potem pójść z taką kulą, żeby wykupić Murzynka. A teraz już nie ma tych białych eksploatatorów, tylko czarni byli kaprale Legii Cudzoziemskiej, którzy albo sami rzną swych hebanowych współplemieńców, doktoryzowanych w Cambridge, albo każą to robić gwardii przybocznej, a narzędzia kaźni sprowadzają z Anglii i innych wysoko uprzemysłowionych państw. Teraz czarni każą się koronować czarnym i tylko flaki, które z nich wypuszczają, są tak samo czerwone jak przedtem. Obecnie to już nie są żadne



ekspedycje karne, lecz racja stanu, ale nie wierzę, ażeby to tym mordowanym robiło specjalną różnicę. Już nie ma Deutsch Ostafrika ani żadnych innych kolonii, tylko sama niepodległość i nikomu z zewnątrz nie wolno się wtrącać, żeby nikt nie przeszkadzał w tych suwerennych rzeziach. Panowie mówili tu o powszechnym szczęściu, że całego nie można mieć, a tylko ciupęnkę. Szczęście to na pewno rzecz względna. Mając piętnaście lat dostałem się do obozu zagłady, gdzie ludzi gazowano jak pluskwy. Jakiś czas żyłem, bo Katzmann, drugi zastępca komendanta, wziął mnie, żebym mu sprzątał mieszkanie, a to było w lecie i pastowałem posadzkę bez koszuli, na kolanach, i jemu spodobały się moje plecy. O ile wiem, pragnął on zrobić prezent swej małżonce, która była w Hamburgu, i wymyślił abażur na nocną lampę. Znalazł sobie specjalistę od tatuażu wśród więźniów, bo tam byli nawet znawcy sanskrytu, co zresztą nie miało dla nich praktyczniejszego znaczenia, i zlecił mu wykonanie na mych plecach nastrojowego obrazka. Był to bardzo porządny człowiek, ten tatuażysta, i tatuował mnie tak powoli, jak się tylko dało, chociaż Katzmann go poganiał, bo zbliżał się Geburtstag pani Katzmannowej. Na pasku od spodni karbowałem sobie, ile dni życia jeszcze mi zostało, aż Katzmann dostał list z Hamburga, że jego żona zginęła razem z dziećmi podczas bombardowania. On nie lubił nowych twarzy, a może też chciał sprawdzić, jak postępuje wykończenie tego obrazka, dosyć że ja dalej u niego sprzątałem i widziałem jego rozpacz. O Gott, o Gott, powtarzał, i za cóż mnie spotkało to nieszczęście?! Został urlopowany na pogrzeb, wyjechał i już nie wrócił. Dzięki temu jakoś przeżyłem, bo jego zastępca trzymał mnie na wszelki wypadek w pogotowiu, a nuż Katzmann się znów ożeni, czy coś w tym rodzaju i abażur stanie się znowu aktualny. Tylko oglądał mnie czasem i mówił, że to była bardzo elegancka robota, tego tatuażysty, który już tymczasem poszedł do komina. Szczęście splata się z nieszczęściem w rozmaity sposób, moi panowie. Gdybym tu był osobiście, pokazałbym wam ten obrazek. Odtąd zdaje mi się, że ludziom powinien w zupełności wystarczyć brak nieszczęścia. Żeby nikt nie mógł tłuc ludzi jak wszy nad ogniem i mówić, że to jest na przykład wyższa konieczność dziejowa albo że to stanowi jedynie wstępną fazę do przyszłej doskonałości, albo że w ogóle nic się nie dzieje, bo to tylko wroga propaganda. Ja nie chcę urazić tutaj żadnego z panów kasetowych makietów, ja do nikogo nie piję, bo ja w ogóle nie piję, ale moc krwi przelano właśnie wskutek rozmaitych rodzajów filozofii. Przecież to filozofowie wykryli, że nie jest tak, jak się zdaje, tylko inaczej, i ciekawa rzecz, konsekwencje systemów humanitarnych były właściwie żadne, natomiast tych drugich, w rodzaju Nietzscheańskiego, były koszmarnie, a nawet udało się przerobić nakazy miłości bliźniego oraz dyrektywę zbudowania rajy na ziemi w dość masowe groby. Każdy filozof powie naturalnie, że te przeróbki nie miały nic wspólnego z filozofią, ale ja się z tym nie zgadzam. Miały, i to wiele. Można by te przeróbki nazw określić całkiem inaczej też, bo wszystko można całkiem inaczej nazwać, i nieszczęście rozumu tkwi właśnie w tym, że można. Można dowodzić, że zwyczajna wolność to po prostu nic nie jest, w przeciwieństwie do prawdziwej wolności, więc gdy tamtą zwyczajną odebrać, powstaje ogólna korzyść. Kto wymyślał takie przeróbki? Przykro rzec, ale filozofowie. Zdaje mi się, że skoro uratowałem moją skórę przed abażurem, ni mam prawa udawać, że tego nie było. Teraz piszą o tym z zgrozą i skruchą, zwłaszcza w Niemczech, bo tam jest najdemokratyczniejsza demokracja Europy. Teraz, natomiast uprzednio był faszyzm. Że to była czarna godzina dziejów i drugiej takiej nie będzie. Ale przecież wciąż jest ta czarna godzina. Wciąż jest. Serce się przewraca w człowieku, który wierzył w dekolonializację i czyta teraz, że czarni upuścili czarnym więcej krwi niż przedtem biali. Uważam więc, że pewnych rzeczy nie wolno robić w imię żadnych innych rzeczy. Żadnych! Ani dobrych, ani złych, ani szczytnych, ani racji stanu, oni dobra powszechnego za parędziesiąt lat, bo wyargumentować można wszystko. Po co zaraz idealny stan? Czy nie lepiej, kiedy nikt nie może zrobić z nikogo abażura do lampy? To jest konkretne, a do mierzenia tego idealnego stanu nikt jeszcze nie wymyślił metra. Dlatego ja bym nie wyklinał tej etykosfery. Zapewne, uniemożliwić zadawanie zła, to też jest zło dla

wielu ludzi, tych, którzy są bardzo nieszczęśliwi bez nieszczęścia innych. Ale niech już oni będą nieszczęśliwi. Ktoś musi być zawsze nieszczęśliwy, inaczej się nie da. To wszystko. Nikogo nie chciałem obrazić i nie mam już nic więcej do powiedzenia.

W kasetach zapanowała jak gdyby pewna konsternacja. W każdym razie nikt nie odzywał się przez dłuższy czas, wreszcie w kosmicznej ciszy zabrał głos lord Russell.

— Mecenasiu Finkelstein, pan ma rację i pan nie ma racji. Jeśli filozofia siała czasem zło, to dlatego, że zło jest rewersem dobra i nie może być jednego bez drugiego. Ludzki świat to przemijanie samoudręczających się istot rozumnych (z małymi wyjątkami) w czasie i przestrzeni. Choć nikt tego nie obliczył, sądzę, że suma mąk i cierpień jest stałą dziejową, najwyżej z taką poprawką, że jest proporcjonalna do liczby żyjących, czyli pozostaje stałą w przeliczeniu na głowę. Zawsze usiłowałem wierzyć, że jednak zachodzi jakaś powolna poprawa, ale rzeczywistość zadawała potem kłam mej nadziei. Powiedziałbym, że ludzkość prezentuje dziś lepsze maniery niż w Asyrii, ale bynajmniej nie lepszą moralność. Po, prostu teraz dawną chępliwość ludobójców zastąpiły różne preteksty i kamuflaże. Nie ma kaźni publicznych, przynajmniej w większości krajów ich nie ma, bo utarło się, że to nie wypada przyzwoitemu państwu. Lecz „nie wypada” to coś innego aniżeli „nie wolno”. Pierwsze orzeczenie należy do *savoir-vivre*’u, a drugie do etyki. W swym rdzeniu ludzkość zmienia się bardzo powoli i nieznacznie. Już nikt nie pamięta, że powitalne podawanie ręki wzięło się ze sprawdzania, czy witany nie ma w niej ostrego kamienia. Ponadto w etyce nie obowiązuje żadna arytmetyka. Gdy tu ginie pięć milionów ludzi w obozach śmierci, a tam zaledwie osiemdziesiąt tysięcy dzieci kona z głodu, nie można tego porównywać, aby powiedzieć, co lepsze. Nie może być takiej rachuby, która ustali, że nieszczęście matki tylko jednego takiego dziecka, gdy ono umiera z głodu, a ona nie ma dlań nic prócz wyschłych piersi i rozdzierającego się serca, jest nieszczęściem mniejszym niż wykształconego na Sorbonie faceta, który wyrzyna w Azji ćwierć swego narodu uznawszy, że ona właśnie stoi na przeszkodzie w zrealizowaniu jego świetlanej idei o szczęściu powszechnym. Nie będę się nawet spierał z panem o zakres filozofii. Niechże będzie, jak pan chce — że filozofią jest wszystko. W pewnym sensie jest, bo kura składając jajko, tym samym uzewnętrznia światopogląd empiryczny, racjonalistyczny, optymistyczny, kauzalistyczny oraz aktywistyczny. Om składa jajko, więc działa, czyli jest aktywistką. Wysiaduje to jajko w przekonaniu, że ono się da wysiedzieć; to już jest znaczny optymizm. Ona liczy na pisklę, które wyrośnie na następną kurę, więc jest nawet przewidystką oraz kauzalistką, skoro uznaje związek przyczynowy między ciepłem swego brzucha i rozwojem pisklęcia. Ona nie umie tylko tego wszystkiego wygdakać i jej filozofia ma charakter odruchowy — jest wbudowana w jej kurzy mózdzek. Lecz jeśli „tak, mecenasiu Finkelstein, znaczy to, że przed filozofią nie można uciec. To się nie da zrobić i nieprawda, że *primum edere, deinde philosophari*. Póki życia, póty filozofii. Filozof powinien, zapewne, być wierny własnym przekonaniom. Przeważnie nie jest. Więc niechaj się choć o to stara. Ja się starałem. Sprzeciwiałem się złu także w sposób naiwny, pocieszny oraz nieskuteczny, siadając tyłkiem na bruku, żeby protestować przeciw wojnie. Nic nie wskórałem, ale gdybym wylazł z kasety, robiłbym to samo. Każdy powinien robić swoje i basta. Nie sądzę, aby się nam udało rozweselić duszę naszego samotnego gospodarza. Czemu pan nic nie mówi, panie Ticzi?

— Wolę udzielić głosu po filozofach i prawnikach artyście — powiedziałem i włączyłem kasetę z Szekspirem. Coś tam przez chwilę niewyraźnie szemrało, aż rozległ się głos.

**— Jakaś moc mię wskrzesicielska  
Zawezwała, nie wiem dokąd,  
Ale bez gnuśnego cielska,  
I ten ciemności prostokąt  
To nie mojej trumny ołów**

Ani w noc otwarte okno,  
I drzewa za nim nie mokną, v  
Więc to nie ziemia angielska,  
I nie jestem wśród aniołów,  
Bo choć mi posłuszny duch  
Jakby uwolniony z ciała,  
Nie mam nic nad głos i słuch,  
Więc nie Wszehmoc mię wezwała,  
Bym Ją widział twarzą w twarz,  
Zmysłów nie podległy zaćmie.  
Ktoś tu inny musiał zwać mię  
Unicestwionego, aż  
Proch mój znów się zaczął wcielać  
Misteryjnym kunsztem magii,  
Abym powstał ślepy, nagi,  
Odzyskaną myślą drząc,  
Kto uczynił to i po co,  
Jakich pobudzeniem żądz,  
Abym, niewidomy, nocą  
Niewiadomą musiał czeladź  
Facecjami rozweselać,  
Być krzesiwem i zarzewiem,  
A ja naraz wiem i nie wiem,  
Kto mnie wołał, czego chciał,  
I kim ja, wskrzeszony, jestem,  
Na puchlinę zmarły Bili,  
Który swym kuglarskim gestem  
Nad królami Anglii stał,  
A tu w trwodze i podziwie  
Zamknięty, ale nie w wieży,  
Lecz jako w beczce po piwie,  
Co w bezkres bezkresów bieży,  
Na miliardy pustych mil.  
Lecz nie tej kufy obręcze  
Zgrzytające po gwiazd żwirze  
Budzą twój największy przestrach  
Biedny, wskrzeszony Szekspirze,  
Ale twoje własne wnętrze,  
Bo się w nim jakowaś błąka  
Wszehwiednego sieć pająka  
Ze słów tkającego sieć —  
O spinorach, bitach, estrach,  
A skądże ja mógłbym mieć  
Pojęcie o tym najbledsze,  
Z czego składa się powietrze  
I co to są fotografie.  
Więcej niżli o Falstaffie  
Nie wiedziałem, ale wiem,  
I że krew czerwieni hem.  
I jest we mnie, a nie ze mnie

**Taka biegłość martwa w rymach  
Wzębających się foremnie  
Niby pod wahadła wymach,  
Której pojąć nie potrafię,  
Jakby głos ustawiał gmach  
Zegarów w grającej szafie,  
A za gwichty ciągnął gach,  
Śmierci — gadatliwy strach...**

— Panie Szekspir, uspokój się pan. Pan jesteś po prostu makiet. Ale może któryś z panów lepiej mu to wytłumaczy? Może lord Russell?

Bertrand Russell, wezwany tym sposobem przez mecenasa, wyjawiał w samej rzeczy kasetowemu Szekspirowi, skąd się wziął, jak to się robi i po co. Był to wykład dość przystępny i raczej długi, mimo to nie wiedziałem, czy oświecony skromnymi elementami cybernetyki z psychoniką zdoła się w nich połączyć. Nikt jednak nie zabrał głosu, gdy Russell skończył. Znowu przez chwilę trwało milczenie, aż odezwał się w nim pouczony.

Dzięki, milordzie, za światłą otuchę, że mi się łaska cudu nie przydarza, i że nie zagram przed wami Łazarza Zmartwychwstałego z robaczywym brzuchem.

**Boście do takiej maszyny mię wzięli,  
Gdzie tertium datur — ani śmierć, ni życie  
I jeno tryby trzymają w uchwycie  
Duszę, wybraną z poślódkłych piszczeli.**

**Poszerzyliście zabawy człowiecze  
Kunstem, co we krwi nie musi różowieć,  
A ja tu, trzecią dający odpowiedź  
Na „być czy nie być” — ani wam złorzeczę.**

**Toż gnaty leżą dalej przy katedrze.  
Więc razem jestem tułaj i nie jestem,  
A ten, kto od nich mą duszę odedrze.  
Nie mnie, lecz siebie znieważa incestem.**

**Z zaspokojoną tedy ciekawością  
Przychylcie ucho do tej prośby błazna:  
Niech odpowiedzi następnej nie zazna,  
Uratowany od świata nicością.**

**A jeśli nadal proceder zwodniczy  
Zechcecie ze mną uprawiać, panowie,  
To już wam Szekspir nie wierszem odpowie,  
Ale jak zwierzę ranione zaryczy.**

**Wiem, że się niebo nie różni od piekła,  
I na nic owej wiedzy nie zamienię,  
Niech więc gra w kości trwa dalej zaciekle,  
A moją resztą niech będzie milczenie.**

## IV. WIZJA LOKALNA

Błoto, mokradła, trzęsawiska, chlupiące wykroty, gnilne wyziewy, bańki gazów, sinobure mgły, drapiące w gardle — oto czym jest miejsce mego kurdlandzkiego lądowania, oto, gdzie zaleciałem po 249 latach, jak wskazuje licznik. Ominąwszy z dala błyszczący Księżyc, który był mnie zwiódł niegdyś, postero wałem ku północy, zieleniejącej na skraju biegunowych śniegów, pozostawiwszy daleko za rufą statku szarą wysypkę miast. Kiedy zeszedłem pierwszy raz po trapie, omal nie utonąłem w bloku, bo roziskrzony wilgocią dywan traw okazał się kozuchem topieli. Czegoś tak spaskudzonego jak rufa mej rakiety chyba jeszcze nie widziałem. O rozbiciu obozowiska nie ma mowy. Muszę chyba sporządzić sobie jakąś pirogę, a najlepiej wziąć wodnoblótne narty. W nocy — bulkania, chlupiące gulgoty, chełbotania i chlupania gazów błotnych. A śmierdzi tu! Nie było się do czego spieszyć.

Rakieta zagłębia się powolutku w mazi. Obliczyłem, że z dziobem pogrąży się w ciągu tygodnia. Muszę rozpocząć przyspieszoną eksplorację. Ale jak ją przyspieszyć w takich warunkach? Ponieważ wczorajszy dzień był zerowy, dzisiejszemu nadaję numer pierwszy. Wróciłem z wypadu umazany jak nieboskie stworzenie, o tyle usatysfakcjonowany, że widziałem kurdla. Mógł to być zresztą równie dobrze Khuerdl lub QRDL. Było zbyt ciemno, nawet w polu widzenia noktowizora, abym się mógł dobrze zorientować. Potworne bydlę. Mijał mnie, mijał i mijał, przykucłego za zbutwiałym pnem, i nie chciało się to mijanie skończyć, choć cały czas szedł rysią. Co mu tam błoto, jeśli nogi ma jak wieże. Ocenilem go na ćwierć mili, ewentualnie — ze względu na wodnistość terenu — węzła. A więc widziałem naturalnego kurdla, Kurdle istnieją. Są to zwierzęta, a nie żadne miastochody. Ale czy moje spostrzeżenie ma moc dowodu? Nie załaduję go przecież na pokład rakiety. Muszę się zastanowić. Jutro następny wypad, tym razem za dnia.

Dzień drugi. Na tej planecie dzieją się niesamowite rzeczy. A właściwie obmierzłe. Jeszcze nie ochłonąłem z wrażenia. Widziałem na własne oczy, jak duży kurdel truchtem podszedł do mniejszego — było to w szczerym polu, dość nawet suchym, porośłym rudziejącą trawką, jaka na Ziemi zwiastuje rydze — podbiegł więc cło tego małego, pasącego się, obwąchał go dokładnie i zwomitował, a wówczas tamten padł najpierw na przednie, potem na tylne kolana, zupełnie jak wielbłąd (ale większy od wieloryba), zjadł to wszystko, oblizał się i zawył. A zawył tak dziko, głucho, chrypliwie i tęsknie, tak beznadziejnie i ponuro, jakby zawodziła ta wiecznie pochmurna przestrzeń, aż mróz przeszedł mi po kościach, pełnych jeszcze obrzydzenia. Wtedy ten większy złapał klęczącego za ucho i oberwawszy je jednym kłapnięciem paszczy, począł żuć, mlaskając metodycznie i ruszając gębą w poprzek jak krowa, gdy obgryza młode listki. Potem nadgryzł tamtemu drugie ucho, ale od razu je wypluł, jakby mu nie smakowało. Wówczas ten klęczący zaczął się ruszać. Najwyraźniej dolegały mu nudności. Duży i mały kurdel, patrząc sobie z bliska w oczy, wybałuszone szkliscie, zaryczały, aż mnie mrowie przeszło. Po czym podniosły się, poryćkały grunt tylnymi łapami i rozeszły się bez pośpiechu w przeciwne strony. Co to miało znaczyć? Ostrożnie zbliżyłem się do stratowanego miejsca, z istic studziennymi jamami — śladami; ich nóg, które są rozpląszone u pięty i szersze od jednorodzinnego domu. Z zielonkawej kałuży, wielkiej jak sadzawka, chylkiem, milczkiem wyłaziły niskie, przygarbione istoty, wcale humanoidalne, bo dwunogie, lecz każda miała z tyłu dodatkową parę kusych kończyn, ociekających nie tyle wodą, ile raczej ciecżą, której pochodzenia wolałem bliżej nie rozważać. Były ucywilizowane, miały bowiem odzież, i to dwurzędową, z guzikami tak z przodu jak na plecach, oraz szerokie dragony — zupełnie jak u raglana — a te ich dodatkowe wyrostki wcale nie były nogami, lecz połami jakby dwudzielnego fraczka. Poły te wzięłem za kończyny przez to, że dość ciężko poruszały się przy ich ruchach, wypchane workowało, aż ten i ów sięgnął tam sobie i w jego ręku błysnął bukłaczek, przyłożony zaraz do ust. Mieli

więc tam kieszenie na jadło i napój. Często gęsto pociągając z tych bukłaków, ponabierali do mieszków wodorostu pływającego po kałuży, potem jeden wyższy coś charknął, wszyscy wystroili się w długi szereg i skądś, ale pojęcia nie mam skąd, wzięło się biurko. Musiało być składane i któryś niósł je chyba jak plecak na grzbiecie. Wyższy usiadł przy tym biurku, a szereg istot, utworzywszy sprawnie długi ogonek, ruszył pomału, przechodząc zaś przed siedzącym, który urzędował — co do tego nie miałem wątpliwości — każdy okazywał mu kolejno coś trójkątnego, białawego, co trzymał w garści, ni to legitymację, ni to kartę papieru czy plastyku. Urzędujący, rozsiadły z rozstawionymi szeroko w tył kolanami, zachowywał się przy każdym sprawdzanym tak samo: najpierw patrzył w jego papier, potem w jego twarz, na koniec zaś zaglądał do niedużej, bardzo grubej, mokrej, brudnej książki czy zeszytu, sunąc paluchem po stronicach, jakby szukał tam właściwej pozycji. Brał tę trójkątną kartę od kontrolowanego, kładł ją na biurku, przybijał pieczęć i wydawał krótkie charknięcia, a mnie wciąż dziwiło, jak on właściwie może to wszystko robić naraz, bo do kartkowania książki potrzebował trzeciej ręki, a najwyraźniej miał tylko dwie, aż spostrzegłem, że nie siedzi na żadnym stołku, lecz na jednym ze swych pobratymców, i ten, zgięty pod ciężarem urzędującego, podtykał mu co chwila jakiś spis czy katalog. Szło to dość sprawnie nawet, ale nogi mi ścierpły, bo przykucnąłem w niewygodnej pozycji za kupą błota, aż kontrola się skończyła, biurko ze złożonymi nogami powędrowało na czyjś grzbiet, wszyscy ustawili się trójkami w kolumnę i odmaszerowali prosto ku widnokręgowi, gdzie siniał bór. Przycupnięty cały czas, nie ważyłem się ujawnić. Po powrocie do rakiety myłem się, czyściłem i chędożyłem odzież, a zwłaszcza obuwie, rozważając wszystko widziane.

Dzień trzeci. Wiele bym dał za zrozumienie tego, co przyszło mi dzisiaj ujrzeć. Oddaliłem się od rakiety na dobrych piętnaście węzłów, okolica jest tam znacznie suchsza, ale z pobliskiego trzęsawiska płyną tuż przy samej ziemi białawe pasma mgieł. Najpierw spotkałem kurdla-odyńca, który spał w niskim słońcu. Musiały go trapić złe sny, bo okropnie charczał, rzeził, a kiedy wzdychał, istny wichur buchający mu z wółodemkniętej paszczy rozganiał mgielne opary. Fetor omal nie zwałił mnie z nóg, więc wykonałem manewr okrążenia i zaszedłem go od nawietrznej, by zrobić kilka zdjęć. Udałyby się doskonale, niestety przy zmianie filmów kasety wpadły mi do jamy pełnej wody i błota, śladów jego nóg, i nie zdobyłem się na danie nurka w ową lepką maź. Ten kurdel był istnym kolosem. Ujrzawszy go z dala, wziąłem go zrazu za jakiś statek wyrzucony przez burzę na brzeg, aż dostrzegłem, jak jego boki ruszają się przy oddychaniu. Z grzbietu zwisały mu złachmanione połączenia linijacej skóry. Brakowało mu dużej części ogona. Potem w przewodniku znalazłem opis takich sztuk, co tracą ogon, bo go same napoczynają. Zazwyczaj sędziwy i przez to porządnie już tknięty sklerozą, taki kurdel zowie się kaudyperdą. Jak się wrychle przekonałem, staruch był zamieszkanym. Fotografowałem go z różnych stron i nagrywałem jego przesenne stękania, aż zgłodniawszy spożyłem nieco suchego prowiantu, który wziąłem ze sobą. Robiło się już ciemno, gdy we wciąż ziejącej paszczy zajaśniały ogniki. A więc jednak kurdle zioną ogniem, pomyślałem, sądząc, że to samozapłon, lecz były to ślepe latarki idących jedna za drugą znanych mi już z widzenia istot. Te jednak nosiły się nieco inaczej niż dostrzeżone w poprzednim dniu. Miały trójkątne, chociaż obmiękle z przemoczenia kapelusze a la pieróg, a ich fraczki przepasane były skośnie szarfami różnej barwy. Błyszczało coś na nich, może ordery czy medale, lecz z każdą chwilą robiło się ciemniej i choć użyłem lornety polowej, nie mogłem z mego ukrycia zidentyfikować tych obiektów. Tym razem wysypało się ich z kurdla bardzo wielu, może dwustu. Na moich oczach poszli ku sobie biegiem jakby w ataku, lecz nie bili się, a jedynie włączili na siebie, w podskokach i wygibach. Wyglądało to na popis akrobatycznej zręczności, gdyż utworzyły się cztery ośrodki tego wążenia, cztery słupy wczepionych w siebie drgały z wysiłku opodal śpiącego olbrzyma, a inni wciąż do nich doskakiwali i na chybicka darli się wzwyż jakby w zbiorowym szale, jakby chcieli w pospólnym obłędzie zbudować z siebie drabinę do chmur, żywą wieżę Babel, aż ze szczytów

tych czterech cielesnych kolumn jęli sobie przerzucać łuki splecionymi rękami i nogami i zatchnęło mnie, bo zrozumiałem, co właściwie robią. Z własnych ciał utworzyli podobiznę kurdla! Nie było to jednak żadne szaleństwo, a jeśli nawet, tkwiła w nim metoda, ponieważ jeden większy, w kołpaku z pióropuszem, cały obwieszony szarfami i odznaczeniami, wydawał przez lejkowaty megafon okrzyki, najwyraźniej dyrygując ich pracowitą, wczepicielską wspinaczką. Przypomniałem sobie, com wyczytał w najstarszych relacjach ekspedycyjnych biblioteki MSZ, sądziłem więc, że ten pseudokurdel ruszy z miejsca, chociaż zarazem wiedziałem, że to niemożliwe fizycznie. Tymczasem wzeszedł księżyc, a choć nie byłem mu chętny, bo przywodził na myśl dawny blamaż, teraz wielce mi pomógł swym blaskiem. Był w pełni i przez nocną lornetę przepatrywałem pseudokurdla poty, aż się przekonałem, że w jego budowie panuje szczególny ład. Człakowie, tworzący nogi, mieli pojedyncze, dość wąskie szarfy nieokreślonej ciemnawej barwy — myślę, że po prostu były zabrudzone. Ci nad nimi natomiast mieli szarfy szersze i jaśniejsze, bodaj żółte lub jasnopomarańczowe, a leżący na wierzchu jako łopatki i grzbiet byli przepasani, każdy na krzyż, wstęgami błyszczącymi, jakby przetykało je srebrne przedziwo. Zresztą cała ta żywa budowla nie mogła długo ustać, bo zwłaszcza nogi i brzuch coraz wyraźniej dygotały z wysiłku, lecz ich dowódca czy dyrygent, otoczony niewielką świtą, wydawał wciąż władcze okrzyki, aż na jego znak pojawili się trębacze i przy dźwiękach surm buchnęła zdławiona, lecz wyraźna pieśń. Efekt był tyleż niesamowity co silny, i wciąż zachodziłem w głowę, po co oni to właściwie robią — czy chodzi o rodzaj cyrkowego popisu, o ceremonię państwową, defiladę na miejscu czy wreszcie jakiś rytualny obrządek typu religijnego? Lecz oczywiście mogło to być równie dobrze coś jeszcze innego, na co nie mamy nazwy. Od czasu do czasu któryś z aktorów odpadał od pseudocielska i chyłkiem na czworakach umykał w mroki, jakby wielce zawstydzony czy przerażony mimowolnym odstępstwem. Trwało to pół godziny, a może nawet nieco dłużej, aż śpiący kurdel zaczął się powoli budzić. Wtedy poczwórna piramida rozsypała się w okamgnieniu, setki ciał rozturlały się na wsze strony, zagrały trąbki i czterema kolumnami pognali gęsiego ku ziewającemu gigantowi, aby przy skaczących ognikach ślepych latarek zniknąć w jego paszczy. Chmura zasłoniła księżyc i już ledwie co widząc zdołałem skonstatować, że miastodont powoli wstaje najpierw na tylne, potem na przednie nogi, i rusza majestatycznie. W brzuchu tak mu burczało i grzmiało, jakby miał niestrawność. Wracalem do rakiety po ciemku, pełen zadziwienia, bo to się mówi, że wszystko już było pod słońcem, że nie ma niepojętych zjawisk, skoro prawa Natury są uniwersalne, ale dlaczego oni najpierw wyleźli z tego wstrętnego starucha, a potem wleźli na powrót? Czemu ich krocie tak się trudziły, żeby się chwilowo przemienić w kurdla? Co to było? Chuć? Chęć? Mus? Biomy? Wiara? Adaptacja? Racja stanu? Dryf genetyczny? Policyjny rozkaz? Głowa mi pękała, przede wszystkim z ciekawości. W przewodniku nie było o czymś takim ani słowa, bo jest autorstwa fachowców, którzy zaprzeczają istnieniu miastochodów jako kurdli zarazem żywych i zamieszkanym. Zresztą pojąłem już na dobre, że winienem przede wszystkim zdać się na własne oczy i uszy, a nie na przywiezioną literaturę.

Dzień szósty. Zanotuję lakonicznie, co dziś obserwowałem. A) zderzenie dwu miastodontów; z jednego wypadła bodaj cała rodzina ze sparalizowanym dziadziusem; B) napaść czterech maluchów na wielgusa; zmusiły go bodnięciami w słabiznę do haniebnej ucieczki; po drodze dostał torsji i wydał małego kurdelka, który zaraz wytarzał się w bajorze, bryknął, fiknął i uciekł wesoło do lasu, więc wyglądało to na sojuszniczo-ratowniczą pomoc niesioną przez malców połkniętemu; C) padlinę na spacerze. To ostatnie zjawisko wymaga dokładniejszego zreferowania. Zlany siódmym potem przedzierałem się przez badylaste trzciny w komyszach między dwoma pasmami połogich wzgórz, gdy na tle nieba, na szczycie jednego z tych łysych pagórków, dostrzegłem sylwetkę kurdla. Nie zwrócił mej szczególnej uwagi, nie robił bowiem nic poza tym, że szedł, mniej więcej w tym samym kierunku co ja, lecz w odległości dobrej mili. Tłukąc się zresztą z trzcunami, które zaczepiały o chlebak,

aparatus tlenowy, futerały z kasetami i kamerę, nie zajmowałem się owym samotnym kolosem, myśląc raczej ó wydobyciu się na jakieś twardsze miejsce, bo wprost grząłem w mule, wydającym fetor, który będzie mi się pewno już do końca życia kojarzył z tą tak wysoko jakoby rozwiniętą planetą, aż utraciwszy dech przystanąłem dla odsapki i wtedy dopiero daleko kroczący kurdel wydał mi się jakiś dziwny. Szedł nawet dość posuwicie, lecz inaczej niż wszystkie, które widziałem. Głowę na długiej szyi trzymał sztywno, jakby połknął kij, O raczej krzywą wieżę z Pizy, ogon włókł się za nim bezwładnie niby przetrącony, a nogi stawał szeroko i przy każdym kroku zataczał się, chwilami tak mocno, jakby miał runąć na bok i w ostatniej chwili chwycił na powrót równowagę, Pewno chory — toż one tu wszystkie pół życia spędzają na jazdach do rygi — pomyślałem i otarłszy pot z czoła ruszyłem dalej w trzciny, bo niezbyt daleko świeciło ich rozrzedzenie. Teraz zerkałem już częściej w stronę kurdla i dlatego nie opuściłem ważnego momentu, gdy zatrzymał się, ale tak gwałtownie, że wszystkie cztery nogi mu się rozjechały, i zaczął robić pełny zwrot w tył, bardzo niezgrabnie, płacząc się we własnym ogonie, który zaiste tylko mu przeszkadzał niby kłoda rzucona pod nogi. Zawróciwszy, kurdel poszedł z powrotem dokładnie tą samą drogą, którą przykuszytką, a gdy na nierównościach gruntu potykał się, głowa mu skakała, jakby naprawdę zamiast elastycznego kręgosłupa miał w szyi jakiś dźwigar czy inny sztywny słup. Ależ ten jego ogon jest jak martwy, pomyślałem, czyżby uległ jakiemuś nieszczęśliwemu wypadkowi? Wyjąłem z futerału lornetkę i wziąłem olbrzyma na cel. Kołysał się idąc jak statek przy sporej bocznej fali, a między jego łopatkami, w szerokiej łysinie skóry, bo miał tam zupełnie wytartą sierść, ujrzałem coś kolorowo pasiastego i wyostrzywszy obraz, zamarłem ze zdumienia. Tam, na samym szczycie kurdlowego grzbietu, między olbrzymimi wręgami pracujących w marszu łopatek, spoczywało na leżakach kilka opalających się osób. Kiedy zaś wziąłem w pole widzenia głowę osobliwego kurdla, moje zdumienie przeszło w zgrozę, bo w szklach pojawiła się częściowo wyzierająca spod przegniłej skóry czaszka; zamiast oczu miał nieszczęśnik czarne, ziejące jamy, a to, com uprzednio wziął za niedożarty kęs, gałąź liściastą czy brzoźkę, zwisającą mu z zębów, było okropną resztką języka. Tak więc był to trup, niemniej poruszał się, i to w dość żwawym marszu; obserwowałem go długo, aż wiatr przywiał odeń miarowy odgłos i wnet rozpoznałem w nim bęben lub inny perkusyjny instrument. W kurdlu — bo gdzież by indziej? — grała orkiestra. Szedł w nogę z melodią, akcentowaną grzmotami bębna, oczywiście stłumionymi, boż dobywały się z głębin brzucha. Powróciwszy do bazy, usiadłem był przy kompocie brzoskwiniowym (zapas się już niestety kończył) rozważyć dalsze działania. Rakietę przestała się już zapadać, zagłębiona tylko w jednej trzeciej, więc mógłbym w zasadzie tkwić tu dalej, bo dzięki ochronnej barwie jest prawie niewidoczna, nie wydawało mi się wszakże, abym mógł wiele skorzystać na dalszym pobycie w tych ostępach. Zdecydowałem się tedy na jeszcze jeden rekonesans, z zamiarem zdobycia języka, nie żywiąc zresztą zbyt wielu nadziei na powodzenie, bo Kurdlandczycy w pojedynkę nigdzie się nie zjawiali i ani razu nie natknąłem się na watahę liczącą mniej niż trzydziestu, a z taką kupą wolałem nie wdawać się w żadne rozhowory, ostrzegany przez instynkt, że to się może dla mnie źle skończyć. Ponieważ jednak nie rezygnuje się pochopnie z projektów poznawczych, gdy za ich szansę przyszło zapłacić wiekami lodowego snu, istnej śmierci odwracalnej, zebrałem się w sobie i wyrychtowałem nocny osprzęt, czyli noktowizor, latarkę, większą ilość czekolady, termos z napitkiem, jako też tłumaczkę, model podług katalogu firmowego niezwykle poręczny, ale nie taki znów piórkowy, gdy trzeba się przebijać przez błotne chaszczki, bo ważył prawie osiem kilogramów. Był to jednak model „pierwszego kontaktu”, zawierający program coś osiemnastu dialektów górno— i dolnokurdlandzkich, więc jeśli w ogóle miałem ryzykować życiem i zdrowiem, taki był w sam raz. Nie wiem dobrze czemu, ale udałem się na północo—wschód, gdy wschodził Księżyc, tam zatem, gdzie spotkałem za dnia trupa maszerującego po łysogórze. Musiałem jednak zmylić drogę, choć pilnowałem azymutu, bo dostałem się w gąszcz, o którym powiedzieć umiem to tylko, że okropnie w nim



śmierdziało, a gałęzie były mnie po twarzy i gdyby nie maseczka tlenowa, osłaniająca oczy, musiałbym jak niepyszny zawrócić. Przebiełem się jednak w końcu przez ten macecznik i wlałem na samotny jakiś kurhan, aby rozejrzeć się w świetle wielkiej pełni. Było cicho, po lewadach snuła się niska mgła, coś ćwierkało, jak owad, nie jak ptaszek, i tylko daleko, prawie pod czarnym horyzontem panował jakiś ruch. Więc do noktowizora — i jak już tutaj nieraz, najpierw zaskoczony, o potem w coraz większym popłochu, obserwowałem wyciągniętą w poprzek tych mokradeł długą linię kurdli idących wprost na mnie, tworzyły bowiem półksiężycowy front, a między nimi co i raz połyskiwały światełka, niesione najoczywiściej przez pieszych. Nie wiem czemu pomyślałem natychmiast, że to jakaś obława. Nie wziąłem się wcale do roztrząsania, czy była to obława na mnie, czy nie na mnie, boż subtelność tej różnicy nie miała znaczenia. Należało się ukryć, i to dobrze. Kurdle szły wprawdzie stępą, ale ich marsz równa się dobremu kłusowi człowieka. A najniebezpieczniejsi byli ci piesi ze światłami, bo równie zwrotni jak ja. Od najbliższych dzieliło mnie jakieś dwa tysiące kroków, może i mniej, wypadło więc podjąć błyskawiczną decyzję odwrotu lub wdać się w spotkanie o nieprzewidywalnych skutkach. Nie wiem czemu, ale szczególnie mroziło mię wspomnienie kurdli siedzącego okrakiem na podwładnym z pieczęcią w garści. Ten właśnie obraz uskrzydlił me poruszenia. Tej nocy ustanowiłem prawdopodobnie rekord życiowy w biegu na przełaj z przeszkodami. Mierzyłem, gnając, przewracając się i znów zrywając na równe nogi, dokładnie na północ, bo tam kończyła się linia obławy i liczyłem na to, że uda mi się ją obejść wielkim łukiem, ażeby do świtu przepaść w trzinach. To mi się na szczęście nie udało. Powiadam na szczęście z dwu powodów: najpierw, bodaj na pewno, nie zdążyłbym i znalazłbym się oskrzydłony w saku, a ponadto nie napotkałbym istoty, którą rad wspominam do dziś jako mego Piętaszka. Nie miałem pojęcia, że pędzę wprost na teren zaminowany i podryty starymi, walącymi się ziemiankami na zbutwiałych pniach i że to właśnie jest jedyna droga ratunku; astronautyka, jak zresztą sporo innych przedsięwzięć, wymaga prócz rozumu także łutu szczęścia. Po prostu dysząc jak parowóz cwałowałem ostatkiem sił, Wyrывая rozpaczliwie stopy spomiędzy jakichś krętych, oślizgłych korzeni, pewien, że jeśli zwichnę nogę, będzie raczej kiepsko, gdy wtem ziemia ustąpiła spode mnie i poleciałem z wysoka w czarną głąb, lecz mułowate błoto osłabiło impet upadku i prawie równocześnie zderzyłem się w egipskiej ciemności z jakimś stworzeniem, z istotą rozumną, z tubylcem, bo gdyśmy obaj wydali okrzyk zaskoczenia czy przestachu, poczułem rękami przemoczony, ciężki, gruby drelich odzieży. To ci dopiero „pierwszy kontakt”! Anim ja go mógł dostrzec, ani on mnie. Odskoczyliśmy od siebie w przeciwne strony jak oparzeni. Pewno uciekłby zaraz i tyle bym go widział, a raczej zmacał, bo ukrywał się w tych podziemiach od dawna i znał je jak własną kieszeń, lecz mój wieloletni trening zrobił jednak swoje. Włączyłem tłumaczkę, i powiedziałem, a raczej wysapałem do mikrofonu: „Nie uciekaj, obca istoto, jestem twym przyjacielem, przybywam z daleka, lecz z przyjaznymi zamiarami i nie pragnę zrobić ci nic złego”. Mniej więcej coś w tym rodzaju zawołałem, bo z innogwiezdnym pochodzeniem nigdy nie należy wyjeżdżać; łatwo sobie wyobrazić, co spotkałoby wysoko rozwiniętego Luzanina, gdyby dostał się nocą na przykład do Iranu lub do Azji; gdyby tylko przesiedział się sześć miesięcy, mógłby to zwać zupełnie wyjątkowym szczęściem. Prawdę mówiąc nie liczyłem na korzystną reakcję tamtego i radosną niespodzianką był mi już jego nagły bezruch. — Kim jesteś — spytał ostrożnie. Powiedziałem, że jestem badaczem naukowym i że przybyłem tu, aby studiować życie kurdli. Nie od razu pozbył się podejrzliwości, w końcu jednak poszedł za moimi łagodnymi zachętami i obmacawszy mnie przekonał się, jaki dźwięgam rynsztunek, a co dziwniejsze, zidentyfikował noktowizor, chociaż takiego modelu nie mógł znać, boż to był model japoński. Od słowa, do słowa, nie bez licznych nieporozumień dogadaliśmy się jednak i oto, co usłyszałem od nocnego towarzysza niedoli: Był obiecującym, młodym naukowcem kurdlandzkim, w zupełności oddanym Przewodniczącemu jako też idei państwochodu, toteż

władze umożliwiły mu kontynuację studiów w Luzanii. Po każdym semestrze wracał do domu, to znaczy do swego kurdla. Niestety, za ostatnim powrotem wypadł z fazy i dostał piątaka w karkurze. Nie apelował, bo apelacja, będąc oznaką szczególnej krnąbrności skazanego, powoduje zwykle obostrzenie wyroku. Nic z tego nie rozumiałem. Tłumaczka działała świetnie, lecz przekładała słowa, a nie stojące za nimi zjawiska społeczne. Siedzieliśmy obok siebie w czarnym mroku na pniu, zarosłym w mule, jedząc czekoladę, która przypadła mu do gustu. Zauważył, że coś podobnego jadł w Lulawit, mieście luzzańskim, gdzie doktoryzował się z astrofizyki na uniwersytecie. Powołusku, cierpliwie wyjaśnił mi, na czym polegała jego bieda. Prasa kurdlandzka dochodzi wprawdzie do Luzanii; ale „Głos Kurdla”, który czytał regularnie, milczy o wszystkim, co może deprymować, toteż nie dowiedział się, że jest już nowy Przewodniczący i że poprzedni wraz z trzema Najkurami — Najstarszymi nad Kurdlem — stanowi tak zwaną Bandę Czworka, czyli WYPS — Wyjątkowo Potworną Szajkę. Ledwie zdążył wydać na granicy zwykły okrzyk powitalny „Naj–Naj”, którym się sławi Najdroższych Najkurów, wymieniając we właściwej kolejności ich tytuły, odznaczenia i nazwiska, został zatrzymany. Tłumaczenia nie pomogły. Wiedział zresztą, że one nigdy nie pomagają. Dostał pięć lat Karnego Kurdla i uciekł z niego przed dwoma tygodniami. Karny Kurdel, z którego umknął dzięki nieuwadze strażników (bardzo się opuścili w służbie, mówił, wciąż im się chce brać kąpiele słoneczne na grzbiecie), to w samej rzeczy trup, zwłokochód, albo pyerdel, jak mówią więźniowie, którzy poruszają go wspólnym trudem niczym galere. Tu mi zaświtało, że o czymś podobnym czytałem w archiwach MSZ. Nie pytałem jednak o nic, dając mu się wygadać. Jako umysł ścisły, a jeszcze kształcony w astrofizyce, przyjął wieść o mym ziemskim pochodzeniu całkiem rzeczowo. Słyszał zresztą o Ziemi i wiedział, że u nas nie ma żadnych kurdli, w związku z czym wyraził mi współczucie. Sądziłem zrazu, że mówi przez niego gorycz ironii, lecz powiedział to zupełnie serio. Ciekawa rzecz, nikomu nie miał za złe swego losu, ani wyroku, ani ciężkich robót, choć uskarżał się, że olej do smarowania stawów, i to niemal wszystek, strażnicy sprzedają na lewo, przez co grzbiet pęka przy poruszaniu tych potwornych gnatów, które na dobitkę piszczą i zgrzytają, że można zwariować. Co do nacjomobilizmu, nadal trwał przy nim twardo. Uważał jedynie, że przebywających za granicą stypendystów powinna przed powrotem informować jak należy własna ambasada, bo czyż nie szkoda lat marnowanych przez talenty w pyerdlu? Nikt nie powinien być narażony na bezwonne wypadnięcie z fazy! W Luzanii, zapewnił mnie, jest moc entuzjastów państwochodowości, zwłaszcza wśród studiującej młodzieży i ciała profesorskiego. Oni tam po prostu marnieją od powszechnego szczęścia.

Czekolada lub coś w tym rodzaju jest wprawdzie lepsza od byrrbyci (zupy na zgniłych mchach i porostach), lecz nie można brać żadnych zjawisk w izolacji od Całości. Zauważyłem ostrożnie, że gdyby ich „Głos Kurdla” podawał rzetelne wiadomości, nikt nie byłby narażony na to, co się z nim stało. Wzruszył ramionami. Nie widziałem tego, lecz poczułem, bośmy się przycisnęli do siebie na tym chropawym pniu, od przejmującego, wilgotnego chłodu nocy. Gdyby tak było, rzekł, to od rzemyczka do koziczka przyszłoby też pisać o luzzańskich łakociach, a wtedy mając przewrócone w głowie, prosty lud ławą uciekłby z kurdli i co by się stało z ideą państwochodu? Niechby, dajmy na to, uciekł, zauważyłem, czy zrobiłaby się od tego dziura w niebie? Te moje słowa porządnie go dotknęły. Jakże, podniósł głos, półtora wieku prac ideowych, rustykalizacja i naturalizacja społeczeństwa miałyby pójść w jednej chwili na marne dlatego, bo gdzieś jest coś smaczniejszego od byrrbyci?

Chcąc go uspokoić, spytałem o obławę. Znów mówił równym, nieco smętnym głosem, a tłumaczka pospiesznie skrzeczała mi jego słowa do ucha. Ależ tak, wiedział o obławie, właśnie dlatego się tu schronił, był to dawny poligon polityczny, on sam przeszedł na nim szkolenie przed trzema laty, toteż znał go od podszewki. Znał przejście przez pola minowe, boż sam układał te miny. To, że nie wyleciałem w powietrze, nieco go dziwiło, lecz miał

ważniejsze sprawy na głowie. Przegadaliśmy pół nocy. Obława minęła nas, kiedy zaszedł księżyc i zrobiło się cicho jak w grobie. Nazywałem niewidzialnego eks-karkurzystę Piętaszkiem, bo za nic nie umiałem wymówić jego imienia, choć przesylabizowałem mi je ze sześć razy. Cóż to zresztą miało za znaczenie? On mówił mi „panie Tobler”. Dlaczego Tobler? Dlatego, bo tej firmy była czekolada z orzechami, którą go poczęstowałeś, i wziął to za moje nazwisko. Tłumaczki zawsze mają największe problemy z imionami własnymi. Odniosłem wrażenie, że brał moje rzeczywiste nazwisko za określenie mego charakteru (niby że ścichapek albo cicha woda). Nie brałem się zresztą do sprostowań, wołałem usłyszeć więcej o nacjomobilizmie. Jak można uprawiać astronomię w kurdlu? Nie można oczywiście, rzekł pobłażliwym tonem, lecz państwachód to przede wszystkim idea, wszelako samą ideą nie można żyć — potrzebne są konkrety na co dzień. W danym przypadku — kurdle. Zresztą życie w kurdlu to świetna szkoła kształcąca esprit de corps, ducha współpracy w ciężkich warunkach oraz perspektywy na przyszłość. Jakie? Ano, żeby opuścić kurdla i osiedlić się gdzieś pod Kikirix (albo może Rikkixix); klimat tam bardzo zdrowy, ani śladu błot, kurdli też, w centrum jest dzielnica rządowa, lecz sam Przewodniczący oraz Rada Najkurów mieszkają gdzieś indziej. Odniosłem wrażenie, że zna adres tych pierwszych kurdlandzkich polityków, lecz choć zbratał się ze mną w czarnym ostepie, nie ufał mi jednak do końca. Powiadają, rzekł konfidencyjnie w pewnej chwili, że żaden z Najnajów nawet na oczy nigdy nie widział żywego kurdla, a tylko Defilaki. Są to malownicze zgrupowania obywatelskie, tworzące w czasie świąt państwowych postaci tych potężnych zwierząt przed trybuną honorową z samym Przewodniczącym. Zapewne stałem się świadkiem przygotowań do takich pokazów onegdaj nocą, bo też porządnie trzeba się naćwiczyć, aby potem błysnąć piękną formą przed dostojnikami, przy hymnie i w łopocie sztandarów. On sam miał kiedyś szczęście być górną częścią lewego tylnego nadstopia takiego Defilaka. Rozmarzył się i westchnął ciężko. Ryzykując jego gniew, zapytałem, co właściwie pięknego widzi w takim ponurym bydlęciu? Zamiast się obruszyć, zaśmiał się ironicznie i rzekł, że nie jest takim ignorantem w ziemskich sprawach, za jakiego go niechybnie poczytuję. Macie godła państwowe, nieprawdaż? — rzekł. Lwy, orły, jako też inne ptactwo, i coś jest tak pięknego w upierzonym bydlęciu, czy nie wiadomo wam, że rozszarpuje szponami i dziobem rozmaite niewinne stworzonka oraz robi pod siebie w gnieździe? I czy przeszkadza to wam chylić czoło przed jego wizerunkiem? Ale my nie mieszkamy w orłach ani lwach, odparłem. Nie mieszkacie, wzruszył ramionami, bobyście się nie zmieścili. Myśmy mieli po prostu więcej szczęścia. Nacjomobilizm to uświęcona tradycja, kurdel jest jej wcieleniem, jego racje żywnościowe są racją stanu, a kto ma nieco oleju w głowie, nie dokona życia w brzuchu i gdyby nie fatalny poślizg w fazie, już za rok siedziałbym przy porządnym, importowanym teleskopie pod Kikirix. Zresztą w zdrowym ciele zdrowy duch. Żaden Luzanin (on mówi „Luzak”) nie wytrzymałby ani trzech dni w takiej jamie, żywiąc się korzonkami, on jednak żyje tu już od dwu tygodni, i nie jest mu nazbyt źle, bo wikt w karkurze nie był o wiele lepszy. Spytałem go o wrażenia z Luzanii. Czy nie żyło mu się tam dobrze? Owszem, powiedział, i nawet zamierza przedostać się przez granicę do Lulawit, z powrotem na wydział profesora Gzirraa, który był jego promotorem. Siądzie do pracy habilitacyjnej, z tym, żeby wrócić, kiedy przyjdzie amnestia albo obecny Przewodniczący stanie się demonem i potworem. Albowiem jest patriotą i wyznaje zasadę: right or wrong my country. Zresztą, jakie tam „wrong”. Każdy, kto tkwi w kurdlu, żyje nadzieją osiedlenia się pod Kikirix, a ci Luzanie nie mają przed sobą absolutnie nic. Czy słyszałem o synturze, hedustrializacji oraz licytacji felicytacyjnej zwanej felicytacją? Ano właśnie. Z kurdla można wyjść, jak się ma przepustkę, co pół roku na 24 godziny, i a z pęt i kajdan tego ich zbystrowanego szczęścia, z etykosfery, nigdy, żadnym sposobem, i żeby wiedział, jak mu zazdrościli młodszy koledzy, kiedy wracał do siebie, do Kurdlandii na wakacje... Spytałem, co by mu zrobiono, gdyby go przychwyciła obława, i tym okropnie go obraziłem, czy też oburzyłem. Nazwał mnie bezwstydnym cudzoziemcem, zesunął się z pnia

na ziemię i ułożył do snu. Posiedziałem nad nim chwilę, po czym też ległem obok niego i w okamgnieniu zasnąłem. Zbudziłem się o świcie sam. Po Piętaszku nie zostało śladu. Nawet nie wyjawiał mi, gdzie są przejścia przez pola minowe. Na szczęście moje własne tropy zastęły w zimnym bloku i stąpając po nich ostrożnie, koło południa dobrałem się do rakiety, napotkawszy po drodze tylko małego kurdla, jak baraszkował w kałuży. Wiedziałem dzięki Piętaszkowi, że są to pustostany, bądź domki jednorodzinne średnich funkcjonariuszy administracji. Jednakowoż miałem już całkiem dość kurdli — wszelkiej maści, formatu i usposobienia.— Zrobiłem pranie, odprasowałem wizytowy garnitur, przekąsiłem drobnostkę i wzbiłem się na tak wysoką orbitę, aby wrócić z szybkością kosmiczną, bo nie zmierzałem ujawnić przed Luzanami mego pobytu w Kurdlandii. Pragnąłem zjawić się na ich radarach jako przybywający wprost z Ziemi półoficjalny jej przedstawiciel. Tak było z pewnością. Nawiązałem łączność z centralą kosmodromiczną pod Lulawit i powitany zdalnie, przyszykowałem się do nieodzownych w takich okolicznościach ceremonii, bo dano mi do zrozumienia, że prócz prezesa i delegatów Towarzystwa Przyjaźni Encjańsko-Ludzkiej będą mnie oczekiwały czynniki rządowe. Jak, brylant pierwszej wielkości zabłysła na mym ekranie stolica Luzanii tuż przed północą, bo przypadek chciał, że miałem lądować dobrze po zachodzie słońca, i jak dwa wspaniałe szmaragdy, w jednej oprawie ze środkowym brylantem, płonęły po obu stronach metropolii miasta — satelity Tlitalutl i Lulawit. Wykonałem popisowe hamowanie i leżąc na rozłożonym fotelu, już w mym najlepszym ubraniu, słuchałem okropnej kociej muzyki, płynącej z pokładowego radia. O ile się nie mylę, Luzańczycy, nie orientując się w mej ziemskiej przynależności państwowej, powitali mnie wszystkimi naraz hymnami państw zrzeszonych w ONZ. Efekt był koszmarny, pojmowałem wszakże, że ten krok podyktowała im rachuba polityczna, a nie muzyczna. Trzy minuty po dwunastej stanąłem w otwartej klapie statku i w płomiennym blasku reflektorów, buchającym ze wszech stron, przy dźwiękach orkiestr, począłem schodzić po podstawionych, wyścielanych dywanem schodach, kierując ku zgromadzonym tłumom uśmiechniętą twarz i wykonując powitalne ruchy podniesionymi rękami. Nie zapomniałem przy tym zerknąć na rufę rakiety, ażeby się upewnić, że tarcie atmosferyczne zwęgliło i tym samym zatarło ślady błota, świadczące o mym kurdlandzkim odskoku. Wśród wiwatujących szpalerów prowadzono mnie nieomal kłusem wciąż dalej, pewno, myślałem, aby oszczędzić mi zwykłych w takich okolicznościach oblegań przez telewizję i prasę. Z gigantycznego dworca nie zapamiętałem nic prócz wrzawy i świateł. Nie wiedziałem nawet dobrze, kto mnie otacza, delikatnie prowadzony, kierowany, popychany, aż opadłem na coś miękkiego i ruszyliśmy, nie wiem czym, ani dokąd. Ogłuszony przejściem z mgielnej pustki grzędawisk w żywioł nocnej metropolii, oniemiałem w smugach pędu pochylniami, wyrzutniami, tłok, blask, syk, wizg były zewsząd, jakbym był ośrodkiem chaosu wciąż o włos od obrócenia w miazgę, już dachów od dróg, pojazdów od lamp nie odróżniałem, w światłach i w tym gnaniu, nasilonym jak pękająca struna, kurczyłem się niczym dzikus, musiałem się pilnować, udając spokój. Nie wiem, dokąd mnie zawieźli, był tam park, podjazd, który okazał się windą, nasz wehikuł otworzył się jak rozkrojona pomarańcza, wysiedliśmy, uszy miałem zaphane, gruby Luzanin z całkiem ludzką twarzą wetknął mi do butonierki orchideę, która przemówiła, była bowiem mikro tłumaczką, przeszliśmy przez kilka takich sal, żem pomyślał o pałacu i o muzeum naraz, posągi ustępowały nam z drogi, roboty? nie, bogoidy, powiedział ktoś, a może bogojdy jak niedojdy, dywany albo trawniki — w domu? — brąz, ołtarze — czy stoły? ktoś spostrzegł, że nie mam ciemnych szkieł, dali mi, podziękowałem, tyle było wszędzie złotych olśniewających płaszczyzn, drzwi otwierały się jak pionowe tęczówki kotów, stropy posypywały nas różanym pyłem, może to była mgła jakaś, meble czy kuranty śpiewały, ale kapelusz Luzanina koło mnie też jakby nucił, bo kiedy cisnął go bogoidowi, ucichło, w półokrągłej sali patrzącej wypukłym oknem na miasto, płonące w nocy gwiazdozbiorem, podleciały do nas małe amorki na skrzydełkach, z tacami zakąsek, lecz nim się

zorientowałem, co to, jeden z przewodników machnął, że nie trzeba, pierzchły, jeszcze jedna sala, górą ciemna, jaśniały za to palmy czy krzewy, ich listowie świeciło i wprowadzili mnie do następnego pokoju. Zobaczyłem gołe ściany, coś jakby warsztat do majsterkowania w kącie, biały dywan poplamiony czy popalony odczynnikami, hak w murze, obrożę na łańcuchu i zatrzymałem się, nieprzyjemnie zaskoczony, ale prosili, bym podszedł, obejrzał, jeden wziął tę obrożę do ręki, nałożył sobie na szyję, przewrócił oczami jak od zachwytu, zdjął, inni patrzyli uważnie, napięci, uśmiechali się jakby z wysiłkiem — że jak? obrożę mam nałożyć?

W końcu mógł to być jakiś miejscowy zwyczaj, ale nie chciałem. Nie wiem sam, co mnie ostrzegło. Bodajże to, że nie mówili do mnie, a tylko na migi okazywali największą uniozoną serdeczność, lecz przecież mieli tłumaczki jak ja wpięte do kłap, a jednak milczeli. Stałem na środku i nic. Popychali mnie delikatnie, z gestykulacją, jakiej się używa wobec głuchych czy głupkowatych, ale się już zaparł, począłem się opędzać, zrazu jeszcze nie bez certolenia, na kłaniająco, no bo w takim pałacu, zachowywałem pozory, bo przeskok był jakiś zbyt nagły, dlaczego tu, o co chodzi, po diabła to, pchali mnie już prawie na chama, tym mocniej, im bardziej się broniłem, ani wiem, kiedy dusery obróciły się w bitkę. Właściwie nie bili mnie, to ja ich łomotałem; w pulchną gębę grubego — czekaj! — bykiem w brzuch — puść, chamie! proszę się odczepić, czekajże, to jakieś nieporozumienie, jestem cudzoziemcem, przybywam jako dyplomata — tłumaczka piskliwie powtarzała każde moje słowo, musieli słyszeć, a jednak dalej pchali mnie ku ścianie — tak? no to inaczej porozmawiamy, w śpiewające ubranko, a kopa chcesz? — tłumaczka chrusnęła i umilkła, rozdeptana, parli masą; mimo wszystko nie tak stawałem, jak bym mógł, bo nie znałem stawki. Pojęcia nie mam, jak ani kiedy obroża zatrzasnęła mi się na karku, a oni chcieli już tylko wywikłać się, odskoczyć, ujść, bo byłem na łańcuchu, ale trzymając pod lewym łokciem głowę grubego opracowywałem go za wszystkich, ciągnęli go za nogi, ryczał jak bawół, ażem go puścił, bo było jakoś głupio. Wymknęli mi się jak złemu psu, dysząc, w naderwanych ubraniach, które fałszowały melodię, porządnie ich uszkodziłem, lecz patrzyli na mnie z radością — całkiem inną, niż okazywana na lotnisku — nie dla mnie, lecz ZE mnie. Czy mówię dość wyraźnie? Napawali się mną, jak grubym zwierzem w potrzasku. To mi się cholernie nie podobało. Porozkoszowawszy się mym widokiem, wyszli gęsiego. Zostałem sam, na łańcuchu, i jeszcze raz obejrzałem pokój. Chętnie bym usiadł, nogi drżały mi jeszcze z wysiłku, naderwałem przecież jednemu ucho, grubemu zdefasonowałem nos, ale usiąść tak po prostu pod ścianą, na obroży, jakoś nie mogłem, przynajmniej na razie. Chodzić też nie chciałem, takie chodzenie byłoby zanadto psie. Miałem jeszcze pod powiekami złoty przepych tego pałacu, parę amorków z tackami skupiło się pod sufitem, ale żaden nie próbował mi już podtykać łakoci. Usiłowałem sobie wmówić, że to jakieś wielkie nieporozumienie, ale bezskutecznie. Najbardziej podejrzane wydawało mi się nawet nie wzięcie na łańcuch, lecz radość, z jaką patrzyli na mnie przed wyjściem. Rozważałem, jak się zachować, żeby nie utracić godności, w takiej sytuacji przychodzą człowiekowi kretyńskie myśli do głowy, ot, że można by zasłonić obrożę kołnierzykiem koszuli, a łańcuch zakryć sobą. Jakoś oczy wciąż same szły mi do tego warsztatu w kącie, leżały tam jakieś noże i cęgi, zauważyłem, że kąt bywał ogradzany, pod sufitem biegł pręt, po którym przesuwała się zasłona na kółkach, ale teraz była zwinięta. Te noże coś mi przypominały, właściwie trochę jak piły, lecz bez zębów, półokrągłe ostrza, z rączkami, ależ tak, zupełnie podobne do garbarskich. Do oprawiania skóry. Więc co mogły mieć wspólnego ze mną? Jasne, że nic! Powiedziałem to sobie z dziesięć razy, lecz wcale mnie to ze wszystkim nie przekonało. Krzycheć pomocy wstydzilem się. W scyzoryku miałem pilnik, lecz nie na taki łańcuch, ten by nie to, że brytana, ale poszóstny zaprząg utrzymał.

Nagle, bodaj po jakiejś godzinie, otworzyły się tęczówkowe drzwi. Weszli moi porywacze, z wysokim, także bardzo tęgim, nowym Luzaninem. Miał różowe okulary, nosił się

majestatycznie, choć był teraz zdyszany, jakby się tu nie wiedzieć jak spieszył. Ukłonił mi się nisko od samego progu i wyłączył pieśń swego ubrania. A może kapelusza. Tamci, pokazując na mnie, gadali przekrzykując się, jeden przez drugiego, wciąż z tą samą szczęśliwą satysfakcją. Byłżebym zakładnikiem? Politycznym może? Czy też szło o okup??

Oglądanie mnie trwało ledwie parę sekund, aż majestatyczny zobaczył odsłonięty warsztat i zaczął wrzeszczeć na tamtych, jednemu nawet kułakiem przygroził. Rzucili się na wypródki rozpościerać tę zasłonę, idioci, musztarda po obiedzie, to, że zasłonili ów kram z nożami, zmroziło mnie do reszty. Duży zakomenderował, dwaj wybiegli i prawie natychmiast wrócili z posągiem, jednym z tych, które nazywali bogoidami. Wyglądał ci ten bogoid zupełnie jak nasz ziemski, kościelny anioł, tyle że się ruszał. Kiedy przynieśli fotele, anioł podsunął mi jeden i stanawszy obok mnie, zaczął gadać z niesłychaną szybkością: zorientowałem się, że jest tłumaczem, ponadto zaś wachlował mnie rozpostartymi skrzydłami, co było o tyle korzystne, że w toku konwersacji oraz zamachów na moje życie pocilem się jak mysz. Pousiadali wkoło, ale miarkowali tak, żeby nie za blisko — poza zasięgiem łańcucha — no i zaczęło się. Trudno powiedzieć, co właściwie. Najpierw przedstawili mi się, ale nie wszyscy. Ci bardziej zaciekli siedli między fotelami w kucki na dywanie i wspomagali oratorów zawodzeniem, wrzaskiem, kaskadami szatańskiego śmiechu, mówcy zaś kolejno wstępowali w puste miejsce przede mną i dawali upust namiętnościom, wrogim nie tyle wobec mnie, ile wobec świata. Byłem już niegdyś porwanym dla okupu, o ideowych porywaczach też niejedno wiedziałem, oni podawali się za takich właśnie, lecz coś w tym nie całkiem jakby się zgadzało. Nie wiem, u licha, jak to wyrazić. Nie żebym wątpił w solenność ich złych zamiarów. Dowiedziałem się, że majestatyczny w różowych szklach to prezes, czy raczej Przeciwprezes ich Związku Literatów, że jedni zajmowali się antykapłaństwem, inni byli Pantystami (pan-anty-artystami, a może tiutystami), na dywanie kucał neonista (nie świecił jak neon, bo to jest zawołanie neonihiłistów), obok niego dwaj socjokaci (wykończyciele), a obok anioła — jeden ostatecznik (eschatysta), dwaj przeciwdziałacze walczący z czymś tam, jeden rwacz i paru pomniejszych skrajniaków, pełniących funkcje klaki. Skacząc mi do oczu, przechodzili od wściekłości do entuzjazmu, ich uczucia zdawały się autentyczne, ale... jak gdyby im samym nie wystarczały. Trochę patrzyło to na przedstawienie stremowanych aktorów, że coś się nie uda, trochę na taniec wokół pała męczarni takich Indian, którzy, bo ja wiem, już nie są całkiem pewni swojego Manitou i Krainy Wiecznych Łowów i tańczą jak ich dziadowie, lecz z pewnym niepokojem jednak... nie żeby cokolwiek ich powstrzymywało, żadnej litości, skądże, raczej szczypta złej wiary, zagłuszanej wspólnym wyciem... albo jak płaczki na pogrzebie, znów nie płatne od łkań i rwania włosów na głowie, lecz jak rodzina, usiłująca wpaść w wyższą temperaturę rozpaczy, niż ją na to stać... przez co musi sobie wyrywać nawet więcej włosów, niż to niezbędne, i tak szlochać, żeby słyszano poza cmentarzem. Jednym słowem jakoś za bardzo się starali. Twarze mieli ludzkie, ale nie maski, choć widziało się, że to nie są ich zwykłe twarze. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak oni to robią i prawdę mówiąc kwestia ta nie absorbowала mnie specjalnie. Anioł stojący przy mym boku bił jakieś kosmiczne rekordy tłumaczenia. Tłumaczył nawet chóralne wrzaski: „Wolność i Dobrobyt! A Niedoczekanie Powszechne! A za mordę plugawiańskich cyberwańców-skolbysynów, zaprogramowanych w kolebce—kolbie pichciulców, mlazgrających w ogólnym zakremieniu, żganych żygiem zafajczonych super-fluenciaków”. Tak mniej więcej się rozjuszali, aż jeden rozepchnął pozostałych i skacząc na miejscu jak kogut, wymachując rękami, jakby chciał wzlecieć ku amorkom z tacą pod sufit, zaryczał: — Ziemianinie, kurierska twoja dyplomatyczna! Czyż nie jest tak, że każdy, duży li mały, urodziwy li szpetny, paskudny li zacny, krzywy li prosty, póki przymiera tym i owym, zgięty we dwoje pędzi nicią żyć, to jest życia nieć, jest istotą, co budzi w nas empatię, urok, współczucie, podziw, zgryz, miłosierdzie, amen, pacierz i ogólny szacunek? Natomiast zabekany wyżygolak, chutniak bekarz, spasyły sinopysk brzuchaterski, dętooki

wargowaźniak ligający w kwiatach, światy depczący, jest wszak dwunogim zanieczyszczeniem bytu, sakramencką wrałą-ępałą, cynim wrednikiem, to jest wrednym cynicznym zasmargulidesem, czyż nie tak? Jeśli napotkasz onego w kapocie dziurawej na błocie, w szarudze biedaka siermięgowca, z szacownego żalu zaraz ci się żółć w wątpiach oberwie i ku sercu zachachmęci bledziutką iskrą trosk. Ach, gwoździu, gdybym tak całkiem faktycznie napotkał gdzieś biedotę sierotę, dwugarbną albo choć pomniejszą kalekę, lub też ułomniaka, zmarzłego po prośbie zająkliwca, bez gaci, potrzebującego wsparcia, jakżebym go upieścił, umiłował, do piersi przycisnął, a podkarmiwszy, wgędził mu w nie myte, razowe, lecz ludowe ucho pieśń moją! Ale ci szkoda słów — nie wzleca — syntura nie da, bystra jej mać! Gdy poszedłem do konfesjonatora, ten mi poradził, abym gasił — żądzę litosierdzia mojego odpowiednimi zamówieniami syntesentymentu, syntesenty zamiast Litości Autentycznej, uważasz, ziemską psinogo?! Och, więc niezwłocznie pobiegłem do domu po bańkę z benzyną, ażeby własnoręcznie ten konfesjonator podpalić, czego, jak łatwo pojmiesz, nikt mi nie bronił. Nazajutrz ustawiono tam nowy, stukanałowy, na spowiedziową symultanę. Wtedy zrozumiałem, że już przyszedł czas, żeby LUD za mordę wziąć, i że to jest Ratunek Jedyny. O! jakże mnie olśniło to wspaniałe odkrycie moje! Zbawicielem mas, pojąłem, może stać się tylko terrorysta-zamordysta, który swobody pichciwe, rozszmalcowane wyślizgiem milionnym zwęzi, skróci, zaszpuntuje i do imentu zagwoździ, i z ogólnego rozbisurmanienia po chrybach i kwileniach powstanie z wielkim wrzaskiem ten Wyższy Zwid, co był mi jutrzeńką w mrokach nocy zwurdziałego liberalizmu... Ach, liberałów omłoty, pęki egalitarystaw zafajdaniarskich pod stopą mego sprawiedliwego gniewu! Ach, sina dal i oberwusy w struplach! Przybywaj, rzekłem sobie, słodki domu niewoli, tej całkiem prostackiej, zwyczajnej, zamordębierczej, łupucupskiej, ty mój rozmarynie, rozwijaj się! Ile gwiazd na niebie, tyle siniaków ma być na szafarzach szkodliwych dóbr! Tak zeszedłem w podziemie. Konkretnie do pana nic nie mam i koledzy też, ale musisz zginać, bo nie można zrobić początku, zaczynając od byle kogo. Jaki pan, taki kram, trzeba zmierzyć siły na zamiary! Gdyby nie my, wszystko utopi się w cyberszmalcu z sacharyną. Mówi się trudno — trzeba rznąć! Każdy wielki przewrót tak się rozpoczynał, nawet bez idei, a cóż dopiero nasz. Jednym słowem, dość gadania, dudy w miech!

— Coś pan — zawołałem, aż mi łańcuch zadzwonił — pragniesz pozbawić mię życia?

Sam nie wiem, czemu tak sztucznie jakoś to powiedziałem. Mały zaś, zamiast wziąć się do wykonania krwawej zapowiedzi, zbłądły zatoczył się w ramiona kolegów, którzy go hołubili, a on tylko dyszał ciężko, jakby od nieprzyzwyczajenia. Następny wszedł w kolisko i podnosząc obie ręce ku amorkom z przystawkami, mistycznym szeptem rzekł:

— Giniemy, panie Tichy!

Tak to przejmująco wysyczał, aż mi się jakoś żal zrobiło mimo obroży, spytałem więc: — Przez co i dlaczego niby?

— Z dobrobytu...

— Czy to przymusowe?

Zaniósł się jadownicie szyderczym śmiechem, który przeszedł w łkanie. Także pozostali porywacze ocierali ukradkiem łzy.

— Nie, bynajmniej — stęknął — lecz choć rajski chleb bodzie, nikt go nie odda z dobrawoli. Absolutny błogostan deprawuje absolutnie! Lud już nie popuści! Możesz nań liczyć., gdy mu bieda doskwiera, ale nie gdy go przepychy gwałcą. Nie chce mu się, żeby było inaczej, skoro inaczej znaczy już tylko gorzej, a nie lepiej! Owszem, była niegdyś w modzie abnegacja — polewka z leśnych korzonków, chata pod strzechą, kurdel w stajni, radła, oberwusy, złoty na bosaka, szmaciane stroje, lecz wszystko syntetyczne, korzonki truflowe, kurdel na biegunach, słoma nylonowa, radła samobieżne na tranzystorach, to była lipna asceza, więc się wnet przejadła. Ach, panie, ty nie wiesz, jak ogół się męczy! Na sam widok wybieraka, szykującego nowe pieściwo, chwyta obywateli drzączka decyzyjna,

niejeden rozbija lub rozbiega swój wybierak, lecz cóż, on zaraz sam się naprawi. Najstraszniejsze jest to, że nas, którzy walczymy o jego dobro, lud nienawidzi, bo nie chce pojąć, że zaszedł na hak zguby. Dlatego, niestety, musimy wykończyć szanownego pana...

Być może był to ich rzecznik prasowy — nie wiem, dość, że ich nie zadowolili tym expose. Zapomniałeś dodać, wołali jeden przez drugiego, że wielka sprawa wymaga wielkiej ofiary! Nie uwypuklił należycie strony ogólnodziejowej tego, co zaraz nastąpi! Co mianowicie? Obskórantyzm. Nie obskurantyzm, gdyż chodziło o obskórowanie. Perspektywa Tichobicia (powtarzam za aniołem, który wszystko biegle tłumaczył) właściwie nie przeraziła mnie dodatkowo, ponieważ wolę zgrozę konkretną od łaskoczącej kręgosłup śmiertelnymi aluzjami; myśl moja stała się lotna i sprężyłem się cały, rozważając obronę, bo nie zamierzałem oddać im skóry tanio; zarazem wdałem się z nimi w dyskusję, podkreślając, że nie można wspierać szczytnych idei mordem, lecz było to gadanie do ściany. Z ich idealistycznego wytrzeszczu lypał zakuty fanatyzm, prędzej już wybiłbym z głowy krwawą myśl kucharkom, jako indor w kuchni przed świętami, niż tym zapaleńcom, którzy chcieli, zabijając mnie, odwojować nie wiadomo co, nie wiadomo jak; sięgnąłem do spodni po scyzoryk, tu jednak przyszło nowe zaskoczenie, okazało się bowiem, że to, co miałem za epilog, było wstępem do właściwego przewodu. Kolejno domagali się głosu, przewodniczący teolog czy też antykapłan spisał listę mówców, przegłosowali porządek dzienny oraz komisję wolnych wniosków i z wolna, wsłuchując się w ich wystąpienia, wyłowilem wreszcie sens rzeczy. Zgładzenie mnie było już postanowione, sprawa przesądzona co do rzeczy, lecz nie co do wykładni. Szło teraz o to, z jakich pozycji ma nastąpić to, co ma nastąpić. Po burzliwej debacie wyszedł na środek Artysta Ekstremista, uklonił się i zaintonował:

— Czcigodny Przybyszu, obyś zginął z mej ręki! Mam sobie za obowiązek rzec ci, czemu rzuciłem ukochaną paletę dla ciebie. Chciałem krwi? Nigdy! Czegom łaknął? Tworzenia. Malunków! Na zgrzebną osnowę farby kłaść spowiedzią snów, i żeby ktoś, jakiś, raz jeden spojrzal i wykrzyknął w olśnieniu. Nic więcej, przysięgam. Lecz spójrz: jak tu malować, gdy dość wydać polecenie, a ściana, dzięki swym meandrom scalonym, jako też czytnikom życzeń, sama się zamaluje, zwinna, żywa, w fresk??? Więc gdy dziecięciem okazywałem chuć malowania, popychano mię ku ścianom.

Cóżem miał robić? Zlecałem im to jakiś czas, lecz żal serce żuł. Zresztą wnet przyszedł ścianom kres, powstał bowiem nowy prąd — elokwentyzm. Niezgorszy był kierunek, lecz cóż? Nimem się włożył, on siebie w kwartał sam skomputeryzował. A potem, w niedziel sześć, narodził się nam dublizm. No, bo jeśli obraz może sam do siebie gadać, to może coś i namalować sam, nieprawdaż? Lecz jam uparty był, czekałem i powstał ekskrementyzm. Łyżka stołowa oleju na jedno płótno, cztery na sześć. Gdy brak natchnienia — hegar. Cóż można przeciw Tyranii Sztuk? Więc truliśmy się bielą cynkową i słoniową czernią jak jeden mąż — lecz to się prędko zdezaktualizowało. I przyszedł suicydyzm, zwany też samizmem. Najpierw był wentryzm, ot, artysta szedł i wystawiał brzuch, wylakierowany i z różnościami, przylepcem albo z przeschczepkami, przejadło się to wszakże publiczności, więc na wernisażu był betonowy mur i twórca, zlawszy się obficie fiksatuarem, brał dobry rozpęd, zaczym sobą w mur, by tak już zostać, nature morte w stylu autosakryfikacjonizmu. Choć można było tylko jeden jedyny raz, znaleźli się ofiarnicy! Jam jednak czaszkę nazbyt twardą miał, zresztą wnet beton zmiażdżył, wiadomo — bystry dbają o nas... A gdym dwadzieścia siedem skończył lat, był w modzie genizm. Ot, brało się mikser i mieszało w nim różne geny, gruszki i pietruszki, żeby powstało monstre pittoresque, lecz i to przeminęło, te bydlaki-ikoniki już nie są aktualne. Był potem destrukcjonizm, czyli wykańczarstwo kolegów, lecz i on ustąpił miejsca nowemu prądowi. Kracjonizm — nie jakieś tam gmeranie w glinie, gipsie, dzieła na miarę epoki, więc satelity w kształcie ołtarzy złotych z akwariami, w których każdemu rekinowi samoczyst pielęgnuje uzębienie, więc wielokościelna urbanistyka bezgrawitacyjna, a te kościoły na orbitach wyteleskopowują swoje wieże i dzwonnice jak homary w próżni, lecz wszystko to



bez ducha niestety, bez wiary, i całkiem prywatne, własne, trzeba było każde takie dzieło natychmiast zalać czarnym szkliwem, żeby cudze oko nawet nie obejrzało, a jeszcze lepiej puścić w rozkurz, to też jednak nie skrzepiało mdlejącej chuci twórczej...

— Nie rozdrabniaj się, Xiciu! — wołali — tylko centruj! Bez detali, wio, śmiało, idź na całość! My ci pomożemy! Koleś, nie pękaj przedwcześnie!

— Ja nie pękam — ryczał już — ars pro arte znaczy mord, dajcie mizeryi kord, bogojda huzia, bierz ziemiaka za hale, ja zrobię z niego dzieło sztuki!!!

— Pasy słuckie z bliźnych drzeń! — zagrzmieni zrywając się, to był chyba taki ich hymn, skoczyli za zasłonę, pewno po narzędzia, zerwałem się, przy moim podniesieniu zadzwonił łańcuch.

— Czyś pan zwariował! Stój! — ryknąłem, kątem oka widząc, że anioł przetłumaczył dane mu zlecenie lecz nie rusza się. Górując nad nami o dwie głowy, stał, miarowo łopocząc skrzydłami. Mimo tak dobrej wentylacji zrobiło mi się trochę duszno.

— Bogojda, co jest? — krzyczeli — trzym ziemiaka... nie chce...? krymistor mu wysiadł? To my sami pomożemy! Xiciu jest w formie, ej uchniem ptacy chłopacy, kolumną w klin!

Jakoż ustawili się w zwarty szyk i runęli na mnie, ale dziwna rzecz, tyłem, pchając przed sobą malarza z nożem w rękę. W moim błysnął scyzoryk. Jeśli mnie pamięć nie myli, podobnych szyków używał Wielki Macedończyk, ale z lepszym wynikiem, bo w pół drogi rozjechały się im nogi, jakby dywan był lodowiskiem, i potoczyli się u mych stóp jeden przez drugiego. Pierwszy zerwał się z wrzaskiem gruby prezes antyliteratów, bo padając, zaczepił spodniami o ostrze w mej garści. Ledwie go zadrasnął w siedzenie, a i to właściwie nieumyślnie, ryczał jednak jak bawół. Inni byli tak zrozpaczeni fiaskiem, że nawet nie kwapili się ze wstawaniem. Leżąc jak kto rymnął, jęczeli z cicha:

— Nie było wiary...

— To przez Xicia. Śmierdziel małoduszny!

— Nieprawda! To przez was! To wy! — zaniósł się szlochem skrajny malarz.

— Coo? Oddał się stąd zaraz, kwoku jeden. I to w dyrdy!

— Czułem, że farbiarz skrewi, sójka mu w bok!

Malarz skoczył na równe nogi i zaczął zrywać z siebie odzież.

— Xiciu, przestań! — ryknął rzecznik prasowy ugrupowania. — A wy dajcie mu spokój, w nieszczęściu. Gąsiorny, wystąp — twoja kolej!

— Tak, Gąsiorny! — zakrzyknęli z entuzjazmem. — Jeszcze kluska nie zginęła! Gąsio, zakasuj artystę portrecistę! Damy ci rozpałkę na sznyt!

— Jeden sztos pod ciemny włos!

— Spróbuj z kalafonią, żebyś nie poszedł w uślizg...

— Kalafonia mało, przydałyby się wibramy...

Anioł tłumaczył pędem, ekstremiści przegrupowali się, pohańbiony malarz znikł, a ku mnie podszedł zwany Gąsiornym pleczysty pokurcz o przykrym wyglądzie, bo pewno wskutek szamotania nos miał pod lewym okiem, rozplaszczony na policzku. Ani chybi maska, pomyślałem, i inni też, ale musiałem się, skupić na nowym przeciwniku.

— Cisza! — huknął basem, choć od dobrej chwili nikt się nie odzywał. Przystąpił z nogi na nogę, zakolysał się na piętach w przód i w tył, a tymczasem nos powoli wracał mu na właściwe miejsce.

— Ziemny ssaku! — rzekł grobowym głosem — pepiasty peponie, wykonany zakraplaczem, wlochata twoja toń, dowiedz się na tych parę chwil zipki, co ci zostały, z kim masz do czynienia! Jestem kurdlistą-idealistą, bojownikiem bezkompromisowym, autorem hymnu, który sławi Wielki Chód. Wiwat, kurdel, ustrój wspaniale społeczny i za jednym zamachem organicznie świetlany! Ja wiem, że gdybyś mógł dać stąd dyla, zaraz poleciałbyś z donosem na mnie, lecz obroża dziejowej sprawiedliwości, łańcuch postępu trzymają mocno, i nic ci już żadne bystry nie pomogą, ty obcy baranie! Hańba dobrobytu odpadnie wnet od ludu

mego jak twoja nierogaczyna od kości i ruszy na zbiorowych nogach w świetlaną lepszą dal! A więc, za wszystkie oszczerstwa, miotane na szczytne ideały, za kubły kłamliwych pomyj, wylewane na głowy nacjomobilów, odplata się zbliża, gdyż bierze mię szlachetny gniew, na bój, na zew, hej bracia jastrzębie, dodajcie mi sit, gdy będę po gę...

— Słabo jakoś — rzekłem.

Cegłą nie wytrąciłbym go mocniej z kontenansu.

— Co? — charknął. — Jak śmiesz do mnie...? Ofiarno, milcz!

— Terefere kawka — odparłem. — Na nosie brodawka, a ciocia pingwina — wujcia myć zaczyna...

Zatrząś się cały, a inni aż jękli z przerażenia. Niełatwo mi wyjaśnić, jak wpadłem na to improwizowanie, ponieważ w gruncie rzeczy nie miałem zielonego pojęcia, co przeszkadza im w prędkiej i krwawej egzekucji, ale czułem instynktownie, że muszą się do niej przygotować wspólnym pompowaniem, zupełnie jakby o powodzeniu zabójczej imprezy decydował należycie wyśrubowany, zdecydowanie makabryczny nastrój.

— Chodź pan tu, panie piskłę — dodałem — to powiem panu coś na ucho...

— Zakneblujcie go! Ale już! — wrzasnął Gąsiorny kurdlista. — Ja nie mogę tak, ten szubrawiec zbija mnie z pantałyku...

— Po co kneblować — z rozpaczą w głosie rzekł antyprezes literatów. — Daj mu w comber i już...

— Ja jestem Potworny Gąsiorny... — wycharczał kurdlista, wyjął zza pasa garbarski nóż i rzucił się na mnie. Łańcuch dźwięknał ostro i zadrgał jak struna, bo skoczyłem za anioła, który zachwiał się, dźgnięty. Gąsiorny potknął się i osunął na kolana przed aniołem.

— Ja zaraz... jeszcze raz spróbuję... — mamrotał rozpaczliwie. Stracił się tak kompletnie, że mogłem niechybnie zabrać mu nóż, ewentualnie przyłożyć w ptasie ucho, ale nawet nie drgnąłem. Od dobrej chwili przyglądałem się trzem facetom, którzy otwarli się po cichu tęczęwkowe drzwi, przysłuchiwali się nam stojąc w progu. Nikt poza mną ich nie widział, bo reszta towarzystwa zwrócona była w moją stronę, a ja, ze względu na obrózkę i sytuację, podpierałem ścianę plecami. Sądziłem zrazu, że to może jacyś inni artyści—ekstremiści, lecz myliłem się.

— Nie ruszać się! to jest napad! — warknął najwyższy z przybyłych, wchodząc do pokoju. Kurdlista, zająknawszy się, zamilkł, i tylko dwie grube łzy, które sobie przygotował na zamknięcie poniesionej klęski, spływały mu po licach. Jedna wsiąkła w klapę wdzianka, a druga spadła na dywan. Bóg jeden wie, czemu takie głupie drobiazgi zapadają człowiekowi w pamięć — i to w podobnych okolicznościach. Moi porywacze zerwali się protestując, z czego powstała natychmiast zażarta kłótnia. Anioł tłumaczył dalej każde słowo, lecz tak skakali sobie do oczu i wrzeszczeli, że się stracił. Tylko z grubsza doszedł mi sens sporu. Intruzi byli ekstremistami jakiegoś innego ugrupowania, które nie miało ze sztuką, teologią ani ogólną teorią bytu nic wspólnego. Awantura (bo już się wodzili za łby) szła o mnie. Przewaga zawodowców nad amatorami, jakimi siłą rzeczy musieli być ludzie sztuki oraz inni humaniści, objawiła się niezwłocznie. Najdłużej bronił się wiceprezes antyzwiązku literatów, przyparty w kącie, w którym stał warsztat, bo dopadł tam cęgów deskóracyjnych i użył ich jak maczugi, lecz mimo to przybysze po paru minutach okazali się panami sytuacji. Widać było, że z fachowcami rzecz. Nie uzasadniali niczego, nie teoretyzowali, nie cackali się, każdy chyba miał z góry wyznaczone zadanie, które wykonywał, aż podziw brał, i w innych okolicznościach może bym pożałował moich artystów—estremistów. Ucichłych, w wymiętoszonych garniturach, z których wydobywała się żalosna kakofonia miast kameralnej muzyki, pousadzano ich na podłodze przy ścianie, tuż obok mnie, zaiste dziwna odmiana losu. Jeden antyprezes odbijał jeszcze ataki, lecz słabł. W szamotaninie ktoś huknął anioła, aż się zatoczył w kąt i przestał tłumaczyć. Za to na jego nieruchomym dotąd, niebiańskim licu ukazał się dziwny uśmiech, a tuż poniżej piersi, na alabastrowym torsie niepojętym sposobem

poczęły się zapalać i gasnąć różnobarwne napisy: „Dydr beuns ganatoproxul? Fornicalorissimur, Dominul? A dryxi pixi kuack supiryto? Milulolak, panie starszy?”

Zarazem anioł wziął mnie za rękę i pociągnął z tajemniczą miną tak mocno, że mnie się omal nie udusił, kiedy skończył się łańcuch. — Ratunku! — chciałem zawołać, ale nie mogłem, bo obroża zdławiła mi krtań. Całe szczęście, że zwycięzca wiceprezesa pospieszył mi z pomocą. Nie wiem dobrze, co oni i ten wyższy zrobili z aniołem, bo gdym otwarł oczy, znów stał na baczność, wachlował skrzydłami i tłumaczył. Zresztą niewiele było do przekładania — moi nowi porywacze okazali się ludźmi czynu. Odsunęli mnie od haka, z przyniesionej teczki wyjęli kilka właściwych narzędzi i bez najmniejszego żaru, swędu, dymu hak wysunął się z muru jak z masła. Powstrzymałem się od podziękowań, i słusznie, bo ich dalsze zachowanie nie miało w sobie nic wyzwolicielskiego. Jeden ciągnął mnie za łańcuch, tamci dwaj popychali, bez śladu delikatności, do której nieco przywykłem w towarzystwie artystów. Pałac opuściliśmy nie przez amfiladę wspaniałych komnat, ale bodaj jakimś wyciągiem kuchennym i trudno było mi się orientować. Na polu panowały egipskie ciemności, noc była chłodna, a ja w jedwabnych skarpetkach i od razu przemoczyłem sobie nogi w jakiejś kałuży. Dopóki miałem na nogach lakiery, okropnie cierpiałem — jestem niesłychanie wrażliwy, a nawet, powiedziałbym, bezbronny wobec nie noszonych jeszcze bucików, włożyłem je ładując, bo spodziewałem się bankietu, lecz, jak wynika z powyższego, nie wszystko poszło po mej myśli. Lakiery piły mnie na łańcuchu, więc wysłuchując tych oświadczeń i głędzeń, po kostki niemal w puszystym dywanie, strąciłem je dyskretnie ze stóp, uznawszy, że skoro to ma być poniekąd mój pogrzeb, kurczowe trzymanie się reguł towarzyskich byłoby przesadą. Zapomniałem o tym zupełnie pod wpływem wrażeń, wywołanych nowym najściem. Jeden z nich miał, dostrzegłem w świetle księżyca, rozetkę tłumaczącą w klapie i skorzystałem z tego, aby poprosić o małą zwłokę: chciałem tylko skoczyć po lakierki. Wspomniałem coś o możliwym nabawieniu się kataru, a ten niekulturalny osobnik (co się czuło wyraźnie) zaśmiał się ochryple i rzekł: — Jaki katar? Nie zdążysz go złapać, zrazie. Widać przezwiska z obrębu dań mięsnych cieszyły się tu nie mniejszym uznaniem niż we Włoszech. Zostałem wtłoczony do jakiejś skrzyni, może kufra, i dzwoniąc na wybojach łańcuchem, bo sądząc po nierównościach, jechaliśmy polem, po dobrym kwadransie ujrzałem się w betonowej piwnicy, na wpół uduszony. Ani wiem, jak wjechał do niej samojazd porywaczy. Nie zostało po nim śladu. Niskie gołe ściany robiły ponure wrażenie. Całe urządzenie stanowiło kilka trójnogich zydl, pień, jakiego używa się do rąbania drzewa, z wbitym weń skosem siekierą, stos nie porąbanych polan, prosty drewniany stół na krzyżakach i, rzecz jasna, w cementowane w ścianę kółko, do którego został zaraz przymocowany mój łańcuch. Uczyniłem więc słusznie nie rozdmuchując w sobie nadziei. Za stołem była ława, usiadłem więc i zdjąłem przemoczone skarpetki wypatrując, gdzie by je powiesić dla wyschnięcia, lecz mój porywacz, który raz już odezwał się niegrzecznie, burknął: — Zbędna fatyga.

Zrzuciwszy kubrak, wyjął z pieca przypalony placek i Wbił się weń żarłocznie. Dziwna rzecz — jakkolwiek wiedziałem, że twarze Encjan są inne od naszych, takem już przywykł do tych ludzkich, jakie mieli pierwsi porywacze, że nie mogłem się oprzeć wrażeniu, jakoby pilnujący mnie gbur nosił maskę — chociaż on właśnie nie miał żadnej. Oblicze Encjan jest równie odpychające dla człowieka, jak ludzkie dla nich. W ich wyłupiastej twarzy, z nozdrzami rozstawionymi tak szeroko, jak okrągłe oczy, jest bodaj coś ze szkapy raczej czy tapira niż z ptaka. Zresztą żaden opis nie zastąpi naocznych oględzin. Naćpawszy się, mój strażnik huknął się parokrotnie w beczkowatą pierś, zaiste gęsią czy strusią, bo porosłą zbitym jak sierść białawym puchem, następnie drapał się jakiś czas pod pachami, aż począł sobie wyskubywać maleńkie piórka, które zdaje się łaskotały go w nozdrza, by na koniec ze skupieniem dłubać palcem w nosie. Zapewne z nudów rozgadał się wreszcie, przy czym zrazu nie mówił jak gdyby do mnie, lecz przed siebie, stawiając akcenty huknięciami pięści w stół. Wciąż milczałem, a ten encjański prostak wyprostowawszy się oświadczył, że tradycja

wymaga właściwie, żeby objaśnić porwanego, kto i za co puści go pod łopuchy, a chociaż jestem szczególnie szkodliwym łotrem, niegodnym go słuchać, zniży się do mnie, bom cudzoziemiec. Tamci wciąż jakoś nie nadchodzili, on zaś wyjął ku pomocy karteczkę z kubraka i zerkając na nią często gęsto, wziął się do rzeczy.

### **OŚWIADCZENIE PRZYWÓDCY DRUGICH PORYWACZY**

Niech Ziemista Twarz słucha z uwagą, bo długo mówić nie lubię. Przed wiekami nie było tu żadnej Luzanii, ino Hydia, aż przyszli i wybrali spod nas ojcowiznę. Myśmy są czerwoniopiórzy Kydianie, a nie poznać, bo się pobiakło od długiego podziemnego biedowania. Te ziemie nad nami wszystkie dawniej były nasze i nasza sprawiedliwość na nich. Wielki Duch kazał nam zasadzać się na Złych, tośmy ich brali i prosili do ostatniego tańca. A teraz nic, tylko czekamy, czuwamy i czytamy gazety. A ostatnio stało tam, że brat przybywa do nas, na to ciało niebieskie, obcy, z dąbka, lecz brał w rozumie. To i popytaliśmy naszych kształconych rodaków na urzędach, co to za taki brat jeden ma przybyć w gościnę w dawny nasz kraj? A oni, choć zbieleł im puch, w sercu dalej są czerwoniopiórzy i rzekli nam samą prawdę, co za jeden przybywa, a także — skąd. Witany ma być z wielką chwałą, że to z gwiazd i nie z ptaków, lecz wprost jakby przeciwnie. A za co ta chwała powitalna, czy należy się? Piszą: poseł, ale od kogo to posłowanie jego? I rzekli nam, coście za jedni. Wojny lubicie, wciąż się zbroicie, w głębi pokój, a w sercu zdrada. Wojaczka wasza zdradą podszyta, bo to wyszykowaliście już coś po osiemdziesiąt toporów atomowych na każdą swoją głowę i jeszcze wam mało. Dalej się zbroicie, truciki warzycie mocne, wciąż i wciąż, a jak co do czego, to uśmiechacie się, że pokój, pokój, bo wam w głowie nie równy bój, ale chytróść i zdrada. Sąsiadów dręczycie, samych siebie trujecie, a teraz zachciało się wam w gości jechać, na wywęszenia i przepatrywanki i przeszpiegi, jaki gdzie lup. A co my na to? My (ryczał już, waląc pięścią w stół) też skrzyknęliśmy się na twoje powitanie, zbójceki pośle! Słyszał to kto w galaktyce, gwiazdny jej rój, ażeby ziemiste twarze, co tłuką swojaków jako też kwilącą dziatwę, pchały się po rozścielonym pokojowym dywanie w oczy męnych Hydianom, którzy nie zapomnieli nauk ojców o obcych najeźdźcach? Chciało się przymilnością tumanów Luzanów na hak brać, ale są tu czujniejsi! Nas z tej mańki nie zażyjesz! O, wyższa twoja padliną podkształcona inteligencja silnie się rozczaruje! Braknie już, u siebie żółtych, zielonych, czarnych twarzy do gnojenia, co? Siedziałoby się w swojej tundrze, przy tych tam swoich grobach, to może by się łysą skórę ocaliło, nie wartą wyprawki, ale nie tu, gdzie czuwa czerwoniopióry mąż! Natłukło się swojaków, narznęło, nagrabiło, a potem trupcie w dół, lepszą, kapotę na grzbiet i hajda do „braci w Rozumie” na pogwarke? No, to czerwony brat w rozumie wyjaśni, brat nie pożałuje trudu, brat się jut przyłoży, wykopie topór wojenny i wkopie bratu jak należy, wypisze na braterskiej skórze rachunek i uwędzi na pamiątkę... Ziemista Twarz słucha czerwoniopiórego brata w rozumie? Widzę, że słucha... I nic nie odpowiada...? Słyszę, że nic nie odpowiada... No, więc teraz własnoręcznie brat wykończy brata psubrata, przesunie w Krainę Wiecznej Hańby, gdzie się ślało już niejednego Złego, ale takiego jak Ziemista Twarz jeszcze nie...

Sam nie wiem jak ani kiedy obalił ławę razem ze mną, przeskoczył stół, cisnął niepotrzebną już karteczką z dyspozycją i puściwszy się w kucanego, strasznym dzikim głosem zaśpiewał:

Hej, złapałem ci ssaka,  
Porządek z nim zrobię,  
Hej, pójdziem na bosaka  
Hej, tańczyć mu na grobie...

Ani razu nie zadzwoniłem łańcuchem do taktu, przypadłszy w kącie koło komina, bo widziałem, że jest bardzo źle. Gorzej nie mogło być. Ten porywacz nie był, niestety, tok niewykształcony, jak zrazu mniemałem, skoro doszły go strzępy naszych dziejów powszechnych, i sam dystans dzielący nasze światy czynił z góry daremnymi Wszelkie postępowania obrończe: miał mnie za szpiega morderczej rasy gwiazdnej i nie wyobrażałem sobie, abym mógł skutecznie doprowadzić go do rozróżnień, zasadnych przed każdym sądem ziemskim, lecz nie tu, w obcoplanetarnej piwnicy. Byłem jak sparaliżowany — nie miałem nawet siły czy ochoty, by znów sięgnąć po scyzoryk, gdy raptem rozległy się niewyraźne krzyki, tupot, i z wrzawą wpadł przez drzwi kłęb Encjan. Poznałem artystę malarza Kicia, antyprezesa i Gąsiornego, wciąż mieli ludzki wygląd, kilku innych jednak nie widziałem dotąd, może byli to towarzysze mego strażnika, nie wiem, bom żadnego z nich ani przez chwilę nie oglądał, kiedy pakowali mnie po ciemku do kufra. W pierwszej chwili wydało mi się, że walczą z sobą, lecz to było coś innego, daleko bardziej niesamowitego: każdy jak gdyby mocował się z samym sobą. Mój strażnik zerwał się z podłogi, nie zaskoczony ani trochę, krzycząc:

— Zdymajta kapoty, migiem, no, bo was obsiadło, a ci zaraza, filtry musi przebiła! kalesonami nas weźmie! No, prędko, bo już strupła się... — i wrzeszcząc tak, sam jednocześnie ścigał z siebie hajdawery, ale szło mu to coraz trudniej, wolniej, tamci zaś, rzucając się na wszystkie strony jak ryby bez wody, też zmagali się, ten z kurtką, ów z koszulą czy też może tuniką, a wszyscy razem coraz wolniej, zupełnie jakby ich zalewał niewidzialnie tężejący klej jakiś, gęstniejący syrop — i nie minęło ani pół minuty, a już ledwie drygali kończynami, istne muchy w niedostrzegalnej sieci pajęczej. Mój porywacz, przez to, że ściągnął kapotkę do tańca, miał tylko z pludrami do czynienia, lecz tak go jakoś skrępowały, że leżąc na grzbiecie, z nogami wzniesionymi ku powale, pełzał tylko, rwał sobie pierze z głowy i kłął na czym świat stoi. Byłażby to odsiecz jakaś? Poratowanie? Nikogo jednak nie było w piwnicy prócz mnie, dalej swobodnego w ruchach, choć na łańcuchu... a oni, leżąc na boku, kto na brzuchu, kto na wznak, krzyczeli z rozpaczą i wściekłością:

— Zaraza... filter przebiło krymski... oj duszę się... Gurgax, pomóż, masz wolną dłoń... przestań giczofami, idioto... to nie ja, to gacie... prezes, masz krymistor?... skąd ci go wezmę... oj bezgliniarska wpaćka... ginęęęę!!!

Te ich żalotne jęki i wrzaski tak mnie otumaniały, że zapomniawszy całkiem o łańcuchu, wstałem z ławy. Od impetu obroza zdławiła mi krtań, upadłem i poczułem następne szarpnięcie, ale jakby miększe i ku memu osłupieniu ogniwa łańcucha puściły... kręciło mi się w głowie, ukląknę, dalej w obroży, lecz gdy włożyłem za nią odruchowo po/lęc poczułem, że jest jak z ciasta... z największą łatwością rozerwałem ją więc i na miękkich nogach wyprostowałem się, patrząc na mych porywaczy, pierwszego i drugiego rzutu, wciąż bezradnie, słabo ruszających się na podłodze, choć już się orientowałem, że to nie agonია, że nic im właściwie nie jest — a tytko odzież, zeskalona jak odlewy gipsowe, trzymała ich, oblepiwszy ręce, nogi, ciała...

— Ssak uchodzi, mleczny jego miot, trzym, kto w honor wierzy... — zacharczał Gurgax, ten co przed chwilą tańczył i śpiewał mi na pohybel. Widać był zacieklejszy od reszty, bo inni — nie wiem czemu — starali się jak gdyby w ogóle mnie nie dostrzegać w pohańbieniu swoim... a ja stałem nad nimi, dysząc ciężko, z obmiękłym kawałkiem obroży w garści, nie wiedząc, czy mam uciekać, dokąd oczy poniosą, czy przemówić do nich... miałabym napraszać się z niesieniem pomocy? Wyznaję, że nie było mnie na to stać. Ominąłem po kolei zeszywniałego Kicia, Gąsiornego, któremu skamieniałe rękawy kubraka podniosły ręce do góry, i chyłkiem, milczkiem wymknąłem się przez drzwi, cały czas oczekując, że i moje ubranie nagle zbuntuje się w ten sam niepojęty sposób, lecz nic takiego nie zaszło. Znalazłem schody, ciężkie stalowe drzwi uchylone, ich wielkie rygle zwiisały, jakby nadtopił je ognisty

zar, były jednak chłodne — starając się nie dotknąć framugi, nie wiem sam czemu, poszedłem dalej schodami, ujrzałem wygwieżdżone niebo, poczułem zimny podmuch wiatru... byłem wolny. Po księżycu ani śladu. Panował czarny mrok. Wyciągnąwszy przed siebie ręce, szedłem ostrożnie pod roziskrzonym niebem, aż jakaś jedna gwiazda zmieniła barwę i zaczęła się do mnie zbliżać. Nim pojąłem, co to znaczy, usłyszałem szum, gwiazda stała się pulsującym światłem, które oblało mnie i otoczenie rtęciowym blaskiem, rzuciłem się do ucieczki i runąłem ‘jak długi w jakiś kolący gąszcz. Coś opadło na mnie z góry, miękko, krzyknąłem i chyba wtedy straciłem przytomność. Nie wiem, jak długo przebywałem bez świadomości. Usłyszałem niezrozumiałe głosy, ale nie śmiałem otworzyć oczu. Leżałem na czymś chłodnym, bardzo lekkim, jakby na powietrznym balonie. Ręce i nogi miałem swobodne. Otwarłem szparką jedno oko. Nade mną pochylał się Encjanin w srebrnym płaszczu, z małym światełkiem na czole.

— Xi xa — rzekł.

Jednocześnie coś pode mną — jakby z głębi tej nadymanej poduszki, którą miałem pod głową — rzekło:

— Kochany panie Ijonie Tichy, Bądź pan dobrej myśli.

Jest pan wśród samych przyjaciół, pod opieką wytrawnych medykatorów i medykansów, i włos panu nie — spadnie z głowy. Czy możesz mówić? bądź łaskaw dać ziemski głos ze swojego jestestwa, abyśmy wiedzieli, że nas rozumiesz.

— Rozumiem, oj, rozumiem — powiedziałem i sam zdziwiłem się mojemu stęknieniu, bo nic mi nie dolegało.

— Xu xu — rzekł wciąż pochylony nade mną srebrny Encjanin i zgasił swoje czołowe światełko, a modulowany ‘czule głos z poduszki oświadczył:

— Oficjalna część powitań drogiego Pana Ijona lichego nastąpi, gdy się On nasyci odpoczynkiem należyтым. Kwatery rządowego hotelu otworem przed panem Tichy stoją. I nic mu — ci — nie zagraża. Nieszczęśliwa zaszła rzecz, jako skutek dwuzasadzki. Wszystko. wyjaśnimy, incydens naprawimy, przeprosinami przeprosimy. Niechaj śpi wasze błogie Jestestwo, Długie Ci Odpoczywanie...

Byłe nie wieczne — pomyślałem, ale tu srebrny Encjanin powiedział:

— Xo xo... — i równocześnie ogarnęła mnie przemożna senność.

Trzymali mnie w tym jakby szpitalu tylko dobę, po czym uznali, że jestem w dobrej formie, i mogłem się przenieść do hotelu. Nie wiem, czemu lecznica dysponowała tłumaczkami wysławiającymi się tak dziwacznie — nigdzie poza nią nie zetknąłem się z podobnymi. Dowiedziałem się, jak zrećnie wzięli się do mnie porywacze ugrupowania Gąsiornego i Xicia, jako też Związku Antyliteratów. Prawdą jest, że nie miałem się na baczości. Przeskok od mglistych błot i gzących się kurdli do megalopolis był tak gwałtowny, że straciłem rezon i gdy na kosmodrómie podeszło do mnie czterech wytwornych Luzanów, wzięłem ich za delegację Towarzystwa Przyjaźni Ziemsko–Encjańskiej. Otumaniony przepychem oraz ugrzecznieniem tych osobników dałem się zaprowadzić do wehikułu, i nie zastanowił mnie nawet łapczywy impet, z jakim upychali mnie w środku. Gdy wieźli mnie do pałacyku, gdzie oślepiały jaspisy, złoto i diabli wiedzą co jeszcze, gdym się dał jak baran prowadzić wśród mebli–ołtarzy do wiadomego przybytku, specjalny podstawieniec, udający Ijona lichego, mamił tymczasem rzeczywistą delegację i przy pierwszej następczającej się okazji czmychnął, tok że czynniki nie miały nawet wróbla w garści ani pojęcia, gdzie mnie szukać. Porwanie nastąpiło już na kosmodronie dlatego, jak mi tłumaczono, bo etykosfera nie znała mnie jeszcze i nie mogła wskutek tego z należyтым wyprzedzeniem interweniować w mej obronie. Dużo kładli mi do głowy rzeczy, których nie pojmowałem, ale nie chcąc robić wrażenia głupka — czyż nie dałem się wziąć łatwo na obrózkę — wolałem dyplomatycznie milczeć. Przenosiny do hotelu okazały się przeprowadzką na istny Olimp. Ci biedacy już sami nie wiedzieli, co mają ze mną zrobić, aby jakoś skompensować przykrości, których doznałem

na początku. Nic to, że sypialnię mam złotą, i że to złoto można rozjaśniać lub gasić odpowiednim przyciskiem (noszę go w kieszeni), że w kasetonach stropu siedzą amorki (budzące zresztą niemiłe skojarzenia), zlatujące się, ilekroć otworzę usta, żeby mi podtykać patery z łakociami, lecz moją odzieżą zajmuje się Merkury, a w kątach między kryształowymi kolumnami łoża (leżę pod baldachimem) stoją na bacność dwie Afrodyty — Anadiomene i Kallipygos. Nie bardzo wiem, po co, bo nic nie robią, a niezręcznie jakoś pytać. Buciki czyści mi Zeus, aparatem podobnym do oszczyпка. W ścianie naprzeciw łoża — zwierciadlana tarcza z głową Meduzy, raczej antypatyczną, zwłaszcza że te węże na jej głowie ruszają się i patrzą wszystkie we mnie, dokądkolwiek się ruszę, ale trudno od razu wyjeżdżać z zażaleniami, bo widzę, jak się gospodarze starają. Ten cały Olimp, wykonany dla mnie, żebym się czuł swojsko, męczy jak cholera. Nie mogę jednak wybrzydzać się — i tak głupio mi, prezes Towarzystwa Przyjaźni przyszedł do mnie z jakimiś dwoma tragarzami, okazało się, że w worku, który przytaszczyli, był popiół, a on posypał sobie nim głowę, padłszy przede mną na kolana. W dodatku ten prezes jest podobny do mnie jak jedna kropla wody do drugiej. Gdy chciałem włożyć koszule do szafy, zdębiałem — stał w niej centaur, co prawda mały jak kucyk. Oddeklamował mi coś, zdaje się po grecku. Nadto jest masażystą i zna się na winach. Rano zbudził mnie duszący obłok ambry, nardu i piżma. Obie Afrodyty stały przy łożu z kadzielnicami, ażem je pognął do kąta, krztusząc się z oczami pełnymi łez. Na moje polecenie Merkury przewietrzył pokój. Wolałbym jednak więcej umiaru w tej gościnności, a też, żeby te Afrodyty ubrały się w coś jednak. Zaczynam się domyślać, jak oni to wszystko zaprogramowali: na podstawie fotogramów z Luwru i innych ziemskich muzeów. Prócz centaury w szafie jest Apollo. Już nie śpiewa — ma mój wyraźny rozkaz. Przejście od kurdlandzkich błot i wiadomej piwnicy z obrozą do tego fantastycznego luksusu było tak nagłe, że nie ustępowało wrażenie snu. Jedzenie świetne oprócz ciemnego sosu, którym wszystko polanę. Jestem w stolicy, zwanej HSPRK. Tłumaczki powiadają, jedna, Esprix, a druga — Hesperryda. Niech będzie Hesperryda. Będę pisał pod datami. Dziś jest piąty błotnia. To nie sos, to nektar. Skąd mogli wziąć przepis, jeśli my go nie znamy? W smaku — majonez z lukrecją. Wylewam, a resztki zeskrobuję ze sznycli łyżeczką. Prezes był dzisiaj znów, żeby zaproponować mi program pobytu. Mam jutro złożyć wizytę pierwszemu felicyjantowi. A może nazywa się inaczej, nie zauważyłem. Prezes już nie jest taki podobny do mnie, jak w pierwszym dniu. Widocznie to taki miejscowy obyczaj. Pędzę amorki precz, jak mogę, w obawie o moją tuszę. Muszę też pomyśleć, jak bez urażenia gospodarzy pozbyć się tego olimpijskiego tłumu. Meduzę przesłoniłem ręcznikiem, Kallipydze dałem mój płaszcz kąpielowy. Ale to tylko półśrodki.

## PIERWSZY INHIBITOR

Nie wiem, Mórego dziś błotnia, bo zgubiłem kalendarzyk. Dzięki Bogu pozbyłem się Olimpu oraz Prezesa Przyjaźni, który stawał się już niemożliwy. Zapewniał mnie, że moja twarz prawie nie budzi przerażenia. Wyzwoliny zawdzięczam Kikerixowi. Jest to młody historyk, a zarazem człekista (człekoznawca). Odwiedził mnie w hotelu zasłyszawszy o przybyciu człowieka. Pokazał mi, jak należy włączyć Meduzę (zasłaniałem ją ręcznikiem), żeby wszyscy bogowie skamienieli i rozpadli się w biały proszek, samoczynnie chowający się pod łóżkiem. Nie wiem, co go tam wciągnęło, lecz nie pytałem. Unikam zbyt wielu pytań, cóż bowiem myślano by w Hiltonie o gościu pytającym, czemu lampa świeci i jak rozmnaża się recepcjonistka. Mój nowy znajomy tak się ze mną zaprzyjaźnił, że zwę go poufale Kixem. Zaprowadził mnie do socjomatu, dla pogładowej lekcji historii. Nastawia się dowolne społeczeństwo, o parametrach powiedzmy romantycznych albo średniowiecznych, i rządzi się nim, zwykle we t dwóch. Jeden gracz włada, a drugi jest rządzoną społecznością. Grać w symulowane dzieje może zresztą większa ilość osób, zawiadując stronnictwami, armią, stanem średnim i tak dalej. Wygrywa ten, kto do końca półgodzinnej partii pozostaje górą. Wszystko razem z ruchami społecznymi biegnie z tysiąckrotnym przyspieszeniem i trzeba porządnie znać się na rzeczy. Byłem cesarzem, a Kikerix przywódcą mas. Zdetronizował mnie w pięć minut, włączywszy sobie silny charyzmat. Darmo usiłowałem przeciwdziałać edyktami, a widząc, że źle, popełniłem kardynalny błąd, zmniejszając daniny. Trzeba znać teorię. Likwidując nędzę, galopem zwiększa się apetyty nad stan i ryzykuje wrzenie gorsze niż w biedzie. Socjomatyka to trudna sztuka. Nie wiedziałem na przykład, że brak braków to nie żaden plus, lecz zero, a najważniejsze są parametry niewidzialne, zwłaszcza przeżyć. Im kto wyżej stoi na drabinie społecznej, tym mniej odczuwa braki swego czasu, opływając we wszystko, ale ważniejsze może być to, czego nie widać. Wielkości obserwowalne nie równają się przeżyciom, ot, dla arystokratki brak zaproszenia na dworski bal będzie tak samo silnym nieszczęściem, jak dla ubogiej wieśniaczki brak chleba dla dzieci. Niby to się wie, ale dopiero u sterów Socjomatu można się przekonać o tym na własnej skórze. To naprawdę niezwykła gra, społeczeństwo zachowuje się bowiem jak żywe; można na nie wpływać, urabiać opinię, łagodzić obietnicami, ale w miarę i do czasu, gdyż pamięta wszystko i reaguje po swojemu. Poza tym są dziejowe : gry różnego stopnia trudności. Po włączeniu rewolucji naukowo-technicznej władza całkiem mięknie albo twardnie, bo szalenie trudno. balansować pośrodku. Zawisć nizin, mówił Kikerix, wsparta szlachetnością meliorystów, pcha historię ku egalitaryzmowi, który przynosi więcej rozczarowań niż satysfakcji, bo i wśród równych zdaje się, że najlepiej mają inni.

Dziwne, jak mogłem pominąć w Szwajcarii historiografię przedbystrowego stulecia, ale tak się stało. Oni mieli te same kłopoty co my, bo wpadli w koszmar motoryzacji, w kryzys energetyczny, w chaos monetarny, w zamęt polityczny i tak jak my sądzili, że lecą w otchłań. Gdy im się wyczerpały energodajne surowce, doszło do syntezy mikroobów przerabiających byle śmieci w paliwa. Bacillus benzinogenes, Spirochaeta oleopoetica, kupowane w tabletkach jak drożdże winne, Wrzucało się do baku, pełnego odpadków, zalewało wodą i to był koniec naftowych krezusów. Cały wczorajszy dzień spędziłem z Kixem w muzeach. W Muzeum Techniki widziałem bakteryjny warsztat tkacki., Trzeba rozebrać się do goła i wleźć do pojemnika, dosyć podobnego do wanny. Człowiek leży zanurzony w letnim roztworze, a gdy wyłazi po kwadransie z tej kąpieli, ma już na sobie odzież, wykonaną przez Bacterium Sartoriferum (pałeczkę krawiecką), trzeba tylko ten strój rozciąć, zdjąć, wyprasować i powiesić w szafie. Guzików nie trzeba przyszywać — powstają z krzepnącej wydzieliny małych moli w szafie, oczywiście nie zwykłych moli, lecz przesterowanych inżynierią genową. Jeśli ubranie ma być zimowe, dodaje się Vibrio Pelerinae albo podobny szczep,



wytwarzający coś na kształt watoliny. Są nawet przecinkowce podszewkowe, podług życzeń klienteli co do kroju, barwy, faktury tkanin i tak dalej. Tyle że ta innowacja konfekcyjna spotkała się z powszechnym obrzydzeniem i nie wykorzystana zmarła naturalną śmiercią. Te tak zwane „tkające” bakterie zlikwidowały jednak prawie cały przemysł opakowań i oczyściły Luzanom środowisko, w odmianach śmieciożernych oraz trutkochłonnych, tymczasem jednak równoległe .. do mikroinżynierii biotycznej szła dalej automatyzacja i liczba bezrobotnych rosła w skali geometrycznej. Państwo trzeszczało pod ciężarem zasiłków. Praca stawała się wyjątkiem, bezrobocie — regułą, przyszły insurekcje, niszczenie industrialnych robotów, walki uliczne, zdawało się, że to już koniec. Uczonych praktyków, a szczególnie wynalazców i racjonalizatorów przyszło rządowi kryć po specjalnych podziemnych bunkrach, maskować i ratować, kiedy lud brał się do nich, jako winnych okropnego stanu, w którym postęp okazał się katastrofą. Ale cóż, nic już nie mogło zawrócić ich z tej drogi i następna generacja odstąpiła od prześladowań. Otwarty się właśnie upusty niewyczerpalnej energii, branej prosto z Kosmosu (nie wiem jednak wciąż, jak to robią), Kikerix zwie ten okres konsumpcyjnym potopem. Samochodów przybywało już milionami, a w ich produkowaniu doszło do eskalacji utwardzeń, wywołanej powszechnym wzrostem agresywności. Wtedy wytwarzano jeszcze te auta (dość nawet i podobne do ziemskich) tłoczeniem z metalowych blach i odpowiadając na życzenie nabywców producenci zaczęli wzmacniać karoserie, potem doszło do umieszczania w zderzakach specjalnych kłów i ostróg, a kto nie chciał jeździć pancernie wzmocnionym wehikułem, ryzykował roztrzaskanie na najbliższym rogu ulicy. Sądownictwo motoryzacyjnych wykroczeń załamało się pod lawiną spraw i taranowania stały się legalne; szkody opłacało Ubezpieczenie. Młodzież zabawiała się polowaniem na usługowe automaty, okazując szczególną predylekcję kabinom telefonicznym i nie pomagały ani pancerne szyby, ani stal, w którą zakuwano książki telefoniczne. Co do wytwarzanych domowym sposobem bomb, ich podkładanie było tak nagminne, mówił Kikerix, że gdy ulicą wstrząsał kolejny wybuch, tylko najbliżsi przechodnie padali na ziemię. Idący dalej nawet nie odwracali głów, zresztą nosiło się już wtedy osobiste kokony bezpieczeństwa, nadymające się pianą przeciwołamkową na odgłos eksplozji, rzecz nieodzowna, skoro ten, kto miał pretensje do piekarni, poczty czy warsztatu naprawczego, nie bawił się w żadne zażalenia, lecz wysadzał zniechęconą placówkę w powietrze. Żył się coraz bogaciej i coraz niebezpieczniej, bo darmowe uciechy rosły razem z powszechnym zagrożeniem. W muzeum oglądałem stroje wieczorowe podbite hartowanym włóknem tantalowym, moda pod presją siły wyższej zezwalała na noszenie meloników z przeciwpancernym denkiem, a jednak liczba ofiar wciąż szła w górę. Automatykę samoobrony wprowadziły jako pierwsze instytucje użyteczności publicznej, co wywołało jednak nowy typ ryzyka, bo, jak mi tłumaczył Kikerix, jeśli się zbyt energicznym ruchem podrapał w głowę, wchodząc do budki telefonicznej, albo sięgnąłeś nie dość łagodnie po słuchawkę, mogłeś w okamgnieniu zostać chwycony stalową garścią za kołnierz i wyrzucony na ulicę, a przy stawianiu oporu nieraz trzasnęło i zebro. Ówczesne czujniki były jeszcze nie dość selektywne. Przez cały dzień snuło się ulicami wycie karetek pogotowia, a wieczorem ciężkie sprzętaki ścigały z ulic stosy rozbitych wraków samochodowych. Także architektura uległa przemianom — nie zapowiedziany gość nie mógł się dostać do obcego domu, a dzwoniąc do bramy należało cofnąć się w bok i przyjąć na wpół kuczną postawę, żeby odskoczyć w porę, jeśli od nieporozumienia drzwi otwarły się straszliwym zamachem ku ulicy, usiłując grzmotnąć natręta w czoło. Każdą sień można było w parę chwil zatopić szybko tężejącą cieczą i niejeden intruz utonął jak mucha w smole. W kławkach tkwiły magnetometry, więc kto chciał sąsiadowi bombę podłożyć, musiał użyć niemetalowej, co też zresztą nie gwarantowało sukcesu, bo pojawiły się już olfaktoryczne czujniki, tak wrażliwe na zapach materiałów palnych i wybuchowych, że wystarczyło mieć w kieszeni starą zapalniczkę benzynową, by zostać wtrąconym przez zapadnię u bramy do lochu, telewizyjnie połączony z najbliższym komisariatem policji. Otwarte widownie stały

się w teatrach i salach koncertowych przeszłością, skoro przy pierwszym kiksie tenora, przy fałszu skrzypiec albo po prostu niezadowoleniu z niemiłej mu interpretacji adagia zirytowany meloman sięgał pod fotel, gdzie miał przyniesiony kulomiot, więc każde miejsce na parterze jak i na balkonach mieściło się pod przezroczystym kołpakiem, odmykającym się dopiero na dźwięk dzwonka, obwieszczającego antrakt, a kto by w środku przedstawienia czy opery poczuł naturalną konieczność, musiał sobie radzić bez opuszczania sali, odkąd folgowanie owym potrzebom stało się typowym pretekstem dynamitardów. W kolejkach podziemnych, ale i w tramwajach toczyły się nieraz regularne bitwy, aż dano motorniczym prawo uruchamiania dennych wyrzutni w wagonach nowego typu; bywało więc, że z pędzących po szynach pojazdów wylatywały całe kłęby wczepionych w siebie osób i turlały się po bruku, sprawnie omijane przez opancerzonych przechodniów. Ośmieliłem się powiedzieć Kikerixowi, że to jakieś okropne, śmieszne i nie do wiary; trafiła jednak kosa na kamień, boż jest człekistą i od razu przypomniał mi nasz dyplomatyczny bandytyzm; a wszak posłów nie tykali na Ziemi i ludożercy, nawet najsmaczniejszych. Szczególnych problemów nastęrczały roboty, gdy stały się ulubionym obiektem miejskich polowań. Trup padał gęsto, kto bowiem pragnął uchronić swego pokojówce przed ustrzeleniem, odziewał go we własne ubranie, więc co zapaleńszy myśliwy miał brać dostrzeżonego na spytki, kładł go cełnym strzałem na miejscu, tłumacząc się potem, że wziął ofiarę za robota. Aczkolwiek było to surowo zabroniene, niektórzy przecież zbroili swe roboty, by odpowiadały ogniem, na ogień, a nawet zdarzało się, że ideowi przeciwnicy takich polowań rozmyślnie wysyłali na linie strzału roboty-pułapki; niezdolne ani do sprzątania, ani do mycia lecz .zionące za to maszynowym ogniem do myśliwych, albo i takie specjalnie budowane sztuki, co padały na odgłos strzału, choć nie trafione, a gdy strzelec rad i wesół nastąpił na leżącego przykładając do ust róg, żeby obwieścić swój triumf, rzekome trofeum wpijało mu stalowe kły w tydę. Co znów jednych członków myśliwskiego klubu rozwścieczało i animowało do użycia zdalnych pocisków rakietowych, podczas kiedy inni uznawali tę łowiecką eskalację za rzecz nie tytlko naturalną, ale nawet miłą, uważając, że wzmożone ryzyko stanowi łechczywą przyprawę sportu, bo i polowania na tygrysy są bardziej honorowe od uśmiercania szaraków. Kiedy zaś weszło w modę polowanie z aut, przekształcających się coraz jawniej w pancerki z miotaczami ognia, kiedy dzielnicę Hesperydy zniszczył pożar, powstały od starcia dwóch skłóconych towarzystw łowieckich, niezdecydowany dotąd rząd przychylił się na stronę rzeczników etykosfery — jak powiadają do dziś jej zwolennicy, w ostatniej minucie przed dwunastą.

Rozumiejąc, że nagromadzonej w społeczeństwie agresji nie można po prostu z dnia ha dzień unicestwić, lecz należy jej dać nieszkodliwe upusty, twórcy etyfikacyjnego projektu zadbali o wygospodarowanie znacznych środków na budowę instytucji szałochłonnych. Wiele z nich działa po dziś dzień. Wspomnę o kilku, bo sądzę, że podobne i nam mogą się przygodzić. Aby zaczynać od małego — Luzanie mają od dawna już we zwyczaju stawiać pomniki osobistościom wybitnym, a zarazem znieawidzonym. Są to tak zwane pomniki niesławy; niekiedy postument otaczają podobne do brązowych urn rozłożyste spluwaczki. Taką wielką alegoryczną grupę z kutymi przekleństwami wystawili mieszczanie jeszcze w ubiegłym wieku trzem Pseudoxixar'om. Ponadto każdy — dawniejszych polityków, który, położył szczególnie fatalne zasługi, przyczyniając się do .powszechnego nieszczęścia; ma swój posągi a co najmniej popiersie; odlewają je. ze specjalnych mas elastycznych, bo inne zbyt szybko ulegają zużyciu. Kikerix zapewnił mnie, że ta sfera plastyki stawia szczególnie wysokie wymagania zarówno twórcom, jak wykonawcom, gdyż podobizny osób w niesławie trzeba produkować z tworzyw odkształcających się wprawdzie, ale powracających przez noc do pierwotnego wyglądu. Praktyka wykazała zresztą, że opłaca się stawiać z tych samych mas pomniki także wielce zasłużonym, bo zawsze trafi się ktoś żywiący do takich zasług zastrzeżenia, a koszty remontu, zwłaszcza monumentów wielkogabarytowych, są znaczne. Dla prowincjuszy zwiedzających Stare Miasto w grupach oraz dla wycieczek szkolnych są

przyszykowane na tyłach każdego pomnika niesławy dyskretnie wtulone między żywo płoty skrzynie z odpowiednimi narzędziami, bo musi być zachowana należyta proporcja między ich rażliwością a wytrzymałością posągu. Wyjątek z reguły, oddzielającej sławę od niesławy, stanowią jedynie twórcy etykosfery, zwani jej Ojcami. Żeby położyć kres ciągłym zwadom i starciom u ich piedestałów, przyszło upamiętnić te postacie dwoma oddalonymi od siebie zespołami pomników; podług żywionych przekonań każdy może skierować kroki do tych bądź do tamtych z naręczem kwiatów lub z czymś odwrotnym.

Tak się szczęśliwie złożyło, wyjaśnił mi Kikerix, że automatyzacja przemysłu położyła kres pracy fizycznej w tymże czasie, w którym uruchomiono pierwsze wielkie bystrownie i choć dalekie były od doskonałości, już w trzecim roku po ich ruszeniu liczba nagłych zgonów poczęła spadać, aczkolwiek świat przestępczy na równi z towarzystwami łowieckimi, bandami chuliganów, jako też ekstremiści i inne ugrupowania nie widzące żadnego sensu w życiu wyzbytym przelewu krwi, masowo emigrowały z miast na niezbystrwaną na razie prowincję. Z kolei tłumy uciekinierów z tak nawiedzonych miasteczek i osiedli pociągnęły do wielkich ośrodków urbanistycznych, co wywołało istną wędrówkę ludów.

Był to okres śmiałych eksperymentów socjalnych. W jednym z przystolicznych okręgów próbnie wprowadzono darmowy konsumeryzm bez jakichkolwiek ograniczeń, po zwalczeniu w parlamencie gwałtownego sprzeciwu wielkich przemysłowców, upierających się przy prawach rynku i towaru, chociaż koszty własne wytwarzania wszystkich dóbr jawnie zmierzały ku zeru. Energia nie kosztowała już nic, dostępna jak powietrze, a bodajże jeszcze bardziej, bo niewyczerpalna jako pobierana z przestrzeni kosmicznej.

Bezpłatność dóbr i usług dała niestety okropne rezultaty. Kto żyw gromadził góry zbędnego dobytku, silił się na szaleńcze ekstrawagancje, żeby prześcignąć blichtrzem posiadania sąsiadów, krewnych, kogo się dało, a tak wyzwani też nie zakładali rąk. Przyszło budować na zapleczach domostw magazyny i składy odzieży, klejnotów, żywności, część tych dóbr bezpożytecznie niszczała, a trud ich gromadzenia stawał się jawnie nieposilny, co z kolei wtrącało nowobogackich w taką frustrację, że przestrajali pokojowe roboty na prywatne oddziały szturmowe, żeby nękać innych obywateli i doszło do potyczek, a nawet wojen literalnie domowych, jako toczonych między poszczególnymi kamienicami. O co? O nic. Przyszło wreszcie jedno miasto, już stojące w ogniu pożarów, zaryglować i rozbijać, we wstrząsających murami eksplozjach bomb i kartaczy.

Niby z góry było wiadomo, że absolutny dobrobyt korumpuje absolutnie, znaleźli się jednak idealisci–optymiści wierzący, że lud wrychle się wyszumi. Obecny system, wprowadzony z górą sto lat temu, zadał kłom tamtym idealnym rojeniom. Każdemu obywatelowi przyznaje się kwantum energii do zużycia w ciągu roku. Może ją zużyć na co chce. Można więc obrócić przydział w trzysta tysięcy par spodni ze złotymi lampasami albo w górę czekolady o marcepanowych urwiskach, albo w dziewięćset platynowych latapterów zmuzyfikowanych i tak nagłośnionych, że gdy już nikną za horyzontem, słychać jeszcze ich jerychońską muzykę, lecz nikt już tak obłądnie nie trwoni zasobów, bo trzeba się liczyć z wydatkami, a przydziału nie można zaoszczędzić ani łączyć go z przydziałami innych osób, żeby nie doszło do powstania jakichś tajnych koalicji czy innych wywrotowa zorientowanych zrzeszeń. To, co potrzebne, powołują do chwilowego bytu, a po użyciu wyłączają jak my światło elektryczne. Nie ma żadnych unikalnych przedmiotów i jako podarunek może posłużyć tylko całkowicie oryginalna informacja —o czymś takim, czego nikt jeszcze nie ma, bo nie słyszał o tym i sam też na to nie wpadł. Upominkiem może być więc jedynie coś na kształt przepisu albo recepty. W gruncie rzeczy prawdziwie nowych informacji tego rodzaju nie ma, boż wszechmożliwe tkwią w komputerowych spisach dóbr, a ich niedostępność wynika jedynie z przeraźliwego nadmiaru skomasowanych wiadomości. Byłem z Kikerixem w galerii malarstwa i rzeźby, gdzie na poczesnym miejscu stoi posąg Daxaroxa, polityka, który pierwszy propagował tworzenie tak zwanych deboszarni, czyli szałochłonów. Są to

przybytki, dostępne dla wszystkich osób pełnoletnich, gdzie można dać folę agresywnym namiętnościom. Nie brak Encjan uważających, że Daxarox był to prawdziwy mąż stanu beznadziejnego, lecz ma on i krytyków. Z porady mego przewodnika udałem się do autoklazu. Jest to olbrzymi kopulasty gmach przypominający z zewnątrz okrągły welodrom. Trzeba sobie wybrać pojazd ze stojących na ogromnym podziemnym parkingu, po czym wyjeżdża się pochylnią na zwykły miejski plac, pod otwartym niebem. Wolno tam wszystko — taranować inne samochody, gonić przechodniów, ścieląc szlak przejażdżki trupami i wrakami, a nawet wjeżdżać do domów, walących się z łoskotem w chmurach wapiennego kurzu i w chaosie szczątków. Nie wiem, jak wytwarzane są te miraże, bo wrażenie realności jest nie do zwalczenia. Podobno są tacy, co całe dni spędzają w autoklazach, odczuwając grozę n samą myśl o powrocie pod opiekę etykosfery, tak mają je dość. Istnieją też deboszarnie innego typu, można w nich bezkarnie mordować, podpalać, łupić i nękać upatrzonych dc setnych potów i utraty tchu, ale jakoś nie przyszła mi na nie ochota. Kikerix uważa, może i słusznie, że między amatora—j mi tych przybytków i miłośnikami krwawych widowisk w rodzaju walki byków lub filmów kipiących zbrodnią zachodzi różnica stopnia, ale nie rzeczy. Jedni znawcy widzą w wyszalnikach wzmacniacze niskich instynktów, wzmagające frustrację osób z przyrodzenia okrutnych, inni natomiast zwa to upustem złej krwi, wentylem bezpieczeństwa i psychotechniką defrustrującą nazbyt usilnie pacyfikowane dusze obywateli. Krążą pogłoski, jakoby deboszarnie znajdowały się pod tajną kontrolą Ministerstwa Prewencji i każdy, kto popanoszył się zastępczo i fikcyjnie, ma kartotekę występnych skłonności, żeby można mu było podług jej brzmienia nasyłać odpowiednio przeciwdziałające bystry. Opozycjoniści unikają tych obiektów jak zarazy, mając je w największej pogardzie. Nie brak fatamorganowych symulatorów i poza miastem, na specjalnych łowiskach, gdzie od broni zapalonych myśliwych pada najgrubszy zwierz — kurdle, a nawet tysiactonowe ogniomiotne pyrozaury. Bodaj stąd wzięły się w ziemskich materiałach sprzeczne wieści o smokach zionących ogniem, gdyż one zarazem istnieją i nie istnieją, skoro są fantomami. Nie ja jeden popełniłem fatalną omyłkę, biorąc rozrywki obcej cywilizacji za jej rzeczywistość. To samo dotyczy też tak zwanej latonizacji; naturalnej wielkości manekiny, ludzaco podobne do wybranych osób, można sobie zamawiać w filiach Dodomu; Dodom wytwarza wszystko dla gospodarstwa domowego, także na indywidualne obstalunki i nikt tam nie pyta klientów, co zamierzają uczynić z żądanymi obiektami, podobnie jak ziemski konfeksjonista nie okazuje ciekawości, co nabywca odzieży pragnie z nią począć. To po prostu nikogo nie obchodzi, a różnica tylko w tym, że na Encji można zamówić sobie dowolnego androida jak lodówkę.

Kikerix powiada, że choć nie więcej niż 10% wszystkich Encjan pracuje, liczba pracujących z roku na rok wzrasta, bo mimo dosytu i niezliczonych rozrywek bezrobocie doskwiera bardziej, niż to się mogło komukolwiek zdawać w dawnych czasach niedostatku i harówki. Głównym dylematem wciąż jest podług niego zbyt łatwa dostępność wszelkich dóbr i uciech, bo co darmowe, diabła warte; powstają tedy plany swoistych utrudnień i komplikowanie życia, gdyż dolce far niente przyprawia niemały odłam ludności o czarną rozpacz i byłoby doskonale, gdyby społeczeństwo zechciało zaaprobować takie projekty, cóż jednak czynić, skoro nie chce. Objawia tę niechęć w okresowo przeprowadzanych plebiscytach i jedynym wyjściem zdaje się stąd aplikowanie przeszkód na drodze życiowej w zupełnie nowym stylu, boż nie o to przecież idzie, żeby tych czy owych produktów miało po prostu jednego dnia zabraknąć i ludzie zamiast do deboszarni poszli ustawić się w ogonkach za serem. Nikt nie wie jednak, jak ukonkretnić zamysły tego rodzaju, bo cokolwiek ma ulec zmianie, wymaga społecznej zgody, więc tym samym trudności nowego typu muszą być zaaprobowane, a nie narzucone. Bardzo trudna sprawa, trząśł ptasią głową mój przewodnik, to kolebanie się między pokusami kryptokraeji i hedonizacji, toż namnożyło się i takich, którzy pędzą życie abnegatów, z domu nie wychodzą, noszą tę samą odzież, aż się rozleci, bo

sama fatyga wyboru w panującym nadmiarze przyprawia ich wolę o istny paraliż.

Pytałem Kikerixa o Kliwę Czarną i odniosłem wrażenie, że pytanie było mu nie w smak. Zamiast odpowiedzieć, wziął mnie na spytki, co wiem o Kliwii, a gdy wyjawilem, oświadczył, że to w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach fałsz złożony z przekręceń i nieporozumień, a reszta też jest wątpliwa. Jakże więc było naprawdę? Naprawdę, odparł, robiliśmy dla Kliwian, co było w naszej mocy. Wskutek złych warunków klimatycznych cierpieli często od nieurodzajów, dostarczaliśmy im moc żywności, tak samo zresztą jak Kurdlandii a oni, to znaczy ich rząd, dalej głodził swe społeczeństwo, żeby zgromadzić strategiczną rezerwę na czas szykowanej przeciw ‘nam agresji, więc jeśli dodawało się do eksportowanych produktów ciał udaremniających dłuższe magazynowa—^ nie, była to z naszej strony elementarna zapobiegliwość, nici więcej. A cóż miało być w tym więcej? — spytałem, on zaś uśmiechnął się niewyraźnie i powiedział, że powstało stąd wiele oszczerstw i pomówień, które prędzej czy później do, mnie dotrą. Rozmowa o Kliwii wywołała między nami wyraźny rozdźwięk.

\* \* \*

Z jazdy do Instytutu Uszlachetniania Środowiska zapamiętałem tylko zaskoczenie, wywołane wzlotem windy, pomknęła bowiem w górę, a potem z trzaskiem ładowanego do broni naboju przeskoczyła nad dachem hotelowym na tor, przypominający płaską tęczę, bo biegł nad miastem łukiem zawieszony bez jakichkolwiek podpór i jaśniał siedmioma barwami widma słonecznego. Potem zrobiło się ciemno, podłoga miękko zapadła się pode mną, pojemnik znieruchomiał, jego ściana otwarta się wzdłuż niewidzialnego szwu i na tle roślin o wielkich białych kwiatach ujrzałem wysokiego Luzanina z ludzką twarzą, odzianego w jednorzędowy garnitur i śnieżystą koszulę, jakby wyszedł prosto od paryskiego krawca, nawet klapy marynarki i kołnierzyk koszuli miał skrojone podług najnowszej mody — tej sprzed dwustu lat! I to było cząstką świadczonych mi uprzejmości, bo miejscowi nie tak się noszą. Luzanin czekał mnie z wyciągniętą już ręką, jakby w obawie, że zapomni, jak należy witać się z człowiekiem, a gdy podałem mu dłoń, włożył mi do garści swoją razem z kciukiem. Był to Tipp Tippilip Tahalat, dyrektor IUS-u, blondyn o czarnych oczach. Chętnie bym się dowiedział, jak to jest z tymi twarzami. Zamiast tłumaczki w klapie, miałem po małym metalowym krążku nałożonym na małżowinę każdego ucha, dzięki czemu słyszałem wszystko tak, jakby mowa ziemską płynęła Luzanom z ust. Oni chyba tak samo mnie słyszeli. Poczulem pewną ulgę od niezręczności, jaką Tahalat objawił przy podaniu ręki, ujawniła bowiem lukę jego wiedzy o ziemskim obyczaju, a cóż peszy bardziej od doskonałości obcych. Tahalat poprowadził mnie do sali zaiste zdumiewającej, całym urządzeniem patrzała bowiem na konferencyjną salę jakiegoś wielkiego ziemskiego banku, i to z przełomu XX wieku. Długi, zielonym suknem kryty stół między dwoma rzędami czarnoskórych foteli, matowe mleczone okna, między nimi — oszklone szafy, jedne biblioteczne, pełne grubych książek, wśród których dostrzegłem tomy roczników Lloyda, inne z modelami okrętów żaglowych i parowych, i znów pomyślałem, że zadają sobie doprawdy zbyt wiele trudu, urządzając takie przedstawienie aa okazję jednej rozmowy z Ziemianinem! Usiedliśmy przy małym stoliku opodal okien, pod rododendronem rosnącym z majolikowego kubła, między nami dymiła maszynka z moka i stała jedna filiżanka, dla mnie, przy srebrnej cukiernicy z brytyjskim lwem zdaje się, natomiast na gospodarza czekało coś niby gruszka na nóżce czy też grzyb w lazurowym kapeluszu, Tahalat przeprosił mnie, że nie będzie pił tego, co ja, ale nie nawykł, liczy więc na moją wyrozumiałość. Zapewniłem go, że okazują mi zbyt wiele uwagi, i takeśmy się przez chwilę certolili, ja mieszając cukier w filiżance, a on — bawiąc się gruszką-grzybkiem, która miała nie ogonek, lecz rurkę i zawierała jakiś płyn. Tahalat

nawiązał do mej fatalnej przygody, aby powiedzieć, że wyszedłem z niej cało dzięki etykosferze, choć może nie zdaję sobie z tego sprawy. U przeciwartystów nic mi nie groziło, dodał, a co się tyczy Hydian, żyją w rezerwacie, który jest zbystrowany tylko powierzchownie. Gdy się więc dowiedziano, że mnie uprowadzili, zwiększono lokalne stężenie bystrów, żeby przeniknęły do podziemia.

— Od pana dowiem się wreszcie, jak one działają, te bystry — powiedziałem, skrycie dziwiąc się wybornemu smakowi luzańskiej kawy.

— Najlepiej praktycznie — rzekł dyrektor. — Czy wolno prosić, ażeby pan był łaskaw mnie spoliczkować?

— Jak proszę?

Pomyślałem, że tłumaczenie zawiodło, lecz dyrektor powtórzył z uśmiechem:

— Proszę, aby pan był uprzejmy wymierzyć mi policzek. Przekona się pan, jak działa etykosfera, a potem omówimy to doświadczenie... Chyba wstanę i poproszę, żeby pan też wstał, tak pójdzie łatwiej...

Postanowiłem dać mu w twarz, skoro tego pragnął, i stanęliśmy naprzeciw siebie. Zamachnąłem się w miarę, boż nie chciałem zwalić go z nóg, i znieruchomiałem z odwiniętą ręką, bo coś mnie powstrzymało. To był rękaw marynarki. Stężał w blaszaną rurę. Usiłowałem zgiąć przynajmniej ramię w łokciu i przy największym wysiłku częściowo mi się to udało.

— Widzi pan? — rzekł Tahalat. — A teraz proszę zaniechać policzkowania...

— Zaniechać?

— Tak.

— No, dobrze. Nie dam panu w ...

— Nie, nie. Nie o to chodzi, żeby pan to powiedział. Musi pan to sobie przyswoić solennym wewnętrznym postanowieniem.

Zrobiłem mniej więcej to, co mówił. Rękaw zmiękł, ale niezupełnie. Czuję wciąż jego nienaturalną sztywność.

— Bo pan nie odszedł jeszcze ze wszystkim od tego projektu...

Staliśmy patrząc na siebie dalej i po chwili materiał stał się zwyczajnie wiotki.

— Jak to się dzieje? — spytałem. Byłem w marynarce przywiezionej z Ziemi. Popielatej, w drobny szaroniebieski rzucik, szewiotowej. Obejrzałem materiał rękawa z bliska i zauważyłem, że maleńkie włoski tkaniny teraz dopiero kładły się, niby sierść najpierz zagrozonego, a potem uspokojonego zwierzęcia.

— Zamiar agresji powoduje zmiany w ustroju. Adrenalina wpływa do krwi, mięśnie sprężają się nieznacznie, zmienia się równowaga jonów i tym samym elektryczny ładunek skóry — powiedział dyrektor.

— Ależ to jest moje ziemskie ubranie...

— Toteż nie chroniło pana w samej rzeczy od początku, ale już po jakichś trzech godzinach. Co prawda niedokładnie — bystry przepoily wprawdzie materiał, ale pozostał pan dla nich istotą nie znaną, dlatego zareagowały w pełni, dopiero gdy zaczął się pan dusić, tam, w tej ziemiance, nieprawdaż...

— To one rozerwały obrożę? — zdumiałem się. — Jak to może być?

— Obroża rozpadła się sama, bystry wydały tylko rozkaz. Będę to musiał objaśnić panu bardziej szczegółowo, bo to nie całkiem proste...

— A co by było — przerwałem mu, tknięty nową myślą — gdybym tak zdjął marynarkę...? — Przypomniałem sobie naraz, jak tam, w piwnicy, wszyscy usiłowali się na gwałt rozebrać.

— Ależ bardzo proszę... — powiedział dyrektor.

Powiesiłem marynarkę na oparciu krzesła i obejrzałem moją koszulę. Coś się działo z popeliną w różową kratkę — jej mikroskopijne włókienka nastroszyły się.

— Aha... koszula się już aktywizuje — rzekłem domyślnie. — A gdybym tak zdjął i koszulę?

— Bardzo serdecznie zapraszam pana do zdjęcia koszuli... — rzekł gorliwie, wręcz rozentuzjasmowany, jakbym odgadł życzenie, którego nie śmiał wprost wyrazić. — Proszę się nie krępować...

Dziwne było rozbierać się w tej wytwornej sali, w jasnej wnęce obok okien pod palmą. Wyglądałoby to bodaj nie; tak osobliwie, gdybym się obnażał w bardziej egzotycznym otoczeniu, ale metodycznie rozwiązałem krawat, nagi do pasa podciągnąłem spodnie i spytałem: — Czy można, panie dyrektorze?

Aż przesadnie wysunął twarz w moją stronę, ja zaś, nic już nie mówiąc, odwinąłem się na z lekka rozstawionych nogach, które tak gwałtownie mi się rozjechały, jakby posadzka była z naoliwionego lodu, i runąłem jak długi pod stopy Luzanina. Pomógł mi troskliwie wstać, a ja wtedy prostując się, niby to niechcący dałem mu łokciem w brzuch i aż jęknąłem, gdyż było to, jakbym huknął łokciem w beton. Czyżby miał jakiś pancerz pod ubraniem? Nie, widziałem jego cienką białą koszulę między połami marynarki. To musiała być ta koszula. Udając, że ani próbował dać mu w dołek, siadłem, aby po kolei obejrzeć podeszwy bucików. Nie były już ani trochę śliskie. Najzwyklejsza w świecie skórka zelówek i profilowane obcasy gumowe, jakie zwykle noszę, bo uelastyczniają krok. Przypomniały mi się zbiorowe upadki artystów, kiedy hurmą szli na mnie pod bokiem anioła. A 'więc to dlatego! Podniosłem głowę i zajrzałem w nieruchome oczy rozmówcy. Uśmiechał się wyrozumiale.

— Bystry w podeszwach? — odezwałem się pierwszy.

— Istotnie. W podeszwach, w ubraniu, w koszuli — jednym słowem wszędzie... Tuszę, że nie zrobił pan sobie nic złego...?

Ukryty za tymi słowami sens był mniej grzeczny: „Gdybyś nie zamachnął się tak mocno, to nie zwałiłyś się z nog”.

— Nie ma o czym mówić. A gdybym rozebrał się do naga...?

— Wtedy, no cóż, rozmaicie bywa... nie mogę powiedzieć panu dokładnie, co by zaszło, bo sam nie wiem. Gdyby można wiedzieć, dałoby się może obejść zmyślenia, czyli zabezpieczenia moralne... proszę łaskawie zważyć, że filtrem agresji jest całe otoczenie, a nie tylko odzież...

— A gdybym gdzieś, w jakimś ustroniu, rzucił panu kamieniem w głowę?

— Przypuszczam, że kamień zostałby uchylony w locie albo rozsypałby się przy uderzeniu...

— Jak może się rozsypać?

— Z wyjątkiem nielicznych miejsc jak rezerwaty, nie ma już u nas nigdzie nieuszlachetnionych substancji...

— Jak to — i płyty chodników też? I żwir na ścieżkach? I mury? Wszystko jest sztuczne?

— Nie jest sztuczne. Jest nabystrowane. W tym tylko sensie, jeśli pan chce, sztuczne — mówił cierpliwie, dobierając wyrazów z uwagą. — To było nieodzowne.

— Wszystko — wszystko jest z tych elementów logicznych? Ależ to musiało spowodować niesamowite koszty...

— Koszty były znaczne, zapewne, ale znów nie aż niesamowite, bo to jest w końcu nasza podstawowa masa produkcyjna...

— Bystry?

— Tak.

— A zimą? Chmury? Gdy zamarza woda? I czy wodę można w ogóle zbystrować?

— Można. Wszystko można, proszę pana.

— Artykuły spożywcze też? Ta kawa...?

— Tak i nie. Być może wprowadziłem parta niechcący w błąd co do technologii. Pan

sądzi, że wszystko jest sporządzone z SAMYCH bystrów. Wyłącznie z nich. Tak nie jest. One tylko znajdują się we wszystkim, jak, powiedzmy, zbrojeniowa stal w ziemskim żelazobetonie...

— Ach tak? Więc, powiedzmy konkretnie — są w tej kawie? pływają w niej? ale ja nie czułem, pijąc...

Musiałem mieć na twarzy grymas niesmaku, bo Luzanin rozłożył ręce z ubolewaniem.

— W tej ilości kawy mogło być około miliona bystrów, ale one są mniejsze od ziemskich bakterii, nawet od wirusów, a to żeby nie można ich odfiltrować... Podobnie jest z włóknem pana odzieży, ze skórą obuwia, ze wszystkim.

— Więc bezustannie dostają się w głąb organizmu? Z jakim skutkiem? Czy mam je już we krwi — i w mózgu?

— Co też pan! — podniósł ręce obronnym ruchem — opuszczają organizm nie zmieniony. Ciało jest dla nich terenem nietykalnym, zgodnie z naszą ustawą zasadniczą. Istnieją, owszem, specjalne bystry antybakteryjne, lecz stosują je tylko lekarze, w przypadku zawleczonej z zewnątrz choroby, bo nad terenem Luzanii nie ma już żadnych drobnoustrojów chorobotwórczych... Może przejdziemy teraz do dalszych eksperymentów...?

Podszedł do stołu i wyciągnął szufladę. Leżało w niej sporo większych i mniejszych gwoździ, młotek i obcęgi.

— Może zechce pan wbić gwóźdź w blat? — stuknął palcem w płytę palisandrowego stołu.

— Nie chciałbym rujnować panu mebli...

— To doprawdy nie ma znaczenia.

Wziąłem do ręki półkilowy młotek i kilka sporych gwoździ. Zadzwoiłem jednym gwoździem o drugi, po czym kilkoma mocnymi uderzeniami młotka wbiłem czterocalowy gwóźdź do połowy w drewno, aż politura odprysnęła wokół lśniącoymi drzazgami. Uderzyłem go z boku — zadźwięczał jak ka—merton. Dyrektor podał mi obcęgi i wyteżywszy się, bo gwóźdź tkwił mocno, wyrwałem go, prawie nie skrzywiony.

— I cóż, czy mam go teraz wbić panu... w głowę? — zapytałem — domyślnie.

— Bardzo proszę...

Żeby mi było wygodniej, usiadł lekko pochylony, a ja bez pośpiechu zdjąłem trzewiki ze skarpetkami — nie miałem ochoty wylądować jeszcze raz na podłodze — po czym przyłożyłem mu gwóźdź do czaszki i zamarkowałem uderzenie młotkiem, dosyć lekko, ale tak, że dyrektor drgnął. Zawahałem się, on atoli pospieszył ze słowami:

— Proszę bardziej zdecydowanie... śmiało... Walnąłem więc młotkiem w chropawy łebek i gwóźdź znikł. Po prostu znikł — tylko w garści, w której go trzymałem, została mi szczypta szarego jak popiół mialu.

Tahałat wstał, otworzył drugą szufladę, leżały w niej igły, szpilki i żyletki. Wziął ich przygarść, włożył w usta i ruszając powoli szczękami, gryzł aż połknął. Było to całkiem jak na pokazie prestidigitatorskim.

— Może i pan spróbuje...? — zachęcał mnie.

Cóż, wziąłem żyletkę, opuszką palca stwierdziłem, że jest ostra, więc położyłem ją na języku z zachowaniem należytej ostrożności.

— Śmiało, śmiało...

Miałem jej metalowy smak na języku i trudno było opanować uczucie, że go paskudnie pokaleczę, lecz astronautyka wymaga pewnych ofiar. Nagryzłem żyletkę i rozsypała mi się na podniebieniu w mialki proszek.

— Może gwóźdź? może igłę? — zapraszał.

— Nie, dziękuję., już dość...

— Więc porozmawiamy teraz...

— Jak to jest zrobione? — spytałem, siadając na powrót do mojej kawy. Zauważyłem, że



choć stała dość długo w filiżance, była tak samo gorąca, jak przy pierwszym łyku. — Czy to przez bystry? — ale przecież to tylko logiczne elementy... a to — pokazałem gwoździe porzucone na stole — jest chyba prawdziwym żelazem...?

— Tak, same bystry nie działałyby nic bez naszej technologii ciała stałego... Niechybnie wie pan, w jaki sposób powstaje obraz telewizyjny?

— Owszem. Rysuje go na ekranie pęk elektronów, skupionych w promień wodzący...

— Właśnie. Cały obraz powstaje jako wrażenie oka i gdyby robić zdjęcia ekranu z bardzo krótką „ekspozycją”, zaś rejestrują tylko poszczególne położenia plamki świetlnej. Otóż ta zasada leży u podstaw naszej technologii ciał stałych. Gwóźdź czy jakikolwiek inny obiekt metalowy nie istnieje inaczej, niż jako pewna ilość atomowych chmurek, poruszających się wewnątrz formy zadanej przez program. Te atomy tworzą jak gdyby mikroskopijne opilki i mknąc po swych trajektoriach z dużą chyżością, dają wrażenie gwoźdźcia. Albo jakiegoś przedmiotu z żelaza lub z innego metalu. To nie jest zresztą tylko wrażenie ludzkie zmysły, jak obraz w telewizorze, bo z takim gwoździem można zrobić dokładnie wszystko to, co z całkiem zwykłym, wykutym albo wytłoczonym, nieprawdaż?

— Jakże to? — spytałem oszołomiony — więc poruszające się opilki... atomy..., a z jaką szybkością one się poruszają?

— To zależy od tego, jaki obiekt mają tworzyć. W tych gwoździach będzie to około 270 000 km/sek. Nie mogą się poruszać wolniej, bo wtedy przedmiot zdawałby się nazbyt lekki; a gdyby się znów poruszały szybciej, efekty relatywistyczne przejawiałyby się zbyt dużym wzrostem masy i miałby pan wrażenie, że gwóźdź waży wielokrotnie więcej, niż powinien... Imitacja naturalnego stanu rzeczy musi być doskonała! Te atomowe chmurki pędzą po dokładnie wyznaczonych orbitach — i tak „obrysowują” nimi zadany przedmiot, jak, żeby użyć prymitywnego obrazu — płonący koniec papierosa rysuje w mroku koło...

— Ależ to musi wymagać nieustannego dopływu energii!

— Naturalnie! Energii dostarcza pole nukleonowe, poszerzone grawitacyjnie. Nie można go niczym ekranować, podobnie jak nie można ekranować grawitacji. Gdybyś pan natomiast wziął cokolwiek stąd — zatoczył ręką wskazując otoczenie — na pokład swego statku, rozpadnie się to w proch, gdy statek opuści nasze stabilizujące pole.

— I wszystko tutaj — te meble, ten dywan, te palmy..?

— Wszystko.

— Mury też?

— W tym gmachu, tak. Ale jest jeszcze nieco starych, nie zbystrowanych budynków...

— I w razie awarii dosyłowej ten cały gmach rozpadnie się w perzynę?

— Awaria nie jest możliwa, wie pan.

— Dlaczego? Wszystko może się popsuć.

— Nie. Nie wszystko. To przesąd dawnej epoki. Istnieją siły niezawodne, jeśli raz wzbudzone. Atomy nie ulegają awariom, prawda? Elektron nigdy nie może spaść na jądro...

— Ale atom w spoczynku nie pochłania energii.

— Tak, a więc z tym jest inaczej. Dopływ energii jest konieczny.

— Więc może ustać.

— Nie, bo my czerpiemy ją wprost z sił ciężenia naszego układu planetarnego. Uważa pan? Tym samym wyhamowujemy oczywiście ruch planet wokół słońca, lecz spowolnienie wywołane taką eksploatacją jest rzędu 0,2 sekundy na stulecie...

— Jednak jakieś maszyny, jakieś agregaty maszynowe muszą pobierać tę energię, więc mogą zawieść — upierałem się.

Zaprzeczył głową.

— To nie są maszyny — rzekł. — One nie mają żadnych części mechanicznych podległych zużyciu. Podobnie jak nie ma takich części w atomach. To są efekty działania odpowiednio sprzężonych pól, dających interferencyjne zogniskowania. Energia jest w

Kosmosie wszędzie, w niewyczerpanych ilościach, trzeba tylko wiedzieć, jak się do niej dobrać...

— A czy pana twarz — proszę się nie gniewać — też jest tak właśnie — dzięki tej technice — ludzka?

— O cóż miałbym się gniewać? Tak, zgadł pan. To zwykły wyraz uprzejmości... Co prawda zachodzą tu już niejaki różnice. Cokolwiek jest z metalu, budujemy tak, jakem par»| powiedział. Natomiast inne substancje produkuje się prościej... ale to się wiąże z fizyką konkretnych ciał stałych. Obawiam się, że rozpatrzenie tych innych technik zaprowadziłoby nas zbyt daleko — w obszary nie znanej panu fizyki. Zasada jest jednak zawsze taka sama. Każda materialny rzecz to rojowisko atomów w próżni. Atomów, wprawionych w strukturę odpowiednią do ich stanu. My tylko dyrygujemy! tymi strukturami. Orkiestra już jest od początku Wszechświata, czekała tylko na dyrygentów...

— Musicie mieć potwornie rozbudowany przemysł —; mruknąłem.

— Nie aż tak bardzo, jak pan sądzi. On jest samoczynny, zasklepiiony i samodozorujący się.

— Ale w wodzie można by kogoś utopić...? — powiedziałem z nadzieją w głosie.

— Nie. Może pan spróbuje? mamy w tym gmachu pływalnię...

— Chyba szkoda fatygi — rzekłem — wystarczy, jeśli pan mi powie, jak was woda ratuje? Czy wyrzuca na powierzchnię?

— Nie. Rozkłada się na wodór i tlen, a tą mieszaniną można oddychać...

— Ten rozkład powodują zawarte w niej bystry?

— Tak. To znaczy one go tylko nakazują molekułom, trzymanym w uchwycie siłowych pól.

— Wydam się panu dzikusiem — powiedziałem — ale wyznam, że wszystko, co pan mi mówi, muszę brać za fantazję, bo to jest nie do wiary...

— Jakbym panu opowiadał bajki, nieprawdaż? — uśmiechnął się Luzanin. Wstał, podszedł do ściany, otworzył sejf i wyjął zeń zwyczajny szary kamyk.

— To NIE jest zbystrowane ani syntetyzowane — rzekł z tajemniczą miną. — To prawdziwy, naturalny piaskowiec... i cóż? Proszę się zastanowić, czy on jest zbudowany „prosto”?

— No cóż — rzekłem — z atomów, ze związków krzemu...

— Łatwo to powiedzieć! Ale pan przecież wie jako osoba wykształcona, że to są miliardy i biliony atomów, zachowujących makroskopowy kształt, ten właśnie, dzięki nieustannemu wirowaniu elektronowych powłok, stabilizowanych wałami potencjałów jądrowych, dzięki zakotwiczeniu wirtualnymi pseudocząsteczkami 8000 rodzajów w siatce pseudokrystalicznej z anomaliami typowymi dla piaskowca — i tak dalej. Jeśli pan ciśnie gdziekolwiek ten kamyk, te jego atomy, te pola siłowe, te elektrony będą wirowały i utrzymywały go w nie zmienionej postaci mineralnego okrucha przez miliony lat i każda rzecz w Naturze tak samo jest skutkiem bezliku podobnych procesów... Więc myśmy się nauczyli robić na własne kopyto i na naszą modłę coś ani mniej, ani więcej, a tylko trochę inaczej zawięgo... Wyznaczona przez Naturę granica, oddzielająca technologie niezniszczalne od zniszczalnych, przebiega tuż ponad atomami. Więc trzeba było zejść w dół — wzdłuż skali wielkości — ku cząstkom, z których Natura buduje atomy — i z tych podatomowych elementów konstruować to wszystko, co nam było potrzebne. Oczywiście to, co mówię, to tylko drogowskaz, a nie produkcyjna recepta... Produkuje takie ciała stałe, jakich nam trzeba... a ich losami zawiadują bystry, bośmy im nadali i przekazali ten nadzór.

— Więc u was w samej rzeczy gwoździe są inteligentne? I kamienie, i woda, i piasek, i powietrze?

— Nie. Tak nie należy mówić. Inteligencja zakłada wszechstronność i zdolność zmiany programów działania, a bystry tego nie mogą. Są one raczej czymś na kształt wprawionych

otoczeniu, nader subtelnym, bacznych i nieustannie czujnych instynktów. W zwykłym układzie bystrowym nie ma więcej rozumowania niż, powiedzmy, w żuwaczce czy nodze owada.

— Dobrze — powiedziałem — ale wróćmy jeszcze raz do etykosfery... zgoda? Nie wiem, jak można uprząść tkaninę ze zbystrowanych włókien, ale powiedzmy, że wiem. Co dalej? Można uszyć z tego materiału ubranie: zgoda. Ale jak to jest, że tkwiąc w tym ubraniu, nie można dać bliźniemu po gębie?

Podniósł brwi.

— Pana to trochę irytuje, nieprawdaż? Opory, a nawet szok, zrozumiały przy wetknięciu z technologią innej fazy cywilizacyjnej. Nie, proszę pana, to nie o bystry we włóknach materiału idzie. Pana odzież nie była pierwotnie zbystrowana — bystry osiadły na niej, to trwa jakiś czas, i dlatego właśnie wydał się pan potencjalnym łupem, nęcącą ofiarą tym tam — tak zwanym ekstremistom naszym... Gdyż, rzecz jasna, liznęli po wierzchu nieco wiadomości cywilizacyjnych, choćby w szkole. Każda żywa istota przyciąga niejako bystry. Tworzą wokół niej niewidzialny obłok. On w niczym nie zakłóca normalnych czynności. Jest całkiem niewyczuwalny. Obłok ten uczy się typowych reakcji tej osoby, a to ponieważ stan agresywnego pogotowia nie przejawia się u wszystkich w stu procentach tak samo. Cóż dopiero u przedstawiciela innego rozumnego gatunku, jak człowiek! Nasze bystry nie orientowały się początkowo, co i jak panu zagraża. Gdyby na pana miejscu znalazł się zwykły Luzanin, ani dałoby się go wziąć na łańcuch, gdyby on sam sobie tego nie życzył. Jednym słowem etykosfera nie jest niezawodna w każdym poszczególnym przypadku momentalnie — lecz staje się taka z czasem. Ponadto bystry są wyspecjalizowane rozmaicie — jak... powiedzmy, jak wirusy, ale to są wirusy d o b r a . Gdyby podano panu jakąś niezwykle rzadką truciznę, której pana osobiste bystry nie zdołałyby w porę rozpoznać, pierwsze objawy zatrucia spowodowałyby alarm. Pan niczego by nie dostrzegł, lecz w każdym takim przypadku lotne zgrupowania bystrów łączą się w całości większe, i to z szybkością światła — bo rozchodzenia się fal radiowych — i na pomoc zastają wezwane bystry, zdolne działać jako antidotum. One wcale nie muszą przy tym dotrzeć do pana materialnie. One przekazują tylko zdalnie rozkazy właściwego postępowania innym bystrom pańskiego pobliża, i te już pod taką batutą wezmą się do rzeczy, aby, dajmy na to, odblokować w ciągu kilku sekund pańskie enzymy oddechowe, zatrute w tkankach. Straci pan na krótką chwilę przytomność i powróci do niej odrobinę osłabiony. To wszystko. Jak się pan już pewno domyśla z moich słów, w zasadzie nie znamy medycyny i n t e r w e n c y j n e j , jaką macie wciąż jeszcze na Ziemi, lecz k o n t y n u a l n ą , skoro każdy organizm znajduje się pod nieustającą opieką...

— Bystry zajmują się profilaktyką?

— Oczywiście.

— Więc znają się na całej medycynie? Ale to zakłada jednak wysoką uniwersalność...

— Nie. Proszę wybaczyć: pan wciąż rozumuje kategoriami swego czasu, swojej wiedzy, ale to daremne. Nie aby pana urazić, lecz tylko by przybliżyć sfens rzeczy, zapytam: czy najmędrzy Ziemianin starożytności ^pojąłby, w jaki sposób działa radio lub komputer grający w szachy? Toż zrozumienie zakłada wstępną wiedzę o takich zjawiskach, jak elektryczność, fale, ich modulacja, entropia, informacja...

— A jednak tamte utensylia są zawodne — upierałem się. — Coście więc zrobili, by dorównać Panu Bogu...?

Uśmiechnął się.

— Pan Bóg nie stworzył świata aż tak niezawodnego, jak się niegdyś zdawało. Materię można unicestwić. Materia, byle stłoczona dość potężnie, okazuje się zawodna, bo znika — choćby w grawitacyjnym uścisku zapadłej w siebie gwiazdy — j nie zostaje z niej wtedy nad czarną jamą nic oprócz ciężenia, nieprawdaż? Tam, w tych gwiazdach, gdzie materia oddaje grawitacyjnego ducha Bogu, jest granica jej niezawodności. A zarazem wszelkich technologii,

rzecz jasna. Ale na co dzień nie są nasze atomy gorsze od Bożych. Podpatrzyliśmy Naturę na właściwym poziomie jej trwania. To wszystko. Atom wodoru nie może popsuć się tak, aby nie mógł się złączyć z atomami tlenu w  $H_2O$ . I tak samo nie „psują się” bystry.

— Dobrze — powiedziałem, czując, że dokonuję odwrotowego kroku — ale proszę mi powiedzieć, czy moje ubranie czuwa nade mną? Czy rękawy obserwują swego właściciela?

— Wie pan — odparł Tahalat — nie zdając sobie z tego sprawy, powtarza pan argumenty naszej opozycji. Podglądające krawaty, agenturalne koszule, rękawy — szpicle. Mój Boże, represyjne kalesony! Zapewniam pana, że nic podobnego. Ziarno zakiełkuje w wilgotnej glebie. Czy ono śledzi temperaturę? Czy podejrzliwie rozważa perspektywy wzrostu? Czy namyśla się nad pogodą, nim poweźmie ważką decyzję zakiełkowania? Bystry zachowują się tak samo. Prawa Natury są przede wszystkim zakazami: że nie można dobrać energii z niczego, że nie można przekroczyć szybkości światła i tak dalej. Wprawiliśmy otaczającą nas Naturę jeszcze jeden zakaz — chroniący życie. Nie więcej. Reszta to paranoiczne urojenia, omamy przesładowcze, zrozumiałe o tyle, że w przedbystrowym czasie przypisywało się inteligencję temu, co choć pod jednym jakimś względem zachowywało się jak Ktoś inteligentny. Stąd było też tyle pomieszania pojęć i strachów wokół prakomputerów. Że mogą się zbuntować i powstać przeciw społeczeństwu. Bajędy! lecz tu — zatoczył krąg rękami — nie ma nigdzie osobowej inteligencji. To tylko nabystrzone okna, meble, stropy, zasłony, powietrze, owszem, doskonalsze od pożarowych czujników, lecz tak samo zogniskowane na określonym zadaniu.

— Ale jak one odróżniają zabawę od walki? Przyjazny uścisk od dławiącego? Ot, chociażby w sporcie. Czy nie znacie już sportu?

— Ależ tak. Pan chce wiedzieć, na czym polega różnicowe działanie bystrów? Powiem najpierw, czemu jest nieodzowne. Każda społeczność, zawłaszczająca siły Natury, podlega dramatycznym wstrząsom. Pożądany dobrobyt przynosi niepożądane skutki. Gwałt i przemoc zdobywają • w nowych technikach nowe postaci i wzmocnienia. Wydaje się wówczas, że im większa władza nad Naturą, tym większa deprawacja społeczna i tak jest rzeczywiście — do pewnej granicy. Wynika to z samej kolejności odkryć, czyli stąd, że łatwiej jest przejść od Natury jej niszcycielstwo aniżeli jej przychylność, i właśnie ów potencjał destrukcji staje się wartością do zdobycia. To jest nowe historyczne zagrożenie. Ponadto skutki technik rujną ich podstawy: znacie to już jako agonie biologicznego środowiska. Potem, tego nie wiecie jeszcze, pojawia się ekorak. Coś w rodzaju zwyrodnień w obrębie wielkich zautomatyzowanych i skomputeryzowanych systemów. Nowy wspaniały cel — jako ciągły wzrost opanowania świata — zdaje się ulegać diabolicznej przemianie. Stare źródła dóbr wysychają szybciej, niż odmykają się następne i dalszy postęp zawisa nad przepaścią. Techniczny ład rodzi więcej chaosu, niż może go strawić! Ażeby zwalczyć te wszystkie przeciwieństwa, idące od zawodnych technik i od ludzkiej natury, też zawodzącej, bo ukształtowanej innymi warunkami, innego świata, należy wznieść się na następny szczebel technoewolucji, kradnąc u Natury jej skarb, najtrudniejszy do przejścia — ukryty w zjawiskach podatomowych. U nas to przede wszystkim synteza nowych ciał stałych i nowe typy ich nadzoru, czyli bystry. To dwa filary naszej cywilizacji. Nazywamy ich ożenek etykosferą. Lawiny zdobywanej wiedzy zdają się gruchotać naukę w miazgę specjalizacyjną — ten stan, ujmowany przez aforyzm, że przyszły ekspert będzie wiedział wszystko o niczym! Tak być nie może. Ratowniczy zwrot stanowi utworzenie globalnego systemu wiedzy wszechdostępnej, ale już nie żywym istotom, bo żadna z nich nie podźwignie tego ogromu. I żaden z wziętych z osobna pyłków, jakimi są bystry, nie jest ani trochę uniwersalny, lecz uniwersalne są wszystkie wzięte razem. Ten ich uniwersalizm jest każdemu dostępny, gdy zjawi się; taka potrzeba, jak starałem się pokazać panu na przykładzie osobliwego zatrucia. Proszę zważyć, że niewidzialna chmurka bystrów, opiekująca się panem, może sama niewiele — i zarazem wszystko, na co stać całą naszą etykosferę, skoro potrafi w sekundach dotrzeć do

każdej wiadomości, zmagazynowanej przez układ jako całość. Te moce można przyzwać w każdej chwili, jak dzina z baśni. Ale nikt nie może tego uczynić wprost ani sam — to wolno tylko jego bystrom! Dzięki temu nikt nie może posłużyć się tym niewidzialnym kolosem przeciw komukolwiek...

— I nie można oszukać bystrów? — zapytałem. — Ejże! Nie mogę w to uwierzyć...

Zaśmiał się, ale jakoś niewesoło.

— Na samym sobie przekonał się pan, jak to wygląda. Udało się tylko po części i chwilowo, bo był pan dla etykosfery istotą nie znaną.

— Ale przecież pełny katalog premedytacji możliwych występków jest nieskończony... Można zadawać zło w rozmaitych upośrednieniach...

— Zapewne. Ale też nie mówię, że Luzania to ziszczony raj...

Nagle popatrzałem na niego, zaskoczony nową myślą.

— Już chyba wiem, jak można przechytryć bystry...

— Wolno wiedzieć, jak?

— Moi porywacze usiłowali tego właśnie dokonać, ale nie rozumiałem, co robią. Teraz dopiero zrozumiałem! Usiłowali zmienić kwalifikację czynu...

Spojrzał na mnie jak gdyby z zaniepokojoną ciekawością.

— Jak pan to rozumie?

— Myślę teraz, że usiłowali przemienić egzekucję w akt złożenia ofiary... Niejako uświęcić ją. Ażebym mord stał się czymś wspaniałym, szlachetnym, jak przyjdzie z pomocą. Jak ratunek. Miałem zostać poświęcony czemuś cenniejszemu od życia.

— A co to miało być? — pytał z nie ukrywaną ironią.

— To właśnie pozostało dość mętne. Zdawali się pewni swego, póki nie brali się do rzeczy..., wyglądało to tak, wie pan, jakby wspólnie brali rozpęd dla przesadzenia przeszkody — i nie mogli jej przeskoczyć...

— Bo ich wiara jest złą wiarą! — wpadł mi w słowa. — Oni chcą uwierzyć w swoje posłannictwo, ale nie mogą. Niepodobna uwierzyć z samego z a c h c e n i a !

— Ale innym może się jednak powieść lepiej — mruknąłem. — Nie rzeźnikiem, oczywiście. Ktoś może jednak żywić autentyczne przeświadczenie, że dokonując zabójstwa, wyrządza dobro. Jak w średniowieczu, kiedy palono ciała, żeby ratować dusze. Jednym słowem — oszustwo przestanie być oszustwem, jeśli wiara będzie prawdziwa...

— Ale tego średniowiecza nie można powołać do bytu samą tylko ochotą, nawet najzacieklejszą — odparł Tahalat. — Więcej powiem: wszelka zaciekłość takich wysiłków demaskuje ich rdzeń, ani trochę świątobliwy! Jeszcze więcej panu zdradzę: łatwiej oszukać pozorowanym rytuałem takiego przedstawienia ludzi niż bystry...

— To jedna z tych rzeczy, o których się filozofom nie śniło — rzekłem. — Logiczne pyłki, odróżniające wiarę od niewiary. Ale jak?

— To tylko patrzy na niedocieczoną zagadkę. Bystry wcale nie rozpoznają jakości wiary. Po prostu reagują na objawy agresji i pozostają bierne, gdy ich brak. Nie każdy rodzaj wiary wyklucza agresywność. Cóż bardziej agresywnego niż fanatyzm? Toteż nie uspi ochrony. Agresję wyklucza natomiast chęć dobra, lecz taka chęć wyklucza też z kolei mord. Zapewne, nie zawsze tak było, ale do tej przeszłości nie można już wrócić.

— Na to bym nie przysięgał — odparłem. — Zwłaszcza kiedy znamy już właściwą formułkę: wpisany w materię dekalog obezradnia się, gdy zabójca wierzy w dobro swego czynu. A ponadto wiara i niewiara to nie są przecież stany wykluczające się logicznie. Można wierzyć trochę, niekiedy bardziej, mniej... i gdzieś tam po tej drodze można w końcu przeskoczyć barierę bystro w...

Luzanin patrzył na mnie ponuro.

— Istotnie, jest taki próg. Nie będę panu kłamał. Ale znajduje się wyżej, niż pan sądzi. Znacznie wyżej. Toteż szturmują go daremnie...

Domyślając się mego zmęczenia — rozmowa trwała prawie trzy godziny — dyrektor nie nastawał już na wspólne oglądanie laboratoriów, które było pierwotnie przewidziane. W powrotnej drodze towarzyszył mi jego milczący asystent. Gdyśmy szybowali nad miastem, pociągnęła mój wzrok wielka plama zieleni obrzeżona hełmami lśniących wież i dowiedziawszy się, że to jest park miejski, poprosiłem mego towarzysza, żeby mnie tam dowiózł i zostawił samego. Jakiś czas chodziłem po alejach, prawie ich nie widząc, bo obracałem w głowie rozmowę z Tahalatem, aż usiadłem na ławce opodal piaskownicy, w której bawiły się dzieci. Ławka nie była całkiem zwyczajna, miała bowiem półokrągłe wcięcia na nogi, które Encjanie podkulają pod siebie siadając, ale dzieci wyglądały z daleka zupełnie jak nasze, miały nawet wiaderka do robienia babek z piasku. Babki lepiła tylko jedna malutka, może trzyletnia dziewczynka, siedząc osobno w kucki. Pozostałe dzieci bawiły się inaczej. Obrzucały się garściami piasku, starając się sypnąć innym w oczy i zaśmiewając się, że jakby odtrącony dmuchnięciem obsypywał ciskających. Spomiędzy żywopłotów wyszedł malec nie większy od tamtych, stanął nad piaskownicą i mówił coś, ale go nie słuchano. Zaczął więc przedrzeźniać bawiących się, i to coraz zuchwalej, aż ich rozgniewał. Rzucili się na niego, a choć byli więksi i poszli w trzech na jednego, wcale się nie ulękł i słusznie, bo nic nie mogli mu zrobić. Nie wiem dobrze, co parowało ich ciosy, lecz ten najmniejszy stał spokojnie między doskakującymi, rozsierzonymi już nie na żarty, aż wspólnym natarciem rzucili go na piasek, by po nim skakać. Jakby jednak stał się śliski jak lód, spadali z niego i nie pomogło ani wzajemne wspieranie się, ani brany rozpęd. Dotąd krzykliwe dzieci nagle zamilkły i poczęły się rozbierać, by dopaść tamtego na golasa. Dwóch malców trzymało go, a trzeci, ze sznurkiem zesupłanym w stryczek, zarzucił go ofierze na szyję i zaciągnął. Odruchowo chciałem się podnieść, lecz nim wstałem, sznurek trząśł. Wtedy w tych pięciolatek wstąpiła furia. W piaskownicy tak się zakotłowało, że poszła kurzawa. Co chwila któryś wyłaniał się z niej, żeby podjąć łopatkę czy grabki z porzuconych zabawek i ściskając je w uniesionej ręczce, doskakiwał nietykalnego. Widziałem, jak zaciekłość dzieci zmienia się w rozpacz. Pojedynczo, rzuciwszy, co które miało w garści, powyłaziły z piaskownicy i siadły z dala od siebie na trawniku, zwiesiwszy głowy. Malec wstał, ciskał w nich piaskiem, podchodził do siedzących i naśmiewał się z nich, aż jeden rozplakał się, porwał swoje ubranko i uciekł. Niedoszła ofiara pomaszerowała w drugą stronę. Pozostali, marudząc, długo zbierali swoje rzeczy, przycupnęli w piaskownicy i rysowali coś, po czym odeszli. Wstałem i ponad głowę dziewczynki, która wciąż spokojnie stawiała swoje babki, spojrzałem na pozostawiony przez dzieci rysunek: niezgrabny zarys postaci, pociętej wzdłuż i w poprzek głębokimi sztychami łopatki.

## ЕКТОК

Droga do największych odkryć wiedzie przez absurd. Jak wiadomo, jedynym sposobem, aby się nie starzeć, jest umrzeć, i tym wnioskiem kończy się poszukiwanie wiecznej młodości. Dla Encjan ten koniec stał się początkiem nieśmiertelności. Widziałem wczoraj filozofa, który nigdy się nie zestarzeje, jest bowiem od trzystu lat trupem. Nie tylko widziałem, ale rozmawiałem z nim ponad godzinę. Z nim samym, nie z jego maszynową kopią czy innym wtórnikiem. Był to Anix, który trzysta sześćdziesiąt lat temu otrzymał tytuł Mędrca Korony od ostatniego z Xixarów, więc pamięta jeszcze czasy cesarstwa. Na Dychtonii usłyszałem niegdyś dowód na nieosiągalność wiecznego życia bez wsparcia ogromnych maszyn, i widziałem te maszyny, ciężką aparaturę, w której wnętrzu musi unieśmiertelniony pędzić żywot istnego paralityka. Dychtończyk Berdergar udowodnił, że tyle właśnie trzeba urządzeń, aby wprowadzić na powrót do organizmu informację, ronioną w postępkach starości. Encjanie okazali się bardziej pomysłowi od Dychtończyków. Nie obalili dowodu Berdergara, bo to niemożliwe. Uczynili coś innego: obeszl go manewrem wymijającym i zdobyli nieśmiertelność poprzez śmierć. Muszę to wyjaśnić dokładniej. Zadanie opiewa na absurd: tego, kto ma trwać wiecznie, należy zabić. Rzecz w tym, że dokonuje się tego zabójstwa. W głąb ciała zostają wprowadzone bystry zaprogramowane tak, że wnikają do wszystkich tkanek, aby towarzyszyć molekularnym procesom życia. Te bystry, zbudowane z cząstek podatomowych, są mniejsze od najdrobniejszych wirusów. Nie widać ich przez? najsilniejszy mikroskop optyczny. Stopniowo przywierają do jąder komórkowych i zapelniają je. Są tak małe, że organizm w ogóle ich nie dostrzega, toteż nie mobilizują jego sił obronnych. We wstępnej fazie ektokowania bystry te jeszcze nie pracują, lecz tylko uczą się swych przyszłych zadań, niejako odczytując wszystkie informacyjne zjawiska, które tworzą życie. Nie uszkadzają zrazu tkanek, bo są tylko ich biernymi cieniami: jak gdyby ktoś, wszedłszy samowolnie na scenę, wziął się do najdokładniejszego naśladowania aktorów pantomimy. Pozornie w ustroju nic się nie zmienia, aż nasycone zdobytą wiedzą bystry poczną przejmować funkcje żywych drobin protoplazmy. Niezbędną po temu energię czerpią z reakcji nuklearnych, zwanych cichymi. Niemniej, te reakcje zabijają po trosze organizm. Ektokowany tego nie odczuwa. Porusza się, myśli i działa jak poprzednio, może też jeść i pić, lecz po pewnym czasie, mierzonym latami, już nie musi się odżywiać. Ciało tego człowieka umiera pomału, ale on nic o tym nie wie. Osiadłe w nim tryliony bystrów sprzęgły się w niewidzialny podatomowy szkielet, któremu przemiana żywej materii jest na nic i to już właśnie jest wtedy ektok, czyli trup, którego rozkład zachodzi niepostrzeżonymi porcjami. Jego uprzednie ciało zostaje po trosze wydalone z odchodami, ale on nic o tym nie wie, bo choć umarł, trwa nadal. To jakby ktoś uruchomił starą maszynę Watta nie poprzez dopływ pary z kotła, lecz miniaturowym elektromotorem, ukrytym w wale koła zamachowego, więc już nie para, lecz prąd porusza tłoki i korby. Tak napędzana maszyna staje się wiernym modelem, ruchomą dekoracją — i podobnie jest z ciałem ektoka. Nazwę encjańską tłumaczmy na grekę, ektos to tyle, co zewnętrzny, bo ta nieśmiertelność przybywa z zewnątrz. Fachowcy zwą tę podmianę ciała pseudomorfozą: martwe układy logiczne, bystry, zastępują żywą protoplazmę. Organizm zachowuje swój wygląd, kształt i czynności, wypchany jak truchło, a cały okrutny dowcip w tym, że zastępczy budulec jest trwalszy i sprawniejszy od naturalnego. Przez pewien czas oba systemy — organiczny i bystrowy — pracują równolegle, lecz ten martwy unicestwia z wolna żywy i największym problemem ektotechniki była właściwa synchronizacja tej pełzającej śmierci i odpowiednio pełzającej pseudomorfozy. To i tylko to zdawało się początkowo nie—urzęczywistnialne. Sukces opłaciły hekatomby zwierząt laboratoryjnych. Kiedy przemiana materii poczyną się rwać jak zetlałe płótno, jej funkcję zdążył już przejąć zbystrowany nośnik i ostatki życia tłukące się w

ciele są już tylko drażoną skorupą, pustoszejącą poczwarką, maską, za którą milcząc tętni energetyczny kościec bystrów. Ektokowany nie może odmłodnieć, bo bystry dowiadują się od ciała tyle i tylko tyle, ile ono zawierało w chwili ich inwazji. Trzeba trwać pozornie we wieku, w którym zbystrowano ciało. Dlatego najlepsze efekty daje ektokowanie za młodu. W sto lat od początku ektokowania człowiek jest już biologicznie martwy. W jego organizmie nie ma już ani śladu mięśni czy nerwów. To znaczy — są ich znakomite namiastki, bo uległy w całości pseudomorfozie i podmienione bystrami, stały się substratem nieśmiertelności. A więc doprawdy trzeba umrzeć, aby ją zyskać. Mniej więcej po dwustu latach dochodzi do nieznaczących zmian zewnętrznego wyglądu, lecz jak twierdzą, dostrzeże je tylko oko specjalisty. Nic już wtedy nie zostało z autonomii życiowych procesów. Wszystkie narządy ciała działają tak, jak maszyna parowa, napędzana potajemnie prądem, więc pozornie. Oczy mogą przejściowo zmętnieć, bo tu synchronizacja pseudomorfotyczna nieraz zawodzi, lecz tak czy owak wnet wyprzejrzyści je twarda szklistość. Jeśli ektokowany ma nagą skórę, skóra ta będzie odrobinę ciemniejsza, bo pracujące niezmożenie bystry wydzielają w toku przemian jądrowych jony ciężkich metali. Ten metaliczny poblask skóry zjawia się zazwyczaj po trzystu latach. Żadnych innych efektów nie ma przez co najmniej pięć tysięcy lat. Krew nadal płynie żyłami, ale to jest już obojętna czerwona ciecz i nie przenosi tlenu, jest więc tylko jakby starą dekoracją. Gdyby serce stanęło — choć nie staje, jak tamta maszyna parowa — ektok poruszałby się i myślał nadal, bo ono już nie podtrzymuje życia. To serce będzie jednak pracować dalej, gdyż uczucie głuchej ciszy i pustki w piersiach mogłoby niepokoić. Tak więc wszystkie pozory życia zostają zachowane — oprócz niego samego. Bo to już jest biologiczny trup i jak trup nie obawia się ani wysokiej próżni, ani zarazków chorobotwórczych, ani największego mrozu. W swych jądrowych przemianach bystry wydzielają ciepło tak wydozowane, ażeby ektok nie różnił się temperaturą od żywej istoty. Lecz pozory zostają zachowane tam tylko, gdzie to konieczne dla dobrego samopoczucia. Wnętrze zektokowanej czaszki jest zimne, gdyż zbystrowany mózg pracuje w niskiej temperaturze lepiej niż w ciepłe. Kiedy doszło do masowego ektokowania, badacze stwierdzili zarazem jego znakomitą niezawodność cielesną i jego wielce niepożądane skutki psychiczne jako różne postaci neurozy, a nawet obłędu, gdyż nie sposób było oślepić unieśmiertelnianych na cenę, jaką musieli płacić. Ektok nie może się rozmnażać. Bodajże nie jest całkiem pewne, czy nie udałoby się osiągnąć i tego, lecz cóż po rozwiązaniu technicznym, kiedy nic nie odmieni faktu, że martwi płodziliby martwych. Ektok niczym lub prawie że niczym nie różni się od żywego, ale w i e, że nim nie jest. Oddycha, ale jego płuca poruszają się jak bezpotrzebne miechy, bo oddychanie nie wspiera już życia. Nie potrzebuje już snu. Myśli szybciej i bieglej niż ten, kto ma ciepły, ukrwiony mózg. Pozostaje duchowo tą samą istotą, jaką był uprzednio, bo struktury mózgu, tworzące osobowość, nie zmieniły się, lecz utrwaliły właśnie. Nie żyjąc, nie może się starzeć ani umrzeć. Nie choruje i nie cierpi. Nie sposób też nazwać go androidem czy robotem, bo do ostatniej kosteczki i do ostatniego włókna jest taki sam, jak przed immortalizacją. To, że NIE jest taki sam, można wykryć jedynie przy pomocy biopsji i mikroskopu elektronowego, który ukaże subtelną strukturę atomową jego organizmu. Chodzi więc o taki falsyfikat, który pod wieloma względami jest doskonalszy od oryginału, jako mniej zawodny” i bardziej trwały. Był to, na zaraniu bystrowej epoki, jej wielki triumf. Dziesiątki tysięcy pragnęły tej nieśmiertelności, ale nie mogły jej podołać. Jak powiedział Irrx, jeden z twórców ektotechniki, widocznie trzeba powstać martwym, aby przystać na taką kondycję. Ektologowie sądzili — jak się okazało pochopnie i fałszywie — że problem psychologiczny unieśmiertelnienia da się zagłuszyć tym, że ektokowany nie umiera w jednej chwili, lecz całymi latami, w sposób stopniowy, niedostrzegalny ani dla niego samego, ani dla jego otoczenia. To był kres rojeń encjańskich o nieśmiertelności. Żadna inna technika, wyjaśniono mi, nie może dorównać ektokowej, bo żadna w sposób tak jawny i niewątpliwy nie daje gwarancji ciągłego istnienia. Gdyby kogoś



wskrzesić z prochu, w który się obrócił, będzie to już inna istota, może podobna do zmarłego jak kropla do kropli, ale jednak ktoś inny — niczym bliźniak. Na styku śmierci i wskrzeszenia powstają bowiem egzystencjalne paradoksy, których nie można przezwyciężyć, to znaczy rozstrzygnąć, KTO właściwie otwiera oczy jako zmartwychwstały — TEN sam, tylko TAKI sam człowiek. Natomiast ektotechnika, jako metoda pełzająca, zapewnia ciągłość istnienia w sposób oczywisty. To, że nikt nie potrafi znieść rezultatów tak znakomitego! przedsięwzięcia, jest sprawą osobną — której biegłość techniczna już się nie ima. Odrzucenie tej nieśmiertelności nie u wszystkich zachodzi tak samo, lecz główne objawy są podobne: obrzydzenie do własnego ciała, ziejąca pustka umysłowa, strach i rozpacz, kulminujące w maniach samobójczych. Trzeba też dodać, że społeczeństwo nie osładzało bytu ektokowanych, objawiając im szczególny rodzaj pogardy pomieszanej z zawiścią. O tym, dlaczego jeden Anix, dawny cesarski filozof, nie zrezygnował z takiej egzystencji, mówiono mi wiele sprzecznych rzeczy. Sam miał się kiedyś określić jako wieczny świadek przemijającego świata, ale to chyba tylko jedna z na poły już legendarnych anegdot wokół jego osoby. Nie pracuje zawodowo od przeszło stu lat. Nie przyjmuje też nikogo; ani jeden z jego dawnych uczniów już nie żyje. Podobno trzeba samemu stać się ektokiem, aby pojąć smak i brzemień takiego istnienia. Historycy starają się jak mogą pomijać ektotechniczną fazę swej cywilizacji. Odniosłem wrażenie, że jest to w ich przeszłości sprawa podobnie fatalna i przemilczana dla podobnych względów, co zagłada Kliwii. Jak gdyby tu i tam zaszło coś ponad wszelką miarę haniebnego, czego nic nie może ani naprawić, ani wytrzeć z pamięci. Anix mieszka w niewielkim parterowym domu poza Hesperydą, w ogrodzie pełnym chwastów i dziko rosnących kwiatów. Sam chciał się widzieć ze mną i było to, jak mnie zapewniano, szczególnym wyróżnieniem. Za młodu, więc jeszcze za Cesarstwa, ogłosił swoją główną pracę, nawiązującą do Doktryny Trzech Światów, tego fundamentu myśli encjańskiej. W jego ujęciu doktryna uległa swoistej redukcji. Anix uznał, że możliwe są tylko dwa rodzaje światów. Świat jest albo lojalny względem swych mieszkańców, albo nielojalny. Lojalny to taki, co nie ma żadnych własności ani miejsc niedostępnych. Jest to świat bez nierozstrzygalnych zagadek i wiekuistych tajemnic, świat doskonale przezroczysty dla poznającego rozumu. Natomiast świat nielojalny to taki świat, którego do końca poznać nie można. Jest niedocieczony i niewyczerpalny. Nasz świat jest taki właśnie. Anix porównał go w tym swoim dziele do studni, ograniczonej i skończonej wymiarami, z której można przecież bez końca czerpać wodę. Kosmos jest właśnie taki: skończony i nie do zgruntowania. Po dwustu latach, już jako ektok, wprowadził do swej nauki niewielką z pozoru zmianę. Zachował pierwotny podział światów, uznał jednak, że tylko świat, który nazwał był nielojalnym, można uznać za przychylny, bo jest on wiecznym wyzwaniem dla rozumu, rozum bowiem łaknie bardziej drogi niż jej końca, poznawania bardziej niż ostatecznej formuły, gdyż osiągnąć ją, znaczyłoby zarazem zwyciężyć i przegrać. Cóż miałby począć z sobą rozum, który by poznał „wszystko”. Odwrócił więc znaki lojalności i nielojalności w swej pierwotnej klasyfikacji światów. Tyle wiedziałem, stając na progu jego posiadłości. Kikerix, który przywiózł mnie tam, nie chciał mi dalej towarzyszyć. Być może Anix pragnął widzieć się ze mną w cztery oczy, nie wiem. Nie pytałem o to. Siedział na drewnianej werandzie, w blasku słońca, wyjątkowo silnym dla północnych regionów Luzanii i patrzył na mnie, gdy szedłem między wysokimi krzakami, okrytymi puchem jakichś przekwitających kwiatów. Siedział za niskim drewnianym stołem, w tym dziwnym dla mego oka krześle, którego używają Encjanie, podciągający pod siebie nogi w spoczynku, i zdawał się podobny raczej do wielkiej żaby-głowacza aniżeli do łysego ptaka. Jego twarz, twarda, wypukła, ogromna, z szeroko rozstawionymi oczami i nozdrzami, miała matową barwę sinawego mahoni. Przez luźny materiał białej burki czy habitu rysował się potężny szkielet, obie wielkie, ciemne ręce trzymał na płycie stołu, i patrzył na mnie bez ruchu, nie mrugając oczami żółtymi jak u drapieżnego kota. Ujrzawszy go, uwierzyłem od razu, że liczy prawie

czterysta lat. Choć nie miał żadnych zmarszczek, a jego głos brzmiał silnie, było w nim coś niesamowicie starego. Nie było to znużenie, raczej taka cierpliwość, jaką można przypisać chyba tylko kamieniom. Czy też może obojętność. Jak gdyby już wszystko wiedział i nic nie mogło go zaskoczyć albo. zadziwić.

— Witaj — powiedział, gdy wstąpiłem na drewniane skrzypiące stopnie werandy — przybywasz z Ziemi. Słyszałem o niej dawno. Jesteś człowiekiem i zwiesz się Ijon. Tak będę ci mówił, a ty zwij mnie Anixem. Siadaj. Mam stołek dla ludzi...

Rzeczywiście stołek, który mi wskazał, był ziemskiego kroju. Usiadłem, nie wiedząc, jak się odezwać. Zapewniono mnie, że nie żył, ale czy nie była to tylko kwestia terminologii?

— Jesteście podobni do nas — powiedział. — Idziecie tą samą drogą, co my, i pewno dojdziecie w podobne strony.

Popatrzał w ogród. Słońce świeciło mu prosto w. żółte wielkie oczy, ale nie zdawał się osłepiony. Spod białawego puchu głowy prześwitywała smągła, prawie sina skóra.

— Odpowiem ci najpierw na pytanie, które chcesz mi zadać. Dlaczego nikt nie korzysta z ektokowania? Oto odpowiedź. Dlatego, bo nic śmiertelnym po nieśmiertelności. Niepodszyty zagrożeniem byt traci wszelką wartość. Pospolicie zwą to śmiertelnymi nudami. Tym razem zdrowy rozsądek trafia w sedno.

— A ty? — spytałem cicho.

— Ja się nie nudzę — odpowiedział patrząc wciąż w ogród mimo mojej twarzy.

— O co jeszcze chcesz mnie spytać?

— O Kliwię Czarną. Musisz ją pamiętać.

— Pamiętam.

— Co to było Ka–Undrium?

Obrócił ku mnie swą wielką głowę na zgarbionych barkach.

— Więc i ty dopatrujesz się w nim tajemnicy? Muszę cię rozczarować. Na każdej zamieszkaney planecie powstaje wielość kultur, a zwycięża inne ta, która pierwsza dotrze do materialnej potęgi i powszechnej idei. Nie dość ani samej siły, ani samej idei. Muszą przyjść razem, jak dwa oblicza tej samej rzeczy. Pod tym względem Ziemia nie różni się od Encji. Zwycięska idea nie zawdzięcza sukcesu podbojom, lecz dobrom, które zdaje się nieść. Taka idea spełnia obietnice lub nie, lecz i spełnione okazują się czymś innym od wzbudzonych nadziei. Chodzi o to, że historia nie może stać ani w złotym, ani w czarnym wieku, a triumfująca idea, zwrócona w świat czy w zaświat, nie tam prowadzi, gdzie wskazuje. Powierzchnowe brzmienia ideologii kurdlandzkiej i luzańskiej są diametralnie różne, lecz ich treść jest tożsama. Chodzi o to, by mieć korzyści stanu społecznego bez właściwych mu nieszczęść. Tu i tam wolność ma być pogodzona z niewolą nie poprzez wewnętrzną pracę ducha, lecz od zewnątrz. Jeśli tak spojrzysz na rzeczy, zobaczysz, że między nimi a nami .nie ma istotnej różnicy. Państwochód jest rozwiązaniem dylematu innym od bystrosfery w zakresie środków, lecz nie w zakresie celu. Nasze więzienia są bardziej komfortowe od kurdlandzkich i mniej widzialne, wszelako jesteśmy uwięzieni tak samo, jak oni. Tu i tam granice nałożono z zewnątrz. To podejście do wszystkich zjawisk bytowych cechuje nas od praczasu. Nazywam je ektotropowym. Wy na Ziemi zwiecie je instrumentalnym. Przewidywana z wcześniejszej, następna faza cywilizacji wydaje się raz koszmarem, a raz, optymistom, rajem. Oglądana zaś tak, jak ty ją tu oglądasz, patrzy na dziwnie zaciekle w swojej logice dopełnienia szaleństwo. Prawda?

Przerwał, lecz milczałem, więc mówił dalej.

— Poszczególne fazy technologii są jak pływające kry, a społeczność planety porusza się naprzód, przeskakując z poprzedniej kry na następną. To, czy rozziw między dwiema kolejnymi krami nie będzie zbyt wielki, czy więc następny skok się uda, czy też zmierza w topiel, zależy od loterii kosmicznej, która ulepią planety. Katastrofa jest zawsze w zasięgi możliwości. Ale kiedy los pozwala iść wciąż dalej z kry na krę, ten ruch nie jest ruchem ku

statecznemu uspokojeniu. Może nie wiesz, że etykosfera była dla nas raczej, słomką tonącego, aniżeli mirażem doskonałości. Dobrobyt obeamysłnia i rodzi gwałt idący od rozpaczy, nędzę ubóstwa zastępuje nędza rozpasania. Nie mieliśmy innej drogi. Przekonacie się o tym kiedyś, jeśli kry nie rozewrą się przedwcześnie pod waszymi krokami. Oczywiście nie znaczy to, że wejdziecie w bystrosferę; ektotropowych rozwiązań jest wiele jako alternatyw, ale nie różnią się od siebie bardziej niż luzańskie od kurdlandzkiego. Całkowicie otwarta społeczność musi się w końcu stać miazgą tak samo jak dokładnie zamknięta, a ostateczne pozycje równowagi pomiędzy nimi nie istnieją. Nic więc dziwnego w tym, że wieczność też wzięliśmy szturmem od zewnątrz. Pytałeś o Ka–Undrium. Nikt nie wie, czym ono było dla Kliwian. Jak skrzela nie tłumaczy ryby poza wodą, tak pojęcia nie tłumaczy się poza kulturą, co wydała je na świat. Sądzę, że „Ka–Undrium też było formą zespolenia wolności i niewoli. Nie wiem dokładnie jaką, ale nie myślę, by swoistość rozwiązania była ważna, ponieważ w pełni dobrych nie ma. Kliwianie bynajmniej nie różnili się tak bardzo od reszty Encjan. Jeśli zrozumiałeś lub nie zrozumiałeś, pytaj dalej.

— W jaki sposób zabiliście ich? — spytałem. — Czy to prawda, że ogół nie wiedział nic o wojnie? Wasze źródła różnie o tym mówią...

— Nasze źródła kłamią — odparł wielki staruch. Wciąż patrzył bez ruchu w osłoneczniony ogród. — Ale nie tam kłamią, gdzie sądzisz. Historycy toczą wciąż jeszcze nie rozstrzygnięty spór o to, czy zadaliśmy im cios prewencyjny, czy też był to kontratak. Czy główne wprowadzone środki były biologiczne, czy nie. Jak gdyby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Rzecz w tym, że technika immortalizacji powstała jako technika zagłady. Dopiero potem spadły zdumionym znawcom łuski z oczu i dostrzegli przedłużenie życia poprzez zadawaną śmierć. Wcale tego nie chcieli i dlatego bystry pierwszej generacji służyły ektocydowi.

— Bystry powstały jako broń?

— Tak. Zabijały powoli, niepostrzeżenie i nieodwracalnie. Raz wszczętego procesu ektokowania nie można zawrócić ani przerwać. Bystry rozmiecione nad Kliwią zabiły ją w ciągu kilku lat.

— A lodowiec? Czy to prawda, że...

— Zlodowacenie Południa nastąpiło potem. Nie zajmowałem się szczegółami militariów, więc nie wiem, jak doszło do glacji całego kontynentu. Nie uważam, aby to mógł być czysty traf. Jeśli chcesz dowiedzieć się o tym czegoś więcej, i nie wystarczą ci moje przekonania, udaj się do pokutników. Wiesz, kto to jest?

— Tak. Zakon repenitentów, rozpamiętujących los Kliwii.

— Nie ze wszystkim. To bardziej zawile. Ale idź do nich. Nie jest to zła rada, chociaż nie tego się dowiesz, czego chcesz,

— Sądzisz, że będę mógł?

— Przypuszczam, że nikt ci w tym nie przeszkodzi. W każdym razie możesz spróbować. Czy masz jeszcze jakieś pytanie?

— Chcę wiedzieć, dlaczego pragnąłeś się widzieć ze mną, skoro sam nie pytasz mnie o nic?

— Chciałem zobaczyć człowieka — powiedział Anix.

## DOKTRYNA TRZECH ŚWIATÓW

Osoba starego mędrca wywarła na mnie większe wrażenie od jego słów. Anix wcielał to, co Szekspirowi tylko się wydawało: zarazem żył i nie żył. Nie był tylko namiastką zmarłego, symulatem, lecz rzetelną kontynuacją istoty sprzed trzyj stu lat. Nie mogłem jednak dać wiary temu, co powiedziani o fiasku ektotechniki. Byłem pewien, że moc ludzi zdecydowałaby się na taką przemianę, by zdobyć nieśmiertelność, dlaczego więc tu miało być inaczej? Przemilczałem te moje; wątpliwości, ogarnięty nagłym podejrzeniem, że to nie stary filozof odpowie mi na pytanie, lecz chmura bystrów, złączonych w jego postać. Mówiłem sobie wprawdzie, że myślę jak dzikus szukający w aparacie radiowym gadających krasnoludków, ale niezwalczony opór zamknął mi usta. Czy stopniowość automorfozy rzeczywiście zapewniała osobową kontynuację istnienia? Jak można się było o tym przekonać? Zgłębienie tej kwestii wydało mi się ważniejsze od wyprawy do pokutników, więc ją odłożyłem. Tymczasem zaproszono mnie na spotkanie ze studentami i wykładowcami Instytutu Bystretyki. Sala była nabitą do ostatniego miejsca, ale z pytań, jakie się na mnie obruszyły, ziała kompletna ignorancja w ziemskich sprawach. Jakiś białopióry student w okularach wciągnął mnie w dyskusję na temat aniołów. Znając je z wizerunków twierdził, że na takich skrzydłach nie można latać. Ponadto tylko upierzony ogon zapewnić może stateczność, ewentualnie pierzaste stateczniki przy kostkach. Powiedziałem, że to obiekty wiary, postaci duchowe, a nie przedmioty badań aerodynamicznych. To go nie przekonało. Ludzie muszą ubóstwiać potajemnie ptactwo, upierał się, w przeciwnym razie skrzydła aniołów nie byłyby upierzone, lecz na przykład błoniaste. Chciał, abym wyraźnie określił nasz stosunek do pierza. Skrzydła są symboliczne, tłumaczyłem, nie oznaczają ptaków i nie chodzi o lotki ani o puch, lecz o niebo, do którego wierzący pójdzie po śmierci. Nastąpiły pytania o płęć i sposób rozmnażania się aniołów. Sugerowałem, że anioły nie mogą mieć dzieci, ale jako słaby w angelologii traciłem grunt pod nogami. Ktoś słyszał o aniołach stróżach i pytał, czy to jest ziemskim odpowiednikiem etykosfery? Ledwie odetchnąłem, ale gdy temat się wyczerpał, padło pytanie o nasze konkurencje rozrodcze. Domyśliłem się, o co chodzi, bo byłem onegdaj na miejskim stadionie świadkiem corocznych biegów godowych. Erotykę zastępuje Luzanom ten właśnie rodzaj wyczynowego sportu. Młodzież obojga płci odświętnie przyodziana staje na bieżniach, a trybuny dopingują biegaczy i biegaczki oklaskując frenetycznie każdy udany akt zapłodnienia. Wyjaśniłem więc, że my nie rozmnażamy się w biegu, więc to nie może być u nas sportem. To nie jest sportem? A więc czym? Począłem bełkotać o miłości. Niestety ześlizgnąłem się z niej w namiętność zmysłową, nieposiężną dla nich i dostałem się w krzyżowy ogień. Namiętność zmysłów? Co to jest? Tak, tak, wiemy, macie inną budowę anatomiczną, nie biegacie, bardzo dobrze, robicie to inaczej niż my, ale czemu te sekrety, te napomknienia, uświadamiania, ta aluzyjność? Dlaczego w waszej prasie tyle jest reklam z piersiowymi gruczołami? Czy to ma coś wspólnego z polityką? Z walką o władzę? Nie? A więc z czym właściwie? Życie rodzinne? I co z tego? Pociłem się jak mysz, bo nasiadali coraz mocniej, chcąc koniecznie, żebym powiedział, co tak wstydliwego widzimy w zapłodnieniu. Jaki to wstyd? Kto się wstydzi, samiec czy samica? I czego właściwie? Czy religia zabrania się wam rozmnażać? Nie zabrania? Na sali, chciał pech, znajdowało się kilku studentów religiologii porównawczej i ci dołożyli mi najgorzej. Ledwie rzekł, że religia nie ma nic przeciw dzieciom, jeden z tych mędrków opowiedział o ślubach czystości, które mają się przyczyniać do zbawienia duszy, z czego wniosek, że im kto by więcej napłodził dzieci, tym dalej mu do zbawienia podług naszej wiary. Upierałem się, że nic podobnego. On coś ukrywał! — wołano z różnych stron sali. Zapewniałem gorąco, że wcale nie. Całe audytorium huczało, koniecznie chcąc się dowiedzieć, skąd ten jakiś wstyd, te odosobnienia, intymność, u nich nie ma nic bardziej publicznego, a ja, całkiem zbaraniały, nie potrafiłem tego wytłumaczyć. Jakaś

studentka spytała, czy składamy jaja, lecz inni, lepiej poinformowani wyśmiali ją. Ludzie pochodzą od czwororękich nadrzewnych włochaczy, z gromady ssaków, i są żyworodni. Ssaki? Ano tak. Matka karmi dziecko piersią. Piersią? Mlekiem z piersi, samą piersią karmią pelikany. Mleko wzbudziło sensację; Czy serem też? A jak z masłem? Płatałem się w zeznaniach; Może bym w końcu zdołał im zakomunikować dwuczłonowość erotyki, jako duchowej i zmysłowej, ale bariera, użyczająca pierwszej wzniosłości na niekorzyść drugiej, była dla nich nie do pojęcia. Dlaczego taki podział? Czy pokrywa się z rozgraniczeniem cnoty i grzechu? Tak? Nie? Jakiś młody logik, perłowy jak turkawka, wydedukował, że ludzie nie wyznają jak należy własnej religii, bo jakby ją tak wyznawali, to wszyscy dawno już wymarliby bezpotomnie. Zbiorowe samobójstwo celibatyczne! Grzeszą, więc istnieją! Pecco, ergo sum, et nihil obscoenum a me alienum puto! Sala ubrdała sobie, że wszystko wiem, ale nie wolno mi tego zdradzić. Próbowałem w rozpaczony taktyki Sokratesa, pytając, co u nich uchodzi za nieprzyzwoite. Okazało się, że niestety nic. Obelżywe, brzydkie, wstrętne, budzące repulsję, niesmaczne, okrutne, te pojęcia znali, ale nieprzyzwoitości nie. Nieprzyzwoite, to jeść brudnymi rękami! Dłubać w nosie na egzaminie! Przedrzeźniać i wyśmiewać innych! Tak wołali do mnie pełni nadziei, że naprowadzony na właściwy ślad, zdradzę im wreszcie tę zagadkę. Nic z tego nie wyszło. Wśród tumultu, psykania i tupania (zachowywali się już nieprzyzwoicie) dałem nareszcie za wygraną.

Po wykładzie był bankiet. Zapoznałem się z młodym naukowcem, który siedział po mej lewicy — z prawej strony miałem rektora. Młodzieniec okazał się bardziej zajmujący. Był to doktor bystretyki, podobny do puchacza z grzywką, nazwiskiem Tiuxtl. Poza głównym kierunkiem studiów uprawiał też człekistykę. Widać było jednak, że zna ziemskie problemy tylko z teorii. Sądził na przykład, że odstrasza napastników zjeżoną czupryną jak hieny. Zapewniałem go, że włosy wcale nie stają nam dęba, ale powołał się na ziemskie książki, i wytłumaczył tu obcemu, że to nie dowód, bo i pięć nie bierzemy literalnie za pas, chociaż tak się mówi. Usłysawszy o moim spotkaniu z Tahalatem, Tiuxtl uśmiechnął się ironicznie. Oficjalna propaganda, rzekł, jarmarczne sztuczki i tricki, zawracanie dzioba. Zgodził się zostać moim mentorem. Dopiero od niego dowiedziałem się, jak działa etykosfera. Składają się na nią bystry, produkowane w zakładach strukturalnych i w bystrowniach. Nad centralną dyspozycją mocy stoi rządowy duumwirat — Pierwszy Inhibitor i Pierwszy Hedomatyk. Ich zdania się równoważą, bo jeden dba o prewencję zła, więc ograniczanie czynów, a drugi ó podaż dobra i tym samym maksimum swobód. Fach Tiuxtla, bystretyka, to nie zasady moralne wpajane bystrom, lecz sztuka wcielania etyki w fizykę. Już pierwsi projektanci etykosfery, zwani Ojcami Fundatorami, pojęli tę konieczność. Największą biedą wszystkich kodeksów moralnych jest niewspółmierność uczynków rodząca pytania w rodzaju, co jest gorsze, okraść sierotę, dręczyć starca czy też pobić kapłana świętą relikwią. Etykosfera nie miała się więc stać ani psychologiem–wychowawcą, ani podpatrywaczem i kontrolerem, ani niewidzialnym rozjemcą czy policjantem, a tym bardziej nie miała stać się stroną, z którą można by dyskutować i spierać się o właściwość czynów, bo wszędobylstwo takiej kurateli byłoby nie do zniesienia. Złochłonność etykosfery przejawia się więc wyłącznie jako jej fizyczna własność. W uszlachetnionym środowisku nie można nikogo zmusić do niczego, tak jak nie można zmusić elektronów, żeby przestały krążyć wokół jąder atomowych. Nie można w niej unicestwić żadnego życia, tak jak nie można unicestwić materii czy energii. Prawa fizyki są przede wszystkim z a k a z a m i, czynią one bowiem pewne rzeczy niemożliwością, toteż popełnić zbrodni w etykosferze nie można, tak samo jak w naturalnym otoczeniu nie można zbudować perpetuum mobile. W tym celu wszystkie decyzje, jakie muszą podejmować bystry, przeniesiono z grząskich debr psychologii na grunt ścisłych obliczeń. Tym właśnie zajmuje się bystretyka. Tiuxtl pokazał mi, jak się to robi. Jedno z przykazań głosi, że „Nikt nie może być więziony”. Dyrektywa ta działa jak prawo fizyki. Można je stwierdzić, usiłując zakuć kogoś w kajdany, biorąc go w pęta czy na stryk lub sposobem bardziej wyrafinowanym

na przykład przez w cementowanie nóg ofiary do kubła i wrzucenie jej do stawu. Okowy i pęta rozpadną się natychmiast, podobnie rozkruszy się na proch i cement, ale żeby do tego doszło, oprymowany musi podjąć wysiłki uwolnienia się. W przeciwnym razie rozpadałaby się nawet odzież i nikt nie mógłby nosić szelek czy paska. Pętany powinien się więc rwać z więzów i kiedy te wysiłki przekroczą pewne natężenie, czujniki bystrowe każą się rozpaść pętającej substancji. Gdybym szarpał się na obroży, odzyskałbym wolność, ale o tym nie wiedziałem, nie będąc Luzaninem i na to właśnie liczyli moi porywacze, dodał śmiejąc się Tiuxtl. Bystry wcale się nie zajmują duchowym stanem zaatakowanego, bo tego nie potrafią, ustalają tylko, czy cokolwiek pęta wolność jego poruszeń. Kunszt bystretyków przejawia się w takim przekładaniu moralnego sensu wszelkich sytuacji na ścisły język fizyki, żeby doszło do rozwiązania optymalnego dla wszystkich, bez wtrętu oceny psychologicznej. Znaczy to, że bystry nie nadzorują wcale tego, kto usiłuje dokonać mordu, że nie osądzają takiej intencji przejawionej czynem, lecz ustalają tylko stan faktyczny i udaremniają jego szkodliwe skutki. Programy obejmują wiele przykazań, brzmiących rzeczowo, na przykład: „Nic nie może spaść gwałtownie”, co oznacza, że ani meteor nie może runąć na miasto, ani też nikt nie zabije się w upadku bez względu na to, czy sam wyskoczył przez okno, czy został wyrzucony, jakkolwiek uruchamiane przeciwśrodki są rozmaite. Do środków tych należą niszczki i chłonki, podatomowe drobiny, wchłaniające energię lub wydzielające ją na rozkaz bystrów. Trylion chłonek rozsiany nad milą kwadratową może obniżyć temperaturę o dwadzieścia stopni w ciągu minuty. Nikt mi tego nie powiedział, ale myślę sobie, że tak właśnie spowodowała Luzania zlodowacenie Kliwii Czarnej. Inne dyrektywy bystretyki ustalają, że jeśli ofiar nie można uniknąć, to ma ich być jak najmniej. Jest to zasada minimum zła. Gdyby dziecko przechodząc przez tory uwięzło nóżką w szynach, a wyhamowanie pędzącego pociągu zagrażałoby wykojeniem, więc życiu pasażerów, dziecko zostanie przejechane. Przykład ten wymyślił Tiuxtl na mój użytek, ponieważ w Luzanii nie ma pociągów. Inna reguła głosi, że „Nikt nie może zachorować”. W Luzanii nie ma już od dwustu lat medycyny typu ziemskiego, bo medyczny nadzór sprawują nad wszystkimi bystry od narodzin do śmierci, więc operacje i wszelkie inne zabiegi są zbędne. Nie może na przykład dojść do zatorów krwiobiegu czy do skrętu kiszek, bo wszelką powstającą przypadłość bystry likwidują w zarodku. Dotyczy to również tkankowych błędów i wypaczeń, zwanych nowotworami. Stąd też właśnie poszła niegdyś rewolucyjna idea zdobycia nieśmiertelności poprzez ektokowanie. Ratowniczo–naprawcze pogotowie, bezustannie aktywne w bystrosferze, nie jest bynajmniej czymś nowym i pierwszym, czego świat dotąd nie widział, podkreślał Tiuxtl, ponieważ bardzo podobne stosunki panują w każdym żywym organizmie. I w nim przecież, póki jest sprawny, jedne narządy czy tkanki nie mogą szkodzić innym, nie mogą się rozrastać ich kosztem, a cokolwiek wtargnie z zewnątrz, czy będą to zarazki, czy odłamki pocisku, zostanie unieszkodliwione, otorbione bądź wydalone z ustroju. Organizm, tak samo jak bystrosfera, nie wdaje się też w żadne refleksje moralne, by ustalić na przykład, czy za danym zamachem na zdrowie i życie stały jakieś słuszne racje, czy nie. Organizm działa nieperswazyjnie i właśnie to sprawiało niegdyś lekarzom wielkie kłopoty w postaci odrzucania narządowych przeszczepów. Ciało można przechytryć i zabić, ponieważ działa zawsze tak samo, natomiast etykosfera podlega ciągłym usprawnieniom dzięki bystretyce. Nie znaczy to jednak, żeby już była doskonała albo nawet, żeby kiedykolwiek mogła osiągnąć absolutną doskonałość. Pod tym względem Tiuxtl okazał się sceptykiem. Dał mi do przeczytania pamflet wymierzony przed pięćdziesięciu laty w pozycje bystretyków przez filozofa Xaimarnoxa, który sam był bystretykiem, dopóki radykalnie nie zmienił przekonań. Xaimarnox twierdził, że etykosfera nie jest wymierzona w społeczne zło, jak się powszechnie sądzi, lecz w coś zupełnie innego. „Dobrobyt — pisał — nie jest przecież tym, co się już ma, a przynajmniej” nie tylko tym, lecz mirażem, dalekim celem ulokowanym w przyszłości. Nędza jest okropna i przytłaczająca, ale przynajmniej dopinguje do wysiłków, żeby się z niej

wydobyć, a dobrobyt łatwy i posiadany jak powietrze jest o tyle gorszy, że nie ma z niego dokąd iść, więc trzeba go powiększać — nic. innego nie można już zrobić. Nie tylko trzeba mieć coraz więcej — już, teraz, pod ręką — ale trzeba zarazem mieć coraz więcej nowych, dalszych szans. Więc musieliście przerobić sobie świat, skoro nie chcieliście albo nie mogliście wziąć się do przerabiania samych siebie, co zresztą, jak wiemy, daje wprawdzie rezultaty o innym wyglądzie, ale niemniej fatalne. Lecz nic tak nie niszczy człowieka w człowieku jak błogostan zdobywany za darmo — i bez udziału, bez wsparcia, bez uczestnictwa innych ludzi. Nie trzeba być dobrym dla nikogo ani świadczyć usług, ani pomocy, ani serdeczności, bo to się staje równie bezsensowne jak dawanie jałmużny krezusowi, jak miedziak w kopalni złota. Skoro każdy ma już więcej, niż mógłby zachcieć, cóż można jeszcze mu dać? Uczucia? W takiej sytuacji może je świadczyć tylko jeden abnegat drugiemu. Ale abnegacja staje się wtedy urągówiskiem z tego cywilizacyjnego raj, który został stworzony takim trudem — a zresztą do erozji życzliwości, przywiązania, szacunku, miłości dochodzi się pomału — nie w jednym pokoleniu ani w dwóch. Najpierw pojawiają się prymitywne roboty, pełniące rolę sług, najpierw mechanika małpuje tylko nieforemnie podpatrzoną u ludzi, zaprogramowaną uwagę oddania, gotowość służb, ale można, a nawet trzeba już wtedy doskonalić ową symulację dalej, żelazne manekiny idą do muzeum techniki, zastąpione przez nie narzucającą się tak grubo jak one, pielęgnacyjną, czułą, poddańczą, wprost miłosną, choć bezosobową, ale za to bezgraniczną, bo do samozatraty, bezegoistyczną uwagę otoczenia — toż ono spełnia ledwie na wpół pomyślane zachcianki — ale jeśli władza absolutna absolutnie deprawuje, to taka doskonała życzliwość doskonale unicestwia. Skoro zaś odwrót w niedobory, w biedę i ubóstwo jest dla ogółu niemożliwy — do kogo ma się on zabrać dla porachunków za to swoje przywalenie szczęściem, jak nie do tego, co je wytwarza? Ktoś musi być winien zawsze — Bóg, świat, sąsiad, przodkowie, obcy, ktoś musi być winien, I cóż? przychodzi ratować przed ludźmi to ich nie chciane szczęście, a kiedy nie mogą go rozdeptać, nie zostaje im do porachunków nikt poza innymi ludźmi. Więc wszystkich przed wszystkimi trzeba osłonić i toście właśnie zrobili. Nazwę to katastrofą: powszechny raj, w którym każdy siedzi z własnym piekłem w sobie, i nie może dać drugim do posmakowania tego piekła, I niczego nie pragnie tak bardzo, jak udzielić innym tego smaku swojej kondycji. Chcecie dowodu na to? Oto on. Chociaż wcaleście tego nie planowali, chociaż było to nierozmyślnym, a nawet niepożądanym skutkiem złośliwości otoczenia, wyprodukowaliście rozróżniki wiary i niewiary. Przeświadczeń dogłębnie autentycznych i skłamanych. Rząd głosi, że chodzi o bardzo nędzną wiarę, ograniczoną do jednego artykułu, przemianowującego zło w dobro — czyli mord w świątobliwą zasługę. Że to Credo nie jest dla naszych ekstremistów celem (a wszak wiara powinna być celem), lecz środkiem do oszukania etykosfery, ażeby mogli zabijać.

Bystretycy szukają więc nowych programów, które udaremnią ten wybieg, a tego, kto mówi jak ja, mają za przeciwnika. Ale ja nim wcale nie jestem. Powiadam jedynie: proszę mi rzec, co przyjdzie wam z tego, że zdołacie tak udoskonalić bystry, żeby zło, które wydobywa się jeszcze z ludzi ostatnią szparką, jaka została im na własność — przeżyć religijnych — zaszpuntować w nich na amen. Zabetonować każdemu jego wewnętrzne piekło. Czy doprawdy nie dostrzegacie absurdalności takiego »udoskonalenia«? Wiem, że chcieliście jak najlepiej. Nie chcieliście zła. Chcieliście upowszechnić dobro i tylko dobro. Ale okazało się, że to jest właśnie zło. Teraz usiłujecie zamaskować przed sobą zło tej melioracyjnej roboty. A więc okłamujecie się. Zmierzacie do tego, aby nikt nie mógł udowodnić wam, innym, społeczeństwu — że to dobro go unieszczęśliwia, że czyni go złym. Wiary rodzą się z nieszczęścia, które jest składową egzystencji. Z potrzeby takiego Ojca, który nigdy nie zestarzeje się i nie umrze, lecz zawsze pozostanie niezawodnym miłującym opiekunem. Z poczucia, że skoro świat nas nie kocha, to powinien być Ktoś, kto by nas ukochał. Wiara powstaje nie z nędzy materialnej, lecz z nadziei, że ten świat nie jest jednak całym światem,

że w nim albo ponad nim jest To albo Ten, do kogo można się zwrócić, kogo będzie można zobaczyć twarzą w twarz po śmierci — jeśli nie za życia. Jednym słowem wiara jest wybiegiem rozpaczy jako zrodzonej przez nią nadziei, ponieważ w zupełnej rozpacy i bez krzty nadziei nie można żyć. Nie można chociażby dla innych ludzi, a wyście im tę szansę zabrali. Więc ta nowa kielkująca wiara, ta, która mord jako uczynek obraca w dobro, w najwyższą zasługę, ta nieszczęsna postać zwyrodniałej wiary też jest przecież wyrazem rozpacy i zrodzonej przez nią nadziei, że tak, jak jest, nie może być. Tamta pierwotna wiara i wtórna biją obie z tych samych duchowych źródeł. Dziwaczność tej nowej wiary wynika z dziwaczności utworzonego stanu rzeczy, który samiście sobie sporządzili. Moi koledzy i przyjaciele bystronicy nie myślą tak, ponieważ są zajęci rozwiązywaniem szczegółowych kwestii technicznych następnego kroku w hedomatyce i w inhbicji, toteż nie wiedzą, oraz nie życzą sobie wiedzieć, że hedomatyka po trochu zmieniła się im w algomatykę, czyli tortury z zyczliwości.”

Ten pamflet stał się bestsellerem. Fachowcy ignorowali go, ale został biblią intelektualistów, bo ich lamenty i oskarżenia etyfikacji znalazły wreszcie konkretny mianownik. Wiadomo z historii, pisali, że nie ma tego dobrego, co by nie wyszło komuś na złe. Dobro może i bywa w niewielkich dawkach dobre, ale jako dożywocie jest trucizną. A właśnie Xaimarnox twierdził, że im opiekuństwo bystrów jest doskonalsze, tym więcej rodzi nieszczęścia. Rząd milczał, miał jednak popleczników i ci wzięli się do Xaimarnoxa, jako dziwaka i piniacza. Poszły nawet w ruch pogłoski, jakoby dostał odznaczenie od Przewodniczącego. Wnet poszedł ów hałas w zapomnienie. Wizja starego bystretyka nie spełniła się —, mord jako protest przeciw przymusowej łagodności nie oblekł się w wyznanie wiary, pozostał sztandarem nielicznych ekstremistów, a jednak Xaimarnox nie okazał się ze wszystkim fałszywym prorokiem. Zaszła bardzo dziwna rzecz, bo etykosfera odrodziła zapomnianą już Doktrynę Trzech Światów.

Jak do tego doszło? Rząd wprowadził etyfikację, kiedy Luzania wila się w kryzysach. Dobrobyt rozjątrzył społeczeństwo, przyrost ludności rozsadzał miasta, znikwały granice między polityką i występkiem. Wszystko to ucichło pod kloszem etykosfery, lecz po czterdziestu latach dały znać o sobie zjawiska całkiem nieznanne, bo zarazem korzystne i niepokojące. Były to zmiany na lepsze, których nikt nie planował ani nie zamierzył. Zmniejszał się przyrost naturalny, przestały się rodzić dzieci ułomne i niedorozwinięte umysłowo, rosła przeciętna długość życia. Przez jakiś czas rzecznicy etyfikacji tłumaczyli to uszlachetniającym umysły wpływem bystrosfery. Sensację wzbudziło dopiero orzeczenie lekarzy, że starych ludzi przestają trapić typowe w ich wieku złamania kości, bo ulegają one powoli metalizacji. Wrastając w piszczele i golenie, mikroskopijne nici metalu zwiększały wytrzymałość szkieletów. Tego fenomenu nie dało się już uniewinnić ogólnikami o wychowawczym działaniu etykosfery; był niewątpliwie dziełem samowoli bystrów. Zanik złamań nie był zły — złe było to, że bystry robią coś, czego im nie zlecono. Intelktualiści, z którymi każdy rząd pod każdą gwiazdą ma same kłopoty, znów zaczęli wielkim głosem pytać, kto właściwie kim włada: żyjący — bystrami czy bystry — nimi? Czyżby udało się stworzyć, pytali sardonicznie, raj doskonalszy od wymarzonego?

Bystretycy pozostawali niewzruszeni, tłumacząc na wszystkie strony, że nic niedobrego się nie dzieje. Etyka nie daje się wprost przekładać na fizykę. Gdy powiesz „Nie czyn drugiemu, co tobie niemiłe”, nie musisz nic dodać, bo każdy wie intuicyjnie, co mu niemiłe. Gdy jednak wcielać takie przykazania w fizykę generalnie remontowanego świata, nie ma już jako odwołania niczych intuicji. Układa się programy dla elementów logicznych, które podlegają im, nic nie rozumiejąc. Bystretyk nie pracuje jak moralista, lecz jak matematyk budujący system dedukcyjny. Taki system wynika z założeń zwanych aksjomatami. Z aksjomatów wynika zwykle więcej, niż wiedział ten, kto je ustanowił. Geometria określa punkt, prostą i płaszczyznę, a potem się okazuje, że wbrew zdrowemu rozsądkowi wynika z tych definicji i



taka płaszczyzna, która ma tylko jedną powierzchnię. Programiści zlecili bystrom troskę o dobro społeczeństwa, a one troszczą się bardziej, niż ktoś by się spodziewał. Czy to źle? To przecież doskonale, wszak miały czuwać nad zdrowiem, więc czuwają, ale stare kości stają się łamliwe powoli, i nie można przewidzieć, kiedy się złamią. Nie mogąc udaremnić tego, co miały udaremnić, bystry przeszły do radykalnej profilaktyki. Medycyna nie ma żadnych zastrzeżeń wobec metalizacji szkieletów, więc nie ma powodów do alarmu. Bystry wcale nie wymknęły się spod Imperatywu życzliwości, toteż wszystko jest w porządku.

Tymczasem i pogoda ulegała zmianom. Znikały znaczniejsze skoki ciśnienia, cyklony omijały terytorium Luzami, cóż by to znów miało znaczyć? Fronty burzowe, okluzje i elektryczność atmosferyczna powodują stresy, więc i w tej dziedzinie bystry zabrały się do opieki, regulując klimat. Cóż, pytali bystretycy znów hałasujących opozycjonistów, tęsknicie za trąbami powietrznymi i tajfunami? Teraz jednak, zarysował się rozłam i wśród biegłych. Jedni upierali się, że dyrektywa dobra zawsze będzie trzymać w ryzach inicjatywę bystrów, a inni powtarzali, że zło już się stało, bo każdy, kto odnosi nieproszone korzyści, podlega ubezwłasnowolnieniu.

Rację mieli, jak się niebawem okazało, jedni i drudzy. Przyszło do niesamowitych zdarzeń. Coraz więcej starych ludzi nie umierało do końca. Tak to nazywano. Tracili siły, kładli się na łoża śmierci, ślepi i głuchli w bezprzytomności, i trwali w takiej zawieszonej agonii całymi miesiącami. Rodziny czekały ostatniego tchnienia, lecz zgon nie przychodził. Co okropniejsze, ciało już wystygłe zaczynało się nagle poruszać, ręce i nogi wykonywały chaotyczne ruchy, aż znów wracał niepojęty letarg. Zdarzyło się nawet, że serce przestawało bić, ale i to nie było znakiem śmierci, bo rzekomy trup nie ulegał rozkładowi. Dopiero od Tiuxtla dowiedziałem się, że to nie Luzanie sami wynaleźli ektotechnikę, lecz dowiedzieli się o niej od bystrów. Bezmyślne i sprawne pracowały wciąż tak, jak im nakazano. Miały podtrzymywać życie, więc podtrzymywały je przeciw konaniu. Organizm stawał się terenem ich zaciętej cichej bitwy o ratunek ledwie kołającego życia. Mózg umierał na dobre, temu nie potrafiły zapobiec, więc ratowały, co się jeszcze dało. Odkrycie to było początkiem wielkiej wrzawy. Fachowcy, wprost zachwyceni, wzięli się od razu do dalszego doskonalenia bystrów, bo zaświtała im nadzieja nieśmiertelności poza śmiercią. Głusi na wszelkie protesty, głosy oburzenia i trwogi, eksperymentowali na zwierzętach. Opozycja wołała, że nie może być bardziej szyderczego spełnienia marzeń o żywocie wiecznym, niż otrzymać taki dar podsunięty skrycie, po złodziejsku, cichaczem wprowadzony w ciała. Zostać przymusowo skazanym na nieśmiertelność toż to urągowisko, a okazywany przez bystroników entuzjazm świadczy o ich profesjonalnym szaleństwie. Referując mi wydarzenia sprzed trzystu lat, Tiuxtl nie ukrywał ich makabryczności. Pośpiech, z jakim bystretycy przenieśli ektotechnikę ze zwierząt na Encjan, dał koszmarnie skutki. Liczyli na to, że kiedy na ulicach pojawią się pierwsi nieśmiertelni przechodnie, ogół oceni to należycie i odwróci się od opozycyjnych krytyków. Tymczasem już po niespełna roku przyszło zamykać pierwszych kandydatów do wieczności w specjalnych azyłach. Jedni z dnia na dzień sztywnieli tracąc przytomność, i to było jeszcze najmniej okropne, bo wielu wpadło w szal. Wspinali się jak małpy na drzewa czy ściany, wskakiwali na bliskich, rzucali się z okien, nie robiąc sobie zresztą nic złego, bo czuwała nad nimi bystrosfera. O ile mi wiadomo, stąd wzięły się właśnie pogłoski o „naskoczycielstwie”, „wczepinach” i „lalonizacji”, fałszywie przedstawione w pismach naszego ministerstwa. Było to tym fatalniejsze, że w zetyfikowanym środowisku nikogo nie można krępować ani powstrzymać siłą. Nawet potężne dawki środków uspokajających nie skutkowały, bo lekarze mieli do czynienia nie z szalejącymi starcami, lecz z całą potęgą bystrów, które nie dawały uśmierzyć wyników swej unieśmiertelniającej roboty. Tragedia, zauważył Tiuxtl, powinna mieć w sobie dostojność, tymczasem zacne starania o wieczne życie zappełniły ulice i domy bijatyką niepoczytalnych staruszek i staruchów z przerażonym otoczeniem. Zamiast przekonać społeczeństwo do immortalizacji, bystretycy

skompromitowali ją nieodwracalnie i kiedy rzecz się wyjaśniła, nikt nie chciał nawet słyszeć o nieśmiertelności. Zwierzęta, na których robiono eksperymenty, mają prostsze mózgi i dlatego znosiły ektokowanie bez szwanku. Późniejsze sukcesy nic bystronom nie pomogły. Kto może teraz wiedzieć, pisali dysydenci, czy nasze przymusowe doszczęśliwienie na tym się skończy? Kto zaręczy, że bystry nie przenikają z rządowego błogosławieństwa do grobów, ażeby paradować nas znajomymi kościotrupami, dziarskim marszem wracającymi z cmentarzy? Nie przychodzą już na świat ułomne dzieci i to jest ponoć dobre — ale skąd możemy wiedzieć, jakie inne jeszcze dzieci przestały się rodzić? Skoro bystry udaremniają poczęcie ułomnych, znaczy to, że dokonują selekcji zapłodnień, a skoro tak, to gdzie pewność, że nie gubią w zarodku innych dzieci, na przykład takich, co mogłyby wyrosnąć na zawadę etykosferze? Gdyby bystry były stroną, gdyby można się z nimi porozumieć, poddać je indagacji, wyperswadować im te zacne potworności, gdyby umiały wskazać kierunek swych działań i jego racje, pół biedy, ale to jest przecież niemożliwe! Chęć dyskusowania z etykosferą zawiera tyleż sensu, co chęć wypytywania prądów atmosferycznych o jutrzejszą pogodę. Władza nami bezduszna aktywność, doprawiona fizyce zastanego świata i nic nie może dowieść, że ten nowy świat zawsze będzie światem życzliwym — że jego opiekuńczy uścisk nie stanie się za pięć lub za sto lat morderczy... Kiedy Tiuxtl mi to mówił, musiałem myśleć o Anixie. Zdecydował się na ektokowanie wśród społeczeństwa dyszącego nienawiścią do uczonych, bystrotechników, pewno i filozofów jak on, bo zrozpaczony, bezsilnie wściekły tłum — a toki przecież wołał o pomstę — nie bierze się do rozróżnień winy. Gdyby nie etykosferą, doszłoby niechybnie do gwałtów i samosądów, tymczasem fachowcy, zamiast bronić się czy usprawiedliwiać, wskazywali na obelgi, jakimi ich obrzucano, i na odrazę, którą budzili, jako na dowody swej nieustającej słuszności — bo gdyby etyfikacja naprawdę była zniewoleniem umysłów, mówili, to nie dopuściłaby do powszechnego wrzenia. Oczywiście nikt nie chciał ich słuchać. Ektoków odosobniono jak trędowatych, przy czym cokolwiek z nimi czyniono, opinia miała za złe. Poszły słuchy, że ich potajemnie uśmierca jakimiś stalowymi prasami czy młotami, w czym była taka szczypta prawdy, że istotnie znalazły się rodziny żądające odjęcia ich ektokom nieśmiertelności nawet przez zagładę, jeżeli inaczej nie da się tego zrobić.

Udatne immortalizacje następnego dziesięciolecia przeprowadzano w największej tajemnicy, a jednak nie dała się utrzymać, z takim efektem, że społeczeństwo ogarnęła gorączkowa podejrzliwość — teraz już nie tępota, lecz inteligencja miała świadczyć o trupim pochodzeniu. Musieli zmieniać twarze, nazwiska, porzucać rodziny, żaden też nie mógł nigdzie osiąść na stałe, bo samą swoją nie kończącą się obecnością kłuł sąsiedztwo w oczy. Byli to więc tułaczki, szukający pomocy lekarzy i kosmetyków, aby nadawać sobie wygląd pozorowanej starości. Widząc rzecz w takim impasie — pomówienie o nieśmiertelność stało już się obelgą i tak posądzonemu groził społeczny bojkot — rząd porzucił kampanię propagandową i powziął odwrotną decyzję. Aby udo— . wodnic sobie i opozycji, że nadal sprawuje kontrolę nad bystrosferą, powstrzymał wdrażanie ektotechniki. Odtąd wieczności można było udzielić tylko zasłużonym jednostkom na ich żądanie. Odwrot był dość zręczny, bo nadał miano szczególnego przywileju operacji, ustawowo dostępnej wybrańcom, choć ludność widziała w niej hańbę. Manewr ten powiódł ślę i uspokoił umysły. Mimo to zaszła w stosunku Luzanów do etykosfery wyraźna zmiana. Widać to było z potocznego słownictwa, jakie notują też materiały naszego MSZ. Ogół traktuje swój udoskonalony świat jako antagonistę o osobowych cechach i nie ma już na to rady. Zbiorowa wyobraźnia sięga pod wpływem zatajonych lęków po tradycyjne, mityczne fantazmaty, ucieleśniając w konkretną postać to, co jest bezcielesne i nieosobowe. Lecz ponad takimi naiwnymi wyobrażeniami trwa rzeczywistość nie mniej zagadkowa niż pierwotny świat naturalny, który miał się zmienić w błoga Arkadię. Nie mniej zagadkowa, skoro można jej przypisywać życzliwość, obojętność lub nieżyczliwość — znów patrząc w byt tak, jak filozofia starożytności. Odrzucona

nieśmiertelność to nie dowód, że można po wieki zaufać bystrosferze. Nazbyt dobroczynny opiekun został powstrzymany na pewnym odcinku, lecz cóż z tego? W każdej chwili może dojść do nowych „Zamachów Dobra”, jak je nazywają. Klasyczne pytanie „Ouis custodiet ipsos custodes?” nie daje się unicestwić. Ot, choćby w sferze codzienności: każdy robi, co chce — jak jednak odpowiedzieć na pytanie, czy on sam tego chciał, czy tkwiące w nim roje bystrów? Dopóki nie wykluczy się tej alternatywy, dopóty muszą trwać rozstaje Trzech Światów i nie można oddać zbiorowego losu pod wiekuiłą opiekę. Etykosfera na pewno jest w dyrektywach d o b r a, ale czy nie jest czasem z b y t dobra, nie wiadomo, odkąd obiecująco uśmiechnęła się do Encjan twarzą trupiej nieśmiertelności.

Jak słyshałem od Tiuxtla, wiele grup badawczych pracuje nad utworzeniem nowych systemów nadzoru, niezależnych od etykosfery. On sam uczestniczył w projektowaniu tak zwanego zwierciadła informatycznego, które miało, zawisłe ponad bystrosferą, umożliwić pomiar jej ingerencji, co pozwoliłoby ustalić, gdzie kończy się osobnicza wolność i zaczyna potajemne zniewolenie. Informatycy udowodnili jednak, że i ten wyższy poziom kontroli nie byłby ostatecznym, gdyż oznaczałby tylko ustanowienie nad bystrowym nadzorcą kontrolera wyższej rangi. Przyszłoby z kolei badać i jego lojalność..., a to jest już początkiem budowania nieskończonej piramidy nadzoru. Pytałem Tiuxtla, czy nie uważa tych obaw za przesadne. Wszak od tyluset lat dzieje im się pod uszlachetniającym ciśnieniem dobrze, a jeśli nie całkiem dobrze, to w każdym razie lepiej — czy chociaż tylko nie gorzej — aniżeli w dawnych wiekach pełnych zbrodni i krwi, czy więc sporządzony stan rzeczy nie zasługuje przynajmniej na umiarkowane zaufanie? Ależ nie o to chodzi, odparł, że mamy ten stan rzeczy za zły, tylko o to, że nie wiemy, czy znajduje się pod naszą kontrolą! Moglibyśmy się z jakimś dwuwładztwem, ustaliwszy, dajmy na to, że zmajoryzowaliśmy nadzór i mamy w rękę dwie trzecie, a jedną trzecią oddaliśmy bystrowym plenipotentom..., ale nie mamy pojęcia, jaki jest ich rzeczywisty udział w decyzjach o naszym losie. Możliwe, że każda społeczność kosmiczna buduje swoją etykosferę i każda rozwija się przez tysiąc lat, a potem ulega od samokomplikacji lub innych, nieznanym przyczyn zwyrodnieniu, i to nie w jednej chwili, lecz stopniowo, aż etykosfera obróci się w etykoraka... Idziemy w przyszłość bardziej niewiadomą od naturalnej, i to budzi naszą trwogę, a nie dyskomfort ugrzeczniających zakazów... Zważ, ziemski przyjacielu, że etyfikacji niepodobna odrzucić częściowo, tak samo jak industrializacji! Jak twoja ludzkość zmarniałaby po likwidacji przemysłu, tak my okazalibyśmy się bezradni po strzaskaniu złochnego klosza i nasz zwrócony w przyszłość lęk oczekiwania klęski obróciłby się w klęskę natychmiast...

Mówił tak, a ja myślałem, że zaczynam rozumieć ich tęsknoty za kurdlandzkim prymitywizmem, bo nie zdawały mi się już tak głupie, jak dotąd. Ponadto ja, sypiający zawsze jak suseł, co jest zresztą zawodowym nawykiem astronauty, zacząłem budzić się po kilka razy każdej nocy, nie to, żeby dręczony koszmarami, ale nadzwyczaj zdumiony treścią snów, jakich nigdy dotąd nie miewałem. Śniłem siebie jak ciasto na stolnicy, wyrabiane ogromnymi rękami, raz na kluski, to znów na pączki, i ocykałem się przy wrzucaniu we wrzątek. Czy moją głowę stać na coś takiego, myślałem, czy nie wśniły tego we mnie miliony bystrów, panoszących się w mózgu? Obracałem się na drugi bok wzdychając do chwili, kiedy wejść na pokład, żeby wracać i nawet szwajcarskie więzienie wydawało mi się wówczas bezpiecznym portem.

## PER VISCERA AD ASTRA

Pamiętliwy Tiuxtl zaproponował mi u początku lata wyprawę we dwóch do Teltlineu, żeby szukać klasztoru mnichów repenitentów.

Przyjrzałem się temu zdaniu z niezadowoleniem. Szczęśliwy kronikarz, tkwiący w swojszczyźnie z czytelnikiem, bo rozumieją się bez jednego słowa. Powie „lato” i tamten już widzi łąny zbóż pod obłocznym błękitem, czuje rozbręczane gorąco pasieki, powie „klasztor” i od razu widać ciężką budowlę, czcigodne mury, słychać skrzypiącą furkę, a ja, co powiem słowo, to wprowadzam w błąd. Jeszcze ktoś pomyśli, że Luzanie nie mają nic na głowie oprócz bystrosfery, że rajcują o niej od rana do nocy, albo gnając jak strusie wciąż się zapładniają na stadionach. Ależ to tylko mnie, obcego, szczególnie frapowało, nie zostawiając miejsca na opis też ważnych, innych rzeczy. Cóż, muszę ponawiać objaśnień temu niby to prostemu zdaniu, które ma być początkiem końca.

Tiuxtl nazywał się już Totoltek, kiedy pojechał ze mną do Teltlineu, bo nazwiska luzańskie odmieniają się podług tego, co kto robi. Teltlineu, jak wyjawia nazwa nieobecnością liter „r” oraz „x”, to „dzikoświęta głusza duchowych prób i błędów administracji państwowej”. Wygląda niczym rezerwat natury: na pół wyschłe bagna, tundra i suchodrzew, a jest częścią ziemi niczyjej, opasującej półpierścieniem Luzanie wzdłuż granicy z Kurdlandią, niczym kordon sanitarny, stężenie bystrów nie może bowiem spaść nagle do zera jak ucięte. Dzikość oznacza bezbystrowie, a świętość — szansę trafienia na zakonników, bo choć mówi się o ich klasztorze, jest spisany jako ich reguła, i nic nadto, stanowią bowiem zakon koczowniczy i co dzień przenoszą się na inne miejsce. Teraz „próby i błędy”. Dwieście lat temu opozycja wymogła na rządzie ustawę, nakazującą każdemu urzędnikowi udać się raz na rok do Teltlineu i wędrować tam przez tyle dni, ile wynosi stopień jego zaszerogowania. Starszy referent na przykład musi pielgrzymować dwa tygodnie, bo ma czternaście stopni. Tiuxtl, ubiegający się o stanowisko naukowego radcy w MSZ, odwalił już był swe pątnikowanie (tak bez szacunku wyrażał się o nim) w zimie, żeby uniknąć komarów ściągających znowu z Kurdlandii w głównym sezonie pielgrzymek, i nazywał się wtedy Tuxtullix, co mniej więcej oddają słowa „Tiuxtl poza dobrem u swojego zła”. Że niby na bezbystrowiu każdy ujawnia swą najgorszą stronę, wyzwalając się z etycznych popręgów. Poznanie takich przywar jest szczególnie ważne w administracji, toż bystry nie mogą się wtrącać do urzędowania, więc przykry urzędnik może zalewać petentom sadła za skórę. Co prawda nikt nie słyszał o takim, którego pielgrzymka kosztowałaby posadę, choć po powrocie każdy musi oddać do inspekcji afektologicznej swoją ksandię. Ksandia przypomina różaniec, a nosi się ją na gołym ciele, żeby notowała najmniejsze drgnienie woli i uczuć. Zwykłym turystom straż wieszka na szyjach — przy przekraczaniu granicy — ksindry, chroniki, które mają ich chronić przed napotkanym pątnikiem, gdyby „ujawnił swoje zło”. Nie wolno rozkręcić ani ksandii, ani chronika, nie wolno też wiedzieć, jak działają. Mało, że jest to wzbronione, bo te urządzenia tak egzekwują zakaz, że nie można ich się pozbyć. Z podszeptu Tiuxtla rzuciłem mój chronik w krzaki i natychmiast pognął za mną, z cicha klekocząc koralikami. Właściwie nie byłem dostatecznie ścisły, mówiąc o ksindrach. Chronik przed użyciem to indr; nastawiony na konkretną osobę, otrzymuje przedrostek podług jej nazwiska, a ponieważ Tichy to po luzańsku Ks, mój tylko mogę nazwać ksindrem; przetłumaczone na ludzki język znaczy to mniej więcej „tichobieźny ratownik”.

Nie od rzeczy będzie jednak dodać, że te pielgrzymki administracji oraz ksandię i ksindry traktowane są jako czcza formalność. Wnet się o tym przekonałem. Jechaliśmy wszędołazem z przyczepką, załadowaną zapasami i ekwipunkiem, przez martwy las. Wyrósł wokół rzek płynących z lodowców i teraz, kiedy ich już nie ma, zsycha się i ginie. Koło południa Tiuxtl patrzący co jakiś czas na bystromierz orzekł, że „Jesteśmy już w „dziczy”. Nie rozbijaliśmy

obożu, a tylko usiedli na mchach i Tiuxtl otwarł konserwę byrrbyci, bo chciałem skosztować narodowej zupy Człaków. Dość zawieszista, smakuje jak nadpsuty bigos. Nad drzewami ukazał się wtedy Encjanin, bodaj sześciometrowy — ale wyglądał tak tylko z daleka, bo szedł na szczudłach, a właściwie na kroczyku. (Można by też mówić krocznica, zresztą jak kto chce; zarzucają mi wymyślanie nie istniejących słów, jakbym je układał dla przyjemności, a nie z musu). Obcy zjechał na dół, bo mu się te szczudła wteleskopowały, i spytał, czy może się do nas przysiąść. Przedstawił się jako Quaquaux (wymawia się Kłakłakłaks), ale będę go zwał referentem. Pracował w wydziale lokalowym niewielkiej przygranicznej miejscowości, a teraz pielgrzymował. Przyjeliśmy go do kompanii. Dowiedziałem się, że to mu właściwie niedozwolone. Próbę należy odbyć w samotności, nikt jednak tego nie pilnuje, a spytany przeze mnie, jak będzie z ksandią, referent odparł, że przecież nikt nawet do nich nie zagląda.

Nasz nowy towarzysz miał w plecaku undort, kasetowy wzmacniacz utensyliów. Undort znaczy „coś z niczego”. Używa się go tylko na bezbystrowiu. Z tego, co popadnie, choćby i ze śmiecia, od razu produkuje potrzebną rzecz. To poręczne urządzenie przydało się nam szczególnie w brzuchu kurdla, nie chcę jednak wyprzedzać wypadków. Referent wyczarował ze suchych gałązek i liści okrągłe jak kompas pudełko z tarczą, żywotrop, który wskazał około dwu pątników na milę kwadratową i (jak uznali z Tiuxtlem) znośną na razie ilość komarów. Na repellent był jeszcze czas. Spytałem, po co właściwie pielgrzymują, jeśli inspekcja nie sprawdza nawet ksandii, a oni zaśmieli się jak zmówieni i Tiuxtl powiedział, że pobyt na świeżym powietrzu jest miłszy od siedzenia w biurze. Siedzieliśmy tak rozmawiając, bo nie było się do czego spieszyć — żywotrop nie wskazywał ani śladu repenitentów. Tiuxtl, wyraźnie rozochocony, odkąd bystromierz spadł do zera, opowiadał o przesądach związanych z etykosferą. Luzanie żyją w niej od czterech wieków, więc i najstarsi pamiętają, jak było przedtem. Od dziecka uczy się każdego, że etykosfera to nie jest Ktoś, z kim można się porozumieć, ale to gadanie do ściany. Wiedzą swoje i nawet w środowiskach nauki furorę robią tłumnie odwiedzane seanse spirytystyczne. Nie jest to ze wszystkim humbug, bo inteligentne środowisko spełnia wszelkie (byłe nieszkodliwe) życzenia, prawdy może wyrażać z siebie widma, jeśli komuś specjalnie na tym zależy. Seansowicze sami się co prawda oszukują, biorąc rezultat nieświadomych zamówień za zjawiska nadnaturalne. Ostatnimi laty pojawiły się nowe wierzenia. Powstała sekta uprawiająca kontakty z duszami dawno zmarłych ektoków, których rząd miał jakoby zgładzić potajemnie, żeby zatrzeć ślady immortalizacyjnego niewypału. Sekciarze ogłaszają protokoły takich rozmów, pełne błagań o wyzwolenie z martwego żywota i naturalnie przekleństw miotanych na rząd. Trudno orzec, czy to zupełnie bezsensowne, czy więc bystrosfera ludzi członków tej sekty, spełniając ex nihilo, czego pragną, czy też może doprawdy znajdują się w niej szczątki umysłowego życia eks-nieśmiertelnych.

Są specjaliści uznający to za niewykluczone, bo bystrosfera zapamiętuje wszystkie własne działania, a każdy ektok był, przez to, że zbystrowany, do końca jej częścią. Jak widać, powstała bardzo dziwna sytuacja, w której niepodobna rozróżnić między istnieniem i nieistnieniem pozagrobowych widm i pokutujących dusz, aczkolwiek nawet z tym, że tak jest, nie wszyscy fachowcy się godzą. Doskonała imitacja prawdy, zauważył Tiuxtl, przestaje się różnić od autentycznej prawdy, i to w każdej dziedzinie. Spytałem, czy nikt nigdy nie wystąpił z publicznym żądaniem całkowitej likwidacji etykosfery, raz na zawsze lub choć na jakiś czas? Było trochę takich głosów, usłyszałem, jak również projektów mniej radykalnych.

Słońce zniżało się i zabręczały komary, wsiedliśmy więc łazika i ruszyli na poszukiwanie bardziej przytulnego miejsca na nocleg. Przedzieraliśmy się przez suchodrzew, wzięwszy pielgrzyma referenta na tylne siedzenie, skąd uczestniczył w rozmowie, a kiedy przy wyboistej jeździe wpadał na nas z tyłu, raz mój chronik, a raz huśtający się na szyi Tiuxtlowi wydawały krótki, ostrzegawczy syk.

Łazik kołysał się jak łódź na falach, a Tiuxtl dalej wyjaśniał subtelną różnicę między

wywoływaniem a wytwarzaniem duchów. Jeśli duchy zmarłych wzywa ten, kto w nie wierzy, bystrosfera uzna jego wiarę za obstalunek i spełni go. Jeśli natomiast ma duchy za niemożliwość, będzie w niej utwierdzony, bo oczywiście bystry rozpoznają jego niewiarę. Mimo to nie można uznać bystrosfery za Kogoś, gdyż jest raczej jak automat, dostarczający na żądanie każdej książki, choć niezdolny jej zrozumieć. Poznać to po tym, że gdybyś rzekł „chcę ujrzeć zjawę mego dziadka”, bystrosfera uczyni temu zadość, o ile dysponuje informacją o tym dziadku. Gdybyś natomiast zwrócił się do niej wprost, chcąc na przykład poznać jej zamiary lub myśli, nie odezwie się, bo nie jest Kimś, kto może mówić od siebie czy o sobie. Padały co prawda postulaty, żeby ją spersonalizować, lecz biegli wykazali, że byłoby w tym znacznie więcej szkody niż pożytku. Nie można wyjaśnić krótko i węzłowato, czemu tak jest, bo rzecz wikła się w potężnych paradoksach i sprzecznościach logicznych. Otoczenie ma doraźnie spełniać żądania indywidualne do granicy dobra osób trzecich. Nie będąc osobą, jest głuche na wszelkie życzenia wykraczające poza tę granicę. Inaczej można by cał po calu zdobywać władzę nad losami innych ludzi. Sytuacja o tyle szczególna, że nie będąc tworem osobowym, bystrosfera może produkować takie osobowe twory, choćby w postaci fantomów i duchów. Posłuch bystrów ustaje tam, gdzie zaczynają się groźne paradoksy, których Ziemianin nie może znać nawet z nazwy. Zresztą, ciągnął Tiuxtl, nigdy nie brakło nam reformistycznych projektów. Zręcznym uderzeniem zabił komara, który usiadł mi na czole, i prawil:

— Jednym z pierwszych był plan równowagi zła i dobra, czyli izokratyczny. Wysunęli go uczniowie Xaimarnoxa. W myśl zasady „oko za oko” otoczenie miało odpłacać każdemu pięknym za nadobne. Ukocha bliźniego, to zaraz go i bystry popieszczą. Uderzy, to sam dostanie w zęby. Wszystko dokładnie symetryczne, wyważone i proporcjonalne. Podług tej symetrii mógłbyś nawet zabić, ale tylko raz, bo padłbyś trupem na miejscu. Łatwo jednak pojąć, że była to prosta droga do eskalacji zła. Na ogół nikt nie wyłazi ze skóry chcąc świadczyć życzliwość, bo gwałcenie dobrem klóci się z jego istotą, ale na złość robi się innym bez pomiarkowania. W efekcie przemyślni łajdacy dowiedliby etykosferę do walki z samą sobą, musiałyby na przykład pierwszej dostarczać pancerza czy innej osłony, a potem druzgotać ją dla ukarania zabójcy. Zresztą doraźny sąd to marna sprawiedliwość, zwłaszcza przy zbrodniach w afekcie. Bystrosfera pełniąca funkcje katowskie nie byłaby ponętna...

— Ale ten projekt — wtrącił zza naszych pleców referent — tych trzech braci teologów, wie pan, żeby pójść na całość, to jednak była wspaniała wizja... — Bogosfera? — domyślił się Tiuxtl. A tak, była taka idea, synteologiczna, bo miało się rzucić w Kosmos dla jego pacyfikacji syntetyczną Wszecmoc... pewno, stworzony Bóg, Syntheos, kiełkujący na jednej planecie, żeby po eonach rozpostrzeć się na całe Uniwersum... ale dość pomyśleć, że pod totalnym opiekuństwem zamarłaby każda ewolucja naturalna, drapieżkę zdechłyby z głodu, a ich ofiary to samo, boby się rozmnożyły na śmierć w tłoku... Nie — to nie zostało dopracowane.

Rozmowa urwała się. Przez gęstwinę zaciemniała postać zgięta pod znacznym brzemieniem. Nasz wehikuł stanął, a napotkany chudy starzec w siermiężnej szacie zwałił z pleców niesiony głaz i osłoniwszy oczy od słońca, patrzył na nas bez ruchu. — Intryta... — zniżonym głosem powiedział referent. — Można by go spytać o drogę do klasztoru, ale czy odpowie...? Mają w regule milczenie...

Tiuxtl pozdrowił uprzejmie mnicha, który długo nie odpowiadał. Pewno rozważał, czy wolno mu się odezwać, bo reguła zezwala na to jedynie w wyjątkowych przypadkach. Uznawszy, że taki właśnie zaszedł, powiedział, kim jest. Był to brat furtian; rankiem zasnął odejście klasztoru, a teraz szukał go, dopiekając sobie w poczuciu winy kamieniem. Tiuxtl zaproponował mu podwiezienie, ale on tylko skłonił się nam, władował głaz na barki i wszedł w gąszcz martwych krzaków.

Słońce zachodziło czerwono, na wiatr i na komary, jak utrzymywali moi towarzysze,

kiedyśmy wreszcie znaleźli w suchodrzewiu łysinę, dobrą na obozowisko. Referent usiadł na mchu, pomanipulował przy undorcie i zaraz wyrósł przed nami biały domek jak bąbel z porcelany. Po chwili z jego wypukłych ścian wykłuły się długie ochronne kolce, aż zastygły, istny porcelanowy jeż, z półokrągłym wejściem. Wnosząc do środka nadymak rozdarłem go o jeden z kolców i zakląłem. Nie było wielkiej szkody, bo referent sporządził mi zaraz drugi materac z kupy chrustu, i to opatrzony moim inicjałem, a chcąc okazać mi więcej uprzejmości sprawił, że nasz domek wciągnął w siebie wszystkie kolce. Przekąsiwszy drobnostkę, gwarzyliśmy przed progiem w zapadającym mroku. Zupa grzała się na ognisku, rozpalonym dla spotęgowania egzotyki, a ja dowiedziałem się, że referent jest poetą, pracuje zaś w administracji, żeby go szanowano, bo wierszy nikt nie czyta. Żadnych, nawet najznakomitszych. Prozy zresztą też nie. Do związku literatów nie należał, jako że się tam wszyscy tylko żrą, zwłaszcza przy pogrzebach. Jedni uważają, że nad każdym grobem winien przemawiać sam prezes, inni natomiast, że tylko równy rangą zmarłemu, więc sędzia sądu koleżeńkiego nad sędzią, nad wiceprezesem — wiceprezes, i tak dalej. Tym się biedacy rajcują, obojętnym, smutnym głosem mówił poeta wpatrzony w płomienie ogniska. Nic innego im nie zostało, związek osiągnął wszystko, o co się upominał przez siedemset lat, żadnych trosk materialnych, każdy sam sobie ustala wysokość nakładów, ale co z tego, skoro już i poeci nie biorą poetów do ręki.

Potem rozmowa zesłała na ziemię. Zdumiałem się, że Tiuxtl, taki niby otrzaskany z naszymi obyczajami, wiąże malowanie ust z wampiryzmem. Czerwień kobiecych warg jest po to, żeby nie było na nich znać krwi, wyssanej przy pocałunkach — zwykła mimikra wampirów. Moje protesty wcale, wcale nie zbity go z tropu. Kobiety chcą się podobać? Krwawe wargi są ładne? A sino podkrążone oczy w zielonych powiekach też? To są barwy trupiego rozkładu — nie będę chyba temu przeczył? Upiorny wygląd do twarzy wampirowi. Powtarzałem swoje, przy nadstawiającym uszu poecie, a Tiuxtl śmiał się ironicznie. A juści, chcą być urodziwe..., a staruszki? Przecież także się malują. — Kobieta jest do śmierci kobietą — upierałem się. — Szminka ma ukryć starość... — Tiuxtl nie dał się przekonać. Na wszystkich ilustracjach ziemskich samice szczerzą zęby. Demonstrują kły. Zapewne, erotyka też ma w tym swój udział, ale to jest erotyka nocna, a wiadomo, że wampiry uprawiają krwiopijstwo nocą. Ja swoje, a on wciąż mrugał do mnie, co mnie cholernie irytowało, aż wyjechał z niezwalczonym argumentem: jeśli chodzi tylko o podkreślenie urody, to czemu mężczyźni się nie malują? Prawdę mówiąc nie wiedziałem, i zły, dałem spokój dalszej sprzeczce. Niech ci będą wampiry, ośle, myślałem układając się do snu w domku ciemnym jak mogiła. Żaden z nas nawet nie zauważył kurdla, którego zaniósł w tę stronę. Zbudzony usłyszałem wprawdzie sapanie i mlaskanie, ale nie pojąłem, że to olbrzymi jęzor oblizuje dach. Przekonawszy się, że kęs będzie gładki, bydlę jednym haustem połknęło domek, wszedł i resztę naszego dobytku, tak że po dość miękkim lądowaniu odnaleźliśmy potem w żołądku nawet chrust przyszykowany na poranne ognisko i kociołek, tyle że się zupa wylała.

Sądząc po rozmiarach żołądka, w którym można było utonąć, bo kurdel miał silne pragnienie, musiał to być istny gigant — odyniec. Poznałem ów żołądek wcale dokładnie razem z przyległościami, nasz pobyt trwał tam bowiem przeszło tydzień. Był to rodzaj złowonnej, olbrzymiej pieczary, z uchyłkami i nadzercami, o fałdzistym sklepieniu, wypełnionej niewiarygodną ilością półpłynnego mięsiwa, krzaków, gałęzi, trawy, jakichś wraków, blach i śmiecia. Ten kurdel nie był zbyt wybredny, żarł, co popadło. W nadziei, że sam wydali nas paszczą, namawiałem towarzyszy, żeby go połaskotać w podniebienie, lecz wrzuszali tylko ramionami, bo i jak było się wspinać ku przełykowi, lewo mającemu nad naszymi głowami jako czarny lej w świetle latarek. Posiliwszy się nami, kurdel dostał czkawki. Było to istne trzęsienie ziemi. Wreszcie odnalazł wodopój i obruszył w mroczną czeluść rwące potopy. Łazik poszedł od razu na dno, ale nasz biały domek dzielnie pływał

niczym szalupa ratunkowa. Tiuxtl i poeta–referent nakłaniali mnie do cierpliwości, bo pragnąłem działać, choć nie wiedziałem, jak. Czkałka minęła, wyrzeliśmy więc przez okna, powierzchnię czarniawego jeziora marszczyły niewielkie fale, a wystawiwszy głowę na zewnątrz poczułem wiatr, lecz i to nie zdziwiło mych towarzyszy. Po prostu beka, nie słyszysz? — powiedział Tiuxtl. Rzeczywiście donosiły się poszumy niedobrego powietrza. Po jakiejś godzinie jezioro opadło i zmieniło się w bagienne grzęzawisko. Ledwieśmy zeszli na dno, pierwszą napptkaną osobą okazał się przelotnie poznany zakonnik. Taki był zapamiętały w pokucie, że nie rozstał się z kamieniem, choć mógł utonąć. Ani jego, ani mych kompanów nie przejmowała nasza sytuacja najmniejszymi obawami. Poeta, który miał już za sobą coś siedem połknięć, bo chadzał i na pozaustawowe wycieczki, a mieszkał przy samej granicy, orzekł, że do gardzieli można by się dostać dopiero, gdy bydlę legnie na spoczynek, ale nie warto, bo przelyk jest ciasny, a zresztą żadne łechtania nic nie dadzą, stare kurdle mają bowiem kamienny sen. Chciałem pytać braciszka o Kliwię, Tiuxtl odwiódł mnkie jednak od tego zamiaru perswadując, że na wiadomości zwykłego furtiana nie ma co liczyć. Cierpliwości, powtarzał, kurdel na pewno ruszy tropem klasztoru, a że zakonnikom nie wolno sprzeciwiać się przemocy, wnet niejeden jeszcze znajdzie się wśród nas. Przy odrobinie szczęścia połknięty może się okazać bibliotekarzem. Nie powiem, żeby mnie przekonał. Odniosłem wrażenie, że gustuje w powstałej sytuacji. Szykował się już do badań terenowych, skoro pożyczył od poety undort i z miazgi pokarmowej sporządził górniczy hełm z lampką, drabinkę sznurową i nieprzemakalny kombinezon. Na moją prośbę sprokurował i mnie taki ekwipunek.

Tymczasem z mroków, pełnych paskudy i chlamu, wyłaniały się wynędzniałe, obdarte postaci z jakimiś kubłami i miotłami na ramieniu. Zorientowałem się prędko, że przychodzą zwykle po śniadaniu i obiedzie (kurdla, nie naszym), by wypożyczyć trochę przestrzeń żołądkową. Byli to więc niby zamiatacze, lecz w życiu nie widziałem czegoś bardziej nieporadnego i niechlujnego od ich roboty. Kręcili się w kompletnym bezhołowiu. Jeden, wyjątkowo rozmowny, inni bowiem, nagabywani, w ogóle nie chcieli się odzywać, powiedział mi, że mają miotły funkcyjne, ale nie używają ich, raz, że by się zdarli i przy kontroli polecą premia, a dwa, bo to by mogło „MU” zaszkodzić. Najbardziej zdziwił mnie ich marazm. Obojętnie mijali nas i nasze pojazdy, unikając tylko światła reflektorów, rozwidniających ciemność, łażąc jak somnambulicy w transie, lecz ilekroć mieliśmy na obiad byrrbycie, co najmniej pięciu stało pod iluminatorem wciągając chciwie jej zapach. Za nic nie chcieli jednak wejść do środka i tylko ten jeden gadatliwy przyznał, że nie wolno im się kumać z obcymi, więc udają, że nas nie ma. Zdaje się, że sam przestraszył się tego, co powiedział, bo już go odtąd nie widziałem. Obyczajnie kurdla były mi zrazu obce, ale wnet połapałem się, że z rana i w południe trzeba szukać wyżej położonych miejsc albo chować się w domku, bo żarł pomału, ale pić zaczynał nagle, r niesłychanym zapamiętaniem, co objawiało się istną Niagorą, buchającą stamtąd, gdzie zwykle słońce stoi w zenicie. Łykał przy tym powietrze i żołądek robił się wtedy dwakroć większy, potem zaś przeciągle bekał, jakby wicher wył między skalnymi turniami. Referent miał Człaków za nic, ale Tiuxtl przycisnął raz dwu miejscowych do ściany żołądkowej i nie puścił, aż usłyszał, że są wysokimi funkcjonariuszami — jeden podawał się za wątrobiarza, a drugi za śledziennika. Tiuxtl puścił wolno obu mówiąc, że łąą jak najęci, by dodać sobie splendoru etatami w ważnych życiowo organach. Powiedzieć o kimś, że jest z organów, to w kurdlu nie byle co. Zresztą i Tiuxtl miał tego kurdla za zipiącego ostatkiem sił, żeby dociągnąć do cmentarzyska i złożyć w nim kości. Ot, stare bydlę po kasacji, dawno wycofane z obiegu, lecz jak to u Człaków, dalej w nim siedzą ze względu na trudności mieszkaniowe, ostatni opuszczają takiego kurdla pracownicy zakładu oczyszczania miastodontów, a nie sprzątają, bo im się nie chce. Kubły i miotły noszą, bo inaczej nie byłoby znać, że pracują. Wszyscy są markierantami, jaka płaca, taka praca. Pierwszego dnia nie jadłem obiadu, choć poeta—



referent kusił mnie kartą dań, Jakie mógł serwować undort, lecz myśl, z czego je sporządzi, odbierała mi apetyt. Chciałem jak najprędzej wyjść na świeże powietrze, coraz bardziej zdziwiony, że moi towarzysze godzą się z tym uwięzieniem, aż zaczęło mi się zdawać, że nie tytko godzą się, ale gustują w nim. Czemu? Czyżby od starannie ukrywanej satysfakcji, że nie ma tu ani jednego bystra? Śmiali się, gdy wprost o to zapytałem, ale w tym śmiechu była jakby nutka zażenowania.

Drugiego dnia, gdy Tiuxtl po śniadaniu (jadłem już, cóż miałem robić) puścił adapter, nie mając ochoty na muzykę i nie chcąc siedzieć z założonymi rękami, zażyłem najpierw wspinaczki na; stromiźnie pod wpustem, lecz było tam niebezpiecznie ślisko, a o wbijaniu haków ani mowy, udałem się więc w stroju pletwonurka na dalszą przechadzkę — do dwunastnicy. Referent towarzyszył mi do odźwiernika, kazał też, jak trzeba łaskotać sphincter pylori, żeby się rozkurczył i przepuścił, dalej nie chciał jednak iść. Wziął ze sobą gruby zeszyt i ołówek, może naszło go natchnienie i szukał samotności. Za odźwiernikiem było dość nawet przestronnie i szedłem różnym krokiem, aż na rozstaju drogi żółciowych ujrzałem w ścianie parę butów. Musnąłem je niewidzącymi oczami i poszedłem dalej, pogrążony w myślach. Zastanawiałem się, co sądzić o moich Luzanach, którzy mieli Człaków niby to w pogardzie, a chcieli siedzieć z nimi w tych kloacznych jaskiniach i wcale nie było im pilno do wyjścia na wolność. Smak egzotyki? Prymitywnego bytowania? Gdyby tu był ze mną jakiś freudysta, zaraz powiedziałby, że dla Encjan tkwić w środku kurdla znaczy wrócić do łona, na pewno wyjechałby ze swoimi symbolami, a ja bym go sklął, bo oni nie mają żadnego łona. Zresztą, czy warto się było wdać w wyobrażaną kłótnię z wyimaginowanym freudystą? Jest w tym jednak jakaś zagadka, pomyślałem, i w tej chwili dopiero dotarły do mej świadomości wyminięte buty w ścianie. Zwróciłem tam latarkę i zobaczyłem, jak się ruszają. Do sedna tej zagadki mogłem przynajmniej dobrać się od razu. Widziałem tylko wibramowe podeszwy i trochę ścięte obcasy. Pociągnąłem za jeden, potem za drugi i ze ściany zaczął wylazić tyłem niczym rak, chudy, wysoki Encjanin, też w stroju pletwonurka. Ani trochę nie zaskoczony moją obecnością, przedstawił mi się jako profesor Xouder Xaater, kierownik katedry anatomii kurdla w Ixibrix, obecnie zajęty pracą polową. Nie pytając, ktom zacz, objaśnił mi topografię tego odcinka jelit, zwłaszcza entuzjazmowało go diverticulum duodeno–jejunale Kaateri: tak, to miejsce nosiło jego imię, gdyż dowiódł błędności tez szkoły Xepsa, jakoby to diverticulum nigdy nie bywało verrucinosum. Profesor zachodził drogę temu kurdlowi od ładnych kilku dni, gdyż tępe bydłę nie chciało go za żadne skarby połknąć, chociaż kładł mu się posolony pod paszczę. Słowa te przywiodły mi na myśl przykre wspomnienia lunaparkowego Księżyca, który wzięłem za planetę i dałem się ogłupić rzekomym polowaniem na kurdle. Porzuciwszy z pewnym ociąganiem brodawki żółciowe, profesor wrócił ze mną do żołądka. Gdy sądził, że tego nie widzę, popatrywał ukradkiem na moje nogi, lecz zaraz odwracał wzrok. Potem się okazało, że brał mnie za obciążonego wrodzonym kalectwem. Jako anatom postawił mi rozpoznanie deformitatis congenitae articulationum genu, przypadek dość rzadki i fatalny, utrudnia bowiem niezmiernie życie, zwłaszcza chodzenie, a normalnie, czyli po encjańsku, usiąść taki inwalida w ogóle nie potrafi, lecz jako osoba kulturalna udawał, że tego nie widzi, i było sporo śmiechu, kiedy się zorientował, że ma do czynienia z człowiekiem, bo zapomniałem mu to wyjawić, aż sam się spostrzegł, gdyśmy obaj zdjęli maski tlenowe. Było to już za odźwiernikiem i z wysokości poczęły lecieć na nasze głowy całe kępy krzaków i grudy ziemi. Ten stary kurdel był potwornie żarłoczny, a profesor naglił do pośpiechu, bo zewsząd płynęły już strumienie soku żołądkowego i jasne było, że się na tym nie skończy, toż taka strawa wywołuje zgagę, więc i pragnienie. Rzeczywiście lunęło jak z cebra, myśmy jednak zdążyli dopaść zbawiennego schroniska i nie zmoczyła nas ani jedna kropla. Moi towarzysze grzecznie powitali profesora i zaprosili go na byrrbycie. Już się grzała w kociołku. Ciekawe, że zamiast frykasów, jakie mógł serwować undort, woleli tę juchę, wypełniającą pomieszczenie zapachem, którego nie nazwę atrakcyjnym. Siedliśmy kręgiem i popijając

zupę czarkami, gwarzyliśmy w najlepsze. Profesor zabawił nas opowieścią, jak to w zeszłym roku Odkrył w topieli przy tak zwanym Kurhanie Przewodniczącego ugrzęzły w mule szkielet olbrzymiego kurdla z czterdziestoma szkieletami człackimi w środku. Dzięki temu zatriumfował nad archeologami, którzy pod przewodem innego anatoma, docenta Xipsiquaxa (albo podobnie), upierali się, że kurdel nie może żyć pod wodą. Otóż naturaliter nie może, ale daje się wytresować na łódź podwodną, o nasz anatom udowodnił to przy pomocy dowodu rzeczowego, jakim był peryskop, odnaleziony przy kościotrupie. Docent spóźnił się o dwa dni i kiedy przybył z dzwonem nurkowym, szkielet grzał się już na słońcu pod opieką preparatorów, a do peryskopu przyczepił profesor transparent ze złośliwym napisem CITO VENIENTIBUS OSSA!

Mają ci uczeni problemy, myślałem, pijąc byrrbycię tak, jak łykałem jako dziecko rycynus, to znaczy zatykając sobie gardło miękkim podniebieniem, a jednak piłem, nie chcąc wypaść z kompanii. Zakonnik siedział z nami, nie na materacu, ale na swoim gładzie, bo dał się ubłagać i zwałił go wreszcie z barków. Wiedząc, że jestem człowiekiem, uznał za rzecz dopuszczalną złamanie reguły i tak przyszło do rozmowy, w której okazał się daleko bardziej rozbawiony, niż sądził Tiuxtl. Nie wymówiłbym jego nazwiska, było całkiem inne niż wszystkich Luzanów, chrypliwe i bezgłośnie. Wszyscy mnisi mają takie, bo nowicjaty w zakonie zaczyna się od wyboru kliwiańskiego nazwiska z zachowanych kronik. Odtąd mnich jest zarazem sobą i owym Kliwianinem. Wiadomość ta rozpałała moją wyobraźnię. Oczekiwałem niesamowitych rewelacji — że wyznają wędrówkę dusz i mówią przez nich zmarli Kliwianie, czy też na misteriach wyczytują z uratowanych dokumentów straszne zaklęcia Ka–Undrium, co wystawia ich wiarę na szwank, ale właśnie w jej zagrożeniu mogą się dopatrywać swej pokutniczej misji, zdolnej przy masowych nawiedzeniach przeistoczyć pobożnych mnichów w organizację mścicieli. Brat furtian ostudził moją rozognioną wyobraźnię oświadczając, że nic nie wie o Kliwianinie, którego nazwisko sobie przybrał, ani o innych Kliwianach poza tym, że nie wierzyli w Boga, więc oni wierzą teraz za nich.

— Jak to — pytałem srodze zawiedziony — macie te ich kroniki i nawet nie próbujecie ich studiować?

Mnichowi zrobiło się pewnie gorąco od byrrbyci, stracił bowiem z głowy kaptur i patrząc we mnie opierzonymi promieniście oczami rzekł:

— Owszem, czytałem te pisma. Każdy z nas może czytać, jeśli chce. Nie brak też w naszym nowicjacie kleryków, wstępujących do zakonu nie dla skruchy i nie z wiary, lecz w nadziei, że w Kliwianach znajdą zakrzepłą esencję najczarniejszego Zła. Tacy rychło nas opuszczają. Dziwisz się, cudzoziemcze? Czytamy te kroniki, żeby uczyć się kliwiańskiego, bo zresztą nie ma w nich nic...

— Jak to nic nie ma...? — spytałem powoli. Zacząłem go podejrzewać o chęć ukrycia prawdy.

— Nic oprócz frazesów. Ot, pusta gadanina propagandowa. Sypanie ogólnikami w oczy. Dziwisz się? A słyszałeś kiedyś o władzy, co nie sypie obietnicami szczęścia, lecz zapowiada rozpacz, zgrzytanie zębów, własną nikczemność i moralną zarazę? Żadna tego nie przyrzeka. Czy u was tak nie jest?

— Mniejsza o nas — odrzuciłem prędko. — Ale ich Ka–Undrium? Co to było? Czy wiesz? Czy wolno ci to powiedzieć...?

— Zawsze to samo — wzruszył ramionami. — Ka–Undrium w najściślejszym tłumaczeniu to tyle, co BŁOGOSFERA.

Aż mnie zatchnęło.

— Nie może być! Jak to? Oni chcieli zrobić to samo, co wy?

— Tak.

— Wobec tego... jak mogło dojść do wojny?

— To nie była wojna, to było bezludne zderzenie dwóch idei.

— Anix powiedział mi, że bystry powstały jako broń...

— Może źle go zrozumiałeś. Nie powstały jako broń. Stały się bronią, spotkawszy to, co było skierowane tak, jak one.

Widziałem, że szuka z wysiłkiem słów pod nieruchomym wzrokiem tamtych i naraz ujrzałem tę scenę jakby ze strony. Człowiek siedzący z niewygodnie podkulonymi nogami wśród istot szeroko rozsiadłych na własnych wielkich stopach, ze sterczącymi do tyłu kolanami, w pozycji ciężkich ptaków-głowaczy.

— Zderzyły się dwie intencje Dobra — powiedział na? koniec mnich. — Różniły się tym, co szlachetny Tiuxtl nazwie programem. Lecz i tym nie bardzo. W gruncie rzeczy starły się przez to, że były dwoma projektami perfekcji. Jeśli staną naprzeciw siebie dwa kościoły jednego Boga, jeśli każdy stoi przy Nim, lecz łaknie wyłączności, niepodległej żadnym ustępstwom, to mogą stoczyć z sobą bitwę, choćby jej żaden nie chciał. Czy nie bywało tak w dziejach? A jeśli nawet oddanie Najwyższemu Dobru może zrodzić zagładę, o ileż pewniej sprawi ją wiara doczesna, skoro wyznawcy stworzą mrowiska bezmyślnych wykonawców. Dwa projekty szczęśliwego bezboża leciały sobie naprzeciw i spotkały się nie całkiem w pół drogi, ponieważ jeden miał jako sprawniejszy większą moc przebicia. Gdyby Kliwianom poszło lepiej, siedziałbyś teraz nie tu, lecz w kręgu ciemnych twarzy na południowym cyplu ich pogórza i słuchałbyś o zagładzie tajemniczego potwora północnej Taraktydy, pogrzebanej pod lodowcem Luzanii. Tyle że pewno znajdowałbyś się wśród świeckich, bo jak powiedziałem, Kliwianie odrzucili Boga, i przez to przyszłoby mi może trudniej znaleźć tam repenitentów...

— Więc oni naprawdę chcieli dobra..? Nie umiałem się oswoić z tą myślą.

— Chyba nie mniej ani bardziej niż Ojcowie Fundatorzy. Ale czas już na mnie. Zegnajcie, moi panowie.

Mnich wstał, dźwignął swój kamień i wyszedł, chyląc się pod ciężarem. Wziąłem zaraz Tiuxtla na spytki, czy było mu wiadome to, co zakonnik powiedział o Kliwii?

Nie zaprzeczył, upierał się jednak, że było inaczej, bo Kliwianie mieli autorytarne ideały, ich błogosferę miały tworzyć nie bystry, lecz molekularne mikroboty zwane pigmami, nie tylko mniej doskonałe, ale i bardziej brutalne od bystrów. Zaczął sypać fachowymi terminami, widziałem, że broni swej sprawy w dobrej wierze, ale przestałem go słuchać. Zresztą pora była już późna. Tamci dwaj wstali, by przyszykować legowiska. Tiuxtl zamilkł i też wstał z ociąganiem. Otaczały mnie pałubiaste oblicza pokryte zbitym aksamitnym puchem, o oczach rozstawionych prawie tak szeroko jak nozdrza, w których przy oddychaniu drżały maleńkie piórka. Szykując się do snu wyjąłem z ucha tłumaczkę i zrozumiałe głosy zmieniły się w serie prędkich dźwiękliwych treli. Poeta zbliżył do mnie sowie oczy, mówiąc coś, czego się domyśliłem, bo wskazał mi posłanie. Niebawem zapadł mrok, wszyscy posnęli, co poznałem po regularnych oddechach, sam jednak nie czułem wcale senności. Dobrze przynajmniej, że nikt nie chrapie, myślałem, bo nie znoszę chrapania. Prawda, jestem wśród Encjan, a oni chyba nie chrapią. Słyszał to ktoś o chrapiących wróblach lub pingwinach? W głowie miałem zamęt. Po co wziąłem na siebie trud gwiazdnej podróży? Żeby z gromadą byłych ptaków znaleźć się w czarnym jak loch brzuszysku półzdechłego kurdła, półkurier dyplomatyczny, Ijon Tichy, była małpa. Osobiście nigdy nie byłem małpą, lecz żaden z nich też nie był nigdy ptakiem. Skąd to czepianie się zoologii w drzewie genealogicznym? Czy doprawdy, myślałem nieomal z rozpaczą, muszę w tak idiotyczny sposób myśleć o tak wielkich i ważnych sprawach? Czy poznałem tajemnicę Czarnej Kliwii? Chyba tak, ale okazało się, że to nie była żadna czarna i obca tajemnica, lecz coś aż nadto dobrze znanego. Ktoś zaczął chrapać, a potem i rzezić, psyknałem więc kilka razy wypróbowanym sposobem, lecz bez skutku. Podniosłem się na łokciu w obawie przed bezsennością, aż charczenia przeszły w grzmiący bulgot. Płynęły ze wszech stron jak nawałnica. To nie oni, to tylko kurdel trawi. Burczy mu w brzuchu, uspokoiłem się. Leżałem i leżałem, a sen nie nadchodził. Jak paciorki różańca

przesuwałem w pamięci dawne podróże. Tyle ich już było. Niejedna okazała się zresztą snem. Wspominałem przebudzenie po kongresie futurologów i przyszło mi do głowy, czy aby nie śnię i teraz. Nigdzie bezsenność nie może udreńczyć tak dokumentnie jak we śnie, toż bardzo trudno zasnąć, gdy się już śpi. Łatwiej się wtedy przebudzić, to chyba zrozumiałe. Gdybym się teraz ocknął, iluż zaoszczędziłbym sobie zbędnych mozołów. Byłaby to doprawdy zaca „niespodzianka. Zebrałem więc siły na duchowe mocowanie z więzadłami, którymi tak mocno trzyma sen, żeby go rozedrzeć i zrzucić z siebie jak ciemny kokon, ale choć zdobyłem się na najwyższy wysiłek, nic z tego nie wyszło, Nie obudziłem się. Nie było innej jawy.

**Koniec**

Marzec 1981

## APPENDIX

### Rozumowany słowniczek Ziemsko–Ziemski luzańskich i kurdlandzkich wyrazów obiegowych oraz synturalnych (patrz: Syntura).

**Objaśnienie wstępne.** Szybki rozwój encjologii stworzył potrzebę koncyptowania hasel, stanowiących zwięzłe odpowiedniki takich wyrażen encjańskich, które oznaczają nie znane na Ziemi pojęcia abstrakcyjne oraz konkretne obiekty.

Tym sposobem powstał słownik neologizmów, oddających jak najwierniej ich obcoplanetarne znaczenia. Poniżej przedstawiam garść wybranych hasał wziętych z tego słownika, mogą bowiem ułatwić lekturę niniejszej książki. Podałem też wyrażenia w książce nie występujące, o ile odgrywają znaczną rolę w duchowym i materialnym życiu Encjan. Osoby naprzykrzające mi się mniej lub bardziej kąśliwymi uwagami, jakobym utrudniał zaznajamianie się z treścią mych wspomnień i podróży dzienników słowami–nowotworami, uprzejmie zachęcam do prostego eksperymentu, który wyjaśni im nieuchronność mego postępowania. Niechaj spróbuje taki krytyk opisać jeden dzień swego życia w dużej ziemskiej metropolii, posługując się wyłącznie słowami branymi z dowolnego słownika, wydanego przed XVIII stuleciem. Temu, komu takiej próby nie chce się przeprowadzić, uprzejmie odradzam branie do ręki mych książek.

**Agatopteryx** — także Megapteryx Sapiens — wielki bezłot rozumny, przodek Encjan, odpowiadający mniej więcej naszemu pitekanthropowi.

**Autoklaz** — jedna z wielu instytucji szalikowych (szałochłonnych), zwanych też wyszalniami w Luzanii.

**Awariał** — komputer zachowujący się nedorzecznie wskutek awarii.

**Bogoid** — anielak, rodzaj androida–tłumacza, służącego też do wentylacji pomieszczeń i innych posług.

**Cadaveria Rusticana** — kier–karkur (kierdel karnych kurdli) na wypasie.

**Civitator** — od „civitas”, państwo — także: państwiciel — aktualnie rządzący komputer.

**Defekfyf** — defekt etyfikacyjny, skutek niedowładu lub chwilowego pomieszania etykosfery.

**Dekarz** — obywatel luzański, ukrywający się w czasie przymusowego poboru do rządu i innych najwyższych władz państwowych.

**Demencja** — demelioracja gleby na Encji, część typowych działań opozycji antysynturalnej, zmierzająca do oziępienia inteligentnych tworzyw i skał, grysu, łupku, piasku, gliny itp.

**Drepartament** — kierdel kurdli (kierkur), jednostka administracji terenowej w Kurdlandii.

**Drogista** — uczony, zajmujący się pomiarem długości dróg, jaką impulsy poszukujące w planetarnej pamięci określonych danych muszą przebyć, ażeby dotrzeć do tych danych.

**Drwaleń** — ryba–siekiera na Encji.

**Dubliski** — zdublowany bliski osobnik, np. krewny, powinowaty, przyjaciel, uśmierzający żalobę po utraconym lub żal, wywołany niezgodnością charakterów (patrz też: Lalonizacja, Faksyfamilia, zresztą patrz, gdzie chcesz).

**Dymant** (Dyfamacji Monument) — pomnik niesławy, stawiany wielkim publicznym winowajcom ze specjalnych elastycznych tworzyw, odkształcających się pod razami, lecz powracających dzięki relaksacji do stanu pierwotnego. Także ze spluwaczkami zamiast zniczów.

**Ekstrakcjonści** — luzańska sekta pogorszycielska (także: maligniści). Mniemając, iż przyczyną frustracji społecznej jest zbyt ni dobrobyt, ekstrakcjonści (zwani też wyrwatykami) usiłują nieść bliźnim pomoc przez ich zadęczenie.

**EMCIA** — Entropia Modułów Cyfrowych Inteligencji Automatów.

**Faksyfamilia** — zastępowanie trudnych krewnych lalonami (patrz: Lalonizacja).

**Gdyby** — warunkowe kajdany. Pojęcie to stanowi pochodną sytuacji, w której kajdany (i w ogóle wszelkie więzy) krępują tylko dopóty, dopóki nosząca je osoba tego sobie życzy, gdyż jeśli zapragnie się uwolnić, bystry spowodują rozpad (dysypację) materiału, z jakiego składa się to, co krępuje ruchy.

**Genializ postępowy**, Genialysis Progressiva — porażenie zbytnią mądrością, prowadzące do zwarcia wyjść z wejściami u komputerów; są to tak zwane kontemplaki.

**Hyloizm** — panująca religia Luzanii. Zapisalem sobie na karteczce, skąd pochodzi to słowo, ale niestety nigdzie nie mogę jej znaleźć.

**Ignorantyka** — dyscyplina naukowa badająca wiedzę o aktualnej niewiedzy.

**Ignorantystyka** — dyscyplina naukowa odwrotna względem ignorantyki (patrz: Ignorantyka). Zajmuje się ignorowaniem aktualnej niewiedzy.

**Inspert** — ekspert, czyli biegły (uczony), w fazie wglóbenia nauki (patrz: Nauki wglóbenie).

**Jaźnicowanie** — technika dosładzająca życie, umożliwia współprzeżywanie tego. czego naraz nie można doznawać nofmalnie, dzięki podłączeniu różnotreściowych strumieni doznań do obu półkul mózgu, rozdzielonych przez rozjaźniacz.

**Karkur** — karny kurdel, także: Krowie (kroczące więzienie).

**Krukulka** — postać z bajek na Encji. Skrzyżowanie kruka z kukułką dzięki inżynierii genowej. Kruk odpowiada na pytania, czy odnośne jaja są kukułcze i świeże.

**Kukurdel** — kurdel–sjamski bliźniak.

**Kurdesz** — taniec w brzuchu . kurdla (uwaga: nie taniec brzucha!).

**Kurdynał** — najwyższy kapłan w kurdlandzkiej starożytności.

**Lalonizacja** — zastępowanie osób naturalnych surogatowymi, obstalowanymi w odp. wytwórni.

**Lubociąg** — jak wodociąg służy na Ziemi do dystrybucji wody, tak lubociąg na Encji dostarcza (wg zamówienia) lubości.

**Ludociąg** — lubocigg przeznaczony do dostarczania dubliskich (patrz: Dubliski) oraz innych lalosiów i androidów. Transport zachodzi w stanie sproszkowanym, jest to tak zwana „Instant Person”, skupiająca się u obstalowanego po włączeniu zasilacza (patrz też: Lubociąg).

**Łypant** — sztuczny satelita, stacjonarny lub nie, służący do śledzenia zaprogramowanej (upatrzonej) osoby z orbity.

**Nacjomobil** — zamieszkały kurdel (zwierz–osiedle). Także: miastodont, miastochód, dreptak, chodowiec (nie: chodowca).

**Najkur** — najstarszy nad kurdłami, także: kurdliwc wyższy urzędnik administracji kurdlandzkiej, zawiadujący drepartamentem (patrz: Drepartament).

**Nauki wglóbenie** — gdy uczonym wiadomo, iż pewnej dane i odkrycia uległy już; przyswojeniu, atoli nie wiadomo, gdzie tych danych szukać, rozpoczynają się wyprawy w głąb nauki, czyli wglóbeniowe. Kierują nimi internistyczni eksperci, czyli insperci. Działalność tę zwie się też insploracją w przeciwieństwie do dawniejszej eksploracji.

**Omamki**, także: halucelki — mikrodeluzje osób naturalnych, jakoby były sztucznymi i na odwrót. Ozadnicтво — przymusowe osadnictwo w tylnych regionach kurdla.

**Pernormiści** — sekta utrzymująca, że cywilizacja to zboczenie (perwersja), należy tedy uprawiać w niej perwersje (zboczenia), bo zboczenie w zboczeniu wyprowadza na prostą drogę, czyli przywraca do normy.

**Polimiksja** — nietrafne określenie sposobu zapłodnienia u Encjan. Właściwy termin to polisemia. Żeńska komórka płciowa nie może być zapłodniona przez jeden tylko męski plemnik; niezbędna dla inseminacji jest obecność co najmniej dwóch plemników, pochodzących od dwóch genetycznie nietożsamyh samców (a więc nie mogą być oni

jednojąowymi bliźniakami). Istnieje obecnie 47 teorii wyjaśniających, czemu ten typ rozmnażania się powstał na Encji, lecz z braku miejsca ich nie wymienię.

**Polipol** — poligon polityczny, rodzaj trenażera dla działaczy, może być zaminowany. Połykanin — ten, kto został połknięty i zwrócony przez kurdla (patrz też: Umykanin).

**POP** — przymusowy pobór obywateli do najwyższych władz w Luzanii. Dawniej: postać osobliwie pikantna (także: sztuczniak, jako służący do igraszek; jeśli zastępuje właściciela na posiedzeniach, sesjach itp. — seśnik, patrz też: Lalonizacja, Faksyfamilia).

**Porywka** — dziecięca zabawa w porywanie (także: Urowadzka).

**Prepent** — prewencja penitencjarna — zapobieganie premedytowanym złym czynkom za pośrednictwem wszywanych w osobistą bieliznę czujników doloratorowych (zły zamysł powoduje gwałtowny atak rwy kulszowej czyli ischiasu). Technika o znaczeniu już tylko historycznym w Luzanii.

**Proponafor** — także wybierak osobisty, ułatwia wybór uciechy, rozrywki itp. Urządzenie niezbędne w obliczu nadmiarowych alternatyw. Uszkodzony, rozdeptany lub strzaskany przez właściciela sam natychmiast odtwarza się z prochu. Pozbyć się go nie można, gdyż porzucony dąży za posiadaczem nawet zamykającym się w pancernej kazamacie (dzięki odpowiednim drażyciom).

**Pryga** — prywatna galaktyka, pojęcie reliktowe z czasów, gdy obywatele luzzańscy mogli się ubiegać o zawłaszczenie mgławic eliptycznych i spiralnych. Obecnie dostępna jest tylko dzierzawa wieczysta na 10000 lat.

**Pseudozoa** — zwierzęta syntetyczne, produkt inżynierii płodowlanej.

**Roboty wywrotowe** — roboty o wysoko ulokowanym środku ciężkości, tracące przez to łatwo równowagę.

**Rozsianiec** — porost, skażony nierozmyślnie bystrami, wskutek tego zarazem zmyślny i roztargniony. Oklina, gdy go deptać.

**Ryczałt**, inaczej prep — neuropreparat osobnika, skazanego na karę najwyższą w postaci dożywotnich mąk. Istnienie ryczałtów stoi pod znakiem zapytania.

**Salto Rationale** — także Prawo Inwersji Praktykowanych Sensów (PIPS). Wg tego prawa jeśli pewna Idea ulega wdrożeniu praktycznemu, to gdy zostanie przekroczony próg Titixaqa, zaczyna ona działać odwrotnie, niż głosiła. Powyżej progu T. idee postępowe stają się regresywne, zapewniające dobrobyt wtrącają w nędzę, radujące frustrują itp. Próg T. wyznacza stosunek średnicy mózgowcaszki do iloczynu ze średniej powszechnego zniechęcenia i stałej (constans) NN (Nieuchronnych Nieporozumień).

**Samoskon** — zmyślniak (rodzaj robota), kończący z sobą po wykonaniu zaprogramowanego zadania, jednak, demont (albowiem sam się demontuje). Nie mylić z **rozebrą**. (Rozebra to prostu rozebrana zebra).

**Sexofaciales** — płciotwarzowe, zoologiczna nazwa wyższych zwierząt encjańskich (z uwagi na lokalizację narządów zewnętrznych, służących rozplemowi).

**Smok** — podsuszony zmok, (patrz: Zmok).

**Socjomat** — automat do gry (hazardowej) w państwo.

**Spocznia** — komputer w stanie spoczynku.

**Squarcka próg** — jest to próg namyślnienia środowiska, powyżej którego staje się ono mądrzejsze od zamieszkujących je istot rozumnych.

**Starnak** — starszy nad kurdlem, starosta, naczelnik miastochodu.

**Synprekary** — syntetycznie preparowane kariery, przykrawane do indywidualnych cech temperamentu.

**Syntura** — syntetyczna kultura, utworzona w Luzanii.

**Ufnia** — wiara w życie pozabystrowe.

**Umykanin** — ten, kto nie dał się połknąć kurdlowi.

**Wirydyki** albo zieleńce — owady, pełniące na Encji funkcję ziemskich roślin zielonych.

**Zmok** — zmoczony smok (patrz: Smok).

**Zmory** — zastawki (zabezpieczenia) moralne bystrów począwszy od 16 generacji, uniemożliwiające ich nazłośliwienie (malignizację) przez elementy przestępcze i dysydenckie.